

GILL SIMS

A stylized illustration of a hand holding a wine glass filled with red wine. The hand is rendered in a simple, bold style with pinkish skin tones. The wine glass is a classic snifter shape. The background is a light green with a fine, dotted pattern. The overall style is reminiscent of a comic book or a graphic novel cover.

**DLACZEGO
MAMUSIA
PIJE**

PAMIĘTNIK WYCZERPANEJ MAMY

KSIAŻCE
PATRONUJE

CH*JOWA
PANI DOMU

Gill Sims

Dlaczego mamusia pije

Pamiętnik wyczerpanej mamy

Tłumaczenie: Marta Żbikowska

Dla D

SPIS TREŚCI

Wrzesień

Październik

Listopad

Grudzień

Styczeń

Luty

Marzec

Kwiecień

Maj

Czerwiec

Lipiec

Sierpień

Podziękowania

WRZESIEN

Wtorek, 8 września

Pierwszy dzień szkoły. W tym roku dam z siebie wszystko. Rozwalę system! I zostanę najlepszą matką na świecie!

06:00 rano. Wstaję, biorę prysznic, ubieram się w przygotowany wieczorem gustowny, elegancki zestaw ciuchów z minimalistycznej kapsułowej garderoby. Zgodnie z sugestiami z Pinteresta, nakładam lekki, ale stylowy makijaż zwieńczony wyprofilowaną klasyczną kreską. Kiedy kończę się szykować, mam jeszcze chwilę na ogarnięcie domu, więc po powrocie ze szkoły wejdziemy do spokojnego, przyjaznego miejsca.

07:00. Budzę moje kochane maleństwa i proponuję im zestaw domowej roboty smakołyków na śniadanie. Z radością przystaję na propozycję pomocy w przygotowaniu naleśników/gofrów/jajecznic. Przepełniona miłością rodzicielską obserwuję ich promieniejące i pełne skupienia twarzyczki, kiedy wspólnie wcielają w życie swoje smakowite plany. W wolnej chwili wrzucam do wolnowaru coś pysznego na obiad.

07:45. Wysyłam swoje urocze dzieciaki do kąpieli i proszę je, żeby się ubrały. To oczywiście nic skomplikowanego, bo

wczoraj wieczorem przygotowałam im ubrania na dzisiaj.

Kiedy dzieci się ubierają, wstawiam naczynia do zmywarki i wyjmuję z lodówki śniadaniówki z odżywczymi przekąskami, kanapkami w zabawnych kształtach i fikuśnie krojonymi świeżymi owocami i warzywami.

08:00. Rozczesuję włosy Jane i zaplatam je w warkocz dobierany czy coś podobnego. Czeszę Petera grzebieniem. Mamy jeszcze dziesięć minut na krótką lekturę czarującej bajki i pięć minut na to, żeby się wyszykować, założyć buty, kurtki i wyjść.

08:25. Wychodzimy do szkoły, śpiewając wesołe piosenki. Wybieramy dłuższą drogę przez park, żeby nasz pies mógł się wybiegać. Obserwuję moje słodkie aniołki hasające z rozkosznym czworonogiem wśród jesiennych liści. Jestem z siebie dumna. Wiem, że świeże powietrze i odrobina ruchu ożywi ich młode umysły. Będą idealnie przygotowane na to, żeby iść do szkoły i chłonać nowe informacje jak gąbki.

08:50. Po serii czułych buziaków i uścisków wysyłam swoje urocze dzieciaki na plac zabaw. Zwawym krokiem wracamy z psem do domu. Pies usadawia się w koszyku, gdzie grzecznie czeka na petsitterkę^[1], która wyjdzie z nim w porze lunchu. Wsiadam do świeżo wypucowanego samochodu i ruszam do pracy.

15:15. Odbieram maleństwa ze szkoły. Na placu zabaw rozmawiam z innymi mamami na neutralne tematy.

15:30. Serwuję dzieciakom pożywną przekąskę, na przykład granolę domowej roboty. Kiedy jedzą, przeglądam ich plecaki i odnotowuję wszystkie informacje o szkolnych wydarzeniach/wycieczkach/prośbach do rodziców. Może nawet mam specjalne kolorowe segregatory dla każdego z dzieci, w których przechowuję te informacje, żeby w razie potrzeby łatwo do nich wrócić. Sprawdzam, jaką dostały pracę domową i rozrysowuję im plan działania, żeby mogli wyrobić się ze wszystkimi zadaniami.

15:45. Proszę dzieci, żeby się przebrały, zanim pójdą na pozaszkolne ogólnorozwojowe zajęcia, na które chodzą dzieci wszystkich przedstawicieli klasy średniej.

16:00. Zawożę pociechy na basen/muzykę/tenisa/dzidzitsu - niewłaściwe skreślić. Jeśli tylko jedno z dzieci ma tego dnia zajęcia dodatkowe, wykorzystuję ten czas na pogłębianie rodzicielskiej więzi z drugim. Rozmawiamy o jego dniu/ nadziejach/planach/ambicjach. Jeśli oboje są na zajęciach, czytam mejle, jak przystało na prawdziwą kobietę sukcesu w XXI wieku.

17:00. Kierując się przygotowanym wcześniej planem działania, nadzoruję odrabianie prac domowych.

17:30. Wszystkim domownikom cieknie ślinka na widok obiadu domowej roboty, który przygotowałam oczywiście bez większego wysiłku w wolnowarze. Przez kilka sekund rozpiera mnie duma, że jestem taką wspaniałą matką i robi mi się żal wszystkich tych, którym brakuje moich

dopracowanych do perfekcji zdolności organizacyjnych i niezrównanego instynktu macierzyńskiego.

18:00. Nadzoruję ćwiczenia gry na pianinie, a potem powtarzam z dziećmi tabliczkę mnożenia i ćwiczenia z literowania wyrazów.

18:45. Wyrażam zgodę na pół godziny oglądania telewizji.

19:15. Czas na kąpiel!

19:45. Pora spać! Do snu czytam dzieciom książeczkę edukacyjną, którą same wybrały.

20:00. Produktywnie spędzony dzień wynagradzam sobie kubkiem zielonej herbaty.

Ten rok z całą pewnością nie będzie powtórką ubiegłego, kiedy większość moich dni wyglądała następująco:

05:00 rano. Budzi mnie tupanie schodzącego na dół dziecka. Ruszam za nim. Znajduję dziecko rozwalone na kanapie z iPadem. Posyłam małą rozpieczoną bestię z powrotem do łóżka. Kipiąc gniewem, wracam pod kołdrę. Udaje mi się zasnąć na kilka minut przed tym, jak zadzwoni budzik.

06:00. Włączam drzemkę.

06:10. Jeszcze raz włączam drzemkę.

07:10. Spanikowana zrywam się z łóżka. Biegnę pod

prysznic. Zakładam pierwsze lepsze ciuchy, jakie wpadną mi w ręce. Przeżywam ekspresowe załamanie nerwowe, kiedy okazuje się, że jestem już tak gruba, że gacie, które próbuję włożyć, utykają na poziomie kolan. Po chwili uzmysławiam sobie, że do mojej szafy, nie wiedzieć czemu, trafiły majtki Jane, a ja uparcie próbuję się w nie wcisnąć. Z ulgą ronię łezkę na myśl o tym, że choć może nie mam najmniejszego i najbardziej jędrnego tyłeczka na świecie, to jako dorosła kobieta nie mam obowiązku mieścić się w majtki ośmiolatki. Suszę włosy. Z przerażeniem dokonuję oględzin powstałej na mojej głowie szopy i związuję włosy gumką z Hello Kitty. Próbuję udawać, że gumka jest wyrazem mojego indywidualizmu i ekscentrycznej osobowości. Ponoszę porażkę.

07:30. Schodzę na dół. Krzyczę na kochane maleństwa, żeby natychmiast przestały wściubiać nosy w te przeklęte iPody i zjadły śniadanie.

07:37. Wyrywam dzieciom „przeklęte iPody”, wrzeszcząc przy tym, że konfiskuję je na zawsze, po czym kolejny raz zaganiam Jane i Petera do śniadania. Zaskoczone dzieci podnoszą wzrok, bo zajęte iPadami nie zauważyły, że od siedmiu cholernych minut wydziera się na nie jakaś poczochrana strzyga.

07:40. Faszuję dzieci czekoladowymi płatkami śniadaniowymi. Przerywam kłótnię o głupią zabawkę, którą dodali do płatków. Odpowiadam na milion pytań w stylu:

„Kto ma większe szanse w pojedynku: kistkowiec frędzlouchy czy jaguarundi amerykański?” albo: „Czy można jeść guźce?”. Krzyczę: „Nie wiem, nie mam pojęcia, później sprawdzę w Internecie, a teraz czy możesz zacząć jeść, zamiast bawić się jedzeniem? Raz-dwa, pośpiesz się, to tylko miska płatków, jak długo można to jeść?! Nie rób tak, proszę, bo narozlewasz. No pięknie, brawo! Mówiłam ci, żebyś tak nie robił, bo narozlewasz! ZOSTAW TO JUŻ, później posprzątam, biegiem, ŚPIESZYMY SIĘ!”.

08:00. Zaganiam dzieciaki do mycia i ubierania. Mimo że wczoraj wieczorem przygotowałam im mundurki, upierają się, że nie mogą ich znaleźć. Idę na górę tylko po to, żeby pokazać im, że mundurki wiszą na oparciach krzesel, czyli tam, gdzie wieszam je codziennie. Jednocześnie próbuję zapakować dzieciom śniadaniówki i wrzucić do wolnowaru coś, co rzeczywiście zjedzą, na przykład spaghetti. Karmię psa. Patrzę, jak połyka jedzenie, po czym krztusi się i wymiotuje. Sprzątam wymiociny.

08:20. Próbuję rozplątać węzeł gordyjski, czyli włosy Jane. Kolejny raz tłumaczę jej, że NIE POTRAFIĘ ROBIĆ WARKOCZY DOBIERANYCH, i związuję jej włosy w dwa kucyki. Wysłuchuję tyrady o tym, że jestem beznadziejną matką, bo wszystkie inne mamy potrafią robić warkocz dobierany. Potrafi to nawet tata Tilly Barker. Pokornie znoszę perorę o zrujnowanym życiu Jane i jałowości jej egzystencji w związku z faktem, że nie ma w nim miejsca na warkocze dobierane. Jednocześnie ganiam po domu za

Peterem, usiłując ujarzmić loczki, które przez noc wyrosły mu na głowie. Syn piszczy i ucieka przede mną, jakbym co najmniej wbijała w niego pinezki.

08:35. Ponaglam dzieci, żeby założyły buty, kurtki i plecaki, raz, raz, raz, RAZ! Piana ciśnie mi się na usta, kiedy odpowiadają mi puste spojrzenia, które oznaczają jedno: nie mają pojęcia, gdzie są buty, kurtki i plecaki. Jedno z dzieci oświadcza, że dziś jest ostatni dzień na oddanie pisemnej zgody rodziców na udział w czymś tam. Rozgorączkowana przerzucam stertę papierów i w końcu znajduję druczek, który mam podpisać. Oprócz niego dziecko ma przynieść też pięć funtów. W portfelu mam tylko banknot dwudziestofuntowy, więc zaglądam za poduszki na sofie. A nuż?

08:47. W końcu udaje nam się wyjść z domu. Nie przestaję pośpieszać dzieci. Jednocześnie ciągnę za sobą psa, który zatrzymuje się na siku przy każdej mijanej latarni.

08:57. Wchodzimy na plac zabaw. W bramie jak co dnia stoi bezduszna dyrektorka, która pod przykrywką kurtuazyjnego powitania punktuje rodziców. Posyłam jej niemrawy uśmiech. Powstrzymuję psa, który podnosi nogę, żeby oznaczyć imitujące opalenizną rajstopy dyrektorki. Truchtem pędzę do domu, pod nosem przepraszając psa za to, że nie zabrałam go na porządny spacer.

09:07. Zostawiam petsitterce liścik z prośbą, żeby zabrała psa na trochę dłuższy spacer niż zwykle, po czym biegnę do

samochodu. Przez całą drogę próbuję zlokalizować źródło panującego w nim odorku. Jednocześnie nakładam makijaż i przekonuję samą siebie, że malowanie ust w trakcie jazdy wcale nie jest niebezpieczne ani niezgodne z prawem. Staram się nie myśleć o pobjowisku, jakie zostawiłam w domu.

15:15. Odbieram dzieci. Wchodzę w niezbyt żarliwe konwersacje z rodzicami, byleby tylko nie natknąć się na Sabat Perfekcyjnych Mamusiek, któremu przewodzi Jej Idealność, czyli Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson. Próbuję nie popełnić żadnego faux pas, na przykład nie wygłosić opinii, że ulubiony prezenter telewizji dziecięcej wygląda jak stary zboczeniec.

15:30. Karmię dzieci chipsami i próbuję uporać się z panującym w domu chaosem.

15:45. Zaganiam dzieci, by się przygotowały do pozaszkolnych ogólnorozwojowych zajęć, na które chodzą dzieci wszystkich przedstawicieli klasy średniej. Tłumaczę im, dlaczego muszą iść na basen/muzykę/tenisa/taniec/ dżiu-dzitsu i dlaczego te zajęcia nie są kompletną stratą czasu. Po raz kolejny wysłuchuję uwag o tym, że jestem głupią matką, która rujnuje im życie. Informuję dzieci, że jeśli jeszcze raz usłyszę: „To niesprawiedliwe!”, to przestanę odpowiadać za swoje czyny. Mówię Peterowi, że nie wejdę na górę powąchać bąka, którego właśnie puścił. Idę na górę kolejny raz szukać ubrań, które rzekomo rozplynęły się w powietrzu.

Idę to toalety. Z muszli wygląda na mnie wielka kupa. Tłumaczę dzieciom, że duchy, które robią kupę, nie istnieją, podczas gdy Peter i Jane paradują po domu w samych majtkach. Krzyczę, że wychodzimy ZA PIĘĆ MINUT! - przez około dziesięć minut. Dowiaduję się, że jestem niesprawiedliwa. Odgryzam się, że życie jest niesprawiedliwe. Zaczynam marzyć o kieliszku wina.

16:05. Zawożę dzieci na te durne i bezsensowne zajęcia dla dzieci przedstawicieli klasy średniej, na które wcale nie chcą chodzić, bo łudzę się, że dzięki nim wyrosną na wartościowych członków społeczeństwa. Jeśli tylko jedno z dzieci ma zajęcia, pozwalam drugiemu wlepić nos w urządzenia elektroniczne, puszczając w niepamięć poranne obietnice dożywotniej konfiskaty. Loguję się na Facebooka, żeby zobaczyć, że inni mają lepiej. A jeśli komplet moich dzieci ma zajęcia, otwieram pocztę służbową, przez chwilę patrzę na nieprzeczytane mejle, powstrzymuję odruch wymiotny, po czym loguję się na Facebooka, żeby zobaczyć, że inni mają lepiej.

17:00. Ulegam dzieciom i pozwalam im na więcej czasu z tabletami i iPodami.

17:30. Dociera do mnie, że zapomniałam rano włączyć ten przeklęty wolnowar. Na szybko pichcę dzieciom makaron z sosem serowym. Wmuszam w nie po owocu w ramach postanowienia o wprowadzaniu do ich diety chociaż cienia wartości odżywczych. Wyszukuję w Internecie zdjęcia

szkorbutu. Obojętna na protesty, zmuszam dzieci do ich obejrzenia. W odpowiedzi słyszę, że mają skorbut w nosie.

18:00. Pytam dzieci, czy mają coś zadane. Zdecydowanie zaprzeczają. Zgadzam się na pięć minut więcej na tabletach. Otwieram wino. Próbuję doprowadzić do porządku mój - obecnie zamieniony w pobożowisko, a niegdyś gustownie urządzone i elegancki - dom.

18:30. Każę dzieciom wyłączyć tablety i usiąść do pianina/tabliczki mnożenia/ćwiczeń z literowania wyrazów. Odkurzam i ładuję do pralki sto milionów ton ubrań.

18:45. Orientuję się, że dzieci są podejrzanie cicho. Nie słyszę ani dźwięków pianina, ani żadnych innych oznak życia. Odkrywam, że pozamieniały jedno urządzenia elektroniczne na inne. Podobno kazałam im odłożyć iPady, o tabletach i innych nic nie mówiłam.

19:00. Wołam dzieci do kąpielni. Dzieci oświadczają, że mają bardzo ważne zadanie domowe, które muszą oddać najpóźniej jutro. Pod nosem mamrocę wszystkie przekleństwa, jakie przychodzą mi do głowy. Odrabiam z dziećmi zadania. Próbuję powstrzymać się od spytania, czy naprawdę są tak głupie, że nie wiedzą, jaka liczba następuje po trzech albo że słowo „kot” literują, jakby to był „koń”.

20:30. Dzieci wreszcie są wykąpane i leżą w łózkach. Padam na kanapę i popijam z kieliszka, który nalałam sobie o szóstej po południu, ale nawet nie miałam czasu go

podnieść. Mruczę pod nosem:

- Kurwa mać!

Czuję, jak coś we mnie umiera.

Ten rok będzie inny! Będę o wiele lepiej zorganizowana. Co prawda nie zdążyłam kupić praktycznych śniadaniówek, przerobić swojej garderoby na kapsułową, nie polubiłam zielonej herbaty (to jest niemożliwe), nie udało mi się opanować sztuki robienia kresek eyelinerem i zaplatania warkoczy dobieranych, ale jestem pewna, że to tylko detale, które nie zrujnują mojego doskonałego planu.

Piątek, 11 września

Kurwa mać!

Dziś kończę trzydzieści dziewięć lat. Nie chcę mieć trzydziestu dziewięciu lat! Jak to się stało? I kiedy? Miałam nigdy nie przekroczyć dwudziestu ośmiu lat - a nawet to wydawało mi się kiedyś odległe jak średniowiecze - a teraz w perspektywie mam czterdziestkę i przyszłość, która najprawdopodobniej będzie się składała z wzorzystych spódnic z katalogów wysyłkowych, a także „ekstrawaganckiego szalika, który wyrazi mój charakter”, kiedy znajdę się w nastroju na małe szaleństwo.

Przyszłość, w której moje życie towarzyskie zapewne ograniczy się do osób, które proponują wspólne wyjście na zajęcia z jogi dla zaawansowanych albo, w celu łyknięcia wyższej kultury, do klubu książki, którego członkowie noszą przewiązane przez golfy „ekstrawaganckie szaliki”. Po

jednym kieliszku taniego pinot grigio będą twierdzić, że są „wstawieni”, a kiedy zobaczą, że sięgam po drugi, skomentują: „Odważna jesteś!”, podczas gdy ja będę się powstrzymywać, żeby nie warknąć, że nie, wcale nie jestem odważna. Odważna osoba byłaby w stanie przetrwać tę niedorzeczną paplaninę bez pomocy środków odurzających, a mówiąc to, wcale nie mam na myśli kolejnego kieliszka wina, tylko całą butelkę wódki i może jeszcze trochę cracku. I dlaczego, na miłość boską, WSZYSCY JESTEŚCIE TACY NUDNI?

Może, jeśli uda mi się powstrzymać od wykrzyczenia im tego prosto w twarz, zaproszą mnie na nieco ciekawsze przyjęcia z pokazami ręcznie robionej biżuterii? Tam alkohol leje się strumieniami, bo wszyscy chcą jak najwięcej sprzedać. Minusem jest to, że następnego dnia obudzę się ze świadomością, że wydałam sto pięćdziesiąt funtów na tandetę, której wcale nie chciałam.

Do tej pory byłam przekonana, że kiedy osiągnę czterdziestkę, będę elegancką i światową kobietą, która płynnie mówi po francusku, prowadzi lukratywny, a przy tym humanitarny biznes, jest odczytana i orientuje się w sztuce oraz polityce. Ujmując to w skrócie: będę jedną z tych osób, których ludzie szukają wzrokiem na przyjęciach dla przeintelektualizowanych bufonów, żeby dowiedzieć się, jak wygląda sytuacja na Bliskim Wschodzie. Prowadziłabym z nimi żywe i pełne cennych informacji dyskusje, podczas których oczywiście wychodziłoby na jaw, że jestem dużo mądrzejsza od nich wszystkich.

Niestety prawda jest taka, że jeśli ludzie szukają mnie wzrokiem na przyjęciach, to znaczy, że ktoś im doniósł, że mam fajki. I dalsza część prawdy o mnie: mam arcynudną pracę na część etatu w dziale IT, bo mogę ją połączyć z opieką nad dziećmi i przyszczędzić na opiekunce. Moja długa i kosztowna edukacja oczywiście ma się do tego nijak. Kiedy miałam dwadzieścia lat, w kryzysowych momentach marzyłam, żeby być starsza i bardziej dojrzała. Ale byłam głupia!

Z dzisiejszej perspektywy „dorosłość” jest dla mnie synonimem piekła. Nie chcę po cichu przeistoczyć się w jedną z tych kobiet, które noszą staranne fryzury, „poświęciły się dla dzieci”, a na placu zabaw przekrzykują się sprawozdaniami o osiągnięciach ich nieszczęsnych podrostków w ogólnorozwojowych zajęciach dodatkowych, rywalizują ze sobą w konkurencji, który z ich mężów ma lepszą posadę, i prześcigają w przechwałkach o egzotycznych wakacjach, z których właśnie wróciły.

Natomiast ja, ubrana w nieadekwatną do mojego wieku spódniczkę, chcę przesadzać z whisky w zadymionych klubach jazzowych i słuchać, jak niegrzeczni mężczyźni szepczą mi do ucha czułe słówka.

Chcę pokonać wiele szczebli interesującej kariery, dzięki której będę mogła wykorzystywać swój intelekt i poczucie humoru (jestem pewna, że wciąż jeszcze drzemie we mnie potencjał...).

Chcę czuć ekscytację, niebezpieczeństwo i romantyczną miłość.

Chcę uciec do Paryża i kochać się na poddaszu (oczywiście wyłączając z tego scenariusza to wszystko, co dotyczy biedy i głodowania).

Podaję, że Simon i dzieci mogliby doszukać się kilku skaz na tym misternym planie. Począwszy od tego, że nienawidzę jazzu.

Sobota, 12 września

W moje urodziny zamiast do zadymionego klubu jazzowego, na paryskie poddasze lub w tłum niegrzecznych mężczyzn, Simon zabrał mnie do tapas baru. Wypiłam trochę więcej, niż planowałam, ale przynajmniej zrealizowałam plan z minispódniczką i whisky. Niestety ta ostatnia była tylko jednym ze składników drinka, które podaje się w pozerskich hipsterskich barach. Obawiam się, że hipsterskie bary stały się współczesnym odpowiednikiem zadymionych klubów jazzowych, szczególnie że wprowadzono zakaz palenia.

Mam też nieco zamglone i niezbyt przyjemne wspomnienie, jak krzyczałam POZERSKA HIPSTERKA trochę głośniej, niż zamierzałam, kiedy Simon wyprowadzał mnie do mniej pretensjonalnego miejsca. Takiego, w którym napoje podają w zwykłych szklankach, a nie w słoikach po dżemie. W telefonie mam niezbity dowód na to, że właśnie tam skończyły nam się tematy do rozmów, bo zaczęłam robić selfie i zdjęcia swoich drinków. Oczywiście wszystkie wrzuciłam na Facebooka i okrasiałam niewiele mówiącymi opisami. W końcu wybiła 23:30 – pora, o której Simon musi wracać do domu się położyć, bo inaczej zamienia się w dynię,

jak karoca w bajce o Kopciuszku. Dobrze, że nie upadliśmy tak nisko, żeby wstawić na Instagram zdjęcia naszej kolacji.

Kiedy się obudziłam, czułam się zaskakująco dobrze. Byłam z siebie dumna, że zamiast mieszać drinki i barwić zęby czerwonym winem, wytrwałam przy mocniejszych alkoholach. Co to, to nie! Tym razem trzymałam fason. Popijałam drinki jak prawdziwa dama.

Niestety kiedy tylko podniosłam się z łóżka, musiałam schować dumę do kieszeni. Ból głowy rósł bezlitośnie i stało się jasne, że wcale nie byłam taka sprytna i nie uniknę kaca giganta. Czasami kac atakuje z opóźnieniem. Najpierw wydaje wam się, że czujecie się dobrze i przed wami dzień jak co dzień, ale wtedy dopada was tępy ból, jakbyście dostali po głowie od złowrogiego goryla i chcecie już tylko umrzeć. Czułam się, jakbym zjadła kupę borsuka.

Potem zaczęłam sobie przypominać. Po pozerskich drinkach z whisky przerzuciłam się na drinki z dżinem. Upiłam się na smutno i w drodze do domu płakałam rzewnymi łzami, próbując wymusić na taksówkarzu wyznanie, czy wyglądam, jakbym za rok miała skończyć czterdziestkę. Powiedział, że nie, ale podejrzewam, że kierował się nie tyle umiłowaniem prawdy, co strachem.

Kiedy zmawiałam modlitwy, żeby ból wreszcie minął, zadzwoniła Hannah z płaczem, że Dan od niej odchodzi. W sytuacji, kiedy dzwoni do ciebie najlepsza przyjaciółka i mówi, że jej dupkowaty mąż postanowił ją zostawić, nie bardzo możesz powiedzieć coś innego niż: „Chcesz, żebym przyjechała?” i „Nie ma problemu, przywieź dzieciaki”.

Hannah jest zdruzgotana i oczywiście jest mi z tego powodu bardzo przykro, ale jeśli mam być szczerą, nikt z nas nie był w stanie pojąć, co ona w nim widziała. Dan był największym nudziarzem na świecie, i jakby tego nie było dość, co jakiś czas wybuchła w nim budząca grozę potrzeba kontrolowania otoczenia. Rzecz jasna w takiej chwili nie mogę jej tego powiedzieć, bo nie wiadomo, czy facet nie zmieni zdania albo ona nie straci rozumu i nie pozwoli mi wrócić, ale moim zdaniem wyjdzie jej to na dobre. Nie poprosiłam jej też, żeby mówiła trochę ciszej, bo pęka mi głowa i mam nudności. Czy to znaczy, że jestem dobrą przyjaciółką?

Środa, 16 września

Dziś, w ramach postanowienia, że będę lepszą, miłszą i bardziej zaangażowaną matką, zamiast krzyczeć w bramie szkoły na dzieci o 08:59 („Biegiem, biegiem! Jesteśmy SPÓŹNIENI”), przyprowadziłam je na plac zabaw już o 08:50, gawędząc wesoło o tym, co będą dzisiaj robić, i że w nowym semestrze czekają je same dobre rzeczy.

Niestety, kiedy tylko radośnie pomachałam na pożegnanie moim słodkim aniołkom, przekłeta Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson razem z Sabatem Perfekcyjnych Mamusiek zasypały mnie pytaniami o wakacje. Takie pytania zawsze zadają z pewnego rodzaju współczuciem i chłodnym błyskiem w oku. Wcale ich nie obchodzi, czy miałam miłe wakacje. Chcą tylko pochwalić się, że same były w Toskanii albo na Barbadosie. A kiedy już upewnią się, że nie byłam

w ciekawszym miejscu niż one, zaczynają się rozplýwać nad urokami „skromnych, zwykłych wakacji”, chełpiąc się swoimi opaleniznami.

Oczywiście moje wakacje wcale nie były miłe. Gdybym chciała mieć miłe wakacje, pojechałabym w jakieś dekadencje miejsce, gdzie zaczytywałabym się książkami Jilly Cooper i Penny Vincenzi, sącząc drinki, które regularnie donosiliby mi zabójczo przystojni mężczyźni. Kierowanie do Simona pijackich próśb, żeby wyczarował drinki z dzinu marki Aldi i podejrzanego butelki tajemniczego likieru, który kupiliśmy na Malcie dwanaście lat temu i do tej pory baliśmy się otworzyć, przy jednoczesnych poszukiwaniach na Netfliksie czegoś, czego dzieci jeszcze nie oglądały (no, może z wyjątkiem *The Inbetweeners*, które okazało się nieodpowiednie dla dzieci. Dotarło to do mnie, kiedy Peter zapytał swoją nauczycielkę, jak to możliwe, że ktokolwiek zechciał zatrudnić ją w szkole, po czym nazwał ją frajerką, która tłucze się autobusami, bo nie stać jej na samochód), to zdecydowanie nie jest definicja miłych wakacji. Oczywiście nie zamierzam o tym informować Sabatu Pieprzonych Chodzących Ideałów.

Wspólnie odgrywałyśmy tę komedię:

- Spokojne wakacje w domu? - spytały, a kiedy odpowiedziałam twierdząco, wzdychały, że mają już dość samotnego ciągnięcia swych idealnych pociech po świecie tylko dlatego, że niania się zbuntowała i zażądała tygodniowego urlopu na wyjazd do domu rodzinnego.

Mogłam tylko uśmiechnąć się przez zaciśnięte zęby

i obiecać sobie, że po kolejnej protekcyjnej uwadze podzielę tę czy inną Pieprzoną Idealną Mamuszkę w łeb jej własną torebką marki Céline w kolorze kaczego jaja. Oczywiście nigdy w życiu bym czegoś takiego nie zrobiła. Przywalilibym jej swoją tandetną torebką Primarni, a śliczną torebką Céline w kolorze kaczego jaja wzięłabym w posiadanie, korzystając z momentu, w którym Pieprzona Idealna Mamuska będzie zbyt otumaniona ciosem, żeby to zauważyć.

Czy to naprawdę takie dziwne, że myślę o drinku, kiedy muszę wytrzymać z tym Sabatem Czarownic, do jasnej cholery? Dziwne może być tylko to, że nie piję jeszcze więcej. Na przykład dzisiaj chciałam być grzeczna, ale po spotkaniu z Sabatem i godzinie wysłuchiwania dowcipów Petera - trudno uwierzyć, ale najlepszy był ten: „Co wyjdzie ze skrzyżowania kozy z księżycem? MOONGOAT.COM^[2]”. Wszystkie pozostałe o wiele gorsze... - dotarłam do kresu wytrzymałości.

Dlatego gdy zobaczyłam w lodówce butelkę sauvignon blanc, w której został może jeden malutki kieliszek, uznałam, że nietaktem byłoby go tam zostawić, skoro może radośnie dołączyć do swoich kolegów z wczoraj. Okazało się, że ten kieliszek wcale nie był taki mały.

Piątek, 18 września

Wino to mój najlepszy przyjaciel. Jest też najlepszym przyjacielem Hannah, która poprosiła Dana, żeby zajął się dziećmi, i przyjechała do mnie. Wyłopałyśmy butelkę

różowego wina, pokrzykując od czasu do czasu, że „Dan to frajer”. Simon schował się przed nami, bo kiepsko sobie radzi z kobietami rozedrganymi emocjonalnie, szczególnie kiedy istnieje duże prawdopodobieństwo, że za chwilę wybuchną płaczem, a on zostanie zmuszony do rozmawiania o uczuciach. Swoją drogą, rozmowa o uczuciach według Simona polega na poklepywaniu rozmówcy po plecach, mamrotaniu „Już dobrze” i gorączkowym szukaniu najbliższej drogi ucieczki.

Udało nam się go dopaść, kiedy próbował przemknąć niezauważony do kuchni po kolejne piwo. Pewnie liczył na to, że jesteśmy zbyt zajęte śpiewaniem piosenek Glorii Gaynor, żeby to zauważyć. Uparliśmy się, że go nie wypuścimy, dopóki nie przyzna, że Dan to kompletny dupek. Na szczęście, Simon nigdy go nie lubił, kilka razy powiedział mi nawet, że wygląda jak goblin (co wcale tak bardzo nie odbiegało od prawdy), więc przynajmniej nie zaczął przynudzać, że „nie będę stawał po czyjejs stronie”.

Zresztą nie ulegało wątpliwości, że wybierze Hannah. W końcu to moja najlepsza przyjaciółka, a on jest moim mężem, więc wiadomo, że musi stanąć po tej stronie, po której mu powiem. Ja zrobiłabym przecież to samo, gdyby któryś z przyjaciół Simona postanowił się rozwieść i w związku z tym oświadczył publicznie, że jego żona to bezwstydną ładacznica. O ile tylko nie byłby to jeden z dupkowatych przyjaciół mojego męża.

Obawiam się, że jutro wino nie będzie już takie przyjacielskie.

Poniedziałek, 21 września

Dziś rano na placu zabaw było bardzo interesująco. Pojawił się tam MEŹCZYŻNA! Widywałam już mężczyzn na placu – umówmy się, to jednak nie są przedmieścia rodem z *Żon ze Stepford* – ale większość z nich przybiera postać Bardzo Ważnych i Bardzo Zajętych Biznesmenów w Garniturach, którzy wpadają na plac jak huragan, po czym tak samo szybko znikają, ciągnąc za sobą swoje pociechy i głośno rozmawiając przez telefony komórkowe, żeby nie pozostawić wątpliwości, że są Bardzo Zajęci i Bardzo Ważni, i trafili tutaj tylko dlatego, że niania okazała się na tyle bezduszna, że dostała zapalenia wyrostka robaczkowego. Są też Tatusiowie Kury Domowe – ci bywają uroczy, ale porządny prysznic na pewno by im nie zaszkodził, nie mówiąc już o tym, że większość z nich wygląda, jakby była kompletnie zagubiona i na granicy płaczu. Jest też dużo innych, sympatycznych, normalnych mężczyzn, którzy czasami odbierają dzieci z placu zabaw, ale przeważnie wtapiają się w tło, nie mieszcząc się w żadnej z powyższych kategorii.

A mężczyzna, który przyszedł dzisiaj... był seksowny! Widziałam raz na placu seksownego mężczyznę, ale miał dwadzieścia trzy lata, był Francuzem i chłopakiem ślicznej niani au pair^[3]. Wszystkie czułyśmy się jak bohaterki skeczy Harry'ego Enfielda o napalonych starszych paniach, kiedy patrząc na seksownego Francuza, szeptałyśmy między sobą:

– Młody człowiek! Ten młody człowiek... – i lubieżnie chichotałyśmy.

Pewnie dlatego nigdy więcej nie pojawił się na placu...

Ten nowy mężczyzna był seksowny, ale w odpowiednim dla nas wieku. Miał poczochrane włosy, trzydniowy zarost i kurtkę skórzaną. Fajną, nie taką, która z daleka krzyczy: „Kryzys wieku średniego!”. Właściwie to wyglądał dokładnie tak, jak wyobrażałam sobie mężczyznę, który będzie szeptał mi do ucha niemoralne propozycje w zadymionych klubach jazzowych. I miał naprawdę niezły tyłeczek!

Wstyd mi, że jako poważana trzydziestodwuletnia zamężna matka dwójki pociech podziwiałam tyłeczek obcego faceta na placu zabaw, bo otaczała mnie przecież gromadka niewinnych, podatnych na wpływy dzieci. Ale chrzanić to, naprawdę było na co popatrzeć. Simon może się upierać, że wcale nie zapuszcza żurawia na tyłeczki opiekunek au pair, kiedy nachylają się po swoich wychowanków, ale dobrze wiem, że kłamie. Nie sposób nie zwrócić na nie uwagi. Mamuśki na placu zabaw spędzają dużo czasu, dyskutując o tym, czy kiedykolwiek w życiu miały takie tyłeczki. Po namyśle zawsze stwierdzamy, że raczej nie, bo jako Brytyjki spędziłyśmy młodość na picciu cydru i obżeraniu się chipsami, w przeciwieństwie do mieszkańców kontynentu, którzy jedzą sałatki i jeżdżą na rowerach.

Wracając do tyłeczka, nawet Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson miała motyle w brzuchu (swoją drogą, jak będzie się tak podniecać w ciasnych legginsach do jogi, to jeszcze sobie coś odparzy). Ptaszki zdążyły już zaćwierkać, więc ledwo dysząc, zdołała nam powiedzieć, że obiekt naszych westchnień nazywa się Sam (a jakżeby inaczej? Właściciel takiego tyłeczka mógł mieć tylko takie

konkretne, nie-mam-czasu-na-bzdety, męskie imię, jak Sam. Przecież nie mógł nazywać się Norman). Jest samotnym ojcem, którego bezduszna żona zostawiła z dziećmi i odeszła do innego. (Swoją drogą ciekawe, jaki jego rywal musi mieć tyłeczek? A niech mnie!). Pracuje w IT (serio? Nie wygląda. Ale to znaczy, że... łączy nas wspólny temat!) i ma dwójkę dzieci - chłopca w klasie Petera i dziewczynkę w klasie Jane (czyli kolejny wspólny temat!).

Czy byłabym złym człowiekiem, gdybym zaczęła namawiać dzieci, żeby zaprzyjaźniły się z jego dziećmi tylko po to, żebym mogła lepiej przyjrzeć się jego pośladowkom? Oczywiście, że tak, ale widziałam, że wszystkie matki, których pociechy były w tych samych klasach, myślały dokładnie o tym samym.

Moje kochane maleństwa okazały się fatalnym źródłem informacji na temat nowych kolegów i koleżanek z klasy. Jane po dłuższym namyśle przypomniało się, że dziewczynka ma na imię Sophie i jest „miła”. Peter miał pustkę w oczach, kiedy zapytałam o nowego chłopca. W końcu zapytał:

- Mówisz o Elliotcie? Tym, który ma najtrudniejszy do zdobycia zestaw Moshi Monsters?

Elliott odszedł w poprzednim semestrze. Czasami jest mi żal własnych dzieci.

Oczywiście to, że zaczęłam układać włosy i nakładać delikatny makijaż przed wyjściem do szkoły, jest tylko i wyłącznie wynikiem mojego postanowienia, żeby bardziej się starać i być mniejszym flejtuchem. Fakt, że dzieje się to, kiedy Sam i jego tyłeczek pojawili się na placu zabaw, to

czysty przypadek. Nic więcej.

Wtorek, 22 września

Dzisiaj o 08:30 rano Jane przypomniała mi, że ma wycieczkę szkolną. Wprowadziło mnie to w stan pełnej gotowości. Próbowałam sobie przypomnieć, czy podpisałam zgodę na jej wyjazd i przekazałam szkole olbrzymią sumę pieniędzy, żeby dzieci mogły później wejść gdzieś tam za darmo.

Przy okazji dowiedziałam się też, że wynajem autokaru to strasznie droga sprawa. Może powinnam się przebranżowić, kupić autokar i sama go wynajmować? Edie McCredie w serialu *Balamory* sprawiała wrażenie, jakby czerpała dużo radości ze swojej pracy. Czy ona kierowała autobusem? Może prowadziła taksówkę? Powstrzymałam się przed otwarciem wyszukiwarki, żeby to sprawdzić. Te dni już dawno minęły. Nie czuję już wewnętrznej potrzeby oglądania chirurgicznie poprawianego uśmiechu Miss Hoolie^[4], sprawdzania, dlaczego wynalazca Archie zbierał pudełka po jogurtach ani czy Josie Jump naprawdę zrobiła sobie cycki. Cholerka, sprawdziłam. Faktycznie kierowała autobusem. Zalewa mnie poczucie winy.

O 08:40 Jane mimochodem spytała, czy cieszę się, że jadę z nią... GRRR! Czyżbym postawiła ptaszek w polu „Chciał(a)bym pomóc”? Wszystko na to wskazuje, tylko nie rozumiem, co mnie do tego popchnęło. Widocznie musiałam być na coś wściekła, kiedy wypełniałam formularz. Bo z jakiego innego powodu miałabym zaoferować pomoc

w wycieczce w „dzień wolny”, czytaj: „dzień, w którym próbuję doprowadzić dom do względnego ładu”, przy czym Simonowi wydaje się, że to mój „dzień na popijanie kawki”. Co gorsza, nie dość, że przypadkiem postawiłam ptaszek, to jeszcze zapomniałam przejrzeć zeszyty dzieci, przez co przegapiłam notatkę od uroczej nauczycielki, w której wezwała mnie do pomocy w nadzorowaniu naszych aniołków. To zajęcie można porównać jedynie do łapania dzikich kotów.

Dziesięć minut. Tylko tyle mi zostało. Dziesięć króciutkich minut na to, żeby doprowadzić się do stanu, w którym wyglądam jak człowiek. Poważnie i może troszkę seksownie, na wypadek gdyby tyłeczek Sama też jechał na wycieczkę. NIE! Nie. Tak nie można! Wcale nie muszę wyglądać seksownie, niezależnie od tego, czy Tyłeczek jedzie z nami.

Wystarczy, że umyję zęby, okiełznam gumką do włosów swoją szopę i wklepię trochę korektora, żeby zatuszować katastrofę, którą miałam na twarzy. Kiedy dotarłam na plac zabaw, byłam nawet zadowolona, że nie miałam czasu na wielką metamorfozę w promienną boginię seksu, bo pod szkołą zastałam kłębowisko błyszczaków do ust, trzepoczących rzęs i lekko przyciasnych sweterków, co oznaczało, że inne mamy miały tak samo nieczyste myśli na temat tyłeczka Sama co ja. Wokół nie było jednak ani śladu świętych pośladków. Dzieci Sama przywiozła dzisiaj jego opiekunka (swoją drogą, równie odpicowana)!

Wycieczka była wstrętna, co w sumie specjalnie mnie nie dziwi. Nie miałam jednak pojęcia, że autobus pełen dzieci

może wygenerować tyle zapaszku. Czym ich karmią? Trzydzieścioro dzieci w zamkniętej przestrzeni prukało bez przerwy od wejścia do autobusu aż do chwili, gdy podjechaliśmy pod bardzo duże muzeum pełne bezcennych artefaktów, z których młodzi ludzie będą czerpać wiedzę, podczas gdy ich rodzice zajmą się pilnowaniem, żeby niczego nie ukradły ani nie zepsuły. Kiedy wysiadaliśmy z autobusu, oczy mi łzawiły, a płuca piekły. Byłam autentycznie przekonana, że któreś z nich narobiło w gacie. Odór był nie do wytrzymania.

Nauczyciele powinni dostawać maski gazowe, jeśli spędzają całe dni w takim smrodzie. Kiedy wspomniałam o bąkach uroczej nauczycielce, zaśmiała się i radośnie skwitowała problem:

- Można się przyzwyczaić.

Nigdy w to nie uwierzę. W zeszłym roku Peter wrócił do domu i pękając z dumy, oświadczył, że jego nauczycielka dostała mdłości, gdy puścił bezlitosnego bąka. Peter zawsze był trochę obrzydliwy. Pewną nieszczęsną dziewczynkę musieli przesadzić, kiedy odkryła, że Peter specjalnie puszcza bąki i po każdym wybuchu triumfalnym śmiechem. To było dla niej za dużo. Mogłoby się wydawać, że skoro mieszkam z Peterem i śmierdzącym zafajdanym psem, jestem uodporniona na ten zapach, ale tak nie jest. Ta nauczycielka chyba bierze narkotyki. To by wiele wyjaśniało.

Tak czy inaczej, wycieczka była okropna. Klasa wpadła w szal, między innymi Freddie Dawkins wysmarował jedną z gablot smarkami. Szczęście w nieszczęściu: ostatnio

wszystkich podejrzewa się o pedofilię, więc nie musiałam zabierać go do łazienki.

Dzieci miały się uczyć o starożytnym Egipcie. Podejrzewam, że jedyne, czego się nauczyły, to jak przepuścić całe kieszonkowe na tandetę w muzealnym sklepiu. Jane chyba liczyła na to, że oddam jej całą gotówkę, jaką miałam w portfelu, żeby mogła kupić najbardziej badziewne rzeczy w całym sklepie, i obraziła się na mnie, kiedy powiedziałam, że nie dostanie parasolki z baleriną za trzydzieści pięć funtów. Nie przypuszczałam, że można tyle wydać na parasolkę.

35 £!

Z drugiej strony ja kupuję parasolki za grosze i albo się rozwalają, albo je gubię po trzech wyjściach, więc możliwe, że w sumie wydawałam na nie tyle samo. Może potrzebowałam po prostu „ekstrawaganckiej” parasolki? A może powinnam kupić Jane parasolkę za trzydzieści pięć funtów, bo bez niej nie wyrośnie na szanowaną i dobrze funkcjonującą w społeczeństwie obywatelkę, która nawet zbliżając się do czterdziestki, będzie robiła plany na czas, „kiedy dorośnie”. Jasny gwint, znowu zawałam w obowiązkach rodzicielskich!

Skoro już jestem tak prawa i cnotliwa, że pomagam przy szkolnych wycieczkach i nie maluję się jak harpia, która pragnie uwieść mężczyznę z ładnym tyłeczkiem, zasłużyłam chyba na środowe wino. Szkoda tylko, że muszę jutro iść do nudnej pracy, bo okazało się, że autokary są potwornie drogie, no i trzeba jeszcze zdać dodatkowe egzaminy, żeby

móc je prowadzić. Ledwo zdałam egzamin, prowadząc malutki samochód – chodziłam do tego samego egzaminatora tyle razy, że w końcu mnie przepuścił, bo ludzie zaczęli plotkować na nasz temat – więc nie było szansy, żebym zdała prawo jazdy na autokar.

Piątek, 25 września

Oddychaj. Oddychaj. Oddychaj. Dzisiaj zwolniłam się wcześniej z pracy, bo miałam umówioną wizytę u dentysty. Nie opłacało mi się wracać do pracy na pół godziny, więc w oczekiwaniu na koniec lekcji wzięłam psa na spacer do parku. I kogóż spotkałam na swojej drodze, kiedy przeganiałam wokół stawu naszego przekłętego bulteriera, krzycząc, żeby się uspokoił i przestał polować na kaczki? Boskiego Sama i jego tyłeczek! Sam wyprowadzał swojego, muszę przyznać, całkiem uroczego staffordshire bull teriera. I chociaż mój bulterier zrobił ze mnie pośmiewisko, jak zwykle zachowując się skandalicznie, w pewnym momencie podbiegł do Sama i zaczął się na niego wspinać, mimo moich zupełnie nieefektywnych wrzasków, żeby przestał. I miało to swoje plusy, bo mogłam nawiązać rozmowę, nie wychodząc na smutną i zdesperowaną (bo przecież wiadomo, że w oczach mężczyzn kobieta będąca właścicielką rozwydrzonego bulteriera wypada o wiele lepiej). Porozmawialiśmy o psach, które poniekąd przysły nam z pomocą, a potem Sam powiedział, że widział mnie w szkole (ach!) i zapytał, czy nasze dzieci nie chodzą przypadkiem do tej samej klasy.

Zauważył mnie! Sam! Zauważył! Mnie!

Później powiedział (ku memu lekkiemu rozczarowaniu, bo okazało się, że to wszystko sprawka Sophie, która powiedziała, że jestem mamą Jane, a nie efekt magicznej chwili, podczas której Sam oniemiał z wrażenia, gdy tylko ujrzał mnie wczoraj na placu zabaw, jak zadawałam szyku niczym gwiazda rocka w podartych rajstopach i zmierzwionej deszczem fryzurze), że Sophie polubiła Jane i chciałyby się z nią pobawić po szkole. To może dziś po południu? Niech Peter też przyjdzie, to pobawi się z jego synem, Tobym.

Przez moment zastanawiałam się, co powiedzieć, żeby mnie też zaprosił, oczywiście tylko po to, żebym mogła powęszyć po jego domu i upewnić się, czy faktycznie jest tak idealny i boski, jak mi się wydaje, a potem niby niechcący wspomnieć o tym w rozmowie z Sabatem Idealnych Mam, które świergoczą wokół niego jak słowiki na hormonach, chociaż, o ile wiem, nie dostały jeszcze zaproszenia ani dla siebie, ani dla swoich dzieci.

I w trakcie tej mojej zadumy Sam dodał:

- Wiem, że możesz mieć opory przed zostawieniem dzieci u obcego człowieka, i doskonale to rozumiem. Dlatego najlepiej będzie, jeśli też przyjdiesz.

Ha! Mogę przyjść z dziećmi! W dodatku drugi raz udało mi się uniknąć logo desperatki, chociaż drugą stroną tego medalu mogło być to, że Sam pomyślał, iż biorę go za pedofila, handlarza dziećmi albo kryminalistę. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

Dom Sama okazał się zupełnie inny, niż oczekiwałam.

Myślałam, że mieszka w nowoczesnej i przepięknej gadżetami szklanej bryle z drogimi niewygodnymi meblami rodem z XXI wieku. Można się na nie napatrzeć na przykład w *Wielkich Projektach*. To wielkie marzenie Simona, łącznie z krzesłami od Miesa van der Rohego, na które ani nas nie stać, ani nie możemy sobie pozwolić, bo bulterier przeżułyby je i wypluł, a dzieci skakałyby po nich, aż piękne mebelki by się połamały.

W rzeczywistości dom Sama o wiele bardziej wpasowywał się w moją wizję. Miękkie kanapy, piękne i starannie odnowione francuskie meble, a także trochę gustownych szpargałów (w przeciwieństwie do szpargałowatych szpargałów, które zagracają mój dom). Niezbyt taktownie powiedziałam o tym Samowi, ale odpowiedział mi bardzo miło. Brak szpargałowatych szpargałów zawdzięczał temu, że dopiero się wprowadził, a połowa mebli i drobiazgów uzupełniających wystrój została u Robyn, jego partnerki, z którą się rozstał. Robyn jest projektantką wnętrz, stąd te ładne rzeczy.

Desperacko próbowałam dowiedzieć się czegoś więcej na temat wiarołomnej Robyn, między innymi byłam ciekawa, dlaczego zostawiła takiego faceta jak Sam, który, gdy usiłowałam ciągnąć go za język, zebrał u mnie dodatkowe punkty za ciasteczka Mint Club (są to, jak powszechnie wiadomo, królowie w świecie ciastek). Niestety szybko zmienił temat i skończyliśmy na rozmowach o zajęciach pozaszkolnych dla dzieci dostępnych w tej okolicy, które oczywiście są pożyteczne, ale niewarte olbrzymich sum, jakie

trzeba w nie wpakować. Była to raczej nijaka, chociaż bezpieczna rozmowa, więc przynajmniej miałam pewność, że nie będę mieć żadnej sposobności, żeby niechcący wtrącić: „Czy miałbyś coś przeciwko, gdybym cię polizała? Przepraszam, ale jesteś zbyt seksowny”.

Wtedy do pokoju wparowały Sophie i Jane, drąc się w niebogłosy, bo Toby i Peter przerwali im zabawę w metamorfozy, żeby zaatakować je wyrzutniami Nerf. Przyznaję, że nie było to z ich strony nawet takie głupie, biorąc pod uwagę, ile makijażu i brokatu dziewczyny już na sobie nałożyły, a były dopiero w połowie drogi. Po długich krzykach i przepychankach porwałam nieletnią imitację striptizerki i małego Rambo do domu, z cichą nadzieją, że mimo wszystko Sam zapamięta nas jako miłą, normalną rodzinę, z którą on i jego dzieci chętnie się zaprzyjaźnią.

W domu wreszcie mogłam zacząć swój ulubiony dzień, czyli Olać-to-Piątek! Zarzuciłam i tak skazaną na porażkę walkę ze szkorbutem, i zamiast brokułów wyciągnęłam z zamrażalnika pizzę. Mogłam porzucić wszelkie roszczenia dotyczące ograniczenia czasu spędzanego przed telewizorem, podłączyć dzieci pod elektroniczne opiekunki, a sama zalać się w trupa kiepskim winem i podglądać byłych chłopaków na Facebooku. Simon jak zwykle zasnął na kanapie podczas oglądania pieprzonych *Fanów Czterech Kółek* i chrapał jak wygłodniały mops nurkujący w kadzi owsianki, ale gdybym spróbowała zabrać mu pilota, na pewno krzyknąłby: „Oglądam to!”. Zresztą to i tak bez znaczenia, bo nawet gdybym dorwała się do pilota, to i tak

niewiele bym zdziałała. Simon jest cholernym gadżetowym nerdem i z oglądania telewizji uczynił zadanie, które przerasta moje zdolności percepcyjne. Zamontował różne pudełka i urządzenia „do transmisji danych”. Każde z nich ma własnego pilota i działają dopiero po wybraniu odpowiedniego kanału. Ponieważ nigdy nie pamiętam, który pilot jest od czego, bezmyślnie wciskam wszystkie przyciski po kolei, dopóki któreś z dzieci się nade mną nie zlituje i mi nie pomoże.

Pies patrzył na mnie wzrokiem pełnym politowania. Boję się, że w jakiś sposób wyczuł, że mam kosmate myśli na temat Sama, i oceniał mnie za to, że użyłam go jako przynęty do nawiązania rozmowy.

Sobota, 26 września

Simon spędził całe popołudnie w szopie, podczas gdy ja malowałam kredens, usiłując odtworzyć ekscentryczny, odrapany szyk, który podpatrzyłam w domu Sama. Dzieci też próbowały zrobić coś kreatywnego. W tym celu użyły czegoś, co kiedyś było klejem z brokatem, ale dawno już zaschło. Chciałam przywrócić klej do życia za pomocą letniej wody i PVA, ale substancja, którą ostatecznie wysmarowały sobie i stół, bardziej przypominała spermę jednoroźca.

Simon był wściekły, kiedy pokazałam mu „odrestaurowany” kredens. Okazało się, że należał do jego babci i był częścią rodzinnego dziedzictwa. Bezduśnie stwierdził, że teraz jest po prostu odrapany, a do szyku mu daleko. Poniekąd go rozumiem, bo faktycznie dałam się

trochę ponieść w procesie „postarzania”.

W związku z absolutnym brakiem poszanowania dla mojej artystycznej renowacji, porzuciłam ostatnie wątpliwości dotyczące zostawienia Simona samego w domu i wybrałam się na drinka z Hannah. Kiedy zeszłam na dół w wyjściowych ciuchach, uczesana i umalowana szminką, a do tego jeszcze mascarą, mój mąż wyglądał na zaskoczonego. Do tego stopnia, że powiedział nawet:

- Ładnie wyglądasz. To dla mnie?

Mówiłam mu co najmniej dziewięć razy, że dzisiaj zostaje z dziećmi (w którą to atrakcję wliczyłam także zmywanie spermy jednorozca z ich włosów), bo ja muszę dotrzymać towarzystwa Hannah, żeby nie siedziała sama w pustym domu po tym, jak zawiezie dzieci do Dana.

Możliwe, że trochę za bardzo na niego naskoczyłam, bo posmutniał, kiedy dowiedział się, że to nie dla niego, więc spytałam jeszcze:

- Naprawdę ci się podobam?

Ale on odparł tylko:

- Tak, wyglądasz fajnie.

Tak. To jest dokładnie to, co każda kobieta pragnie usłyszeć. Dupek.

Moja biedna Hannah wpadła w otchłań rozpacz, bo okazało się, że Dan migdali się z jakąś dwudziestokilkuletnią siksą, którą poznał na siłowni. W dodatku kiedy Hannah spytała, czy właśnie dla niej ją rzucił, to, co usłyszała w odpowiedzi, było całkowicie pozbawione skrpułów. Dan to zwykły kutas. Dobrze, że Simon spędza czas wolny

w szopie. Tam przynajmniej nie ma żadnych dwudziestolatek.

Może powinnam spróbować wyswatać Hannah z Samem, kiedy już jej trochę przejdzie? Byłoby miło i altruistycznie pomóc im znów się zakochać. Może w ten sposób odpokutowałabym też fakt, że jestem nim bezwstydnie zauroczona. Może gdyby był zajęty, przestałby mi się podobać? Poza tym Dan by się wściekł, gdyby zobaczył Hannah z kimś tak boskim jak Sam. Przecież jego dwudziestokilkuletnia trzpiotka z siłowni jest niczym w porównaniu z Panem Tyłeczkiem.

Po całym wieczorze wysłuchiwania nad butelką sauvignon blanc o tym, że Dan jest dupkiem, poczułam nawet odrobinę sympatii do Simona. Chciałam mu o tym powiedzieć po powrocie do domu, tyle że zastałam go nieprzytomnego na kanapie przed cholernymi wyścigami motocyklowymi. Jak on może spać przy czymś takim? Chrapał w swoim najstarszym i najobrzydliwszym polarze, nie obudził się nawet wtedy, kiedy przywalałam mu w głowę poduszką. Zostałam go tam i poszłam spać.

Kiedy Simon tak się zestarzał? Niegdyś przesiadywaliśmy do późna, gadając i słuchając muzyki. Nie rozmawialiśmy o niczym konkretnym - nie mogę powiedzieć, żebyśmy zadziwiali innych radykalnymi poglądami na sztukę czy politykę. Prawdę mówiąc, nie pamiętam nawet, o czym rozmawialiśmy, ale o czymś na pewno. Kiedy go poznałam, był połączeniem gota i fana new romantic. Nosił obszerny czarny płaszcz ze sklepu z odzieżą używaną i nałogowo palił czerwone marlboro, co wydawało mi się bardzo cool. Może

on też czasem na mnie patrzy i zastanawia się, gdzie się podziała dawna ja? Wciąż pamiętam, co miałam na sobie, kiedy go poznałam: bardzo krótką czarną spódniczkę, martensy, sweter ukradziony któremuś z byłych chłopaków i za dużą tweedową marynarkę, którą zwędziłam kiedyś tacie. Co tydzień wydzwaniał do mnie, żebym mu ją oddała, ale oczywiście nie mogłam tego zrobić, bo od czasu kradzieży przesiąkła zapachem papierosów i haszu. Patrząc na to z perspektywy czasu, mój image był dosyć szalony, ale wtedy bardzo się sobie podobałam.

Studiowaliśmy na jednej uczelni w Edynburgu i często widywałam Simona na kampusie, ale nigdy z nim nie rozmawiałam, bo był starszy (studiował na roku wyżej), a poza tym należał do fajnej artystycznej paczki, a ja, cóż, nie byłam ani fajna, ani specjalnie artystyczna, pomimo usilnych starań, żeby być i jednym, i drugim. Którejś nocy pod koniec drugiego roku podszedł do mnie i poprosił o ogień, a działo się to w pubie Pear Tree. Później mi się przyznał, że wykorzystał to jako pretekst, żeby ze mną porozmawiać, co o dziwo było chyba najbardziej schlebiającym wydarzeniem, jakie kiedykolwiek mi się przytrafiło.

A teraz mamy dwójkę dzieci, kredyt, na który nas nie stać, prace, za którymi nie przepadamy i zrujnowany kredens. Mimo że bardzo na to liczyłam, niestety nie wygląda ani odrobinę lepiej po tym, jak farba wyschła. Wygląda jak wyciągnięty ze śmietnika, a szkoda, bo mój kolejny plan, żeby się przebranżowić i zostać architektką wewnątrz właśnie upadł. Poza tym Steve Wright zagrał niedawno *Disco 2000*

w audycji ze złotymi przebojami. *Disco 2000!* Przecież to nie jest złoty przebój! To najlepsza piosenka na świecie i jestem pewna, że puszczała ją w radiu nie dalej niż rok temu. Jak to może być, do cholery, złoty przebój? Chrzanić to wszystko! Jestem stara!

PAŹDZIERNIK

Niedziela, 4 października

Simon ciągle suszy mi głowę o ten przeklęty kredens.

- Co w ciebie wstąpiło, Ellen? Co zamierzasz z nim teraz zrobić, Ellen? Czy wiesz, Ellen, jak długo ten kredens był w mojej rodzinie? Ellen, i co moja matka powie, kiedy go zobaczy?

W końcu straciłam cierpliwość do tej jęczyduszy.

- To tylko kredens! Sterta drewna! To przecież nie koniec świata! On nawet nie jest nic wart! - ryknęłam.

Simon zrobił smutną zranioną minę i pociągając nosem, odparł:

- Dla mnie miał olbrzymią wartość sentymentalną, a ty go sobie ot tak, zniszczyłaś bez żadnej konsultacji ze mną. Więc mam prawo się złościć, czy tak? A może nie?

- Cóż, kochanie, gdybyś nie spędził całego weekendu w tej swojej przeklętej szopie, unikając jakiegokolwiek kontaktu ze mną i swoimi dziećmi, jakbyś miał tam coś naprawdę ważnego do roboty, może przytrafiłaby ci się okazja, żeby to ze mną przedyskutować. A może nie? - warknęłam.

- Strasznie mi przykro, kochanie, ale uważam, że mam prawo do chwili dla siebie w weekend. Wyobraź sobie, że niektórzy w tym domu pracują na pełen etat. Niektórzy nie kończą pracy w porze lunchu, nie biorą dni wolnych

w środku tygodnia i choć trudno ci w to uwierzyć, pod koniec tygodnia są po prostu kurewsko zmęczeni – odciął się Simon.

– Ja nie kończę w porze lunchu. Kończę w ostatniej chwili, żeby pędzić na łeb na szyję do szkoły po dzieci, KOCHANIE! A resztę wieczoru spędzam na wożeniu dzieci na zajęcia, robieniu obiadu, wstawianiu prania, nadzorowaniu kąpieli, odrabianiu prac domowych i kładzeniu dzieci do łóżka, bo przecież NIEKTÓRZY są kurewsko zmęczeni po pracy i nie są w stanie robić nic innego poza ślęczeniem przed telewizorem z butelką piwa. Moje tak zwane dni wolne spędzam na próbach zaprowadzenia jakiegokolwiek ładu w tej norze, którą nazywamy domem, a weekendy mijają mi na sprzątaniu, praniu, prasowaniu i zabawianiu dzieci NIEKTÓRYCH. Jakbyś nie wiedział, KOCHANIE! – ryknęłam.

Moje argumenty były słuszne, tyle że byłam już tak wściekła, że mój głos przerodził się w pisk i chyba tylko delfiny zrozumiały, dlaczego Simon był samolubnym dupkiem.

– Och, na miłość boską, Ellen. Dlaczego we wszystkim musisz ze mną rywalizować? Zniszczyłaś kredens mojej matki, ale to ty jesteś pokrzywdzona – jęknął Simon.

– To nie jest rywalizacja. Chciałam tylko, żebyś wiedział, jak spędzam swój tak zwany wolny czas. A teraz, jeśli pozwolisz, zamierzam spędzić trochę więcej wolnego czasu, zabierając twoje dzieci w gości.

– Jedziemy do Sophie i Toby’ego – wtrącił Pete.

– Sophie i Toby nie mają mamusi. Mieszkają ze swoim tatusiem, Samem. Mama Lucy Atkinson mówi, że Sam to

niezłe ciacho - dodała Jane pomocnie.

- Kim jest ten Sam? - chłodno spytał Simon.

- To nowy tata w naszej szkole. Samotny - oświadczyłam.

- I naprawdę jest niezłym ciachem?

- Prawdę mówiąc, nie zwracałam na to uwagi - skłamałam bezczelnie, modląc się, żebym nie spłonęła rumieńcem.

U Sama było uroczo. Jego dom jest prześliczny. Kilka razy przyłapałam się na tym, że zastanawiam się, jak by to było pić razem kawę przy kuchennym stole w kolorze kaczego jaja i podziwiać Sama siedzącego naprzeciwko mnie w samym szlafroku. Nie, nie w szlafroku! Szlafroki nie są seksowne. Może w spodenkach od piżamy Calvina Kleina i ładnym obcisłym T-shircie. Miałby dwudniowy zarost i... PRZESTAŃ, ELLEN! NATYCHMIAST PRZESTAŃ!

Sobota, 10 października

Po południu zabrałam dzieci do parku. Z nieznanym mi powodów park nigdy nie jest tak radosny i beztroski, jak powinien. Pierwszą czyhającą tam na mnie atrakcją było sprawdzanie, czy na ziemi nie walają się zbite butelki i zużyte prezerwatywy, porzucone noc wcześniej przez znudzonych nastolatków (w sumie to dobrze, że się zabezpieczają nawet po obaleniu butelki taniej wódki, ale tłumaczenie dzieciom, dlaczego nie powinny dotykać takich baloników, nie należy do moich ulubionych zajęć, szczególnie na kacu). Chwilę później musiałam stawić czoło Sabatowi Cholernych Perfekcyjnych Mamusiek, które rozdawały swoim latoroślom o pąsowych bużkach zdrowe,

przygotowane w domu batoniki z daktyli i granoli. Ja oczywiście nie miałam żadnych przekąsek, bo liczyłam na to, że skoro dzieci są już w wieku szkolnym, wytrzymają chociaż godzinę bez futrowania. Ponieważ byłam jedyną mamuszką, która nie przyniosła nic do jedzenia, najwyraźniej byłam w błędzie. Okazało się, że dzieci trzeba karmić bez ustanku jak piszczące pisklaki - niemile widziane jest tylko pozwalanie im na jedzenie dżdżownic, czego nauczyłam się, kiedy Peter miał trzy lata.

Przetrzepywałam kieszenie w poszukiwaniu pożywienia i byłam właśnie na etapie badania pokrytego kurzem obiektu, który kiedyś mógł być żelką, kiedy do parku wszedł Sam, który ewidentnie też nie zabrał ze sobą jedzenia na najbliższy miesiąc. Co więcej, podszedł prosto do mnie i usiadł obok, mimo że Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson (wspomagana przez swoją świętę oczywiście) gruchała do niego „Dzień dobry” i próbowała przekupić jego dzieci, wciskając im ciasto z cukinii („Nie martw się, nie zawiera cukru. Wszystkie wypieki słodzę sokiem jabłkowym”). Możliwe, że Sam podszedł akurat do mnie, bo kiedy tylko przyszłam, zaanektowałam jedyną ławkę schowaną przed zachodnim wiatrem, który nagminnie powoduje hipotermię u rodziców, podczas gdy ich pociechy zrzucają z siebie drogie kurtki i biegają w tę i z powrotem, nie zważając na przeszywający chłód.

- Nic już z tego nie rozumiem - powiedział. - Dlaczego te dzieci cały czas jedzą? Nie karmią ich w domu? I CO one właściwie jedzą? Tobie właśnie powiedział tej blondynce, że

nie lubi zielonych ciast. Nie dziwię mu się.

- Jeszcze nigdy nie zetknąłeś się z Mamusiostwem Wyczynowym? - spytałam. - Może ciebie w to nie wciągają, bo są zajęte ocenianiem twojego... hmm... talentu rodzicielskiego. - Niewiele brakowało, bym powiedziała: tyłeczka! - Przyjrzyj się im uważnie. Chodzi im o to, żeby zademonstrować, jak przykładne i zdrowe są ich dzieci. Robią to przy pomocy najobrzydliwszych z możliwych przekąsek. Dodatkowe punkty dostaje się za czas potrzebny na ich przygotowanie. Idealnie byłoby dodać przynajmniej namaczane przez noc w mleku kokosowym nasiona chia. Im dziwniejsze i bardziej szokujące dodatki, tym lepiej. Czasami same pod sobą dołki kopią, co jest dosyć zabawne. W zeszłym tygodniu Emilia Fortescue zwymiotowała na francuskie baletki swojej mamy po tym, jak najadła się muffinek z nasionami konopi i spiruliną. Kiedy pora na przekąski się skończy, zaczną wydawać dzieciom polecenia, żeby zademonstrowały swoje umiejętności gimnastyczne na drabinkach albo architektoniczne w piaskownicy. Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson lubiła wydawać komendy po francusku, ale w zeszłym tygodniu została zmieciona przez konkurentkę, mamę Tabithy MacKenzie, która zrobiła to w języku mandaryńskim. Gdybyś tylko widział jej minę...

Ku mojemu zdziwieniu Sam śmiał się z tego, co mówię. A przecież wcale nie byłam zabawna. Mocno zde gustowana właśnie wygłosiłam podszytą jadem tyradę, bo po godzinie odmrażania tyłka na ławce z nosem wlepionym w telefon nie

miałam już siły uczestniczyć w protekcyjnych rozmowach z Sabatem Cholernych Idealnych Mamusiek i podnosiłam wzrok tylko po co bardziej mrożących krew w żyłach okrzykach, by upewnić się, że nie wydobywają się z gardziołek Petera czy Jane.

- Ale po co one to robią? - spytał Sam z niedowierzaniem.

- Nie mam pojęcia. - Wzruszyłam ramionami. - Wydaje mi się, że ma to jakiś związek z tym, że były kiedyś ważnymi kobietami biznesu, ale musiały z tego zrezygnować, żeby zlecać wychowywanie swoich dzieci nianiom z Europy Wschodniej, robić zakupy albo udawać, że ciągle pracują, zgrywając wszelkiej maści „projektantki”. To może być cokolwiek, chociaż najczęściej pada na ubranka dla dzieci i biżuterię. Kaszmirowe śpioszki są najnowszym krzykiem mody w Mamusiowym Biznesie. Jeśli twój mąż może pochwalić się szerokim portfolio z posiadłościami, możesz tytułować się projektantką wewnątrz, wystarczy tylko, że kupisz kilka poduszek. Robisz to oczywiście w przerwie między zajęciami z jogi i pilatesu a szpiegowaniem w telefonie męża, czy aby na pewno nie ma romansu z Nianią. Wiedz przy tym, że Niania to jakby imię, nianie nie mają indywidualnych imion. Ale wracając do meritum: może stąd bierze się ta potrzeba stałego potwierdzania swojej rangi poprzez konkurowanie i popisywanie się tym, kto jest najbardziej kochającą biomamuśką i czyje dzieci są najlepiej wychowane, odżywione i co najważniejsze, utalentowane. Zapomniałam wspomnieć też o tym, że notorycznie kłamią. Widzisz tamtą? To Fiona Montague. Na zajęciach z muzyki odmładzała swoje

dziecko o dwa miesiące, żeby wydawało się lepiej rozwinięte. Jej plan upadł, kiedy musiała mu zorganizować pierwsze urodziny.

Dobry Boże! Wygląda na to, że jak raz zacznę pluć jadem, nie jestem w stanie przestać!

- I nie czujesz potrzeby, żeby do nich dołączyć? - spytał Sam. - Żeby wyciągnąć śniadaniówkę pełną na przykład krojonego słonego sera Vacherin, przyprawionego jedynie łzami pirenejskich kóz górskich?

O! Wygląda na to, że Sam też umie pluć jadem!

- Nabiał? Zwariowałaś? Przecież one jak jeden mąż nie tolerują laktozy i glutenu! Do tego mają jeszcze cały szereg innych „nietolerancji pokarmowych”. W zeszłym roku największym trendem w towarzystwie było prześciganie się w wymyślaniu jak najdziwniejszej rzeczy, na którą dziecko może mieć alergię, i apele do szkoły o wykluczenie jej z jadłospisu. Ja też spróbowałam. Powiedziałam, że moje dzieci są uczulone na brokat, ale nikt mi nie uwierzył.

- Jakim cudem nie przesiąknął tym wszystkim?

- One i tak nie przyjęłyby mnie do gangu. Ich kliki są jeszcze gorsze niż wśród licealistek. Nie pasuję do nich, bo mam za mało pieniędzy i muszę tyrać w kieracie, bo nie stać nas na to, żebyśmy rzuciła pracę. Wszystko przez głupi pomysł, żeby wyjść za chłopaka, którego poznałam na studiach, zamiast poczekać, aż będę wystarczająco ważna, żeby złowić jakiegoś szykownego mieszcza, założyć własny biznes i „przeprojektowywać” jakieś szmaty z lumpeksu, a potem opylać je innym znudzonym bogatym kobietom. Ciężko też

przychodzi mi udawanie, że nie uważam ich za bandę protekcyjnych suk, co też nie pomaga. Jestem natomiast przekonana, że bardzo by chciały, żebyś ty dołączył do ich gangu. Przydałby im się taki gorący samotny tatusiek, z którym mogłyby flirtować i wzbudzać zazdrość mężów.

Urwałam gwałtownie, bo dotarło do mnie, że popełniłam największe faux pas, jakie znają Brytyjczycy, czyli powiedziałam o sobie za dużo. Sam wyglądał na przerażonego, więc wymamrotałam coś o tym, że powinnam sprawdzić, co robią moje dzieci.

- Nic im nie jest - powiedział Sam. - Stoją razem z moimi niewdzięcznikami, które wzgardziły zielonym ciastem. A nie, czekaj, chyba coś się tam dzieje.

Jeszcze nigdy nie byłam równie wdzięczna Jane, że muszę interweniować z jej powodu. W parku jest mała karuzela, do której wsiada kilkoro dzieci, a inne nią kręcą. Jane udało się namówić na jazdę Perfekcyjną Lucy Atkinson i bez wahania zaczęła kręcić karuzelą najszybciej, jak umiała, chichocząc przy tym jak obłąkana. Im głośniej Lucy krzyczała, żeby zatrzymać karuzelę, bo zwymiotuje, tym mocniej Jane kręciła. Z doskoku, niczym zawodnik rugby, złapałam Jane i obaliłam ją na ziemię, po czym zatrzymałam nogą karuzelę. Niestety zabawka była bardzo rozpędzona, a ja zatrzymałam ją gwałtownie i nadzwyczaj skutecznie, przez co Lucy Atkinson z impetem wystrzeliła w górę jak z katapulty i wylądowała u stóp swojej mamy, wycierając jej buty łzami i smarkami. Całe szczęście, że tym razem nie zwymiotowała na Perfekcyjne Buty swojej Perfekcyjnej Mamy. Wyglądały

na drogie.

Zacząłam popędzać Jane do ewakuacji, trajkocząc przy tym:

- Tak mi przykro, to tylko nieporozumienie, Jane myślała, że Lucy krzyczała, by jechać jeszcze szybciej. Ach, te dzieci! Ha, ha, ha! Peter! Wracamy do domu! - I dałam nogę.

Z tego incydentu wynikała jeszcze dodatkowa korzyść: nie musiałam wracać do Sama. Bardzo chciałam tego uniknąć, bo właśnie oznajmiłam mu, że jest gorącym samotnym tatuśkiem, a wszystkie mamusie w parku mają na niego chrapkę.

Kiedy wróciliśmy do domu, Simon znowu był w szopie i ostentacyjnie szlifował kredens. Nie powiem, żeby wiele to zmieniało. Poza tym jestem pewna, że jeszcze kiedyś będzie się z tego wszystkiego śmiał.

Piątek, 16 października

Hurra! Kolejny Olać-to!-Piątek! Simon pracował dziś z domu, to znaczy czytał artykuły w *Daily Mail* i wyjadał moje ciasteczka. (Jeśli mam być szczerą, robię to samo, kiedy dostaję zgodę na pracę z domu). Oznaczało to też, że „przyjemność” spędzenia w domu pory obiadowej spadnie na niego, bo ja szykowałam się do wyjścia z Hannah i Samem. Tak, w końcu uznałam, że najlepszym sposobem na wyzbycie się nieczystych myśli na jego temat będzie spróbować ich wyswatać. Oczywiście im powiedziałam, że to tylko niezobowiązujący drink, okazja dla Sama, żeby poznać nowych ludzi z okolicy, bla, bla, bla. Przecież nie przyznam

się, że tak naprawdę chciałam jednocześnie uszczknąć swojej tajemnej miłości, zdusić swoje zauroczenie ORAZ zapewnić sobie okazję do kupna pięknego kapelusza na Wesele Stulecia, na którym będę zbierać laury za mój godny podziwu talent do swatania. Na pewno poproszą mnie o wygłoszenie przemowy. Może mogłabym też pomagać w organizacji? Niejeden raz myślałam o tym, żeby zostać organizatorką wesel – czuję, że byłabym w tym świetna.

Szykowanie się do wyjścia nie było tak spokojne i relaksujące, jak planowałam, i to nie tylko dlatego, że przeszkadzali mi w tym Peter i Jane. Simon niezbyt dobrze radził sobie z misją „obiad/kąpiel/kładzenie do łóżek” i co chwilę zrozpaczony wparowywał do sypialni, kwiląc:

- Co jest z nimi nie tak? Dlaczego oni tacy są?

Towarzyszyły temu głośne krzyki i plusk wody wylewanej na podłogę z wanny.

- Zachowują się tak dlatego, że pozwalasz im jeść żelki Haribo, które zamieniają je w opętane demony z ADHD.

- To dlaczego pozwalasz mi dawać im żelki? Dlaczego mnie nie ostrzegłaś?

- Wielokrotnie cię ostrzegałam, żebyś nie dawał im żelek, Simon. Tyle, że przeważnie to ja muszę radzić sobie z efektami ubocznymi, bo ty jesteś zajęty czymś innym.

- W takim razie dlaczego w ogóle trzymamy żelki w domu, skoro mają taki zły wpływ na te małe czorty?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia, skąd się biorą żelki w tym przeklętym domu. Co gorsza, one się nigdy nie kończą, niezależnie od tego, ile ich dzieciaki pożrą. Myślałam, że ty

je kupiłeś, ale może to jedna z tych tajemnic wszechświata, na którą nigdy nie znajdziemy odpowiedzi? Tak samo jak na pytanie, dlaczego w wymiocinach zawsze jest marchewka, nawet jeśli się jej wcześniej nie jadło. Tyle że w tej chwili mało mnie to obchodzi, bo właśnie szykuję się do wyjścia.

Tym razem Simon przynajmniej powiedział mi, że ładnie wyglądam, kiedy tanecznym krokiem z rozwianym włosiem dawałam nogę. Zrobił to, chociaż wcale go nie prosiłam! Od razu poczułam wyrzuty sumienia, że byłam dla niego niemila i znowu zostawiłam go samego. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy nie powinnam była zabrać go ze sobą.

Kiedy już byłam w pubie, stwierdziłam, że moja decyzja była słuszna, bo gdyby Simon poszedł ze mną, stałoby się jasne, że próbuję wyswatać Hannah i Sama, a w takich sytuacjach należy jednak zachować dyskrecję.

Sam był podenerwowany i w niczym nie przypominał wyluzowanego ogiera, który prześladował mnie w snach. Co gorsza, jego mowa ciała zdradzała zero zainteresowania Hannah (wiem, bo za młodu obsesyjnie chłonełam wszystkie artykuły z serii „Jak poznać, czy mu się podobasz?“, które tak chętnie publikowały gazety typu *Just 17* czy *Cosmopolitan*). Wiedziałam, że będą potrzebowali mojej pomocy, jeśli mam zostać honorowym gościem i najlepszą organizatorką Wesela Stulecia.

Kiedy Sam poszedł do baru, długo opowiadałam Hannah o jego zaletach: o tym, że jest świetnym ojcem i sympatycznym mężczyzną. Powstrzymałam się od powiedzenia: „I popatrz, jaki ma niesamowity tyłeczek!

Popatrz tylko!”, bo nie chciałam, żeby Hannah pomyślała, że traktuję jej przyszłego męża jak obiekt seksualny. Hannah niestety nie była przekonana. Powiedziała, że za mało minęło czasu od rozstania z Danem, żeby była w stanie myśleć o takich rzeczach.

Nie zniechęcałam się. Poczekalam, aż Hannah wyjdzie do toalety, i mimochodem rzuciłam:

- Czyż ona nie jest urocza?
- Hm, tak, wydaje się miła.
- Jest też bardzo ładna, prawda? I ma piękne włosy.
- No... tak, ma bardzo ładne włosy.

Zastanawiałam się, czy powinnam dalej w to brnąć i powiedzieć, że ma też świetne cycki, ale Sam mnie wyprzedził:

- Ellen, jeśli próbujesz mnie z nią wyswatać, to... Hannah nie jest w moim typie.

O nie! Momentalnie straciłam rezon, kiedy Wesele Stulecia i przepiękny kapelusz sprzątnięto mi sprzed nosa (myślałam nawet o wywołaniu małego skandalu stylistycznego i założeniu kokieteryjnego krótkiego welonu. Można przecież założyć welon na czyjś ślub, kiedy jest się gościem honorowym i nadzoruje całą organizację). Dobry nastrój jednak szybko wrócił, bo skoro Hannah nie jest w typie Sama, to może ja jestem?

- Jaki jest w takim razie twój typ? - spytałam z fałszywą skromnością, próbując nie zabrzmieć zbyt prowokująco.

Sam zrobił dziwną minę, po czym odparł:

- No cóż, na pewno nie będą to kobiety.

Nie kobiety? A więc to tak! Skoro wszystko stało się jasne, umiałam tylko wybąkać:

- O mój Boże, najmocniej przepraszam, nie miałam pojęcia. To takie prostackie z mojej strony! Przepraszam!

- Skąd miałaś wiedzieć? - odparł Sam. - Staram się nie robić z tego powodu dużego zamieszania. Nikt nie oczekuje od heteroseksualnych osób, żeby przedstawiając się, mówili: „Cześć, nazywam się tak i tak i jestem hetero”, więc czemu od gejów oczekuje się, że przedstawiając się, zatańczą do piosenki Judy Garland, wesoło przy tym podskakując i wymachując rękami? Tak czy inaczej, nie muszę się już chyba obawiać Mniam-Mniam-Mamusiek, bo może jestem gorącym samotnym tatuśkiem, i chwała mi za to, ale na nic się im nie przydam - zakończył wyraźnie rozpogodzony.

Rozbawił mnie ten jego optymizm.

- Chciałbyś! Teraz będziesz jeszcze bardziej pożądanym niż wcześniej. Każda z nich będzie chciała, żebyś został jej Najlepszym Przyjacielem Gejem. Będą wyobrażać sobie, że dostały epizodyczny angaż w *Will & Grace*. Teraz już nigdy się od nich nie uwolnisz. Masz PRZECHLAPANE!

- Albo... - zasugerował Sam - mogę spędzać większość czasu z tobą, a ty będziesz je odstraszać. Może trochę twojego niedopasowania spłynie na mnie i zostawię mnie w spokoju?

Biedny Sam. Będzie potrzebował o wiele więcej niż mnie w charakterze żywej tarczy, żeby odstraszyć Perfekcyjną Mamę Perfekcyjnej Lucy Atkinson, kiedy tylko uświadomi sobie drzemający w nim potencjał do zostania jej absolutnie

niezbędnym akcesorium. Chociaż, jak mawiają, spróbować nie zaszkodzi.

Kiedy już ustaliliśmy, że mój talent do swatania nie był jeszcze tak rozwinięty jak smykałka do czytania mowy ciała (w magazynach nigdy nie pisali o tym, jak wyswatać przyjaciół, pewnie dlatego, że miałyśmy rywalizować o chłopców, a kiedy udało nam się już jakiegoś zdobyć, miałyśmy trzymać go tylko dla siebie), przeszliśmy do upijania się. Sam wreszcie się rozluźnił i nadużywając słowa „duppek”, opowiedział nam o tym, jak jego nikczemny eks o imieniu Robin (nie Robyn) dał nogę i zostawił go samego jak palec.

Fakt, że Robin darzył tak wielkim zainteresowaniem antyki z francuskich prowincji, nie wynikał tak naprawdę z pasji, ale był pretekstem do częstych wyjazdów, podczas których migdalił się z jakimś Francuzikiem o imieniu „Jean Claude, René czy innym równie głupim francuskim imieniu”, co Sam wyjaśnił nam po kilku drinkach (wprowadził nas w świat drinków manhattanów, które są przepyszne i smakują jak wisienki, chociaż to prawie czysty alkohol i bardzo szybko zwala z nóg). Robin uciekł z obcokrajowcem i zostawił Sama z dziećmi. Tyle że z Jean Claude'em/René nie wyszło i kilka miesięcy później chciał wrócić.

- Powiedziałem mu... Powiedziałem mu: „Spiprzaj”! Tak mu powiedziałem - wybełkotał.

Sam postanowił, że on i dzieci potrzebują nowego startu, i w ten właśnie sposób trafił tutaj. Niestety jest zbyt uprzejmy, że powiedzieć Robinowi (czyli temu dupkowi),

żeby zostawił ich w spokoju, mimo że bardzo by chciał. Sam dużo mówi, kiedy jest wkurzony.

Potem Hannah powiedziała, że Dan (pod którego adresem słowo „dupek” padało równie często) oznajmił, że jego picza (w życiu bym nie powiedziała, że ktokolwiek jeszcze używa tego określenia, ale Hannah ewidentnie je z siebie wyrzuciła) zostaje u niego na weekend, żeby poznać dzieci.

- Dupek! Nawet Robin (dupek!) nie odważył się przedstawić temu... No, jak mu tam... Henry'emu Srenry'emu naszych dzieci! - zbulwersował się Sam.

- To woła o więcej drindryneczków! - wybełkotałam.

Ku mojemu zdziwieniu Simon nie spał, kiedy wróciłam do domu, co było miłym zaskoczeniem. Niestety byłam tak wcięta, że mogłam wydusić z siebie tylko:

- Tosty. Potrzebuję tostów. Natychmiast. Mmm, pychotka! Więcej tostów! Kocham was, moje tościki!

Pomimo ewidentnego stanu upojenia, Simon nie zwyzywał mnie od bezwstydnic, tylko powiedział rozbawiony:

- Wygląda na to, że miałaś udany wieczór, kochanie!

A potem położył mnie do łóżka. To jeden z powodów, dla których ciągle go kocham, nawet jeśli czasami działa mi na nerwy. Może jednak powinnam go zatrzymać? On chyba też mnie lubi.

Sobota, 17 października

Przez większość dnia czułam się jak wrak. Bardzo stary wrak. Picie manhattanów nie było takim świetnym pomysłem, jak myślałam. Rano cała kuchnia była

usmarowana marmite'em. Chciałabym móc to zwalić na Simona albo dzieci, ale niestety jestem jedyną osobą w tym domu, która jada marmite'a. Ich wykręca już sam zapach. Będę musiała wziąć odpowiedzialność za aferę marmite'ową, nawet jeśli nie mam bladego pojęcia, skąd się wziął na ścianach. Jedyne, co mnie pociesza, to że Hannah i Sam pytali mnie w SMS-ach, czy wiem, jak wracali do domu. Musiałam być najmniej zrobiona z nas wszystkich, bo przynajmniej pamiętam, jak zamawiałam taksówkę.

Pomijając marmite'a, dom był zadziwiająco czysty jak na wartę Simona. Dzisiaj założył też całkiem ładny sweter, zamiast swojego ukochanego i skandalicznie brzydkiego polaru. Ponieważ jestem płytka i próżna (mimo usilnych starań, żeby było zupełnie na odwrót), powyższe zdarzenia, a także to, że był dla mnie wczoraj miły, chociaż zalałam się w trupa, sprawiły, że poczułam do niego nagły przyływ miłości. Kiedy doszły do tego wspomnienia o nikczemnościach i wiarołomności Dana i Robina, zebrałam się na przeprosiny za zniszczenie kredensu jego babci. Zareagował bardzo miło. Powiedział, żebym się nie martwiła, bo to tylko kredens (A NIE MÓWIŁAM?).

Chwilę później zasugerował, że może to odpowiedni moment, żebym przyznała, że renowacja mebli nie jest moim powołaniem. Jako przykład wymienił kilka mebli, które próbowałam odświeżyć, kiedy jeszcze byliśmy na studiach, czyli w czasach, kiedy wierzyłam, że w przynoszeniu do domu mebli ze śmietnika nie ma nic złego. Niedługo przed tym, kiedy poznałam Simona, spotkałam przy śmietniku

Australijczyka. Nie zabrałam go do siebie, chociaż był niezłym ciachem. Zamiast tego dałam mu namiary na najbliższe schronisko dla młodzieży. Później żałowałam, że pozwoliłam mu odejść, ale z tyłu głowy zawsze tliła się myśl, że gdybym zabrała go do siebie i gdyby okazał się Tym Jedynym, do końca życia na pytanie, jak się poznaliśmy, musiałabym odpowiadać:

- Znalazłam go na śmietniku.

Zakończenie konfliktu kredensowego, a także to, że zaczęliśmy ze śmiechem wspominać dawne czasy, kiedy byliśmy młodzi, beztroscy i jeszcze bardziej splukani, niż jesteśmy teraz, sprawiło, że zapanowała romantyczna atmosfera. Simon zasugerował, żebyśmy skorzystali z okazji, że dzieci wpadły w stan bliski katatonii, wlepiając nosy w *SpongeBoba Kanciastoportego*, i poszli na górę. Nie powiem, żebym nagle zapłonęła niepohamowaną żądzą, moja ochocza zgoda wynikała głównie z tego, że przyciemniona sypialnia wydała mi się w moim stanie bardzo atrakcyjna. Tak czy inaczej, wymknęliśmy się z salonu. Niestety kiedy tylko Simon zaczął rozpinać mi biustonosz, Peter rozpoczął wrzaski pod (na szczęście zamkniętymi) drzwiami do sypialni, że Jane dokonała niewybaczalnego aktu zmieniania kanału w telewizji bez uprzedniej konsultacji. Potem było coś o *Mistrzach Spinjitzu Ninjago* oraz niesprawiedliwości świata i romantyczną atmosferę diabli wzięli.

Jedno trzeba naszym dzieciom oddać: opanowały tę sztukę do perfekcji. Czasami myślę, że mają wbudowany radar, którym wykrywają, że jesteśmy na granicy przytulank.

W mgnieniu oka formują wtedy zgrany zespół i przeprowadzają gładką akcję, która ma na celu udaremnienie naszych wysiłków. Mówiłam Simonowi, że założenie zamka na drzwiach do sypialni nie wystarczy, bo to naszych dzieciątek nie odstraszy. Żeby uniknąć ich wtargnięcia, musielibyśmy wybudować nuklearny, podziemny, dźwiękoszczelny, zabezpieczony ołowiem bunkier miłosny, chociaż jestem pewna, że i tak znalazłyby sposób na to, żeby przebić się przez kolejne warstwy ochrony.

Wtorek, 20 października

Biedaczek Peter. Rozchorował się. Kiedy kładł się spać, czuł się dobrze, ale o 03:00 nad ranem przyszedł do nas, narzekając na ból gardła. Nie pomogła szklanka wody, przytulanie ani czytanie bajek, więc nafaszerowałam go calpołem i w końcu zasnął. Rano użalał się nad sobą i marudził, że nadal potwornie go boli. Miałam dzisiaj dużo do zrobienia i liczyłam na to, że uda mi się wygnać z niego chorobę calpołem i posłać do szkoły, ale kiedy przeprowadziłam opatentowany przez siebie test „Jak bardzo NAPRAWDĘ jesteś chory?“, informując Petera, że jeśli zostanie w domu, będzie musiał grzecznie leżeć w łóżku i czytać książki, bo nie dam mu przez cały dzień bawić się tabletem, przytaknął niemrawo i powiedział:

- Chętnie się położę. Tak mi zimno. Mamusiu, mogę już iść do łóżka? Jestem taki śpiący.

Biorąc pod uwagę fakt, że Peter prędeziej poddałby się

torturom, niż dobrowolnie spędził w łóżku choćby minutę dłużej, niż powinien, uznałam, że naprawdę jest chory, a nie symuluje, bo chce wejść na kolejny poziom w cholernych pokemonach. Zmierzyłam mu temperaturę, jak przystało na kochającą i odpowiedzialną matkę. Miał 38.5°C, ale i tak musiałam wyszukać w Internecie, co to znaczy, bo nigdy nie pamiętam, jakie są normy i kiedy gorączka zaczyna być niebezpieczna (39.4°C, jak twierdzi Doktor Google). Poza tym nigdy nie było mnie stać na specjalny termometr, który świeci i piszczy, kiedy temperatura twojej pociechy jest alarmująca.

Poddałam Peterowi kolejną dawkę calpolu - najlepszego przyjaciela wszystkich rodziców (żałuję, że nie kupiłam udziałów w calpolu po narodzinach dzieci. Nikt mi nie powiedział, że będę go używać niezależnie od tego, czy dzieci naprawdę będą chore, czy będą cierpieć na te wszystkie trudne do wyjaśnienia bóle i dolegliwości, które pojawiają się, kiedy trzeba iść spać i które leczy się dawkami placebo).

Mimo że ma dopiero sześć lat, Peter uparł się, że chce wejść na poziom 6+ i żałośnie wyjęczał:

- Różowy calpol, mamusiu, proszę. Wolę różowy.

Położyłam go na kanapie i przykryłam kocem. Zgodziłam się nawet na filiżankę herbaty, taki bonus dla bidulka. Był tak osłabiony, że nawet kombinacja kofeiny i paracetamolu nie powinny wywołać u niego nadaktywności, którą wywołują u moich dzieci choćby śladowe ilości kofeiny, czytaj: przeobrażenia się w króliczka Duracella.

Simon już wyszedł, ale Sam życzliwie zgodził się zawieźć i odebrać Jane ze szkoły, dzięki czemu nie musiałam ciągać niedomagającego dziecka po zimnym, okrutnym świecie. Jane była bardzo nieszczęśliwa, że musi iść na lekcje, chociaż jej brat ma wolne. Od razu zaczęła demonstracyjnie kasłać i prawie wypluła płuca, a wszystko po to, żeby zostać w domu i popijać różowy, magiczny eliksir życia. Niestety oblała mój test choroby. Powiedziała, że powinnam jej pozwolić spędzić dzień przed telewizorem, bo nawet jeśli nie jest bardzo chora, istnieje duża szansa, że zaraża, a przecież nie mamy pojęcia, jaki jest okres inkubacji choroby Petera, i co będzie, jeśli to coś bardzo poważnego, na przykład wirus ebola, którym zarazi całą szkołę? Chyba znowu za moimi plecami oglądała Discovery Channel. Spławiłam ją, bo jej się należało, mimo że do ostatniej chwili lamentowała na tę wielką niesprawiedliwość.

Zadzwoiłam do biura i powiedziałam, że będę pracować z domu, bo moje dziecko jest bardzo chore (Peter grzecznie kasłał przez całą moją rozmowę, czym dodał moim słowom nieco realizmu). Spojrzałam na kanapę, która nagle wydała mi się niezwykle kusząca, szczególnie że przez Petera nie miałam kiedy się wyspać.

Spytałam więc podstępnie:

- Chciałbyś, żeby mamusia przyszła się przytulić?

A on odparł:

- Tak, mamusiu, byłoby super.

Weszłam pod koc i wtuliliśmy się w siebie. Było to całkiem urocze; rzadko kiedy nadarza się okazja do przytulank.

Przeważnie gdzieś się śpieszymy, pędzimy jak indyki bez głów. A to na zajęcia pozaszkolne, a to do prac domowych, a to próbując skomponować jakiś posiłek i wstawić pranie. A czasu ciągle mało.

Peter zawsze lubił się przytulać, uwielbiał więc sobie gniazdko w moich objęciach, ale kiedy zaczął chodzić, okazało się, że czeka na niego gotowy do odkrywania i demontowania ogromniasty świat, i nagle siedzenie na kolanach u mamy zaczęło kolidować z niezwykle ważnymi planami, na przykład wkładaniem palców do kontaktu albo wymontowywaniem filtra ze zmywarki. Kiedy podrósł, znalazł sobie jeszcze ciekawsze zajęcia, więc przytulanie stało się kompletnie passé. Jane niewątpliwie miała w tym mały udział, bo już jako dojrzała ośmiolatka powiedziała mu, że przytulanie to dziecinada. Zawsze przypominała o tym młodszemu bratu, kiedy chciał, żeby wziąć go na ręce. Jane nigdy nie lubiła się przytulać. Nawet kiedy była malutka, nie chciała, żeby brać ją na ręce, i protestowała, domagając się, by postawić ją na ziemię. Szybko stała się najbardziej niezależnym brzdącem świata. W pierwszych latach życia najczęściej używała wyrażeń: „Ja sama!” i „Nie!”.

Koniec końców, nawet jeśli moim drogim synem kierowało tylko to, że był zwalony z nóg przez chorobę, miło było spędzić trochę czasu na przytulankach, szczególnie że był chory na gardło, a nie demolowany wirusem żołądkowym, więc mogłam się odprężyć, bo prawdopodobieństwo, że wymiotuje mi na klatkę piersiową było raczej niewielkie.

Środa, 21 października

Peter wciąż nie był na tyle zdrowy, żeby iść do szkoły, ale jego stan uległ znaczącej poprawie. Wywnioskowałam to z faktu, że kiedy usiadłam obok niego na kanapie i próbowałam się przytulić, gwałtownie mi się wyrwał, a potem zaczął się wyklócać, że *Odlot* to głupi film, bo każdy człowiek potrzebuje domu i „Co on niby zrobi bez domu?”. Ja się wzruszałam, że do szczęścia wystarczy nam miłość, a Peter uparcie twierdził, że wcale nie, bo gdzieś trzeba mieszkać. A kiedy wyjąknęłam:

- Chodź, przytul się do mamusi, kochanie - oznajmił, że idzie do kibelka, mamrocząc pod nosem, że cegły i cement są dużo ważniejsze w życiu niż jakaś głupia miłość.

Cieszę się, że zdrowieje, ale trochę tęsknię za moim małym milusińskim.

Jane była dziś jeszcze bardziej wściekła, że Peter już drugi dzień siedzi w domu, więc mimo że jest chodzącym okazem zdrowia, pół dnia wyszukiwała w Internecie dziwaczne choroby, na które ludzie chorowali w przeszłości, i groziła, że sprowadzi na nas wszystkich zarazę. Najpierw stwierdziła, że jest jej słabo i zdiagnozowała u siebie ropień okołomigdałkowy, co ciężko było kupić, bo chwilę wcześniej zjadła olbrzymie śniadanie, a poza tym kłóciła się ze mną dosłownie o wszystko. Zaczęłam żałować, że przeczytałam jej *Po prostu Katy*^[5], bo od tamtej pory zgrywa małego tyrana, który najchętniej całe dni próżnowałby w łóżku, wydając polecenia swojej świcie, żeby składała hołd u jej stóp. Scenariusz ten wydaje mi się podwójnie alarmujący, bo mnie obsadziła chyba w roli Ciotki Izzie i pewnie nie miałyby

żadnych skrupułów, żeby mnie ukatrupić i tym samym poszerzyć zakres swoich wpływów w domostwie. Wydaje mi się, że przeoczyła: a) fragment książki, w którym Katy przez kilka lat była sparaliżowana, i b) fakt, że jeśli pozbędzie się Ciotki Izzie/mnie, żeby zająć miejsce na swojej grzędzie do wydawania rozkazów, w naszym domu nie będzie wystarczająco dużo służby potrzebnej do realizowania jej wizji. Boże, miej nas wszystkich w opiece, kiedy dorośnie do czytania sióstr Brontë.

Oczywiście gdyby Jane naprawdę zachorowała, czułabym się okropnie, tym bardziej że zarzuciłam jej symulowanie, dlatego cały dzień nerwowo sprawdzałam telefon, czy przypadkiem nie dzwoniли ze szkoły, żebym odebrała swoje biedne chorujące maleństwo. Na razie się nie poddaję, choć nie wątpię, że Jane jest tym faktem głęboko zawiedziona.

Poniedziałek, 26 października

Minęła połowa semestru. Kiedy to się stało? Ledwo co dzieciaki wróciły do szkoły, i już mają tydzień wolnego. Simon kolejny raz odmówił pójścia na tygodniowy urlop, bo jest Bardzo Ważnym i Bardzo Zajętym Biznesmenem. Wywyższa się, bo zarabia więcej niż ja. Tylko dlaczego zawsze zapomina, że jedyny powód, dla którego tak się stało, jest taki, że kiedyś we dwójkę (podkreślam! We dwójkę!) podliczyliśmy koszty związane z opłacaniem opieki do dzieci i okazało się, że bardziej niż branie opiekunki na cały dzień opłaci się nam, jeśli będę pracować na część etatu.

Bujając w obłokach i przepełnieni optymizmem,

umówiliśmy się, że opiekę nad dziećmi w dni wolne będziemy dzielić po równo, ale dziwnym trafem Simon zawsze musi jechać w bardzo ważną delegację albo pracować nad jakimś projektem w godzinach pozaszkolnych, więc całe wolne, jakie mi przysługuje, muszę zużywać na wakacje, szkolne koncerty, dni otwarte i Boże Narodzenie, bo on jest przecież bardzo zajęty. Nie wierzę, że to prawda, to zwykła przebiegłość. Ja też powinnam stać się większą spryciarą.

Niestety, moja nudna praca w IT nie dostarcza mi takich atrakcji jak praca architekta, to znaczy wyjazdów w delegacje i oględzin filii, więc kiedy Simon dał nogę do Barcelony, ja utknęłam tutaj. Z dziećmi, które są bardzo głodne. Bardzo. Głodne... Przyłożą do mnie co pięć minut, jęcząc o coś do jedzenia. Szczególnie Peter, który wcale nie przybiera na wadze, mimo że dzień w dzień konsumuje tak nieprzyzwoite ilości jedzenia, że czasami się zastanawiam, czy nie ma tasiemca. Gdyby miał, mógłby się chociaż podzielić. Chciałabym móc jeść tyle co on i być taka chuda. Kiedyś nawet sprawdziłam, czy da się kupić tasiemca przez Internet (da się, chociaż tylko na bardzo podejrzanych stronach, na które lepiej w ogóle nie wchodzić, bo po pierwsze mogą zainfekować komputer wirusami, a po drugie trudno stwierdzić, co naprawdę sprzedają pod nazwą „tasiemiec”. Założywszy oczywiście, że nie ograniczają się do zdobycia informacji o koncie, a z dalszych kroków podejmują jedynie wyśmiewanie biednych, oszukanych, leniwych, otyłych kobiet). Czasami zastanawiam się, czy nie powinnam odrobaczyć synka, ale boję się, co mogłabym zobaczyć.

Wystarczy, że muszę odrobaczać psa. Peter potrafi być tak obrzydliwy, że pewnie chciałby zachować swoje robaki w charakterze zwierzątek domowych.

Jak mogłam być taka głupia, żeby liczyć na to, że ten „wolny” tydzień będzie dobrą okazją do wysprzątania domu, wyczyszczenia lodówki, zlokalizowania źródła zapaszku zatechłej uryny w łazience i ogólnie zamiany naszego domostwa w czyste, gustowne, eleganckie miejsce rodem z Pinteresta? Zapomniałam, że nie ma czegoś takiego jak wolny tydzień, kiedy wokół kręcą się moje kochane maleństwa. Pomijając walkę z wiszącą w powietrzu nieprzemijającą groźbą śmierci głodowej (którą możemy jedynie odsunąć w czasie), muszę przerywać kłótnie, szukać zagubionych skarbów i wymyślać rozrywki.

Swoją drogą, kiedy te rozrywki stały się takie drogie? Wiem, że zabrzmie, jakbym cytowała skecz *Czterech facetów z Yorkshire* Monty Pythona, ale moja matka powiedziałaby, żebym przestała zawracać jej głowę, gdybym każdego dnia ferii zanudzała ją pytaniami o to, co będziemy dzisiaj robić, i marudziła, że chcę iść do kina albo do domu rozrywki dla dzieci (dobry Boże, spraw, abym nie przegrała z własną desperacją i nie dała się namówić na tę pioruńsko drogą rozrywkę. Tam tak strasznie śmierdzi! Daj mi siłę, abym oparła się ponuremu, usmarowanemu kupą Domu Apokalipsy o Miękkich Ścianach).

Wczoraj lodówka była pełna. Dzisiaj jest prawie pusta. Peter ma tylko sześć lat, jak ja go wykarmię, gdy stanie się nastolatkiem? Kiedy moje dzieci były mniejsze

i proponowałam mojej koleżance Claire, żebyśmy poszły na kawę albo do parku, zawsze nalegała, żebyśmy spotkały się u niej. Miała córkę w wieku Jane i nastoletniego syna. Nie chciała zostawiać go samego w domu, bo pilnowała lodówki, żeby całe zakupy z supermarketu nie zniknęły. Długo myślałam, że wyolbrzymia, ale kiedy poznałam możliwości Petera i jego tasiemca, zaczęłam odliczać dni do chudych lat.

Środa, 28 października

Boże przenajświętszy, złamałam się. Poszliśmy do domu rozrywki dla dzieci. Dzwoni mi w uszach, głowa mi pęka i najchętniej wyszorowałabym siebie i dzieci drucianką szczotką i dettolem. Nie ma na świecie takiej ilości wina, która mogłaby uśmierzyć mój ból. Peter wdał się w bójkę z przerażającym gnojkwatym skinheadem, którego równie przerażająca matka miała na szyi wytatuowany napis „Justin Beebor 4ever”. Przez chwilę byłam pewna, że wszyscy zginiemy. Później Jane wdepnęła w kałużę sików w toalecie, a na końcu utknęła na samym szczycie tych przeklętych drabinek wspinaczkowych, czy jak to się nazywa, co oznaczało, że albo ruszę jej z odsieczą, ryzykując, że sama utknę w ciasnej rurze, z której znudzony nastoletni personel będzie musiał wyciągać mnie jak Kubusia Puchatka z nory Królika, albo zostanę na dole i będę namawiać ją typowym dla przerażonych przedstawioelek klasy średniej piskliwym głosem, żeby zeszła na dół: „Kochanie, proszę, po prostu przeczołgaj się dalej i zjedź na dół po zjeżdżalni. Pójdziemy do domu i zjemy pyszne bułeczki z czekoladą”, kurczowo

trzymając przy piersi torebkę w obawie, że zaraz ktoś dźgnie mnie nożem. Pieprzyć wino, przechodzę od razu do dżinu. Dużo dżinu. Jak najwięcej dżinu.

Piątek, 30 października

Simon wrócił do domu. Hip, hip, hurra! Nawet przywiózł mi prezent. Uwielbiam niespodzianki!

Prezent oraz to, że to jego dzieci nie odstępowały na krok i to jego prosiły, żeby położył je spać, prawie (PRAWIE!) wynagrodził mi fakt, że Simon tuż po powrocie oświadczył, że jest zmęczony (po tygodniu w ładnym hotelu z pysznymi śniadaniem i tapas), po czym głosem sierotki oznajmił, że chciałby zjeść coś prostego, na przykład lasagne. To wcale nie jest coś prostego! Żeby zrobić lasagne, potrzeba milionów patelni i garnków! Mimo wszystko postanowiłam mu ją upiec, bo jestem kochającą żoną, trochę się za nim stęskniłam, a poza tym mogłam schować się w kuchni i popijać wątpliwej jakości hiszpański dżin, który też przywiózł, korzystając z okazji, że dzieci wyjątkowo jemu włożyły na głowę, trajkotały i zadawały idiotyczne pytania. Szkoda tylko, że zapomniałam, jak długo trwa zrobienie tej pieprzonej lasagne, i skończyłam na mamrotaniu przekleństw pod nosem. Poza tym przysięgam, że jeśli Simon jeszcze raz wspomni o tym, że pobyt w hotelu nie jest tak ekscytujący, jak by się mogło wydawać, przestanę odpowiadać za swoje czyny.

Sobota, 31 października

Halloween udało się w tym roku wprost wybornie! Apogeum dobrej zabawy przeżyłam na około piętnaście minut przed wyjściem na zbieranie słodyczy (lub – jak ja to lubię nazywać, klnąc na absurdalny stopień amerykanizacji starej pogańskiej tradycji – „zabawę w wygłodniałe, wiktoriańskie, żebrzące od drzwi do drzwi dzieci”), kiedy Peter stwierdził, że jednak nie chce być przebrany za nietoperza i musiałam na szybko przerabiać stare koronkowe gacie na strój wampira. Po żebraczej ekspedycji, poszliśmy na przyjęcie do życzliwego sąsiada, na którym Jane udało się schować przed moim czujnym okiem i wsunęła tyle słodyczy, ile sama waży, zanim ją przyłapałam. Nie było łatwo przekonać wrzeszczącą gumową piłkę, w którą się potem przeistoczyła, żeby przestała odbijać się od ścian, ale kiedy wróciliśmy do domu, udało się ją jakoś uspokoić. Myślałam, że będę już mieć święty spokój, bo razem z Sophie, jej przyjaciółką, która przyszła na nocowanki, poszły spać. Niestety, kiedy tylko usiadłam z kieliszeczkiem (a raczej małym wiaderkiem) pysznego, pokrzepiającego wina (w końcu było Halloween. Chciałam sobie zrobić „wampirze ślady krwi” z wina wokół ust...), z sypialni Jane dobiegł mnie rzewny ryk.

Nie raz rozmawiałam z Jane o tym, że kiedy zamierza wymiotować, byłabym BARDZO wdzięczna, gdyby chociaż spróbowała nie robić tego po całym łóżku. Aż w końcu wzięła sobie to do serca, bo przeturlała się na brzeg i zwymiotowała na Sophie, która spała na łóżku polowym tuż obok. Zarzygała całą Sophie. Całą. Ta dziewczynka ma bardzo długie i bardzo

gęste włosy.

Simon dobrze sobie radzi z wymiocinami. Ja radzę sobie bardzo źle. Simon zajął się ubrudzoną pościelą (bo pomimo usilnych starań i tak wiele trafiło na kołdrę), śpiworem i dywanem, a ja wsadziłam histeryzującą Jane i zaspaną, zdezorientowaną Sophie pod prysznic, próbując wymyć jej wymiociny z włosów i powstrzymując odruch wymiotny na zmianę z ciskaniem przekleństw. Tyle wymiocin naraz. Było gorzej, niż kiedy Peter zwymiotował z łóżka piętrowego i powstała w wyniku tego fala sprawiła, że gorzko pożałowałam, że położyliśmy w jego pokoju panele. Tamtej nocy wyrzuciłam bardzo dużo klocków lego.

Wciąż czuję zapach wymiocin, więc nie śmiem nawet wrócić do wina, na wypadek gdyby Księżniczka Rzygulina postanowiła zaatakować ponownie. Na szczęście Sophie się nie złościła, chociaż nie jestem pewna, czy była wystarczająco przytomna, by uświadomić sobie, co naprawdę się dzieje. Przeraza mnie myśl, że będę musiała o tym powiedzieć Samowi.

LISTOPAD

Czwartek, 5 listopada

Dziś Noc Guya Fawkesa! Hurra! Zapach dymu ogniska, strzelające iskry, pieczone ziemniaki i kiełbaski oraz podekscytowane twarzązki najmłodszych oświetlone blaskiem sztucznych ogni. Czego tu nie lubić...? Cóż, po pierwsze, kochanego mężusia, który oświadczył, że nie ma sensu iść na oficjalny pokaz sztucznych ogni, ponieważ w tym roku postanowił obudzić swojego wewnętrznego piromana i sam odpalić race w ogródku. Będzie się działo! – pomyślałam i bezzwłocznie zaprosiłam wszystkich sąsiadów na imprezę fajerwerkową, żeby mogli razem z nami rozkoszować się zapachem dymu, pieczonymi ziemniakami, twarzązkami oświetlonymi blaskiem i tak dalej.

W swojej głupocie zakup sztucznych ogni Simon powierzył mojej skromnej osobie. Byłam trochę zdezorientowana, bo zanim pojechałam do supermarketu, musiałam zatankować samochód i zalałam buty benzyną. Długo się zastanawiałam, czy sprzedadzą fajerwerki komuś, kto na kilometr śmierdzi benzyną, czy może od razu zadzwonią na policję i zgłoszą, że w ich sklepie pojawiła się szalona piromanka. Podekscytowana faktem, że obsługa przemilczała unoszący się wokół mnie aromat perfum marki Benzynówka, dałam się ponieść i kupiłam bardzo dużo pudełek największych

fajerwerków, jakie mieli (na swoją obronę mogę powiedzieć, że sprzedawali trzy w cenie dwóch, więc ciężko było się oprzeć takiej okazji!).

Dopóki nie było za późno, nikt (łącznie ze mną) nie zauważył, że kupiłam pokazowe sztuczne ognie, oblepione surowym zakazem używania w odległości mniejszej niż sto metrów od najbliższych terenów zabudowanych. Nasz dom nie stoi w stumetrowym odstępnie od innych budynków (czytaj: „od domów sąsiadów”). Było też za późno na zwrócenie ich do sklepu i zakup nowych (zresztą już tamte kosztowały fortunę. Swoją okazją możecie mnie pocałować w moje tłuste cztery litery).

Mnie i Simona wcale to nie zraziło. Zdecydowaliśmy, że i tak zrobimy przyjęcie. Simon beztrąsko zapewniał, że te naklejki to tylko środki ostrożności, żeby pierwszy lepszy idiota nie mógł pozwać producenta, gdy przypadkiem spali swoją szopę zimnymi ogniami. Mówił też, że to absolutnie bezpieczne, bo przecież w supermarketach nie sprzedaje się ogni w rozmiarze pokazowym (to sztuczne ognie mają rozmiary? Moc? Jak się je właściwie mierzy? Po huku?), więc jedyne, co może się stać, to że zostaniemy sensacją na naszej ulicy.

Sąsiedzi pojawili się zgodnie z planem, a ja radośnie nakładałam im kiełbaski i pieczone ziemniaki, wyobrażając sobie, że jestem jak Nigella Lawson – perfekcyjna pani domu i idealna gospodyni.

Dzieci wymachiwały zimnymi ogniami, przez co na chwilę musiałam porzucić rolę skromnej Nigelli i wrzasnąć:

- Rękawiczki! Załóżcie rękawiczki! Nie można się bawić zimnymi ogniami bez rękawiczek! Nie dotykajcie palcami części, która się nagrzewa! Nie podpal swojej siostry! Proszę, uważaj! Uważaj! Do jasnej cholery, uważaj z tym, to ogień!

Potem Simon rozpoczął swój pokaz. Postawił sobie za cel udowodnić, że w domu można zorganizować równie dobry pokaz, co będąc stłoczonym w zabłoconym parku z setkami innych osób. Jeszcze zanim przyszli goście, starannie ustawił fajerwerki w ogrodzie, a potem zapalił wszystkie naraz, żeby startowały jedno po drugim, tak jak na prawdziwym pokazie...

Okazuje się, że w supermarketach jednak sprzedają sztuczne ognie przeznaczone na pokazy. A surowe ostrzeżenia też nie są tylko środkami ostrożności.

Początkowe ochy i achy oraz radosne twarze skąpane w świetle sztucznych ogni, szybko zmieniły się w pomruki:

- Czy to jest bezpieczne?
- Cholera, był niebezpiecznie blisko mojego domu!
- Jasna cholera, ten wariat zaraz spali całą ulicę!

Dzieci płakały, a dorośli zaczęli rozważać uformowanie łańcucha osób z wiaderkami wody do ugaszania pożaru, który roznieciliśmy.

Sąsiedzi, zamiast gaworzyć wesoło przy ognisku, popijając grzane wino i ekscytując się tym, jak świetnie się wszyscy bawimy, zaczęli w pośpiechu ulatniać się, żeby sprawdzić, czy ich domy przypadkiem nie płoną. W końcu ostaliśmy się tylko Simon, ja, Peter i Jane, skuleni w rogu ogrodu,

wpatrzeni w to, jak nasza cicha podmiejska uliczka zamienia się w inscenizację 1980 roku w Bejrucie. Dzieci były pod wrażeniem. Nie słyszałam syren, co oznaczało, że szczęśliwie udało nam się nie spalić żadnej antycznej posesji. Nie przyjechała też policja, żeby wypytywać nas, co sobie myśleliśmy, kiedy odpalaliśmy rakiety i granaty.

Kiedy fajerwerki przestały strzelać, Simon począł smutno po czarnym pustkowiu, które kiedyś było troskliwie pielęgnowanym przez niego trawnikiem, mruczając coś pod nosem o poparzeniach na skórze.

Oczywiście cała wina spadła na mnie, chociaż moim zdaniem za wszystkim stał supermarket. Czego się spodziewali, sprzedając miliony fajerwerków osobie, która śmierdzi benzyną?

Plusem tej sytuacji był fakt, że prawdopodobnie u wszystkich naszych przepłoszonych sąsiadów zniknęliśmy z listy osób, którym wysyła się życzenia świąteczne, więc i ja będę miała to z głowy. Poza tym mogłam wypić całe grzane wino, jakie zostało, i piszę to już porządnie wstawiona w związku z moim niesłusznym przekonaniem, że w grzonym winie prawie nie ma alkoholu.

Sobota, 7 listopada

Czuję się niemal tak, jakbym była normalnym człowiekiem z prawdziwym życiem! Jako przyjaciółka dwójki rozwodników, których drugie połówki (DUPKI!) zabierają dzieci w co drugi weekend, mogę wychodzić z nimi na miasto i robić fajne rzeczy. Jest mi przykro, że związki Hannah

i Sama się rozpadły, ale bardzo służy mi to, że mogę wyjść z nimi do pubu.

Po tym, jak omówiliśmy wszystkie mankamenty i błędy popełnione przez byłych partnerów Hannah i Sama, i kilku okrzykach „DUPKI”, kiedy uświadamiali sobie kolejne niesprawiedliwości, które im się przytrafiły, Sam wreszcie przyznał, że miałam rację co do Cholernego Sabatu Czarownic. Okazało się, że Sophie powiedziała Perfekcyjnej Lucy Atkinson, że ma dwóch tatusiów i Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy zapraszała Sophie do siebie już pięć razy. Sophie nie zamierza jednak tam iść, bo nie cierpi Lucy Atkinson, która jej zdaniem ma „głupkowaty wyraz twarzy”, co wydaje się równie dobrym argumentem, jak każdy inny. Pozostałe członkinie Sabatu też zaczęły ostrzyć sobie na niego ząbki. Proponowały mu, żeby „wpaść na kawę”, wciskały domowej roboty „zdrowe muffinki” a pozbawiona jakiegokolwiek taktu, nawet jak na swoje standardy, Fiona Montague (nigdy nie zapomnę, jak powiedziała mi, że „jesteś taka odważna, że wyszłaś z domu bez makijażu, szczególnie, kiedy masz gorszy dzień”, chociaż czułam się wtedy bardzo dobrze i byłam porządnie wytapetowana) zaproponowała, że umówi go ze swoim fryzjerem, „Bo na pewno macie wiele wspólnego, chłopaki!”.

- One są jak wojownicy ninja - powiedział Sam. - Czasami czuję się jak w grze komputerowej, która polega na tym, że trzeba dotrzeć do szkoły drogą pełną śmiertelnie groźnych zasadzek. Muszę odstawić dzieci, chowając się za żywopłotem przed ninja-Mamuškami, obrzydliwymi

wypiekami, które mi wciskają, i natarczywymi zaproszeniami na przyjęcia z pokazem biżuterii. Jestem gejem, do cholery! Nie jestem pieprzoną drag queen, żeby marzyć o tym, by spędzać wieczory na zachwycaniu się gównianą biżuterią i gładzeniu o niej.

- Pamiętasz rzemieślnicze cipki? - zachichotała Hannah.

Nigdy nie zapomni mi tego, że kiedyś wyciągnęłam ją na takie przyjęcie. Z przerażeniem odkryłyśmy, że mamusia „projektantka”, która organizowała imprezę, z powodów znanych tylko sobie stworzyła linię biżuterii na podobieństwo swojej waginy, a wszystko to w ramach celebrowania swojej płodności. Biorąc pod uwagę wręcz bolesne etykiety z cenami za wszelkiej maści waginalną biżuterię (kolczyki, wisiorki, pierścionki i bransoletki), jej muszelka rzeczywiście musiała być bardzo płodna. Na uniesione ze zdziwienia brwi artystka odpowiedziała, że biżuteria jest „rzemieślnicza”, dlatego w kasowaniu kwot zbliżonych do PKB Luksemburga za naszyjnik z brzoskwinką z czystego srebra nie ma nic złego. Podobnych argumentów używa się w kawiarniach: „To bardzo rozsądna cena, ponieważ bekon na kanapce jest ze specjalnej świni, która brała lekcje stepowania, a w wolnych chwilach skakała ze spadochronem”. Czy coś w tym rodzaju.

Jeszcze nigdy nie widziałam kogoś równie zde gustowanego co Sam, kiedy Hannah opowiadała mu o cipkowej biżuterii. Był chyba jeszcze bardziej przerażony niż Simon (człowiek, któremu słowo „wagina” nie przechodzi przez gardło), ale to pewnie dlatego, że nad Simonem nie ciążyło niebezpieczeństwo, że ktoś będzie próbował zaciągnąć go na

jedną z takich imprez.

Sam spanikował do tego stopnia, że oświadczył, że jedynym lekarstwem, które może uśmierzyć ból spowodowany faktem, iż ktoś sprzedaje swoim przyjaciołom repliki własnej waginy, będzie tequila.

Po kilku szotach nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Sam powiedział wcześniej coś, co podsunęło mi pod nos świetny pomysł, ale za nic nie mogłam sobie przypomnieć, co to było. Może z wyjątkiem faktu, że mój pomysł był oszałamiający w swej błyskotliwości. Taki jest właśnie problem z tequilą. Przynajmniej jeden z problemów.

Poniedziałek, 9 listopada

A niech mnie! Chyba naprawdę wkurzyliśmy sąsiadów naszymi granatami i raketami kosmicznymi. Jenkinsowie, którzy mieszkają naprzeciwko, wystawili dom na sprzedaż.

Oczywiście pierwsze, co zrobiłam, kiedy zobaczyłam tabliczkę ze stosownym napisem, to zrobiłam to samo co wszyscy inni sąsiedzi, czyli weszłam na Rightmove^[6] i obliczyłam, czy cena, którą podali Jenkinsowie, oznaczała, że wartość naszych własnych domów wzrosła, czy zmalała, od kiedy ostatnio ktoś się wyprowadzał. Potem, a jakże, przejrzałam wszystkie zdjęcia, które dołączyli do oferty, i rzucałam po nosem krytyczne uwagi, jak na przykład:

- Chryste! Ale zasłony! Co ona sobie myślała, kiedy je wieszala?

albo

- Do jasnej cholery, co za lenie! Mogli przynajmniej

opuścić deskę klozetową i schować butelki z detergentami, zanim zrobili te zdjęcia!

Uwielbiam Rightmove, bo bardzo ułatwia życie. Kiedyś trzeba było chodzić do agencji nieruchomości i udawać, że jest się szczerze zainteresowanym kupnem domu, żeby móc popodglądać sąsiadów. Można też pooglądać domy marzeń, na które nigdy nie będzie nas stać. Takich, jakie wcześniej oglądało się tylko na okładkach czasopism wnętrzarskich w poczekalni u dentysty.

Trochę mnie dzisiaj poniosło i nagle zapragnęłam romantycznej szkockiej posesji z wieżyczkami albo mrocznego, tajemniczego dworku w Kornwalii, który przywodził na myśl Manderley. Znalazłam też całkiem sympatyczną, małą plebanię w Oxfordshire z czasów królowej Anny, na którą też mogłabym przystać, gdyby mnie ponamawiać (choć plebania była droższa niż szkocki dom z wieżyczkami i kornwalijski dworek razem wzięte). Bylebym tylko nie musiała dłużej mieszkać w tym nijakim domu na przedmieściach.

Tak się rozmarzyłam, że nagle dotarło do mnie, że jest już 08:45, a ja nawet nie zaczęłam rutynowego procesu krzyczenia na dzieci: **ZAKŁADAĆ BUTY! JESTEŚCIE GOTOWI? W TEJ CHWILI WYCHODZIMY! ZAŁOŻYLIŚCIE BUTY? CO TY WYPRAWIASZ, DO CHOLERY? WKŁADAJ TE CHOLERNE BUTY! NATYCHMIAST! WYCHODZIMY! JAK SIĘ ZARAZ NIE UBIERZESZ, TO CIĘ TU ZOSTAWIĘ! NIE, WCALE CIĘ TU NIE ZOSTAWIĘ. NIE, TO NIE JEST ŚWIETNY POMYSŁ! PO PROSTU ZAŁÓŻ BUTY, NIE MOGĘ**

CIE TU ZOSTAWIĆ, BO PÓJDE DO WIĘZIENIA!

To taka pieśń obrzędowa, która sprawia, że dzieci opuszczają rano dom. Jeżeli jej nie odśpiewam, spóźnimy się do szkoły, a w rezultacie będziemy musieli stawić czoło znaczącym spojrzeniom czarownic plotkujących pod bramą szkoły w strojach do jogi i popijających kawę bezkofeinową na odtłuszczonej mleku sojowym z dodatkową porcją samozadowolenia. Bądźmy poważni, kto ma czas, żeby w drodze do szkoły kupować kawę na wynos? Dlaczego nie mogą po prostu napić się kawy w domu, jak inni normalni ludzie? Robią to tylko po to, żeby pokazać, że są tak świetnie zorganizowane i mogą wyjść z domu dwadzieścia minut wcześniej (pewnie dlatego, że szykowanie dzieci zostawiły nianiom) i są wystarczająco bogate, żeby mogły wydać ponad trzy funty na mały kubeczek kawy.

Rzecz jasna, byłam spóźniona do pracy, więc nie miałam czasu, żeby po drodze kupić zdrapkę, a tym samym uutorować sobie drogi do realizacji snu o posesji marzeń (bo przecież wiadomo, że zdrapka to o wiele lepsza inwestycja niż kubek kawy za trzy funty. Czasami zachowuję się jak Jeremy Kyle^[7]. Niedługo zacznę chodzić do Tesco w piżamie).

Na szczęście nikt nie zauważył, że się spóźniłam, więc mogłam wyskoczyć w przerwie na lunch po zdrapkę (no dobra, pięć zdrapek). Ma się rozumieć, żadna nie wygrała. Nie wiem, czemu zawsze czuję rozczarowanie, kiedy nie wygrywam milionów, na które od lat robię sobie nadzieję. Przecież nigdy nie wygrałam więcej niż funta, którego oczywiście i tak od razu zainwestowałam w kolejną zdrapkę.

W tym wieku powinnam już zaakceptować fakt, że nigdy niczego nie wygram, niezależnie od tego, czy chodzi o zdrapki, lotto czy inne tombole. Jeśli zsumuję swoje wygrane, zostanę z puchatym pudełkiem na chusteczki higieniczne w kształcie psa, które wygrałam jako siedmiolatka, i bardziej aktualne - rzepa. Powtarzam, rzepa. Kto wstawia pieprzoną rzepę na szkolną loterię? Byłam bardzo rozgoryczona z tego powodu. W dodatku obawiałam się, że wygrywając ową rzepę, wykorzystałam całe przysługujące mi w życiu szczęście, po prostu je roztrwoniałam, walcząc o nie i nic sensownego nie wygrywając. Ale później uznałam, że ponieważ gorzej być nie mogło, więc moje szczęście jeszcze się nie zużyło, nadal ma potencjał, który systematycznie akumuluje się na jedną wielką wygraną, najprawdopodobniej w zdrapkach, bo lubię natychmiastową satysfakcję i nie zawracam sobie głowy czekaniem na losowanie lotto.

Dzisiejsza zdrapkowa porażka oznaczała, że moje bezwstydne rojenia o nieruchomościach się nie spełnią i nigdy nie wprowadzę się do wymarzonej posesji. Zadzwoiłam więc do Hannah, żeby opowiedzieć jej o swoim najnowszym Świetnym Pomyśle, który polegał na tym, że zamiast próbować wykupić od Dana swoją część domu, powinna ją sprzedać, kupić dom Jenkinsów i zamieszkać naprzeciwko mnie. Hannah nie była przekonana. Po pierwsze nie miała pewności, czy będzie ją na to stać, kiedy Dan odbierze swoją część majątku, a ona opłaci prawników. Przypomniałam jej, że po aferze z fajerwerkami nietrudno mi

będzie kontynuować antyspołeczne zachowanie, czym jeszcze bardziej obniży ceny domów na ulicy. Kupię Simonowi koszulkę z siatki i porozrzucam wszędzie wokół puste puszki po piwie. Oczywiście gdy tylko Hannah się wprowadzi, wrócimy do poprzedniego życia i znów staniemy się przykładnymi przedstawicielami klasy średniej, dzięki czemu obniżka cen nieruchomości (np. mojego domu) nie będzie aż tak drastyczna, może nawet w ogóle do niej nie dojdzie.

Bardzo bym chciała, żeby Hannah mieszkała po drugiej stronie ulicy. Mogłybyśmy zaglądać do siebie wieczorami na kieliszek wina. Teraz widujemy się raz na miesiąc, i to przy dobrych wiatrach, kiedy uda nam się zsynchronizować zajęcia dla dzieci i załatwić kogoś do opieki nad nimi, co pozwala nam wyjść z domu i wprawia w tak skrajną ekscytację, że upijamy się w trupa.

Mogłybyśmy siadać przy naszych odrapanych stołach kuchennych, śmiać się wesoło i przygotowywać razem (a więc bez większego wysiłku) pyszne, zdrowe kolacje, które domownicy jedliby bez narzekania. Próbowалаm realizować swoją wizję z różnymi sąsiadkami, które wydawały mi się sympatyczne, ale jak do tej pory wszystkie gorzko mnie rozczarowały, wygłaszając zdania w stylu:

- Och nie, dziękuję za wino, dziś wtorek.

Albo:

- Przykro mi, ale jestem na diecie. Wiesz, ile „grzeszków” kryje się w jednym kieliszku wina?

Mam beznadziejnych sąsiadów. Potrzebuję lepszych

sąsiadów. Na przykład takich jak Hannah.

Tego popołudnia wszyscy menedżerowie byli poza biurem, bawiąc się w coś, w co zazwyczaj bawią się w takich sytuacjach menedżerowie, czyli na przykład w integrację zespołu, mogłam więc spędzić dużo czasu na dalszym myśkowaniu po Rightmove pod pretekstem rozeznania rynku dla Hannah, chociaż wiadomo, że chodziło o to, żeby przekonać ją, dlaczego kupno domu Jenkinsów jest dla niej najlepszym rozwiązaniem. Plusem pracowania w dziale IT firmy, w której nikt się na tym nie zna, jest to, że wszyscy boją się komputerów, więc nikt nie ma pojęcia, co zajmuje ile czasu. W sumie oznacza to tyle, że mogę się sporo obijać, wystarczy tylko przekonać zleceniodawcę, że praca, która powinna mi zająć około dwóch godzin, zajmie mi dwa tygodnie, ale jeśli bardzo się postaram, specjalnie dla nich może uda mi się ją wykonać w dziesięć dni. Jeśli jestem akurat we wspaniałomyślnym nastroju, wykonuję ją w tydzień i wszyscy mają mnie za geniusza, chociaż ja przez ten czas robiłam zakupy online i czytałam fora plotkarskie.

Moja przebiegłość sprawiła również, że pracuję od 09:30 do 15:00, a co drugą środę mam wolną. Te tajne benefity niemal wynagradzają mi niezbyt miłe chwile na imprezach, kiedy to moi rozmówcy pytają, czym się zajmuję, i zasypiają, zanim zdążę powiedzieć „T” w słowie „IT”. Niestety wciąż żyję też w strachu, że któregoś dnia moi szefowie uznają, że jestem potwornie przepracowana, i postanowią zatrudnić kogoś do pomocy, w czym nie będzie nic złego, ale tylko jeśli okaże się, że trafię na osobę równie leniwą jak ja. Bo jeśli

będzie to ktoś, kto zachował choćby skrawki etyki pracy, będę mieć przechłapane.

Wtorek, 12 listopada

GGRRRRGGGRRRRGGGRRR!!!

Zacząło się. Mejle świąteczne.

A PRZECIEŻ ŚWIĘTA SĄ DOPIERO W GRUDNIU!

Czemu moja głupia rodzina mi to robi? W sumie możliwe, że czekając do listopada, postanowili nie powtórzyć zeszłorocznego błędu, który doprowadził mnie do załamania nerwowego. Zaczęli wysyłać mejle już w sierpniu, na co odpowiedziałam im, żeby się ode mnie odpieprzyli, a najlepiej umarli, bo RUJNUJĄ MAGIĘ ŚWIĄT!!!

Pierwszego mejla dostałam dziś rano od mojej - najpróżniejszej z próżnych i supermądrej korporacyjnej grubej ryby, dzianej jak Krezus i idealnej w każdym calu - siostry Jessiki:

Cześć, Ellen.

Zastanawiałam się, jak zorganizujemy w tym roku święta, skoro mama i Geoffrey jadą w rejs, a tata i Caroline idą do jej dzieci. Wiem, że wypada moja kolej, żeby was zaprosić, ale jestem tak zawałona pracą, że nie ma szans, żebym zorganizowała w tym roku święta. Przykro mi.

Pomyślałam za to, że byłoby miło, gdybyśmy razem gdzieś pojechali. Spójrz na ofertę Ferraton Hall, to piękny domek na wsi. Mają świetną ofertę świąteczną - dwie noce za jedyne pięćset funtów od osoby. Serwują też dania świąteczne za

siedemdziesiąt pięć funtów od osoby (z winem), ale musiałybyśmy się szybko zdecydować. Mają wolne miejsce tylko dlatego, że ktoś zrezygnował.

Gdybyśmy tam pojechały, mogłybyśmy sobie kupić w prezencie zabiegi w SPA. Cała lista jest na ich stronie internetowej.

*Z najlepszymi życzeniami,
Jessica*

Co do cholery?!

A) Moja rodzona matka ucieka z ojczymem w bożonarodzeniowy rejs i nic mi o tym nie wspomniała. Ciekawe, kiedy zamierzała to zrobić?

B) Okej, o tym, że tata spędzi święta z dziećmi swojej żony, akurat wiedziałam, bo w tym roku przypada ich kolej. Mimo to wciąż jest mi trochę przykro, że kocha „nową rodzinę” bardziej niż nas, mimo że miałam dwadzieścia dziewięć lat, kiedy ożenił się z Caroline. Czasami mam ochotę tupać nogami i krzyczeć: TO JEST MÓJ TATUŚ, NIE WASZ!

A przede wszystkim:

C) Pięćset funtów za sam pobyt plus siedemdziesiąt pięć od osoby za kolację świąteczną? Moja kochana siostrzyczka oczekuje od nas, że zanim w ogóle zaczniemy myśleć o prezentach, wyłożymy dwa tysiące trzysta funtów tylko dlatego, że próbuje skromnie pożalić się, że sama nie zarabia jeszcze miliona rocznie (i jednocześnie sugerując, że jest już blisko), a poza tym jest zbyt zmęczona, żeby wyprawić Wigilię. Doskonale wie, że nie możemy sobie pozwolić na dwie noce w hotelu, poza tym Peter i Jane nie są tacy, jak jej

idealne kruszynki Persephone i Gulliver (nazwany tak, bo „szukaliśmy klasycznego, ale też nietuzinkowego imienia”), i będą biegać jak w amoku po hotelu albo rozwalając, albo kradnąc gustowne antyki, których zazwyczaj w takich hotelach wszędzie pełno. Poza tym jak bardzo trzeba być bezdusznym, żeby mejla do własnej siostry zakończyć zwrotem: „Z najlepszymi życzeniami?”. Założę się, że w następnym napisze „Pozdrawiam”.

Odpisałam jej tak:

Cześć, Jess.

Hotel wygląda bosko, ale na ten moment jest dla nas trochę za drogi. Przykro mi.

E xxx

MASZ WIADOMOŚĆ!

Siostrunia szybko odpisuje na mejle jak na kogoś, kto jest zbyt zapracowany, żeby zamówić kolację świąteczną z Marks & Spencer.

Cześć, Ellen.

Jaka szkoda, hotel wyglądał uroczo. Mam nadzieję, że nie wydajesz ciągle pieniędzy na zdrapki, ha, ha.

Persephone i Gulliver bardzo się cieszą, że zobaczą swoich kuzynów w Boże Narodzenie. Poza tym święta to przecież czas dla rodziny. Może skoro nie chcesz jechać do Ferraton Hall, moglibyśmy przyjechać do was? Wiem, że wypada moja kolej, więc nie zostawię cię samej z przygotowaniami. Przywiozę świąteczny pudding.

*Z najlepszymi życzeniami,
Jessica*

Znowu to zrobiła! Nie dość, że wrobiła mnie w organizację świąt, to jeszcze w zaledwie dwóch zdaniach przemieniła to w fakt, pisząc, że przywiezie świąteczny pudding, zanim w ogóle zdążyłam zgodzić się na jej przyjazd. A to wszystko pod pozorem „czasu dla rodziny”, chociaż nawet nasi rodzice mają nas w głębokim poważaniu! Niestety wiedziałam, że nie ma sensu próbować wymigać się od tego, co zarządzi Jessica. Jeśli napiszę, że święta i tak nie będą rodzinne, bo nie zjawią się nasi rodzice, stwierdzi, że tym bardziej powinniśmy spędzić je razem.

Nasze dzieci są o rok starsze, więc może wieczór będzie trochę bardziej cywilizowany? Podczas zeszłej Wigilii Peter i Jane zjedli po pudełku czekoladek na głowę na śniadanie, jeszcze zanim Jessica i jej prawie niemy mąż Neil zdążyli przyjechać (są małżeństwem od piętnastu lat, a ja wciąż nie wiem, czy Neil się nie odzywa, bo nas nienawidzi, boi się wyrazić własną opinię przy żonie, a może po prostu milczy przerażony chaosem, jaki panuje w naszym domu i tym, jak zdziczałe są moje dzieci. Tak czy inaczej, przez większość czasu milczy ponuro i odzywa się tylko pytany. Mamrocze wtedy pod nosem: „Nie, dziękuję” albo „Tak, poproszę”, czasami krzywiąc się z niezadowolenia).

Persephone i Gulliver dostali gustowne, ciche i etycznie poprawne prezenty od swoich rodziców. My daliśmy Peterowi i Jane głównie głośne i działające na nerwy gry komputerowe, w które chcieli grać, jednocześnie biegając po

domu jak uzależnione od cukru potworki na odwyku.

Persephone napisała kompozycję na pianino, która miała być prezentem dla nas wszystkich, i od razu po przyjeździe zapragnęła nam ją zagrać. Efekt był taki, że dziesięć minut po tym, jak przekroczyła próg naszego domostwa, zanosila się szlochom, bo nasze rachityczne pianino kupione na Gumtree nie trzymało standardu, do którego była przyzwyczajona, a na dodatek Peter i Jane nie chcieli wyłączyć PlayStation na czas trwania jej recitalu. Kiedy Simon siłą wyrwał im z rąk kontrolery do gry, wymyślili słowa do jej kompozycji. Brzmiały one mniej więcej tak: „Persephone ma kupo-twarz, głupią, głupią kupo-twarz”, na co Jessica zacisnęła usta tak mocno, że zaczęły przypominać pupkę kota. Miałam wrażenie, że za chwilę wyjdzie z siebie i stanie obok. Właśnie z tego powodu, nie bardzo rozumiem, dlaczego znowu chce przyjechać do nas na święta.

Kiedyś spytałam ją, czemu zawsze się upiera, żebyśmy spędzili święta razem. Wydała się zaskoczona i odparła:

- Chciałam, żeby nasze dzieci miały takie same magiczne święta co my... No wiesz, wszyscy w komplecie, obfity rodzinny posiłek, wspólne zabawy, tradycja. Nie tak jak było... później.

Pomyślałam, że Jessica pomyliła swoje wspomnienia z dzieciństwa z reklamami sieci domów towarowych Johna Lewisa^[8]. W moich wspomnieniach mama klęła jak szewc, bo babcia (mama taty) była dla niej niemiła, jednocześnie próbując lepić kuleczki na nadzienie do indyka i wlewając w siebie tyle dżinu, ile potrzeba, żeby zapomnieć o kaśliwych

uwagach babuni na temat jej wagi. Tata wyrywał mi i Jess wszystkie zabawki, które wymagały włożenia baterii, bo przecież nie można nam zaufać na tyle, żebyśmy same je włożyły, co sprowadzało się do tego, że pod pretekstem „zmontowania zabawek” sam się nimi bawił, podczas gdy my jójczyłyśmy, żeby nam je oddał. Swoją drogą to, że mama poniosła totalną porażkę w obowiązkach małżeńskich, to znaczy nie spłodziła mu syna i dziedzica, tylko dwie niewydarzone córki, oznaczało, że dostawałyśmy bardzo dużo prezentów na baterie, na przykład kolejki elektryczne albo tory wyścigowe z samochodzikami, które ewidentnie miały być przeznaczone dla nieistniejących synów.

W okolicach lunchu mama była przeważnie na skraju załamania nerwowego, a gdzieś w połowie puddingu wybuchała płaczem, bo przypominała sobie o nadzieniu do indyka, które zapomniała wyjąć z piekarnika i do tego czasu spaliło się na popiół. Kiedy nadchodziła pora przemowy królowej, którą babcia zawsze uparcie chciała oglądać, nikt już ze sobą nie rozmawiał. Koło szóstej po południu, chociaż nikt już nie mógł patrzeć na jedzenie, mama odgrywała męczennicę w przedstawieniu zatytułowanym „bożonarodzeniowa herbatka”, to znaczy wykladała na stół przerobione na kanapki resztki i z nieznanym mi powodów olbrzymie ilości piklowanych buraczków. Później krzyczała na nas, dopóki nie zjedliśmy kanapek z indykiem i świątecznych ciasteczek, i dopiero wtedy mogliśmy przejść do najprzyjemniejszego punktu wieczoru, czyli oglądania świątecznego wydania *EastEnders*.

Jeśli mam być szczerą, w porównaniu z „późniejszymi” świętami, tamte faktycznie mogły wyglądać na usłane różami. Dla ścisłości: „późniejsze” święta to te wszystkie, które nastąpiły po tym, jak mama przyłapała tatę na romansie z sekretarką i wyrzuciła go z domu. Przeważnie towarzyszyło nam poczucie winy w stosunku do tego rodzica, u którego akurat w danym roku nie byliśmy, mimo każdorazowych stanowczych zapewnień danego rodzica, że nie musimy się o niego martwić, i że wszystko będzie dobrze.

Biedna Jessica. Nie powinnam być dla niej taka okrutna. Nawet przed „później” była perfekcjonistką i desperacko próbowała uformować święta zgodne ze swoją wizją. Sprowadzało się to do powstrzymywania lawiny uwag ze strony babci poprzez namawianie jej na grę w inteligencję (choć w głębi duszy wciąż podejrzewam, że wybierała akurat tę grę, żeby popisać się, jaka to jest mądra) i dzielne nadziewanie ciasteczek, żeby zatrzymać mamę przed wymaszerowaniem z kuchni z wrzaskiem:

- A co mnie to wszystko w ogóle obchodzi?

Pamiętam, że po pierwszych „późniejszych” świętach, kiedy pojechałyśmy do taty, Jess w porze herbatki wyjęła słoik piklowanych buraczków, próbując uczynić święta takimi jak kiedyś.

Wszystko to sprawia, że tym bardziej nie mogę się nadziwić, po kiego diabła moja siostra zawsze wymiguje się od organizowania świąt i zawsze wrabia w to mnie. Przecież czułaby się jak ryba w wodzie w roli Królowej Gwiazdki, rzucając sporadycznie uwagi, że jej nienagannie gustowne

dekoracje to „nic wielkiego”, serwując ucztę w stylu Hestona Blumenthala^[9] i poganiając nas do gry w kalambury, podczas gdy Persephone będzie zabawiać nas, grając na swoim malutkim Steinwayu. Słodki Jezu! A co, jeśli Jess nigdy nas do siebie nie zaprasza, bo moje dzieci są zbyt rozwyrzone, żeby wpuścić je do jej idealnego domu? Może, gdybym naszprycowała je lekami uspokajającymi, zgodziłaby się zorganizować święta?

Nie zamierzam tak łatwo się poddać. Napisałam:

Cześć, Jess,

Jeszcze nie wiem, co zaplanujemy z Simonem. Muszę z nim porozmawiać. Odezwę się do ciebie.

E xxx

Ha! I tak w końcu postawi na swoim, ale przynajmniej mogę zmarnować kilka minut z jej zawałonego pracą cennego czasu niejasnymi mejlami. Przynajmniej trochę się odegrałam za docinki na temat zdrapek.

Chrzanić to! Na samą myśl o spędzeniu świąt z Jessicą chce się człowiekowi napić. Tak czy inaczej, już prawie weekend, więc malutki kieliszeczek wina na pewno nie zaszkodzi.

Pies rzucił mi pełne dezaprobaty spojrzenie i pokiwał głową z niesmakiem.

- Nie oceniaj mnie! Ty nie musisz się użerać z Jessicą! - odcięłam się.

Piątek, 13 listopada

Piątek, trzynastego. Najbardziej pechowy dzień roku. Nie, żebym była przesądna, ale myślę, że coś w tym jednak jest, skoro właśnie dziś rano dostałam mejla od siostry Simona, Louisy. To znaczy od Amaris, bo niedawno oznajmiła, że chciałaby być tak nazywana. Podobno to imię oznacza „Dziecko Księżycy”.

Louisa/Amaris i jej mąż Bardo w górach na północy Szkocji prowadzą „alternatywne ustronie dla duszy”, i owo ustronie dzielą ze stale rosnącą liczbą umorusanych smarkaczy, które Louisa/Amaris zatrważająco regularnie wydaje na świat. Kiedy ostatnio liczyłam, była ich co najmniej czwórka.

Mejl od Louisy/Amaris wyglądał tak:

Namaste, Ellen,

Bogini obdarzyła nas kolejnym cudem, który nazwaliśmy Boreas. Bardo i ja bardzo pragniemy, żeby poznał resztę rodziny, i pomyśleliśmy, że Boże Narodzenie (albo, jak wolimy mówić, Święto Przesilenia Zimowego) to wprost idealny czas na to. Na tę specjalną okazję zamkniemy ustronie. Planujemy przyjechać do was 22 grudnia. Możemy spać w Gunnarze (naszym kamperze, jego imię oznacza „Dzielnego Wojownika”, ha, ha), jeśli nie pomieścicie nas w domu, no i nie będziemy zawracać wam głowy, tylko na czas gotowania i kiedy będziemy chcieli skorzystać z toalety. Do domu chcemy wracać w okolicach 29 grudnia, będziecie więc mieć dużo czasu, żeby poznać Boreasa. Przez najbliższe dwa tygodnie robimy detoks od elektroniki i nie będę odpowiadać na mejle, więc jeśli nie odpiszesz dzisiaj do południa, uznam, że mój plan wam pasuje!

*Peace and love,
Amaris*

Wysłane o 11:52. Suka!

Nie jestem do końca pewna, jaką „religię” wyznają Louisa/Amaris i Bardo (to znaczy „Syn Ziemi”, wcześniej znany jako Kevin). Czasami odnoszę wrażenie, że wybrali to, co im się najbardziej podobało z druidyzmu, religii wicca i buddyzmu, i mieszała w różnych proporcjach, co w rezultacie sprowadza się do tego, że jest to jak klasyczny New Age-bełkot. Jestem pewna, że płyną przez życie, patrząc na mnie i Simona z góry i mają nas za niewolników establishmentu. Widzę tu wspólny mianownik z Jessicą, która też patrzy z góry na nasze nudne życie na przedmieściach.

Dzieci Jessiki przynajmniej są czyste, natomiast wataha Louisy/Amaris i Barda/Kevina wyraźnie domaga się przepierki drucianą szczotką i dettolem. Ciągle jeszcze nie doszłam do siebie po ich dziwacznym weselu, które odbyło się w obrządku rodem z religii wicca, co chyba nawet nie jest legalne. Mimo dręczących mnie wątpliwości, dałam z siebie wszystko i stawiałam się w ich wielki dzień. Miałam na sobie uroczy fascynator i najlepsze buty od L.K. Bennett. Zrobiłam wszystko, co mogłam, żeby wydobyć swoją wewnętrzną Kate Middleton. Niestety okazało się, że ceremonia odbędzie się w środku lasu. A w tym lesie było pełno błota i moje buciki ugrzęzły w ziemi, więc młoda para i cała świta umorusanych gości w workowatych ręcznie malowanych ciuchach i masywnej srebrnej biżuterii (podejrzenie podobnej do wisiorków z rzemieślniczymi cipkami) rozchichotana

przyglądała się, jak Simon próbuje mnie oswobodzić. Co gorsza, zaczęło padać, więc nie dość, że mój fascynator całkiem się schrzanił, to jeszcze tusz do rzęs spłynął po policzkach i wyglądałam na równie umorusaną co cała reszta.

Louisa była świeżo po porodzie i wspaniałomyślnie postanowiła zachować swoje łożysko, które później wysuszyła, zmieliła i rozdawała gościom, żeby posypali nim swoje potrawy. Nawet przedtem przygotowana przez Barda „soczewica z niespodzianką” wydawała mi się skrajnie nieapetyczna, ale po tej kulinarnej sugestii nie byłam już w stanie wziąć jej do ust. Zastanawiałam się, czym może być owa „niespodzianka” - może zeskrobkami z moszny Barda? Simon kopał mnie pod stołem i cały czas powtarzał, żebym zaczęła się zachowywać, bo jesteśmy na weselu jego siostry.

Kiedyś Louisa była normalna. Pracowała jako grafik w dużej agencji reklamowej i zarabiała całkiem przyzwoite pieniądze. Potem poznała Barda, który kiedyś pracował w City, ale pewnego dnia w żółtej linii metra doznał OŚWIECENIA.

- Nagle zadałem sobie pytanie: Co ja właściwie robię? Byłem jak ten pociąg, kręciłem się w kółko bez końca. Uświadomiłem sobie, że muszę coś zmienić.

Jemu się chyba wydaje, że jest bohaterem filmu wyświetlanego na hipisowskim festiwalu w latach sześćdziesiątych. Rzucił pracę, sprzedał mieszkanie i wyruszył w podróż po Indiach, gdzie odnalazł swoje nowe ja, czyli Barda.

- Rozpaliłem ognisko na plaży i w płomieniach unicestwiłem to wszystko, co należało do Kevina. Przyjąłem nowe imię i zostawiłem Kevina w przeszłości.

Prawdopodobnie był kompletnie naćpany, kiedy spalił swoje rzeczy, a teraz my wszyscy mamy myśleć, że jest głęboki i natchniony, choć w środku tak naprawdę kryje się pretensjonalny oferowaty koleś.

Kiedy już siebie odnalazł, Bardo postanowił, że czas wracać do domu i nieść oświecenie innym, którzy też mogą odnaleźć siebie. Nie myślcie sobie, że jego motywacją był brak czystych majątek czy pieniędzy, które też spalił, co to, to nie! Chociaż czasami mi się wydaje, że to jedna z tych osób, która nie nosi majątek. Fujka.

Po powrocie do Londynu poznał Louise, która z urodzenia była naiwniaczką, więc łatwo ją namówił, żeby też wysiadła z żółtej linii metra. Za resztki pieniędzy ze sprzedaży mieszkania Barda i cały majątek Louisy uciekli do Szkocji, gdzie kupili czterdzieści hektarów lasów i zarośli, by cały ten teren przemienić w samowystarczalną krainę. Właśnie tam utworzyli swoje ustronie, żeby inni też mogli zobaczyć wyjątkową światłość, którą niesły palące się na plaży gacie Kevina.

A teraz znowu się rozmnożyli. Boreas. Co to w ogóle za imię? Nawet nie chce mi się wpisywać hasła „Boreas” w Internet. Wiem, że Louisa i tak będzie opowiadać mi o nim godzinami, kiedy tu przyjedzie, co jest już chyba nieuniknione, biorąc pod uwagę fakt, że nie zdążyłam jej odpisać, zanim poszła na swój „elektroniczny detoks”. Co to

właściwie jest elektroniczny detoks? Podejrzewam, że chodzi o rezygnację z używania całego i jakże przerażającego dobrodziejstwa nowych technologii, mimo że nieliczne szurnięte dusze, które odwiedzają ich ustronie, muszą rezerwować miejsca online. A może odłączyli im prąd, bo wydali ostatnią gotówkę na instalację paneli słonecznych? Co, nawiasem mówiąc, w środku lasu w północnej Szkocji nie wydaje się zbyt błyskotliwym posunięciem. Może miałyby to trochę większy sens, gdyby zrąbali przynajmniej kilka drzew rosnących wokół paneli, ale przecież nie mogą tego zrobić, bo rozgniewają Boginię.

Jeśli odcięli im prąd, to pewnie Simon albo jego rodzice będą musieli spłacać ich długi. Wiem, że nie powinnam potępiać Simona za wspieranie Louisy, w końcu to jego siostra, ale i tak go potępiam, bo nie widzę żadnego powodu, dla którego ona czy Bardo nie mogliby pójść do normalnej pracy, jak wszyscy inni ludzie. Oboje są świetnie wykształceni i z łatwością by znaleźli dobrze płatne posady, a mimo to z uporem wiodą swój alternatywny tryb życia, marnując cały dobytek, jaki im jeszcze pozostał, na takie głupoty jak panele słoneczne. Do tego oczekują od wszystkich wokół, że sfinansują ich idiotyczne pomysły, bo oni przecież są PONAD TO, więc nie należy od nich oczekiwać, że będą zawracać sobie głowy tak przyziemnymi rzeczami jak praca czy pieniądze.

Wracając do Boreasa. To na pewno chłopiec? Louisa ma już tyle dzieci, że nie pamiętam, czy wzięłam pod uwagę Boreasa, kiedy doliczyłam się czwórki. A może on ma

numerek pięć? Tak czy inaczej, mam dodatkowy prezent do kupienia, żeby zrobić na złość Louisie, która zacznie mi tłumaczyć, dlaczego dają dzieciom tylko prezenty utkane z włosów łonowych jaków pochodzących z hodowli naturalnej.

Jeszcze nie zdążyłam powiedzieć Simonowi o Jessice, a teraz do listy dołączyła też Louisa. I chociaż Simon często peroruje o tym, jak blisko jest ze swoją siostrą, wiem, że w głębi duszy woli, kiedy ona i jej Bard (to jego żart, nie mój) przebywają w bezpiecznej odległości w Szkocji. Poza tym Jessica versus Louisa równa się kłopoty.

Kurwa mać! Dlaczego święta są takie trudne? Dlaczego nasze rodziny są takie trudne? Czy każda rodzina taka jest? Przynajmniej rodzice Simona wyjechali na emeryturę do Francji i nie przejawiają żadnych oznak, że są spragnieni rodzinnego świętowania Gwiazdki. Pewnie wolą fetować narodziny małego Jezuska zalani w trupa w swoim uroczym château wraz z grupką rozrywkowych przyjaciół, a wizytę hordy wnuków odłożyć na lato, kiedy będą mogli ją nadzorować z bezpiecznej odległości, czyli z brzegu basenu.

Modłę się, żeby Louisa nie przywiozła swojego łożyska...

Sobota, 14 listopada

Mam przerąbane! Zapomniałam zrobić zakupy online i nie mamy nic do jedzenia, skończył się nawet papier toaletowy (gdzie on znika? Jak można zużyć tyle papieru toaletowego w ciągu jednego tygodnia? Czy moje dzieci go zjadają? Albo potajemnie wynoszą z domu i sprzedają na sekretnym

papierowym czarnym rynku? W głowie mi się to nie mieści. A może to Simon zużywa cały? Zawsze jest taki dumny z tego, ile czasu spędza w kibelku) i co gorsza, WINO!

Simon z samego rana oznajmił, że musi dziś popracować, bo przecież jest Bardzo Ważnym i Zajętym Biznesmenem. W związku z powyższym musiałam ciągać ze sobą po supermarkecie dzieci, co już samo w sobie jest okropne, ale o wiele gorsze jest w sobotnie poranki, kiedy istnieje duża szansa, że natknę się na którąś z członkiń Sabatu, która „zajrzała tu przejazdem”, po tym jak zawiozła swoje kochane maluszki na zajęcia z GREKI, FILOZOFII wykładanej w języku mandaryńskim czy coś W TYM STYLU.

Dziś rano te spotkania były podwójnie wkurzające, bo z nieznanym mi powodów w markecie było mnóstwo przecenionych produktów. Z radością wypełniłam wózek wielkim kawałem zrazowej górnej za jedyne 3 funty i 42 centy i stekami za 2 funty i 54 centy. Byłam zachwycona, wyobrażając sobie róg obfitości, w jaki zmieni się mój zamrażalnik. Do tej pory było w nim jedynie kilka opakowań wielokrotnie rozmrożonego i zamrożonego zielonego groszku, którego używam jako okładów za każdym razem, kiedy Peter próbuje wylądować na intensywnej terapii i donieść na mnie opiece społecznej. Sabat potępia zamiłowanie do promocji, więc kiedy tylko zobaczyłam łypiące na mnie Perfekcyjną Mamę Perfekcyjnej Lucy Atkinson i Fionę Montague, musiałam zacząć grę w ninja. Cichaczem wyglądaliśmy zza rogów, żeby upewnić się, że nie wejdziemy w tę samą alejkę, aż w końcu rzuciłam się pędem

z wózkiem przez sklep, pakując wszystkie najpotrzebniejsze artykuły, posykurując:

- Zamknij się wreszcie!

kiedy Jane na całe gardło pytała:

- ALE DLACZEGO NIE CHCESZ ROZMAWIAĆ Z MAMUSIĄ LUCY? NIE LUBISZ JEJ? CZY DLATEGO WCZORAJ MÓWIŁAŚ, ŻE JEJ MAMUSIA TO GŁUPIA PIPA?

Wszystkie moje starania okazały się oczywiście bezskuteczne, bo Lucy Atkinson i jej Perfekcyjna Mama przyparły nas do muru w alejce ze zbożami i strączkami. Dodam tylko, że Peter pytał mnie wtedy, co by się stało, gdyby bardzo długo powstrzymywał bąki.

- Czy ja bym wybuchł? Wybuchłbym? Co by się stało, gdybym nigdy ich nie puszczał? Powiedz, mamó, czy ja bym eksplodował? A moja krew i flaki wylądowałyby tu, tam i tam, no wszędzie?

Po serii pytań odegrał scenkę, żeby zademonstrować, jak jego zdaniem wyglądałaby eksplozja.

Mama Lucy patrzyła na nas z przerażeniem, a ja szybko pakowałam do wózka komosę ryżową, żeby zakryć wszystkie przecenione produkty, podczas gdy Peter wił się na ziemi w konwulsjach, wydając z siebie imitujące wymioty odgłosy.

- Chryste, Ellen, ten to ma wyobraźnię! - powiedziała mama Lucy, zapuszczając żurawia na komosę, ulubioną pożywkę przedstawicieli klasy średniej. - Zabawne. Naprawdę ciągle jeszcze jecie komosę? Kochana, musisz koniecznie spróbować czerwonego ryżu z Carmargue! Zobaczysz, że bardzo pomaga przy wzdęciach... - rzuciła na

koniec i z gracją odmaszerowała z Lucy u boku. (Sophie ma rację, Lucy naprawdę ma głupkowaty wyraz twarzy). Podniosłam Petera z ziemi i odłożyłam komosę na półkę. Szanse, że Simon albo dzieci ją zjedzą, są zbliżone do tych, że mama Lucy zje kanapkę z kotлетem de volaille^[10] (ostatnimi czasy ulubione danie Petera. Oczywiście w grę wchodzi tylko białe pieczywo, nie ma mowy o żadnych domieszkach. Peter potrafi wyczuć błonnik na kilometr). Poza tym mam całą paczkę komosy w szafce w kuchni. Możliwe, że przeterminowała się w 2014 roku, ale i tak się liczy.

Kolejne upokorzenie czekało na mnie, kiedy doszło do płacenia. Kasjerka spojrzała na zapas wina, który miałam w wózku tuż obok litra mocnego dżinu z importu, i wesoło spytała:

- Szykujemy przyjęcie?

Peter próbował akurat polizać taśmociąg, a Jane, udając amerykański akcent, z pełną determinacją scena po scenie odtwarzała przebieg jakiegoś serialu dla dzieci, od którego jest aktualnie uzależniona. Pewnie powinnam powiedzieć, że owszem, szykuję, jednak wskazałam na swoje dzieci i rzuciłam:

- Nie, bynajmniej.

Pomimo całego okropieństwa, wycieczka do sklepu, a konkretniej zabawa w ninja, przypomniała mi o moim doskonałym pomysle, który nawiedził mnie w pubie, zanim szoty tequili zrobiły mi sieczkę z mózgu. Sam opowiadał o tym, że codziennie musi unikać członków Sabatu

Pieprzonych Idealnych Mamusiek pod bramą szkoły i na placu zabaw. Powiedział, że czają się na niego jak wojownicy ninja. W nagłym przebłysku geniuszu zaczęłam się zastanawiać, czy nie powstała już gra komputerowa albo apka dla mam, które odwożą dzieci do szkoły i odgrywają wszystkie inne typowe dla życia rodzica scenariusze, próbując pokonać związane z nimi niebezpieczeństwa. Być może za każdy udany unik otrzymywałoby się kieliszek wina, który na trudniejszych poziomach zamieniłby się w dzin. W twórczym przebłysku wymyśliłam nawet nazwę: *Dlaczego mamusia pije?* A co, jeśli udałoby mi się zarobić na tym jakieś pieniądze i mogłabym sprawić Simonowi niespodziankę, oddając jego kredens do profesjonalnej renowacji? Wygląda na to, że pierwszy raz w życiu mam naprawdę DOBRY pomysł (czym, rzecz jasna, zasłużyłam sobie na lampkę wina)...

Ruszyłam do domu jak szalona, żeby od razu rozpocząć pracę nad aplikacją. Zaczęłam od wyszukania w Internecie, na ile stworzenie apki może okazać się sukcesem. Zaciskałam zęby ze złości, czytając o dwunastolatkach, które sprzedały swoje błyskotliwe pomysły korporacjom za tryliony milionów funtów. Twórcy Flappy Birds zarabiali pięćdziesiąt tysięcy dolarów DZIENNIE, kiedy apka wzniosła się na wyżyny popularności. Zaczęłam sobie wyobrażać, co mogłabym zrobić z takimi pieniędzmi. Oczywiście zainwestowałabym je o niebo lepiej niż pryszczaty nastolatek. Nawet już wybrałam buty od Louboutina, które bym kupiła za pięćdziesiąt tysięcy, chociaż chwilę zajęło mi

przeliczenie tej kwoty z dolarów na funty. Raz po raz spoglądałam na zegarek, żeby sprawdzić, czy nastąpiła już pora na wino, i co dziesięć minut wstawałam, żeby przygotować dla któregoś dziecka przekąskę albo wrzasnąć, żeby przestało bić to drugie. Jak już dzięki mojej aplikacji stanę się niewyobrażalnie bogata, migiem zatrudnię profesjonalną opiekunkę do dzieci. Albo co najmniej nianię au pair.

Środa, 18 listopada

Jane szła po szkole do koleżanki, a ja w przypiływie matczyne go optymizmu stwierdziłam, że dzięki temu będę mogła spędzić trochę czasu z Peterem, żeby pielęgnować naszą więź. Moglibyśmy pójść do uroczej kawiarenki. Jemu kupiłabym gorącą czekoladę, a sama popijałabym kawę. Podzielilibyśmy się ciastem i rozmawiali o tym, co u nas. Taka magiczna chwila. Mogłabym zrobić mu zdjęcie z czekoladą i wstawić je na Facebooka z hasztagiem #wesolewspomnienia i od razu wszyscy by wiedzieli, że jestem kochającą, świetnie funkcjonującą matką, której można zazdrościć bliskiej relacji z najdroższym synem.

Niestety bardzo szybko wszystko zaczęło wymykać mi się spod kontroli. Najpierw Peter kategorycznie odmówił podzielenia się ze mną ciastem. Chciał sam zjeść cały kawałek. Potem zagrał mi na nosie, odrzucając propozycję wypicia czekolady i uparł się, że chce Coca-colę. Wiedziałam, że jeszcze tego pożałuję, ale złamałam się i mu pozwoliłam, żeby wyjść na fajną mamę.

Potem zaczęło się bezlitosne trajkotanie o przeklętych pokemonach...

- Który pokemon jest twój ulubiony? Nie, nie ten! Ten jest beznadziejny. Nie, nie możesz wybrać Pikachu, wszyscy je wybierają. Eevee powinny być twoje ulubione, Eevee są super! Dlaczego nie wybrałaś ich? Jak mogłaś nigdy o nich nie słyszeć? Powiedz, że Eevee są twoje ulubione! Dobrze?

Zmęczona tym wszystkim zaproponowałam:

- Kochanie, a moglibyśmy porozmawiać o czymś innym niż pokemony?

Peter przez jakiś czas patrzył zdezorientowany w pustkę. Rozmawianie o czymś innym najwidoczniej nie wchodziło w grę, a jednak po dłuższej chwili udało mu się zmienić temat:

- A kto jest najlepszym rycerzem Jedi?

- Najlepszym? To proste! Oczywiście, Luke Skywalker.

Peter rzucił mi przerażone spojrzenie.

- NIE, MAMO! YODA jest najlepszym Jedi! Przecież wszyscy o tym wiedzą! Jak możesz tego nie wiedzieć? Dlaczego jesteś taka głupia?

Upomniałam go, że nie wolno mówić ludziom, że są głupi, ale Peter był niezłomny. Powiedział, że każdy, kto nie wie, że Yoda jest najlepszym Jedi, jest po prostu głupi i on nic na to nie poradzi. W związku z powyższym nie pozwolił zrobić sobie zdjęcia.

Kiedy Jane wróciła do domu, z nieskrywaną satysfakcją powiedział jej, że zabrałam go na ciasto, co jest jednoznacznym dowodem na to, że jego kocham bardziej.

Jane odparowała, mówiąc mu, że został adoptowany. Potem oboje zaczęli wrzeszczeć i długo tłumaczyłam Peterowi, że nie jest adoptowanym dzieckiem, a Jane, że wcale nie kocham go bardziej, ale w końcu się poddałam i pozwoliłam im pobawić się iPadami, żeby dali mi wreszcie święty spokój.

Kiedy byli już w łózkach, streściłam Simonowi naszą rozmowę o Yodzie i Luke'u Skywalkerze, a także opowiedziałam, jak bardzo Peter był oburzony i dlaczego nie powinien mówić, że jestem głupia.

Simon rzucił mi takie samo spojrzenie jak Peter i powiedział:

- Ależ Ellen, przecież Yoda jest najlepszym Jedi. Peter ma rację. Wszyscy to wiedzą, a jak ktoś nie wie, to znaczy, że jest głupi!

Kurwa mać. Pieprzone Jedi. Pieprzone pokemony. Kto by pomyślał, że mimo swoich kwalifikacji jestem głupia, bo nie mam pojęcia o takich pierdołach. Należę sobie lampeczkę wina, żeby ukoić egzystencjalny kryzys wynikający z braku wiedzy na głupie tematy, który właśnie mnie dopadł i zaraz pochłonie do reszty. Pies też nie polepsza sprawy. Patrzy na mnie krytycznie jak jakiś Wookiee. Widzicie? Jednak coś wiem o *Gwiezdnych wojnach*.

Sobota, 21 listopada

Czas na drineczki z Hannah i Samem. Dzisiaj ogarnął mnie optymizm godny Pollyanny, bo uświadomiłam sobie, że jeśli Jenkinsowie nie sprzedadzą swojego domu do Gwiazdki, to Louisa, Bardo i czwórka (nie, raczej piątka) ich dzieci,

mieszkając w kamperze na naszym podjeździe przez okrągły tydzień, wystarczą do tego, by tak bardzo obniżyć cenę nieruchomości, że Hannah będzie mogła sobie na nią pozwolić. Minusem tego planu jest to, że ceny wszystkich nieruchomości na ulicy spadną bezpowrotnie. Próbując pocieszyć Hannah, opowiedziałam jej o moim planie, ale ona wciąż tak bardzo się boi, że nie będzie jej stać na dom, że nawet nie chce go obejrzeć. Według mnie to z jej strony bardzo samolubne, bo sama bym chciała pochodzić po ich domu - na zdjęciach przecież tyle można ukryć.

Oczywiście nie powiedziałam Hannah, że jest samolubem, bo byliśmy zbyt zajęci obowiązkową już rundką obgadywania „DUPKÓW, DUPKÓW, ŻOŁĘDNYCH DUPKÓW”, czyli Dana i Robina. Sam powiedział, że Robin odwołał ostatnie dwa dyżury z dziećmi, twierdząc, że ma „zobowiązania w pracy” („Nie wiedziałem, że zaczął migdalić się za pieniądze”, powiedział Sam, pociągając nosem) i że w związku z tym chce zabrać dzieci do siebie na święta, żeby odrobić „swoje” weekendy. Sam toczył pianę z ust, gdy powtarzał kilkakrotnie:

- Po moim trupie!

Hannah też była nie w humorze, bo Dan jest skończonym dupkiem, jeśli chodzi o pieniądze. Spóźnia się z wpłaceniem swojej części kredytu i nie płaci alimentów na dzieci. Generalnie jest po prostu draniem, bo udaje, że nie ma pieniędzy i ma zablokowane konto, ale nie może spędzić z dziećmi Bożego Narodzenia, bo jedzie na wakacje. Na Karaiby. Ze swoją kościstodupną kizią z siłowni.

- Zanim mnie zostawił, przez dwa lata nigdzie nie jeździliśmy, bo podobno nie było go stać - burknęła oburzona Hannah, popijając pinot grigio i pożerając chipsy octowe. Gdyby ktoś chciał opracować najlepszy przepis na zgagę, to oto proszę, właśnie jest.

- DUPEK! - ryknął Sam. - To jak? Czas na tequilę?

- NIE! - zaprotestowałam. - Tequila jest zła! Niedobra tequila!

Wspomnienie potwornego kaca, którego miałam ostatnio po tequili, wciąż mnie nie opuszcza. Przysięgam na Boga, że czułam jej posmak przez trzy kolejne dni. Ku mojemu zdziwieniu Hannah, która jeszcze niedawno zarzekała się, że nigdy więcej nie weźmie tequili do ust i tym razem nie zaleje się w trupa, tylko kulturalnie wypije kilka kieliszków wina (piła już drugą butelkę), powiedziała:

- Tak! Tequila! Tego właśnie potrzebuję! Muszę wam coś pokazać!

Ponieważ sztukę panowania nad sobą mam opracowaną tylko do poziomu przedszkolaka w wigilię urodzin, zaczęłam krzyczeć, żeby zrobiła to NATYCHMIAST, ale musieliśmy wypić dwie kolejki, zanim odważyła się wyjąć telefon i pokazać nam zdjęcie.

- Patrzcie! - machała nam telefonem przed nosem. - Patrzcie na to!

Sam zmrużył oczy, po czym oznajmił:

- Tojst penis, Hannah. Jst zdecydowanie penis.

Chociaż od wielu lat widuję tylko penisa Simona, nie mogłam się z nim nie zgodzić. Z całą pewnością miał rację.

- Choć trzeja przyznać, że niezbyduży - dodał Sam.

- WIEM, że to penis! Przecież wiem, jak one wyglądają - oburzyła się Hannah.

- To do brz. Dobrze wiesz, jak wyglądają. Ale kochana, po co ci zdjęcie penisa w telefonie?

- Wysłał mi je mężczyzna! Po co koleś wysłał mi zdjęcie swojego drąga? Po co?

Wtedy okazało się, że Hannah postanowiła zgłębić świat aplikacji randkowych. Przez większość życia była samotniczką. Nawet w szkole, kiedy ja i inne dziewczyny myślałyśmy tylko o tym, jak złowić chłopaka, Hannah nie wykazywała tym najmniejszego zainteresowania. Pierwszego chłopaka miała na ostatnim roku studiów, a kiedy odszedł od niej po kilku latach, znowu straciła zainteresowanie. Potem poznała i wyszła za Dana, który był - i taka jest święta prawda - pierwszym facetem, z którym spotykała się od czasów Eddiego z uczelni. Widziała w swoim życiu tylko dwa penisy. I chociaż może nie mam prawa potępiać pochopnych decyzji o zamążpójściu, skoro sama wyszłam za chłopaka ze studiów, to przynajmniej zanim poznałam Simona, nadrobiłam trochę statystyki.

Tak czy inaczej, Hannah żyła w błogiej nieświadomości w kwestii zdjęć penisów i kiedy jakiś facet napisał do niej przez portal do randkowania, z góry założyła, że to Ten Jedyny, zaplanowała ślub i była zbulwersowana, kiedy wysłał jej zdjęcie swojego członka, zanim poznała jego imię.

Sam zaczął się śmiać, co niewątpliwie nie pomogło.

- JAK możesz nie wiedzieć o zdjęciach penisów? -

zarechotał.

Na co Hannah ze łzami w oczach odparła:

- A skąd miałabym o tym wiedzieć? **NIE WSZYSCY MAJĄ OBSESJĘ NA PUNKCIE FIUTKÓW!**

- To, że jestem gejem, wcale nie oznacza, że mam obsesję - oznajmił oburzony Sam, po czym dorzucił: - Poza tym mój jest o wiele większy.

W tym momencie dotarło do nas, że połowa klienteli baru przysłuchuje się naszej rozmowie, a niektórzy nawet próbują zapuścić żurawia na zdjęcie, żeby przekonać się, czy faktycznie ten ptaszek był taki mały. (Był. Pomijając fakt, że samo wysyłanie obcym zdjęć swoich genitaliów jest mało wyszukane, otrzymanie zdjęcia tak małego penisa to prawie obelga. „Musisz być bardzo zdesperowana, kochanie, jeśli zaimponuję ci moją małą paróweczką”).

Powiedziałam Simonowi o przerażeniu Hannah, kiedy wróciłam do domu. Śmiał się prawie tak głośno jak Sam. Zna moja przyjaciółkę od prawie dwudziestu lat.

- O mój Boże, biedna Hannah. Wyobrażasz sobie jej minę, kiedy otworzyła zdjęcie?

- No właśnie! To jedna z tych osób, które boją się otworzyć nawet *Radość seksu*^[11], która stała na półce w świetlicy naszej bursy.

- W świetlicy szkoły dla dziewcząt stała na półce *Radość seksu*? - zdziwił się Simon i zaśmiał jeszcze głośniej. Pewnie wyobraził sobie (i całkiem słusznie) grupkę pochylonych nad zdjęciami sfrustrowanych uczennic, które nagle uświadomiły sobie, że nie są tak wyzwolone, jak im się zdawało, kiedy

przeglądały artykuł o pozycji na jeźdźca w magazynie „More!”^[12].

- Tak. Wydanie z lat siedemdziesiątych, w którym były rysunki brodatych, owłosionych mężczyzn. Myślę, że któraś z nauczycielek mogła ją podrzucić jako podstępny formę antykoncepcji, licząc na to, że po jej obejrzeniu nigdy nie będziemy chcieli TEGO robić z tymi obrzydliwymi mężczyznami.

- Chryste, więc co się dziwić, że nasza biedna Hannah tak mocno tłumy swoje potrzeby! To właśnie dlatego zabroniłaś mi zapuścić brodę? - spytał Simon.

- To chyba jednak nie jest wina szkoły. Chodziłam do tej samej, a nie czuję, żebym kiedykolwiek tłumyła swoje potrzeby! - zaprotestowałam.

- O nie, kochanie, myślę, że wcale ich nie tłumisz. Chociaż może pójdziemy na górę i się przekonamy? - spytał Simon niskim głosem.

Poszcęściło mu się, bo osiągnęłam ten poziom pijaństwa, w którym uprawianie seksu wydaje się najlepszym z możliwych pomysłów. To taki święty Graal upojenia, bo wystarczy jeden kieliszek więcej i człowiek pada trupem do łóżka, mamrocząc: „Jstem zmęczona. Przynies mi tosta, mmm, pysznego tosta, kchanie”, po czym zasypia z kawałkiem grzanki przyklejonej do twarzy.

Później, mimo że wcale nie chciałam psuć promieniejącemu Simonowi nastroju, uznałam, że skoro on ma dobry humor, a ja jestem wystarczająco pijana, żeby zebrać się na odwagę, nadszedł moment na poinformowanie

go, że jego siostra razem z chłopakiem i kamperem wypchanym po brzegi dziećmi, zamierza u nas na tydzień zacumować. I że moja siostra z rodziną też przyjadą. Aha! I możliwe, że zaprosiłam też Sama, Hannah i ich (sama już nie wiem ile) dzieci na świąteczny obiad. Całkiem dobrze to przyjął.

W tym wypadku „całkiem dobrze” oznaczało:

- Ja pierniczę! Możesz mi przypomnieć, po jaką cholere rzucałem palenie?

Niedziela, 22 listopada

Simon twierdzi, że Boreas jest szóstym dzieckiem Louisy, a ja musiałam któreś przegapić. Nie wydaje mi się, bo nawet Simon potrafi z głowy wymienić tylko trzy imiona, ale i tak upiera się, że jest ich szóstka.

Dzisiaj obudził mnie dźwięk SMS-ów od Hannah i Sama, którzy pytali, czy zaproszenie na święta jest aktualne, bo jeśli tak, to bardzo chętnie przyjdą. Nie mogłam przecież odpisać: „Sorry, ale wczoraj byłam napruta jak szpadel, nie wiem, co mi strzeliło do głowy, żeby to zaproponować”, więc zapewniłam ich, że oczywiście, to dla nas będzie radość ich ugościć. Ktoś powinien ustanowić prawo, że wszystkie zaproszenia wydane w stanie nietrzeźwości automatycznie tracą swoją ważność w chłodnym świetle poranka.

Kocham Hannah i Sama i szczerze mówiąc, będą mile widziani jako echo zdrowych zmysłów, kiedy Persephone zacznie tłuc klapą od pianina, bo nikt jej nie słucha, Peter i Jane podejmą próbę ściągnięcia Gulliverowi gaci, kiedy ten

zacznie perorować o swojej powieści, którą pisze po francusku „tak dla zabawy”, dzieci Louisy będą sikać na dywan, bo ich mama nie chce tępić w nich kreatywności, do czego by doszło, gdyby nauczyła je sikać do nocnika, Louisa i Jessica będą ochrzaniać mnie za to, że nie spełniłam wszystkich ich wymogów dietetycznych, a ja pod natłokiem tego wszystkiego schowam się w spiżarni z butelką dzinu. (Kocham swoją spiżarnię. Nie było nas stać na ten dom, ale i tak go kupiliśmy, bo kiedy zobaczyłam wyglądającą na północ spiżarnię z prawdziwego zdarzenia, zrozumiałam, że nie będę mogła bez niej żyć. Nikt jeszcze nie zauważył, że zamontowałam zamek od środka). To jednak oznacza, że będę musiała nakarmić od dwudziestu do dwudziestu dwóch osób. Nawet nie mam tylu talerzy! Ani krzeseł! Poza tym przy takiej ilości osób nie da się pójść na łatwiznę i odgrzać jedzenia zakupionego w Marks & Spencer. Będę musiała buszować po niemieckich dyskontach, żeby zgromadzić zapasy na kolację świąteczną, chociaż Jessice oczywiście powiem, że kupiłam wszystko w Waitrosie, bo inaczej na pewno wymyśli sobie jakiś alergen, przez który nie będzie mogła nic zjeść. W Aldim pewnie mają dobre piklowane buraczki.

A skoro już mowa o sikających dzieciakach, to spędziłam dzisiaj całutką godzinę, próbując zlokalizować zapach zaschniętego moczu w łazience. Szorowałam, wybielałam, wymyłam wszystko sodą oczyszczoną, jak polecił mi Google. Dodałam nawet soku z cytryny, bo podobno też pomaga. Wzdrygnęłam się na widok eksplozji piany, do której

doprowadziłam, łącząc sok z cytryny i sodę. (Chyba powinnam bardziej uważać na lekcjach chemii, zamiast rzucać w nauczycielkę papierowymi kulkami, kiedy próbowała po raz setny wytłumaczyć nam, dlaczego estry pachną jak landrynki. Przecież lata pięćdziesiąte już dawno minęły i nikt z nas nie miał szans pamiętać, jak pachną landrynki). Pół godziny później wróciłam do mojej lśniącej czystością błyszczącej łazienki, i MIMO TYCH WSZYSTKICH ZABIEGÓW, dalej czułam zapach moczu, a w dodatku, z kibelka wyglądała na mnie niespuszczona kupa!

Kurwa mać! Spędziłam nad tym pół dnia, i po co? Zaczęłam krzątać się po mieszkaniu marudząc pod nosem, ostentacyjnie wpychając tony brudnych ciuchów do bębna pralki i zbierając porozrzucone po całym domu buty. Pies z kulawą nogą nie zauważył ani tego, że ktoś posprzątał, ani kolejnej dostawy czystych ubrań, ani wypucowanej na błysk łazienki, a już na pewno nie mojego poirytowanego mamrotania. Zabiorę psa i ucieknę z nim na bezludną wyspę. Zobaczymy, czy sobie beze mnie poradzą. Ciekawe, ile czasu minie, zanim w ogóle zauważą, że mnie nie ma?

Środa, 25 listopada

Miałam dzień wolny, więc postanowiłam popracować nad tą przeklętą aplikacją, bo bardzo chciałam ją skończyć przed świętami. Nie powiedziałam jeszcze Simonowi, co robię, i że będę potrzebowała stu dolarów, żeby to opatentować, bo uznałam, że: a) to inwestycja, b) rynek kart kredytowych jest w tak kiepskim stanie, że jeśli masz w banku dług

w wysokości tysiąca funtów, to jest to *twój* problem, ale jeśli wisisz bankowi milion funtów, to już *ich* problem. Może nie brzmi to jak rozsądny biznesplan, ale to jedyne, czego mogę się w chwili obecnej chwycić. Poza tym sto dolarów w przeliczeniu na funty to na pewno nie majątek.

Ten dzień miał przebiec następująco:

08:35. Zaprowadzić ukochane dzieci do szkoły, po drodze wesoło z nimi gaworząc, w towarzystwie radośnie brykającego psa.

08:50. Odprowadzić dzieci na plac zabaw i pożegnać je uściskami i całusami, a one przez łzy wyduszą: „Jesteś najlepszą mamusią na świecie, kochamy cię”.

09:45. Wrócić do domu po długim spacerze z psem.

10:00. Zaparzyć sobie filiżankę pysznej kawy i zacząć pracę nad aplikacją.

13:00. Zrobić przerwę na zdrowy i pożywny lunch, składający się z sałaty i wielu innych warzyw.

13:15. Wrócić do pracy.

15:00. Wrócić do szkoły, żeby odebrać ukochane latorośle, w towarzystwie grzecznie idącego przy nodze psa.

15:15. Zostać radośnie powitaną przez szkraby.

16:00. Podać dzieciom zdrową i pożywną przekąskę

zawierającą owoce.

16:30. Odrobić z dziećmi pracę domową. Dzielić się mądrością i wiedzą z pociechami, czując ciepło na sercu na widok ich niewinnych dziecięcych buziek, na których powoli pojawia się błysk zrozumienia.

17:00. Zacząć gotować pyszny podwieczorek dla ukochanych brzdąców.

17:30. Promienieć ze szczęścia na widok pałaszujących podwieczorek brzdąców.

18:00. Wstawić do piekarnika innowacyjne danie zawierające wiele egzotycznych przypraw, które przygotowałam dla siebie i Simona.

18:30. Nadzorować dzieci podczas kąpieli.

19:00. Pozwolić dzieciom na pół godziny zabawy iPadami, a samej popracować nad aplikacją.

19:30. Powitać kochającego męża. Położyć czyściutki i ziewające dzieci do łóżek wśród przytulasków i buziaków.

19:40. Delektować się cywilizowanej wielkości drinkiem z dżinu i toniku, który wypijemy z kochającym mężem, rozmawiając o tym, jak minął nam dzień i udzielając sobie pełnych wsparcia rad.

20:00. Zasiąść do pysznego i pomysłowego dania. W tym

momencie mąż pada z wrażenia rażony eksplozją smaków, którą właśnie zaserwowałam.

20:30. Popracować nad aplikacją.

22:00. Wypić lampkę wina oglądając *Question Time* (czy raczej *Newsnight*? Nie pamiętam, co nadają o tej porze, ale to bez znaczenia. Grunt, żeby obejrzeć jakiś polityczny program informacyjny dla dorosłych). Poprowadzić dojrzałą, błyskotliwą dyskusję na temat programu z mężem.

23:00. Iść spać. Być może najpierw trochę się pomigdalić.

Niestety, w rzeczywistości dzień przebiegł tak:

08:49. Wyszliśmy z domu. Pędziliśmy do szkoły prawie biegiem. Przez całą drogę krzyczałam na dzieci, żeby się pośpieszyły, bo się spóźnimy, a pies próbował mnie przekrzyczeć.

08:59. Bezceremonialnie wepchnęłam dzieci przez furtkę, krzycząc, żeby biegły, bo są spóźnione.

09:00. Zachwyciłam się faktem, że mam przed sobą cały dzień i ocean możliwości, by go wykorzystać.

09:10. Zdecydowałam się, że zahaczę o Costę i kupię sobie kawę w trakcie spaceru z psem. Zasłużyłam na nią! Na widok cen szczeka opadła mi na podłogę, a kiedy wyszłam z kawiarni, okazało się, że pies wtranżala jakieś podejrzone śmieci, które znalazł na ulicy.

10:00. Cholerny pies wytarzał się w czymś, czego nawet nie jestem w stanie opisać. Wykąpałam go, ale dalej cuchnie, tak samo jak moje ręce. Przypomniało mi się, że podobno sos pomidorowy wywabia zapach odchodów lisa i tym podobnych. Polałam swoje ręce i całego psa sosem, ale natychmiast się otrzepał i cała łazienka, łącznie z sufitem, zrobiła się w czerwone ciapki. Ja też. Wygląda to jak scena z *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*.

11:00. Wyszorowałam łazienkę i przebrałam się. Nadal czuję smród, ale pieprzyć to. Czas zająć się aplikacją. Jeszcze tylko szybko rzucę okiem na Facebooka. O! Koleżanka ze szkoły, Susannah Ellison, strasznie się roztyła. Napiszę Hannah, na pewno się ucieszy. Może nawet z tej okazji zjem batonika?

12:00. Jak to się stało, że straciłam całą godzinę, pisząc do Hannah i wyszukując w Google innych ludzi z klasy, żeby sprawdzić, czy też się roztyli? Jak to możliwe? Dobra, nieważne, czas na aplikację. Teraz, natychmiast. Rzucę tylko okiem na Twittera, żeby zobaczyć, co się dzieje na świecie. Śledzę wielu dziennikarzy, żeby poczuć się ważniejsza, niż jestem, więc kiedy przeglądam Twittera, to dzieje się tak, jakbym czytała wiadomości, poza tym wszyscy wiedzą, że trzeba być na bieżąco z wydarzeniami na świecie. Hmm... Nudy, nudy, nudy... O, no proszę, Kirstie Allsopp na coś się wścieka! Na co tym razem? A niech to szlag trafi, Twitter jest taki chaotyczny! Po przeczytaniu dwudziestu siedmiu tweedów dotarłam do źródła jej złości, którym okazał się

głośno gadający mężczyzna w pociągu. Cóż, nie da się ukryć, że tacy ludzie działają na nerwy.

13:00. GRRR! Nie da się przecież pracować z pustym żołądkiem, więc postanowiłam zjeść lunch. Jakąś zdrową sałatkę. Tyle że żadna z trzech otwartych paczek sałaty, które miałam w lodówce, nie nadaje się już do spożycia. Wybrałam tosta z serem i szynką.

13:30. No właśnie. Apka.

14:00. Podziwiałam wiewiórkę, która usiadła w karmniku dla ptaków. Postanowiłam ją sfilmować i wrzucić na Facebooka. A nuż stanie się hitem?

14:30. Nie było już sensu pracować, więc zaparzyłam herbaty i zjadłam kilka ciasteczek. Rzuciłam okiem na Facebooka, żeby zobaczyć, czy mój filmik z wiewiórką stał się już hitem. Jeszcze nie? Jak to możliwe? Może powinnam wrzucić go też na Instagram?

15:10. Jasna cholerka, zaraz dzieci kończą lekcje! Żeby zdążyć, musiałam pojechać samochodem, i teraz pewnie wszyscy mają mnie za lenia.

15:15. Dzieci wrzeszczały na mnie, bo pomyliłam ich śniadaniówki i Peter dostał kanapkę z serem, a Jane z szynką. Oczywiście nie przeszło im przez myśl, żeby zjeść te kanapki albo się nimi zamienić. Dowiedziałam się, że jestem najgorszą matką na świecie.

16:00. Dałam dzieciom chipsy.

16:30. Zagoniłam dzieci do pracy domowej. Próbowałam ustalić, jak to możliwe, że „zapomniały”, jak się czyta. Kłóciłam się z nimi, jak wykonywać dzielenie, ponieważ, jak się dowiedziałam, mój sposób jest głupi i zły. Zwalczyłam w sobie potrzebę powiedzenia: „Pieprzyć to, to nie ma żadnego znaczenia, myślicie, że kiedykolwiek będzie wam to potrzebne po tym, jak skończycie szkołę? To właśnie dlatego ktoś wymyślił kalkulatory. I właśnie dlatego musiałam poszukać w Internecie, jak się to robi, zanim przyszłam wam pomóc”.

17:00. Wstawiłam makaron. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nadmierne spożywanie makaronu może być szkodliwe dla zdrowia dziecka. Dodałam do niego brokułów, żeby zdusić rosnące we mnie poczucie winy, że codziennie pozwalam im jeść makaron. Z wyjątkiem tych dni, kiedy jedzą pizzę.

17:30. Dzieci dostały ataku hysterii, kiedy odkryły, że w ich spaghetti są brokuły. Coś we mnie umarło.

18:00. Wrzuciłam do piekarnika kurczaka na kolację dla siebie i Simona. Napchałam do środka trochę natki z pietruszki i cytryn, żeby wyglądało, jakbym się postarała.

18:30. Zaczęłam zaganiać dzieci do wanny. Kiedy w końcu mi się udało, uciekłam na dół i sprawdziłam Facebooka w telefonie. Dopóki dzieci krzyczą, znaczy, że nie utonęły.

Stwierdziłam, że nienawidzę wszystkich ludzi z Facebooka, bo jedzą urocze kolacyjki ze swoimi ślicznymi dzieciątkami, z którymi przytulają się przed snem. Peter i Jane gryzą, kiedy próbuję ich przytulić. Nalałam sobie dżinu.

19:15. Próbowалам wyciągnąć dzieci z wanny. Przeprowadziłam inspekcję łazienki, która zamieniła się w postapokaliptyczną strefę mokrych ręczników i kałuż. Wytarłam podłogę, pokrzykując: „ZAŁÓŻCIE PIŻAMY! PRZESTAŃCIE SIĘ BIC!”

19:35. Ryczałam na gołe dzieci: „Czemu nie jesteście jeszcze w piżamach!?”.

19:40. Kiedy Simon przekroczył próg drzwi, obwieściłam mu, że będzie musiał położyć dzieci spać, bo się o niego dopraszają. Nie dodałam: „I dlatego, że ja zaraz je uduszę”. Dolałam sobie dżinu.

20:00. Postawiłam na stole lekko przypalonego kurczaka. Zacisnęłam dłonie na rękojeści olbrzymiego noża do mięsa, kiedy Simon westchnął: „O rety, znowu kurczak? Nie moglibyśmy zjeść czegoś innego? Strasznie już mi się znudził kurczak”. Odłożyłam nóż do mięsa i z niezmaconym spokojem wyjęłam kilka puszek fasolki w pomidorach z szafki. Cisnęłam nimi na stół i spytałam, czy taka odmiana jest wystarczająca. Prawie stanęłam na rżęsach, żeby nie zwariować, kiedy zapytał: „Ale dlaczego jesteś taka niemiła?”.

20:30. Oglądałam w Internecie wyprzedaże. Kupiłam buty w Hobbsie. Wmówiłam sobie, że to świetna okazja i doskonała inwestycja. Nalałam sobie wina.

21:30. Oglądałam *EastEnders* na laptopie, podczas gdy Simon oglądał *Fanów czterech kółek* na telewizorze. Surfowałam po sieci. Dolałam sobie wina. Przez kolejne dwie godziny czytałam o teoriach spiskowych.

Północ. Jasna cholera! Nie dość, że nabrałam przekonania, że podgląda mnie CIA, to jeszcze jutro znowu będę musiała iść do pracy. Simon udawał, że chce się przytulić, chociaż w rzeczywistości zaczął mnie obściskować, licząc na bzykanko. Pogroziłam mu, że jeśli natychmiast nie zostawi mnie w spokoju, to go ugryzę. Zaczęłam się domyślać, od kogo Peter i Jane się tego nauczyli.

GRUDZIEŃ

Wtorek, 1 grudnia

IDA ŚWIĘTA!

Uwielbiam pierwszy dzień grudnia. Przed nami rozciąga się perspektywa okresu świątecznego - całego miesiąca pachnącej cynamonem i goździkami nadziei na pokój na ziemi i atmosfery wzajemnej życzliwości. Radosne wyczekiwanie, kalendarze adwentowe, kolędy, tandetne piosenki świąteczne, lampki choinkowe, przystrajanie pomieszczeń wieńcami z ostrokrzewu, nadziewane ciasteczka, pada śnieg, pada śnieg, dzwonią dzwonki sań, Bing Crosby, stare filmy, pierwszy śnieg, obfity, skrzypiący, gładki, trzaskające drewno w kominku i moje maleństwa biegające po domu z policzkami różowymi od ekscytacji.

To jest chyba najlepszy dzień w całym okresie świątecznym, zanim jego potencjał zostanie kompletnie zmarnowany, a wszelkie marzenia zmiażdżone przez lejący deszcz i chęć odcięcia sobie uszu, jeśli jeszcze raz usłyszy się *Last Christmas* w sklepie albo windzie, mimo że jeszcze dzisiaj będziecie ją śpiewać na całe gardło. Dopiero później uświadomicie sobie, że wasze kochane maleństwa mają różowe policzki, bo są na cukrowym haju, a cały zapas świątecznego baileysa wypiliście jeszcze przed piętnastym grudnia.

Dzisiaj jednak przepiękna wizja jest wciąż niezmacona. Wyobrażacie sobie, jak całą rodziną zmierzacie do domu po ciemnych zaśnieżonych ulicach, a potem popijacie grzany cydr (co to właściwie jest? Po prostu podgrzany cydr czy jakiś specjalny rodzaj cydru? Podejrzewam, że white lightning z mikrofalówki nie będzie w pełni oddawał bożonarodzeniowej atmosfery, do której dążę) i śpiewacie razem kolędy przy pianinie.

Niefortunnie się składa, że nie mogę już straszyć dzieci, że Mikołaj nie przyjdzie, bo starszy brat Olivii Brown powiedział jej, że Mikołaj nie istnieje, a ona podała to dalej wszystkim kolegom i koleżankom z klasy. Kiedy Jane przestała suszyć mi głowę, że przez tyle lat była oszukiwana, postanowiła oświecić Petera, więc nie mogę dłużej udawać, że czujniki dymu to tak naprawdę kamery świętego Mikołaja, który cały czas ich obserwuje (co, kiedy o tym teraz myślę, jest chyba trochę perwersyjne), kiedy desperacko próbuję chociaż na jeden miesiąc w roku zrobić z nich normalne, cywilizowane dzieci. Zawsze zostaje mi wygrażanie, że pozabieram im kalendarze adwentowe, jeśli nie będą grzeczne.

Dzisiaj gra jest jednak warta świeczki. Magię świąt czas zacząć!

Czwartek, 3 grudnia

Jane wręczyła mi już czternastą wersję listu do świętego Mikołaja. Kiedy podliczyłam wszystkie jej zamówienia, wyszło mi, że musiałabym wydać 2 378 funtów i 73 penty. Nie muszę chyba mówić, że Jane nie dostanie wiele ze swojej

listy. Peter najwyraźniej uznał, że pisanie to za duży wysiłek, bo gapi się bezmyślnie w telewizor, krzyząc „TO CHCĘ!”, kiedy emitują reklamy. Wczoraj tak go wessał wir konsumeryzmu, że krzyknął „TO CHCĘ!”, kiedy puścili reklamę produktów dla kobiet. Nie jestem pewna, o co dokładnie mu chodziło (o rolki, piękną blondynkę, plażę czy opakowanie tampaksów), bo kiedy zapytałam, czy wie, czego to reklama, wybąkał tylko:

- Chcę to, chcę.

Po trzech dniach stwierdziłam, że nienawidzę osoby, która wpadła na pomysł, żeby włożyć czekoladę do tych przeklętych pudełek. Nie dość, że dzieciaki dostają cukrowego haju jeszcze przed śniadaniem, to potem chcą jeść tylko supersłodkie płatki śniadaniowe, bo twierdzą, że wszystko inne po czekoladzie smakuje „okropnie”, a potem jeszcze zadowolony z siebie palant Simon, który „zapomniał” jeść swoje czekoladki przez kilka dni, pożera je na oczach dzieci i nie chce się podzielić.

Co roku mówię Simonowi, że nie kupię mu żadnego cholernego kalendarza, bo jest już na to o wiele za stary, ale potem przypomina mi się, jaką histerię urządził podczas pierwszej Gwiazdki po naszym ślubie, kiedy mama zapomniała kupić mu kalendarz, i dostał szału, którego nie powstydzilby się żaden smarkacz. Może nie padł na ziemię, wymachując nóżkami i krzyząc „KALENDARZ ADWENTOWY! CHCĘ KALENDARZ ADWENTOWY NATYCHMIAST!”, ale było blisko. Jego matka poinformowała nas, że myślała, że po ślubie to ŻONA będzie kupować mu

kalendarze, co bardzo mnie zdziwiło, bo nie pamiętam, żeby w mojej przysiędze małżeńskiej był fragment: „I będę ci pieprzoną matką do końca twoich dni...”.

Rok później kupiłam mu kalendarz w ramach żartu, czego chyba nie wyłapał, bo powiedział mi „na przyszłość”, że woli kalendarze Thorntona, a nie te od Dairy Milk, ale cieszy się, że o nim pamiętałam. Kupuję więc mojemu czterdziestoletniemu mężowi kalendarze adwentowe, bo, jak widać, jestem jego matką, a on jest zwykłym rozpieszczonym bachorem.

Piątek, 4 grudnia

Dostałam mejla od Louisy:

Cześć, Ellen.

Nie możemy się już doczekać świąt. Co ze sobą przywieźć?

Namaste,

Amaris

Na Boga, jak mam w subtelny sposób dać jej do rozumienia, żeby pod żadnym pozorem nie brała wysuszonego łożyska?

Przyszedł też mejl od Jessiki:

Cześć, Ellen.

Myślałam o puddingu świątecznym. Jak myślisz, kupić od Fortnum czy Harrodsa? Słyszałam, że w tym roku ten od Heston Blumenthal Waitrose jest niezbyt smaczny, poza tym i tak się już wyprzedał. Mama mówi, że ty masz jakiś dobry

przepis. Może sama wolisz go zrobić?

Najlepsze życzenia,

Jessica

„Chrzań się, Jessica. Chrzań się. Zwaliłaś na mnie całe świąteczne przygotowania, a teraz zrobienie JEDYNEJ RZECZY, KTÓRĄ MIAŁAŚ DO ZROBIENIA, obracasz w jakiś cyrk i próbujesz mnie wmanewrować w robienie puddingu? Nie mam żadnego przepisu! Skłamałam mamie, bo zawsze robiła tyle zamieszania wokół świąt, że kiedyś kupiłam gotowy i powiedziałam jej, że sama go zrobiłam, tylko po to, żeby dała mi spokój. A ona powiedziała mi wtedy, że powinnam po prostu kupić pudding Delia w Sainsbury's, bo to najlepszy, jaki jadła w życiu. A prawda jest taka, że TO BYŁ PIEPRZONY PUDDING DELIA Z SAINSBURY'S! Ellen x”.

Powinnam zredagować tę wiadomość, zanim ją wyślę, chociaż bardzo mnie korci, żeby tego nie robić. Mimo wszystko chwilowy impuls, żeby powiedzieć Jessice, żeby się chrzaniła, nie jest wart oglądania jej naburmuszonej miny przez całe święta.

Te cholerne mejle zepsuły mi całą radość z Olać-to-Piątku. Kipię ze złości, mamrocząc pod nosem coś o puddingach, łożyskach i burakach. W telewizji święta nigdy tak nie wyglądają. Nawet w reklamach Islandii gwiazdka wygląda idyllicznie. Dlaczego w prawdziwym życiu jest tak trudno?

Poniedziałek, 7 grudnia

Kolejne listy ze szkoły. Listy, listy i listy. Niedługo w nich utonę. Listy o wszach, od których od razu swędzi mnie głowa. Listy o targach książek, targach świątecznych, koncertach świątecznych i skomplikowanych loteriach, na których można wygrać bilety na te koncerty. I oczywiście ulubiony list wszystkich rodziców, czyli ten, w którym jest napisane, jakie stroje będą obowiązywać na koncercie świątecznym.

W tym roku zgodnie z informacją podaną w liście Peter będzie kosmicznym duchem, a Jane - stajenną myszą. Koncerty świąteczne stały się dosyć dziwne w ostatnich latach za sprawą postępowej nauczycielki teatru, która reżyseruje własne produkcje. Dlatego zamiast jak za dawnych lat oglądać występy kolejnych klas fałszujących piosenki o Rudolffie Czerwononosym albo *When Santa Got Stuck Up the Chimney* (swoją drogą zawsze chichotałam podczas fragmentu o tym, że Mikołaj osmali sobie sadzą worek. Jestem złym człowiekiem), a potem patrzeć i słuchać, jak przedszkolaki odgrywają szopkę i śpiewają *Away in a Manger*, a wszyscy dorośli ronią świąteczną łezkę, oglądamy *Boże Narodzenie podczas II wojny światowej* (które, jak nietrudno sobie wyobrazić, było bardzo wesołe, kiedy osowiali ewakuanci opłakiwali brak bananów) albo *Boże Narodzenie w Domu Wielkiego Brata*. Bóg jeden wie, co wymyśli w tym roku z tą wyszukaną kombinacją kosmicznego ducha i stajenną myszą.

I tym razem nauczycielka zapewne zaserwuje nam dziwną fantastykę, której nie powstydziałaby się Missy Elliott.

Niezależnie od tego, na ile będzie to odzwierciedlenie jej snów na hajcu z czasów zmarnowanej młodości, Peter i Jane na pewno poradzą sobie tak samo dobrze jak zawsze. W szczęśliwych czasach przedszkola Jane występowała jako Mieszkaniec Betlejem, co polegało na tym, że stała z tyłu sceny i złowrogo patrzyła na widownię. Peter natomiast sprawił, że niemal pękłam z matczynej dumy, kiedy dostał jedną z najbardziej pożądanых ról, czyli Józefa. Wbiegłam do auli, przepchnęłam się na sam przód, głośno krzycząc, że:

- Mój syn gra Józefa, MUSZĘ siedzieć z przodu, tak, przepraszam, nadchodzi mama Józefa, proszę mnie puścić, JESTEM DUMNĄ MAMĄ JÓZEFA!

Kiedy weszli na scenę, Peter był ubrany w ścierkę do naczyń w kratkę i starą koszulę Simona, otaczały go aniołki ze skrzydłami z folii aluminiowej i dosyć posępna Maryja, a ja prawie się rozplakałam ze wzruszenia, takie to było niewinne i urocze. Kiedy Peter znalazł się na środku sceny, wsadził palec do nosa i przez całą resztę przedstawienia w nim dłubał. Mimo moich donośnych szeptów i prób zwrócenia na siebie uwagi, raz na jakiś czas wyjmował palec z nosa, kiedy znalazł w nim szczególnie soczysty skarb. Byłam przerażona. Kiedy po wszystkim zapytałam go, dlaczego mi to zrobił, odparł tylko:

- Co zrobiłem?

Jako kosmiczny duch Peter będzie potrzebował srebrnej farbki do twarzy, rolki folii aluminiowej, starych białych legginsów, niepotrzebnej koszulki i „kosmicznego plecaka” - cokolwiek to ma być. Peter starał się być pomocny

i poinformował mnie, że „to taki plecak, który się nosi w kosmosie”.

Jane potrzebuje starych brązowych legginsów i brązowej koszulki, którą można pociąć.

To całkiem zabawne, bo Peter nie ma starych białych legginsów, a Jane brązowej koszulki, więc będę musiała kupić nowe w Primarku tylko po to, żeby zostały zniszczone w imię polujących na myszy kosmicznych duchów.

Kurwa mać! Dopiero teraz zauważyłam, że w liście napisali, że stroje miały być gotowe dzisiaj. Z drugiej strony, skoro mamy okres świąteczny, to chyba mogę sobie pozwolić na małe winko w środku tygodnia?

Środa, 9 grudnia

Nareszcie skończyłam swoją aplikację *Dlaczego mamusia pije?* (większość zrobiłam w pracy, ale nikt nie musi o tym wiedzieć...). Jestem z niej całkiem zadowolona. Od poziomu 1, na którym trzeba wyjść z domu, popędzając dzieci, zbierając śniadaniówki, prace domowe i podpisane zgody dla szkoły, powstrzymując dzieci, żeby nie wyjęły wam ich z toreb, przez kolejne poziomy, na których trzeba trafić do szkoły w określonym czasie, nie wdeptując po drodze w psie kupy i powstrzymując dzieci przed rzuceniem się pod koła przejeżdżających terenówek i odpowiadając po drodze na pytania dotyczące dzielenia i homofonów, po poziomy średniej trudności, na których trzeba przejść przez plac zabaw, nie dostając w zęby od przerażających blondynek, czyli Ninja-Mamusiek, które czyhają na was schowane za

huśtawkami i zjeżdżalniami uzbrojone w muffiny z organiczną komosą ryżową, którymi w was celują, aż po ostatni poziom, na którym wracacie do domu pijani z pubu, próbując kupić chipsy i ich nie upuścić. To tylko cyfrowa wersja mojego życia z nie najlepszą animacją, ale to pierwsza rzecz od lat, którą zrobiłam tylko dla siebie i która ma w sobie jakieś szczątki kreatywności. Praca nad nią była też bardzo terapeutyczna, bo umieściłam w niej wszystkie wiedźmy, które kiedykolwiek założyły mi za skórę. Szczególnie lubię fragment, w którym trzeba uchylić się przed nadlatującym kubkiem latte na mleku sojowym przy bramie szkoły. Jeśli wam się to uda, bogatej gorącej mamuśce pękna na tyłku legginsy do jogi, a wy zarobicie dzin z tonikiem. Niezłe się uśmiełam, kiedy go robiłam.

Wpłaciłam sto dolarów, żeby się zarejestrować, i teraz zastanawiam się, czy nie dopisać sobie w CV stanowiska „Projektant aplikacji”. W sumie co mi szkodzi? Dopiszę. Przez kilka dni będę musiała czekać, aż zweryfikują mój pomysł i sprawdzą, czy aby na pewno nie jestem internetowym geniuszem zła, który planuje doprowadzić cywilizację do upadku pozornie nieszkodliwą grą platformową, chociaż nawet gdybym BYŁA na tyle mądra, żeby przebrać swój cyfrowy Armagedon w grę o pieczeniu ciastek, pracach domowych i winie, pewnie umiałabym jakoś ominąć płacenie czeków, których oczekują specjaliści od apek. Ale prawda jest taka, że jestem tylko znudzoną alkoholiczką z zaburzoną osobowością typu borderline, która chce uchodzić za względnie normalnie funkcjonującą dorosłą

osobę.

Boże, a co będzie, jeśli im się nie spodoba? Jeśli uznają, że jest do bani? Od rana, kiedy kliknęłam magiczny przycisk „wyślij” na ich stronie, obsesyjnie sprawdzam telefon, choć przecież wiem, że trochę to zajmie. Zaraz zacznę z nerwów łązić po ścianach.

Jeśli nie spodoba im się *Dlaczego mamusia pije?*, chyba się popłaczę. Nawet jeśli im się spodoba, ale nikt jej nie kupi, będę wyć jak bóbr. Hannah na pewno by ją kupiła. I Sam. A co, jeśli nikt inny jej nie kupi i okaże się, że to wszystko na marne? Przynajmniej sama będę mogła sobie czasem pograć i pośmiać się szyderczo za każdym razem, kiedy moja postać przechytrzy Sabat, popłakując gorzko nad kieliszkiem wina, bo życie jest bez sensu. A może szkoły użyją apki jako przestrogi przed nastoletnią ciążą?

Zaczynam się zastanawiać, czy przypadkiem nie mam kryzysu egzystencjalnego.

Piątek, 11 grudnia

W tym tygodniu musiałam poświęcić swój Olać-to-Piątek na rzecz wigilii pracowniczej, najważniejszego punktu socjalizacji w roku. Bo któż z nas nie pragnie wyrzucić w błoto 57 funtów i 50 pensów, żeby niczym nieszczęsna sardynka tłoczyć się w sali bankietowej jakiegoś podrzędnego hotelu razem z uczestnikami dwudziestu dziewięciu innych wigilii? W dodatku odnoszę wrażenie, że ktoś ustanowił prawo, że na każdym z takich spędów musi być co najmniej jedna bardzo pijana kobieta w średnim

wieku, ubrana w za ciasną sukienkę z poliestru i kolorową opaskę z różkami jelenia, która przez cały wieczór jak najęta trajkocze cienkim głosikiem, usiłując poderwać tak bardzo młodego kolegę z biura, że mógłby być jej synem. Później oczywiście wymiotuje, a na końcu współpracownicy pakują ją do taksówki, podczas gdy ona mówi im i w ogóle wszystkim w zasięgu ucha, że ich kocha. O dziwo, wcale nie ja pełnię tę rolę w mojej firmie. To Sandra z działu sprzedaży już dawno ją zaklepała. Dorzucicie do tego przestygłą kolację wigilijną i darmowe wino, na które wszyscy desperacko się rzucają, próbując odbić sobie za bilet wstępu. Kto by się nie cieszył na taki wieczór?

Najlepszy moment wieczoru w tym roku? Może Jenny z marketingu, która zarzuciła mi, że psuję imprezę, kiedy próbowała wepchnąć mi na głowę koronę z cienkiego papieru, a mnie kazała przeczytać dowcip z karteczki, na co syknęłam, że potnę ją na kawałki, jeśli jeszcze raz waży się mnie dotknąć? (Z moimi problemami z bliskością takie wieczory to istna próba wytrzymałości, bo hotele starają się upchnąć jak najwięcej gości, więc na każdego przypada jakieś dziewięćdziesiąt centymetrów przestrzeni osobistej)?

A może Iain z księgowości, który przez czterdzieści pięć minut opowiadał mi o swoich problemach zdrowotnych prowadzących do operacji woreczka żółciowego, a potem ze szczegółami ją opisał? A może Paul z kancelarii z twarzą okrągłą jak pizza, który przydybał mnie, gdy wracałam z toalety, i zaciągnął na parkiet, po czym natarł na mnie swoim podejrzanym wybrzuszonym krocem, szepcząc:

- Zawsze mi się podobałaś, Chrissie...

Dodam tylko, że w naszym biurze nie ma osoby, która by się tak nazywała.

Tak że ho, ho, i jeszcze, kurwa, raz ho! Co gorsza, jutro czeka mnie powtórka z rozrywki w biurze Simona, chociaż jego imprezy są trochę bardziej eleganckie. Mówiąc to, mam na myśli lepszy wybór drinków i to wszystko, co się do drinków podaje.

Poza tym wciąż nie wiem, co z *Dlaczego mamusia pije?*, mimo że sprawdzam telefon obsesyjnie, mniej więcej co dwie sekundy. Poza tym przeczytałam w Internecie, że na akceptację aplikacji przeważnie wystarcza jeden dzień. Może to przez różnicę czasu? Może w Ameryce o tej porze nikt nie pracuje? Albo po prostu im się nie spodobała.

Sobota, 12 grudnia

Imprezka pracownicza Simona była o wiele bardziej wykwintna, co oznaczało wiele wspaniałych dóbr, łącznie z moją nemezis, czyli otwartym barem. Uwielbiam otwarty bar. Podejrzewam, że kiedyś w moim życiu nadejdzie moment, w którym przestanę traktować go jako wyzwanie do wypicia jak największej ilości alkoholu w jak najkrótszym czasie, ale ten dzień pechowo dla Simona jeszcze nie nadszedł.

To, że zalałam się w trupa, nie było tylko i wyłącznie moją winą. Dosiadłam się do żony Briana, kolegi z pracy Simona. Nazywa się Soozie, a wiem o tym dlatego, że tak bardzo jest zapatrzona w siebie, że uznała za konieczne przeliterowanie

mi swojego imienia, a to na wypadek, gdybym się nie zorientowała, jaka z niej ekscentryczka. Soozie dopiero co urodziła dziecko. Ma też drugie dziecko. Zachowywała się, jakby była pierwszą osobą na świecie, która kiedykolwiek powiła potomstwo. Musiałam godzinami wysłuchiwać tego i owego, czyli w sumie wszystkiego na temat jej wyjątkowych dzieci. O tym, że zmieniły jej życie, o tym, jak chce je wychować, o tej niesamowicie śmiesznej rzeczy, którą niedawno powiedział Gabriel, mimo że ma tylko dwa latka i:

- Czy on nie jest uroczy? A tutaj jest Gabriel i Celeste, tak, najmłodsze dziecko, tak, mają takie mądre imiona, ale przecież chodziło o nasze aniołki, a tutaj jest Gabriel na huśtawce, a tutaj Celeste na przyjęciu z okazji pierwszego miesiąca życia... A tutaj z drugiego... A tutaj z trzeciego... A tutaj Gabriel po raz pierwszy w życiu używa nocnika, byliśmy z niego tacy dumni, a tutaj zawartość nocnika i czy nie myślisz, że karmienie piersią jest TAKIE WAŻNE, jakim potworem trzeba być, żeby karmić dziecko z butelki, a potem zamykać je w klatkach i zostawiać na wychowanie wilkom, kiedy samemu idzie się do pracy? Och, jesteś pracującą matką? Rety, nie wiem, kiedy masz na to wszystko czas, ja zresztą nie mogłabym tak zostawić moich maleństw, są całym moim życiem. Muszę ci pokazać, jaki niesamowity rysunek namalował Gabriel, mimo że ma tylko dwa latka.

Nie miałam wyboru, historie o niesamowitych osiągnięciach małego Gabriela i Celeste mogłam przetrwać w jeden tylko sposób: pijąc. I pijąc. I pijąc...

Poza tym pomylenie grającego na żywo zespołu z karaoke

i zgłoszenie się do zaśpiewania *Eternal Flame* to przecież wpadka, która może się przytrafić każdemu. A mój entuzjastyczny taniec mógł być dla muzyków tylko komplementem.

No i skąd miałam wiedzieć, że sympatyczny mężczyzna, którego spotkałam przy barze i ochrzciłam swoim nowym najlepszym przyjacielem, jest w rzeczywistości szefem Simona? Na swoją obronę muszę dorzucić, że picie szotów z płonącej sambucy to był jego pomysł, nie mój! Tak samo jak druga i trzecia kolejka. Poza tym połączyła nas rzadko spotykana więź, co na pewno nie będzie miało negatywnego wpływu na rozwój kariery Simona.

I WCALE nie pochorowałam się w taksówce w drodze do domu. Chciałam tylko chipsów. I kebaba.

Kiedy leżałam już w łóżku i modliłam się, żeby pokój przestał wirować, nagle doznałam olśnienia. Co, jeśli mejl dotyczący mojej apki wpadł do folderu „Spam”? Gdzie mój telefon? Gdzie moja torebka? Gdzie moje buty? Ruszyłam po śladach własnego zniszczenia... Sukienka na półpiętrze, jeden but na schodach, drugi na dole i... hurra! Jest torebka! I telefon! I TAK! Zaakceptowali moją aplikację! Co za wspaniały dzień! Uczczenie tego faktu krótką drzemką na schodach wydawało mi się doskonałym pomysłem.

Niedziela, 13 grudnia

Grrr! Obudziłam się, kiedy Peter i Jane próbowali przeleźć po mnie na dół, żeby włączyć telewizor. Rzucili mi pełne dezaprobaty spojrzenia. Przynajmniej założyłam wczoraj

piżamę i nie leżałam rozwalona na schodach na golasa. Simon też nie jest zachwycony moim zachowaniem i ciągle wypytuje, co DOKŁADNIE powiedziałam jego szefowi, który podobno wcale nie jest tak uroczym człowiekiem, jak mi się wczoraj zdawało. Powiedziałabym Simonowi wszystko, słowo w słowo, gdybym cokolwiek pamiętała. Owszem, doskonale pamiętam, że byłam bardzo dowcipna i czarująca, ale niestety nie potrafię przytoczyć żadnych konkretnych szczegółów. Wydaje mi się, że w pewnym momencie pokazywałam komuś dużo zdjęć mojego psa, ale chyba tylko dlatego, że chciałam się zemścić na tej nudziarce Soozie za niekończący się pokaz zdjęć jej dosyć brzydkich, jeśli mam być szczerą, dzieci. Nie wiem, o co chodzi Simonowi, jestem pewna, że świetnie się dogadywaliśmy z jego szefem. A raczej z sambucą. A może po prostu jeszcze nie wytrzeźwiałam?

Pies patrzył na mnie bardziej zde gustowany, niż ustawa przewiduje. Spojrzałam na niego z miną niewiniątka i rzuciłam:

- Proszę, przynajmniej ty mnie nie oceniaj!
- Na co chrapnął z dezaprobatą.

Wtorek, 15 grudnia

GRRRRGRRRRGRRRR!

Dzisiaj dotarło do mnie, że już środek grudnia. Jakim cudem? KIEDY TO SIĘ STAŁO? Nie zdążyłam wysłać rodzicom Simona prezentów do Francji. Nie zdążyłam ich nawet KUPIĆ! Co więcej, dla nikogo nie kupiłam jeszcze

prezentów, nie napisałam żadnych kartek świątecznych, a teraz jest już za późno, żeby wysłać je za granicę.

Starłam się nie panikować, tylko podejść do problemu na spokojnie. Amazon Prime to mój najlepszy przyjaciel. Amazon Prime rozwiąże wszystkie moje problemy. Co prawda wszystko kosztuje tam dwa razy więcej, ale chrzanić to, teraz to już nie ma znaczenia, po prostu nie mam innego wyjścia. Tym sposobem wyekspediowałam małą fortunę, to znaczy kosmicznie droga poduszka z mopsem, jedwabny szalik i butelka wina poleciały do mamy Simona razem z kilkoma butelkami whisky, płynem po goleniu i spinkami do mankietów dla taty.

A tak na marginesie, to nigdy więcej nie wpiszę w wyszukiwarkę „Prezenty dla mężczyzn”. Ten błąd otworzył mi oczy na zupełnie nowy świat, o którego istnieniu, szczerze mówiąc, wolałabym nie wiedzieć. Życie ze świadomością, że gdzieś tam istnieją lizaki w kształcie cipek (i nawet nie są to wyroby rzemieślnicze), specjalne „mydełka do penisa” (ze specjalnymi otworami o różnych rozmiarach) i coś, co nazywa się „bielizną do fellatio”, chociaż w to akurat bałam się kliknąć, ale pewna część mnie nie może przestać się zastanawiać, co to właściwie jest... Slipy z dziurą w kroczu? Boże, nie mogę przestać o tym myśleć.

Przede mną piętrzyły się kolejne schodki: brak kartek świątecznych, brak czasu, żeby iść na pocztę, brak jakiegokolwiek chęci, żeby pisać kartki, brak irytujących osiągnięć, którymi mogłabym się z dumą przechwalać w pieprzonej corocznej rundce życzeniowo-informacyjnej

(no, chyba że opowiedziałabym o swojej aplikacji opartej na głębokiej nienawiści do świata, mimo że nie zarobiłam na niej choćby złamanego pensa; albo o tym, że w tym roku dzieciaki tylko trzy razy miały wszy. #wygranko).

Postanowiłam, że nie będę się zniechęcać z powodu kartek świątecznych, ponieważ jestem uzdolnioną technicznie projektantką aplikacji. Uznałam, że najlepszym rozwiązaniem na moją chandrę będzie nakręcić uroczy film, na którym ubrani w świąteczne swetry Peter, Jane i pies będą rozkosznie pogrążeni w wigilijnych przygotowaniach. Pod film podłożę jakiś świąteczny hit, a na końcu wszyscy będziemy krzyczeć radośnie:

- Wesołych świąt!

Potem wstawię go na Facebooka, poczekam, aż stanie się hitem, trafię do *Daily Mail*, gdzie opiszą mnie jako najbardziej świąteczną osobę na świecie i już nigdy więcej nie będę musiała pisać tych cholernych kartek! Genialny plan! Co mogłoby pójść nie tak?

Peter i Jane... No tak, tylko oni mogli to schrzanić. Do spółki z przeklętym bulterierem. Dlaczego wciąż zapominam, że podstawowym celem w życiu moich dzieci jest odebranie mi resztek nadziei i obrócenie w popiół wszystkich moich marzeń? Po wielu akrobacjach udało mi się zmusić je do założenia świątecznych sweterków, które podobno są „obrzydliwe” i „drapią”, a potem wcisnąć psa w JEGO świąteczny sweterek. Kiedy to zrobiłam i przestałam już krwawić w miejscu, w którym pies mnie ugryzł (co czyni go właściwie najgorszym z nich wszystkich, bo dzieci tylko

groziły, że mnie pogryzą), było już ciemno. Pies zdjął sweterek w mgnieniu oka i rozerwał go na strzępy. To oznaczało, że nici z moich planów kręcenia ich zabaw na dworze, ale postanowiłam się nie poddawać, bo w domu też mogli robić mnóstwo uroczych rzeczy, na przykład udawać, że pakują prezenty, otwierać kalendarze adwentowe, rozwieszać dekoracje czy piec ciasteczka.

Zamiast uroczo się bawić z wypiekami na półkach, jak to sobie wyobraziłam, dzieciaki snuły się po domu, patrząc na mnie wilkiem. Jane próbowała przykleić Petera do podłogi podczas symulacji pakowania prezentów. Oboje zażądali dodatkowej czekolady na czas udawanego otwierania kalendarzy. Peter stłukł śnieżną kulę, którą miał postawić na kominku, a zamiast oprószyć ciasteczka garstką cukru pudru (kiedy sami będą mieć na piegowatych noskach urocze smużki mąki), rozsypali go po całej kuchni, więc nawet nie miałam jak ich sfilmować, bo nic nie było widać zza pudrowej chmury. W końcu udało mi się posadzić ich na kanapie. Wyglądali trochę jak duchy, mimo że próbowałam ich odkurzyć.

- Po prostu powiedzcie „Wesołych świąt”. Wesoło! - syknęłam.

Piętnaście podejść później nie miałam ani jednego ujęcia, na którym oboje patrzyliby w obiektyw i mówili w tym samym czasie, nie wspominając już o emanowaniu wesołością. Myślałam, że może uratuję sytuację pomysłowym montażem, ale rezultat bardziej przypominał spot Krajowego Towarzystwa Zapobiegania Przemocy wobec Dzieci, niż

budzącą zazdrość atmosferę radości z nadchodzących świąt, do której dążyłam.

Będę musiała wysłać wszystkim wiadomość ze zrzutem ekranu po przelaniu pieniędzy na organizację pomagającą bezdomnym i wyjaśnić, że w tym roku wybrałam opcję ekologiczną i szczytny cel. I chociaż w głębi serca uważam, że tak będzie lepiej, nie uchroni mnie to przed stosem pocztówek z przechwałkami o tym, że Jocasta dopiero co zdała egzaminy w siódmej klasie fletu i wspięła się na Kilimandżaro, żeby zebrać pieniądze na bezdomne kotki i nie może się już doczekać kolejnego semestru w szkole, a Sebastian tak dobrze sobie radzi w jakiejś wymyślnej dziedzinie sportowej, że został najmłodszym członkiem Brytyjskiej Ligi Wymyślonych Sportów i czy my wszyscy nie jesteśmy po prostu wspaniali?

Pieprzyć moje pieprzone życie!

Sobota, 19 grudnia

Kolejne przyjęcie wigilijne. Jedna z mamusiek w szkole zaprosiła wszystkich rodziców z klasy. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy z Samem zaryzykować. Tej mamy akurat nie znałam zbyt dobrze. Była w szkole od niedawna. Zdawała się też mieć zacięcie artystyczne i pracowała w telewizji, więc liczyłam na to, że dzięki temu poznam „znanych ludzi” z filmu i telewizji. Kiedy się do tego przyznałam, Sam powiedział, że jestem płytka i bezwstydna.

Simon długo marudził, że nie chce iść, ale ponieważ nie udało mu się podać lepszego powodu niż „Bo tam będą

ludzie”, a ja poprosiłam opiekunkę, żeby przysłała do dzieci, uparłam się, żeby jednak poszedł. Ludzie i tak zaczynają już myśleć, że Sam tylko udaje, że jest gejem, bo w rzeczywistości ma gorący romans ze mną. Mając na uwadze to, jak bardzo mi się podobał, kiedy się poznaliśmy, ta teoria wydaje mi się całkiem zabawna, ale nie chcę dolewać jeszcze więcej oliwy do ogniska plotek.

Biedny Simon. Zmusiłam go, żeby porzucił swoją samotnię, założył ładną koszulkę i ruszyliśmy z domu zaopatrzeni w butelkę pinot grigio (w rozsądnej cenie) i gwiazdę betlejemską (święta...) kupioną w Waitrosie, z której starannie zdjęłam naklejkę „Przecena” bez naruszenia etykiety.

Nasza gospodyni, Alicia, powitała nas w drzwiach ubrana w nieprawdopodobną liczbę szalików. Udało się jej nawet pobić rekord mamy Simona. Nie sądziłam, że ktokolwiek na tym świecie jest w stanie założyć na siebie więcej szalików niż mama Simona. Alicia była niewzruszona naszą gwiazdą i machnięciem ręki zagoniła nas do kuchni, mrużąc pod nosem, że „Łatwo ją znajdziecie, tam są wszyscy”.

Szybko okazało się, że mamy do czynienia z przyjęciowym apartheidem. Ludzie ze szkoły siedzieli w kuchni, a tylko wytworni przyjaciele z telewizji otrzymali prawo wstępu na salony i wygodne kanapy. Być może Alicia bała się, że zniszczymy jej delikatne meble? Nawet Sabat został zagoniony do kuchni razem z całą resztą gości z listy B. Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson musiała poczuć święte oburzenie, bo Sam mi powiedział, że

próbowała przebić się do salonu, ale Alicia złapała ją w pajęczę sieci swoich szalików i zagoniła z powrotem do kuchni, czyli tam, gdzie było jej miejsce.

W pewnym momencie poszła plotka, że w salonie mają szampana i tartinki, podczas gdy w kuchni było tylko marne białe wino, bagietki i deska spoconych serów. Jeszcze nigdy nie widziałam Perfekcyjnej Mamy Lucy Atkinson tak bliskiej płaczu. Wychyliła na jedno uniesienie pełny kielich letniego chardonnay, pochlipując:

- Chciałam tylko sobaczyć tych z akademii telewizyjno-filmowej, tych z BAFTY!

A Fiona Montague poklepywała ją po ramieniu i pocieszała:

- Jeszcze zobaszemy, kochana, jeszcze ich zobaszemy. Przecież to oczywiste, że nasze miejsce jest tam gdzie BAFTA.

Ośmielone winem członkinie Sabatu zaproponowały swojego rodzaju rozejm. Dotknięte odrzuceniem, do którego nie miały okazji przywyknąć, postanowiły zbliżyć się do pogardzanych, niskogatunkowych mam. Zaczęły budować mosty.

Fiona Montague spojrzała na mnie lekko zamglonym wzrokiem i oznajmiła:

- Wiesz, Ellen, zawsze ci zazdrościłam. Ty masz to wszystko w dupie, prawda? Nieważne, co się dzieje, ty i tak będziesz robić swoje! Chciałabym taka być. Naucz mnie mieć wszystko w dupie!

A niech mnie! Elokwentna Fiona Montague właśnie powiedziała „dupa”. Fionie nie przejdzie przez gardło nawet słowo „bąk”, kiedy ktoś puści bąka, mówi, że „wyprodukował

zapaszek”. Fiona najzwyczajniej w świecie się schlała i wszystko wskazywało na to, że właśnie zostawałyśmy kumpelami od kielicha. Przynajmniej tak mi się zdawało. Z Fiona nigdy nie wiadomo, równie dobrze właśnie mogła mi zadać coup de grâce, cios, którym łaskawie dobija się konającego, uprzednio dodając sobie odwagi miernym winem. Tak czy inaczej, objęła mnie ramieniem i ze łzami wzruszenia wyznała:

- Naprade cię lubię, Ellen. Dlaszego się nie przyjaźnimy? Jesteś taka urosza! Napijmy się wiecej winka!

Byłam przerażona.

Perfekcyjna Mama Lucy Atkinson obłapiała Sama, bełkocząc:

- Tak trdno jest być matką, prawda? Snaczy ty nie ejsteś matką, ha, ha, ale wiesz o szym mówię, praada? To takie truudne. Jezdem taka zmęszona. Chcę zobaczyć BAFTE, tych akademików z BAFTY, ale to nie takie proste!

Na szczęście z odsieczą przyszedł mi Simon, który jakiś czas temu wymknął się do toalety i zaczynałam się już bać, że wpadł w sieć szalików Alicii albo, co gorsza, wszedł na salony i został ukamienowany przez BAFTE, minipolędwiczkę Wellingtona albo ziemniaczki nadziewane kawiozem.

- Tu się schowałaś, kochanie! Co ty tu robisz? Chodź ze mną, chciałem ci kogoś przedstawić - powiedział i trzymając mnie za rękę, zaprowadził na świetliste salony, podczas gdy Fiona Montague i Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson zbierały szczęki z podłogi, pijąc wątpliwej jakości wino i kipiąc z zazdrości.

Okazało się, że Simon chodził do szkoły z mężem Alicii, Tristanem (jak inaczej miałyby się nazywać?). Wpadli na siebie przypadkiem pod toaletą i padli sobie w ramiona, jak przystało na przyjaciół z dawnych lat. Tak dla wyjaśnienia, Simon nie używa Facebooka do celów, do których został stworzony, czyli do podglądania znajomych ze szkoły i studiów w nadziei, że jest się od nich chudszy i ma się ciekawsze życie. Podobno loguje się tylko po to, żeby ocenić, w jakim będę nastroju, kiedy wróci do domu, i poczytać artykuły na *Daily Mash*. Tak czy inaczej wspomnienie o tym, że podmienili lit i magnez na zajęciach z chemii i niemal wystrzelili starego pana Everetta w kosmos, który do końca roku szkolnego chodził bez brwi, wyglądając komicznie, wystarczyło, żeby zaproszono nas do Krainy Mięciutkich Mebli, gdzie co prawda nie było szampana i tartinek, ale miałam okazję potrzymać statuetkę BAFTY. (Nie spodziewałam się, że ta nagroda jest taka ciężka).

Sam opowiedział mi później, co się stało po tym, jak zostawiłam go samego w kuchni. Mama Lucy Atkinson pokłóciła się z mężem, który zasugerował jej, żeby kolejny kieliszek napełniła wodą, a nie winem. Zaczęła krzyczeć „NIE MÓW MI, CO MAM ROBIĆ! DLACZEGO CIĄGLE MI MÓWISZ, CO MAM ROBIĆ?”, na co on zostawił ją w kuchni i poszedł do domu. Kompletnie załamana mama Lucy powiedziała Samowi, że jej mąż chyba jest gejem, a Fiona Montague wymiotowała na kwietnik w ogrodzie Alicii, kiedy mąż próbował zapakować ją do taksówki. Wygląda na to, że Sabat nie najlepiej radzi sobie z odrzuceniem. Albo

alkoholem. Podejrzewam też, że mimo żarliwych zapewnień, że jestem jej najlepszą przyjaciółką, od poniedziałku Fiona będzie zachowywać się wobec mnie po staremu.

Kiedy położyłam się spać, pomyślałam, że może sama zorganizuję imprezę. Możliwe nawet, że słowo już się rzekło i że zaprosiłam na nią wszystkich, którzy byli dziś u Alicii. Simon na pewno się nie zezłości. Będzie fajnie!

Niedziela, 20 grudnia

Hurra! Dzisiaj Dzień Choinki. Pomimo wczorajszej imprezy nie miałam kaca, co oznacza, że wino na salonach było dużo lepsze niż serwowane w kuchni. Wnioskuje to głównie stąd, że Sam wysłał mi zrzuty ekranu niezręcznych wiadomości z przeprosinami od Fiony Montague i Perfekcyjnej Mamy Perfekcyjnej Lucy Atkinson, które rzekomo „troszeczkę przeholowały z winem”. O rany! Ciekawe, jak bardzo będą udawać, że nic z tego nie miało miejsca?

Wracając do drzewka... W mojej wizji brniemy przez ośnieżone ulice, Simon jak prawdziwy mężczyzna niesie choinkę na plecach, a my śmiejemy się, próbując go dogonić. W rzeczywistości na ogół jeździmy do B&Q i wszystko kończy się kłótnią, bo ja upieram się przy kupnie olbrzymiego drzewka, które nie zmieści się do samochodu, a Simon przy tak małym, że nawet mysz by się go powstydziła. Wystarczy minuta i świąteczną atmosferę trafia szlag.

W tym roku znalazłam szkółkę leśną, w której sprzedają choinki. Jestem pewna, że jedzie się do niej uroczą wiejską dróżką, potem przesiada na traktor, a na koniec dokonuje się

wyboru i ścina upatrzone drzewko. Czy może być coś piękniejszego? Ruszyliśmy więc, rycząc na całe gardła kolędę „OOO TANNENBAUM, ooo Tannenbaum!”, aż wreszcie Simon zaczął marudzić, że mamy się uciszyć, bo musi się skupić na prowadzeniu samochodu. Dołączyli do niego Peter i Jane, jorcząc, że nie pozwoliłam im zabrać iPodów. Ale trudno! I tak spędzimy magiczny dzień pełen wesołych wspomnień, które zostaną z dziećmi na zawsze.

Pięć minut po naszym przyjeździe Peter wlaź w błoto i przez resztę wycieczki zawodził, że zaraz umrze z zimna, natomiast Simon przeistoczył się w istnego ŁOWCĘ JASKINIOWCA i kiedy tylko wpadła mu w ręce piła, zaczął krzyczeć:

- ODSUŃCIE SIĘ! ODSUŃCIE SIĘ! BĘDĘ ŚCINAŁ!

Musiał potraktować obowiązek ścięcia drzewka jako próbę podważenia jego kompetencji zbieracko-łowieckich, bo zupełnie jak nie on wybrał tak dużą choinkę, że nie byłam pewna, czy damy radę wnieść ją do domu, nie mówiąc już o spakowaniu do samochodu.

Ale straszne się zawziął i jakimś cudem udało mu się ją wcisnąć do auta, w efekcie czego dla dzieci ledwo starczyło miejsca. Jane twierdziła, że prawie straciła oko, a Peter upierał się, że ma igły w gaciach.

Kiedy byliśmy już w domu, musieliśmy odbyć standardową kłótnię o wstawianie choinki do stojaka. Polega ona na tym, że Simon krzyczy:

- STOI PROSTO? TRAFIŁEM DO STOJAKA?

A ja odkrzykuję:

- TAK, DO CHOLERY!

Wtedy Simon puszcza choinkę, która momentalnie przewraca się na ziemię i musimy powtórzyć tę czynność jeszcze co najmniej sześć razy, zanim udaje nam się unieruchomić drzewko i ustawić je względnie prosto. Potem Simon wiesza lampki, ponieważ, jak widać, jest to zajęcie typowo męskie, a to dlatego, że jego ojciec zawsze wieszał lampki. Dopiero wtedy ja mogę zacząć tworzyć swoją magię, wieszając bombki.

Uwielbiam dekorować choinkę. To jedno z moich najulubieńszych zajęć. Kiedy wyjechałam na studia i wróciłam do domu na święta, byłam tak rozgoryczona, że mama i Jessica powiesiły bombki beze mnie, że płakałam, dopóki nie zdjęły wszystkich dekoracji i nie zaczęły dekorowania od zera, oczywiście już z moją pomocą.

Dawno temu chciałam stroić choinkę razem z dziećmi, ale później uświadomiłam sobie, że jestem choinkową terrorystką, a moje dzieci robią wszystko źle. Od tamtej pory krzyczę na nie przez pierwsze dziesięć minut, aż wreszcie tracą zainteresowanie i znikają mi z oczu. Wtedy mogę przewiesić bombki, które zawiesiły w głupich miejscach. (Na przykład ich ręcznie robione, oblepione brokatem i glutami potworki chowam gdzieś w głębi drzewka, żeby nie były na widoku, a z przodu i po bokach wieszam moje gustowne szklane dekoracje od Johna Lewisa i White Company). Przynajmniej w tej materii mogę zrealizować swoją bajeczną wizję świątecznej radości, śpiewając przy okazji kolędy i próbując powstrzymać psa, żeby nie nasikał na choinkę (bo

czy jest jakiś inny powód, dla którego wstawia się do salonu drzewo?).

Siedziałam więc w blasku lampek choinkowych, moje serce kipiało radością (choć to pewnie dlatego, że w trakcie dekorowania drzewka popijałam wino musujące) i wołałam:

- Spójrzcie na choinkę! Prawda, że jest cudownie odświętna? Prawda, że pięknie pachnie? Popatrzcie tylko! ALE NIE DOTYKAJCIE! TYLKO PATRZYMY. ZOSTAWCIE CZEKOLADOWE DEKORACJE! Nie, one nie są do jedzenia! Nie obchodzi mnie, że są jadalne, nie będziecie znowu wyjadać dekoracji z choinki. Simon, to dotyczy też ciebie!

Dzisiaj wszystko skończyło się dobrze. Był to chyba najbardziej świąteczny dzień w grudniu, chociaż kolejny raz przeszło mi przez myśl, że może przemawiało przeze mnie wino. Poza tym nasza mnie ochota na ciasteczka.

Szkoda, że nigdy nie lubiłam sherry, bo ten wieczór aż się prosił o wypicie szklaneczki tego trunku.

Wtorek, 22 grudnia

Dzisiaj przyjechała Louisa razem z Bardem i ich szóstką dzieci (czyli Simon miał rację). Nie ma na świecie tyle wina, żeby stępić mój ból.

Ponieważ wzięłam wolne w pracy, żeby zajmować się dziećmi w trakcie ferii, mogłam ich przywitać, kiedy zajechali pod nasz dom tuż przed lunchem (wygodniccy). Mimo żarliwych zapewnień Louisy, że wszyscy będą spać w kamperze, nawet ja nie jestem w stanie zmusić szóstki dzieci do spania w aucie w środku grudnia, więc musiałam

ich poupychać po całym – niezbyt dużym – domu. Louisa, Bardo, noworodek i najmłodsze dziecko śpią w pokoju gościnnym, a Peter i Jane dzielą swoje sypialnie z pozostałymi dziećmi. Dobrze, że pomyśleli chociaż na tyle, żeby w najstarszej czwórce mieć po równo chłopców i dziewczynek. Przynajmniej nie muszę wysłuchiwać narzekania moich latorośli, że któreś z nich musi mieć w pokoju więcej gości niż to drugie.

I tak zaczęli marudzić, że wcale nie chcą dzielić z nikim pokoiów. Oczywiście robili to najgłośniej, jak się da, i kiedy Louisa stała tuż obok („Proszę, Ellen, mów mi Amaris! Imię Louisa porzuciłam dawno temu, kiedy poświęciłam się Bogini”). Oczywiście wykorzystywała też tę okazję do wygłoszenia wykładu o tym, że wychowując swoje dzieci, nauczyła je, że jedyne, co naprawdę jesteśmy w stanie osiąść, to nasze dusze, bla, bla, bla. Błysk w oczach jej pociech sugerował jednak, że nie podzielają poglądów matki na temat materialnych własności. Będę musiała przeszukać kieszenie tym gałganom, zanim wyjadą.

Lunch nie bardzo się udał, bo Louisa zapomniała wspomnieć, że odkąd ostatnio się widzieliśmy, cała rodzina przeszła na dietę bezglutenową i wegańską, więc wzgardzili zapiekanką z makaronem, którą przygotowałam. Powiedzieli jednak, że nic się nie stało, żebym się nie martwiła, bo Bardo ugotuje swoją specjalność, czyli zupę. I od razu zabrał się do pracy, plądrując kuchenne szafki w poszukiwaniu soczewicy i ciecioriki (zaczynam się martwić o kanalizację, jeśli cała ósemka będzie przez tydzień opychać się błonnikami),

a Louisa przeszukiwała lodówkę, narzekając na brak warzyw organicznych.

- Warzywa z supermarketów są pełne toksyn. Podajesz swojej rodzinie truciznę, Ellen! Wiem, że warzywa ekologiczne są dużo droższe, ale możesz przecież uprawiać własne, jak my. To bardzo łatwe i satysfakcjonujące, a kontakt z ziemią sprawia, że zaczynasz doceniać każdy kęs!

Potem zaczęła przeszukiwać jedenaście milionów toreb z juty, w które się spakowali (czyżby walizki były symbolem męskiej opresji i gwałtem na planecie? Kto wie? Kogo to właściwie obchodzi?) i wcisnęła mi pękaty worek.

- Wiem, że jest nas dużo i nie chcieliśmy, żebyście myśleli, że zamierzamy na was żerować, więc przywieźliśmy coś ze sobą! - powiedziała, uśmiechając się z dumą, a ja podejrzliwie zerknęłam do środka, gdzie czaiły się zwiędłe, upačkane błotem bulwy wszelkiej maści. - Kiedy raz ich spróbujesz, już nigdy nie wrócisz do tych okropnych, pakowanych w plastik warzyw! Ani się obejrzysz, a sama będziesz po łokcie zanurzona w obfitych ziemiach Bogini! - Wraz z dodatkowym kilogramem błočka wysypała zawartość worka na blat. - To dobra, czysta ziemia, nic się nie przejmuj! - dodała, po czym zaczęła wymachiwać mi przed nosem tajemniczymi przedmiotami. - Zobacz sama! Ziemniaki, cebula, buraki i jarmuż. Pyszności! Bardo doda je do zupy. Uszy będą wam się trzęsły!

Próbowałam ukryć swoje oburzenie w związku z tym, że po pierwsze, Louisa najwyraźniej nie rozumie roli, jaką buraki odgrywają podczas kolacji wigilijnej w mojej rodzinie. Niech

sobie nie myśli, że te bezkształtne jądra, którymi wymachuje mi przed nosem, zastąpią święty słoiczek piklowanych buraczków na moim świątecznym stole. W tej kwestii przynajmniej będę mogła liczyć na Jessicę, mimo że podziela ona poglądy Louisy na temat warzyw z nieekologicznych hodowli, które rzekomo powodują raka, kiedy tylko zbliży się je do ust. A po drugie, Louisa liczy na to, że będę jej wdzięczna, bo przywiozła warzyw na jeden garnek zupy, podczas gdy ja będę musiała karmić jej wiecznie umorusane bachory przez tydzień.

Bardo tak długo gotował zupę, że moje dzieci wałkowały się po podłodze, trzymając się za brzuchy i jęcząc, że zaraz pozdychają z głodu. Za to Louisa krzyczała na swoje (czyli na Cedrica, Nisiena, Idelisę i Coventinę - nie jestem jeszcze pewna, które to które), żeby natychmiast odłożyły iPady, bo nie chce, żeby ich umysły i ciała zostały skażone przez szkodliwe fale elektromagnetyczne. Boreas, noworodek, przez cały czas wydzielał trujące moim zdaniem zapachy, jednocześnie próbując uchylić się przed Louisą, która starała się wepchnąć mu do ust swoją pierś. Za to Oilell, ostatnie dziecko, dwa razy zrobiło kupę na podłogę, co zostało skwitowane słowami:

- Ciągle jeszcze pracujemy nad komunikowaniem potrzeby wypróżniania. Oilell nie lubi nosić pieluch, bo ją drażnią. Dlatego kiedy chce skorzystać z toalety, mówi nam o tym. Chociaż czasami woli wyjść do ogrodu, tak jak chciała czynić matka natura. Nisien też to robi.

Do jasnej cholery! Jedno dziecko robi na podłogę, a drugie

w ogródku? Ciekawe, kto po nich sprząta? Wystarczy, że muszę łązić z torebką za swoim psem, nie zamierzam jeszcze zbierać kup Nisiena, który postanowił wyrazić siebie poprzez odrzucenie burżuazyjnego wynalazku, jakim jest toaleta, na rzecz SRANIA W MOIM PIEPRZONYM OGRODZIE!

Bardo postawił na stole mój najlepszy garnek od Le Creuseta. W środku pływał jakiś trudny do opisanie szlam.

- Wygląda jak kupa! - skwitował Peter.

- I pachnie jak kupa! - dodała Jane.

- Zachowujcie się, dzieci - powiedziałam, chociaż w głębi duszy zgadzałam się z nimi. - Wiesz, Louisa, to znaczy Amaris, dla wszystkich pewnie nie wystarczy. Zupa wygląda świetnie, ale nie chcę, żebyście chodzili głodni, więc my zjemy makaron. Nie, nie, nic się nie martw, jesteśmy przyzwyczajeni do jedzenia toksyn.

Gdyby widok przypalonej zupy nie wystarczał, żeby zniechęcić potencjalnych smakoszy, ziemia (nieważne jak dobra i czysta) wyglądająca spod paznokci Bardo mogła przyprawić o skurcze nawet najbardziej wytrawny żołądek.

Po obiedzie Louisa oświadczyła:

- Rety, Ellen, jestem wykończona! Od trzech dni jesteśmy w drodze, a dzisiaj musieliśmy wstać bardzo wcześnie, bo bardzo chcieliśmy zjeść z wami obiad. Czy mogłabym wziąć kąpiel?

Nie byłam przekonana, czy gorąca kąpiel wpisuje się w ekologicznego ducha Louisy, ale nie miałam wyboru. Przez zaciśnięte zęby wycedziłam:

- Tak, oczywiście. Przyniosę wam czyste ręczniki.

- Och, jesteś taka miła! Bardo, chcesz do mnie dołączyć? Ellen, spojrzysz na dzieci? Boreas pewnie i tak będzie spał, Oilell tak samo, więc nie będziesz miała dużo roboty.

Naturalnie, nie mam nic do roboty. Muszę tylko wyszorować zabłoconą kuchnię, pozmywać górę naczyń, deskę do krojenia i nóż, o które poprosił Bardo, żeby przygotować swoje kulinarne arcydzieło, to znaczy Błoto à la Mode, przy okazji pilnując OŚMIORGA dzieci, w tym noworodka i srającego po kątach smarkacza. Pestka.

Wychodząc z kuchni, Louisa spojrzała, jak wkładam naczynia do zmywarki, i rzuciła jeszcze:

- Mam nadzieję, że nie używasz jej za często. Zużywa mnóstwo wody i prądu. To bardzo szkodliwe dla środowiska.

Dwie godziny później Louisa i Bardo wyszli z wanny. Nie wyglądali o wiele czystiej, za to od obojga czuć było na kilometr moim najlepszym olejkiem do kąpieli, który zachowuję na specjalne okazje. Dzieci siedziały w transie przed telewizorem. Pozwoliłam Peterowi i Jane włączyć najbardziej odmóżdżający, irytujący i piskliwy program, jaki się da, żeby tylko dali mi spokój. Szczęśliwie, pomimo pokaźnej ilości soczewicy, którą dzieci Louisy zjadły na obiad, żadne z nich nie zakomunikowało potrzeby wypróżnienia.

Ku niezadowoleniu Petera i Jane, Louisa wyłączyła telewizor, rozsiadła się na kanapie i ZDJĘŁA KOSZULKĘ.

- Dzieciaki, czas na mleko! Kto pierwszy? - zawołała.

Ja, Peter i Jane z przerażeniem patrzyliśmy, jak najstarsze z nich, czyli chyba Cedric, który musi mieć około ośmiu lat,

wessał się w pierś Louisy. Pozostali członkowie watahy czekali w kolejce tuż za nim.

- Nie wstyďte się, dzieci! - rzuciła wesoło Louisa do Petera i Jane. - Wy też możecie się poczęstować. To czysta natura!

Drżący i bladzi z przerażenia wyszliśmy z salonu. Nawet Jane odebrało mowę, chociaż obawiałam się, że nadrobi to później.

Łazienka była w gorszym stanie, niż po kąpielach dzieci. Kałuże na podłodze, mokre ręczniki i butelka po moim drogocennym olejku, w której nie została ani kropelka. Na ściankach wanny została czarna smuga, której wyczyszczenie zajęło mi około dwudziestu minut. Założę się, że uprawiali seks. W mojej wannie! Już chyba nigdy do niej nie wejdę! A olejek Penhaligon's do końca życia będzie kojarzył mi się ze zdradą, poczuciem niepowetowanej straty i włóchatymi jądrami Barda.

Kiedy Simon wrócił z pracy, Louisa wciąż siedziała na kanapie z coraz to innym dzieckiem uwieszonym przy piersi.

- Cześć, Si! Dobrze cię widzieć! - zawołała.

Na ten widok Simon wyparował z pokoju.

- Boże, Si, zawsze byłeś taki pruderyjny. To na pewno dlatego, że mama nigdy nie karmiła cię piersią.

Ruszyłam za Simonem i obwieściłam:

- To twoja siostra. Ja wychodzę.

Pojechałam prosto do Sama. Po drodze zatrzymałam się tylko raz, żeby kupić dwie butelki wina i paczkę papierosów. Sam umierał ze śmiechu, kiedy mu się żaliłam.

- Nie będzie ci do śmiechu, jak podczas kolacji świątecznej zobaczysz jej gołe cycki tuż obok półmiska z brukselką - skwitowałam.

Kiedy wróciłam do domu, Simon złapał mnie i rzucił oskarżycielskim tonem:

- Paliłaś!

- Tak! I co z tego? - mruknęłam z miną naburmuszonej nastolatki.

- Nic, poczęstuj mnie, do cholery! Zostałem zmuszony do obejrzenia filmu z porodu Boreasa w lesie. Louisa zatrzymała film w momencie, w którym jego główka po raz pierwszy ujrzała światło dzienne. Właśnie widziałem ludzką głowę wynurzającą się z cipki mojej własnej siostry! Aha, muszę też dodać, że Bardo również był na filmie. Nagi. Całość nakręcił ich znajomy, więc klejnoty Barda było widać niejeden raz. Muszę natychmiast zapalić.

Wymknęliśmy się do ogrodu.

- Patrz pod nogi. Nisien lubi załatwiać się na dworze, na łonie natury - ostrzegłam.

- Dobry Boże! Jak my to przetrwamy? Wiem, że to moja siostra, ale...

- Jest świętoszkowatą, pretensjonalną hipokrytką, wrzodem na tyłku, który stoi na bakier z higieną osobistą i nie ma żadnego szacunku dla... mojego olejku do kąpieli? - zasugerowałam.

- Chciałem powiedzieć „dla ciężkiej pracy”, ale twoja wersja też jest w porządku.

Zaciągnęliśmy się papierosami.

- Ciekawe, co by powiedziała, gdyby nas przyłapała na paleniu? - zaczęłam się zastanawiać.

- To samo, co zawsze: że nasze papierosy są złe i szkodliwe, ale powinniśmy spróbować skrętów Barda, które są naturalne i dobre dla zdrowia. Dzięki temu kolejny raz będzie mogła poczuć się lepsza od nas. Nie wiem, czy ja to wytrzymam. Może uciekniemy? Dzieci możemy zostawić, Lou i tak się nie zorientuje, że ma o dwójkę więcej. Moglibyśmy wymknąć się do ogrodu pod pretekstem zebrania organicznej komosy, a tak naprawdę damy nogę i spędzimy Gwiazdkę w jakimś hotelu. Nawet nie zauważą naszego zniknięcia.

- Ona na pewno zauważy, kiedy tylko uświadomi sobie, że nie ma wobec kogo być protekcyjna i nie ma kogo besztać za nadmierną emisję dwutlenku węgla. A gdybyśmy zostawili jej dzieci, po trzech godzinach doznałyby szoku spowodowanego brakiem promieniowania sprzętów elektrycznych, którymi codziennie smażą swoje dziecięce mózdzki. Pewnie by zwariowały. Zaczęłyby biegać po domu z nożami kuchennymi, zabijając wszystko, co stanie im na drodze do telewizora.

- Masz rację - przyznał smutno Simon. - Mamy przechłapane, co nie?

- Tak, chociaż może nie jest aż tak źle. Przynajmniej nie zatkali jeszcze klopa swoimi soczewicowymi turbodochodami!

Kiedy kończyłam zdanie, doszło do nas wołanie Louisy:

- Ellen? Ellen, toaleta chyba się popsuła. Będziemy

korzystać z kibelka przy waszej sypialni, dobrze?

Ożeż kurwa mać! Dlaczego jeszcze nikt nie kupił mojej aplikacji?

Środa, 23 grudnia

Lista rzeczy, które będę musiała wyrzucić po wyjeździe Louisy, powiększa się z każdą minutą. Dziś rano, kiedy zeszłam na dół, spotkałam ją w kuchni. Robiła sobie smoothie w moim blenderze. Zużyła w tym celu wszystkie warzywa, które miałam w lodówce, i całą zawartość miski z owocami, łącznie z pioruńsko drogim melonem i malinami, które kupiłam, żeby podać jako ironiczną przystawkę na kolację w Boże Narodzenie. Wygląda na to, że jeśli koszyk malin kosztuje 3,99 funta, Louisa jest w stanie przymknąć oko na zasadę spożywania tylko i wyłącznie organicznych produktów.

Oniemiała patrzyłam na chaos i zniszczenie, które moja szwagierka bez większego wysiłku siała w kuchni. W pewnym momencie wzięła do ręki małą pojemnik zawierający białą żelującą substancję i przelała jego zawartość do blendera. Prawdopodobnie była to jedyna rzecz, której nie zainwaniała mi z kuchni. Wiedziałam, że lepiej nie pytać, co to jest, bo pewnie okaże się, że to sok z jakiejś peruwiańskiej organicznej rośliny, którego koniecznie muszę spróbować. Niestety nie udało mi się powstrzymać.

- To nasienie! - odpowiedziała radośnie Louisa.

- Ha, ha, ha - zaśmiałam się. - Przepraszam, Louisa, chyba się przesłyszałam. Czy ty powiedziałaś: nasienie?

- Dokładnie. Bardo daje mi odrobinę każdego ranka. Jest bardzo pożywne. Ma mnóstwo witamin z grupy B i białka. Sprawdza się też świetnie jako maseczka do twarzy. To dzięki niej tak młodo wyglądam, a moja cera promienieje. Chcesz spróbować mojego smoothie?

Nie byłam w stanie jej odpowiedzieć, bo z przerażenia zaschło mi w gardle. Louisa właśnie wrzuciła hipisowskie plemniki Barda do mojego KitchenAida! Co więcej, chciała mnie nimi poczęstować! Co z nią nie tak? Nie mogła po prostu zrobić mu loda? Czy „zbiera jego plony” sama, czy czeka na nie, kiedy on wymyka się do łazienki z gazetką? PO CO LUDZIE ROBIĄ TAKIE RZECZY?! Dlaczego ja w ogóle o tym myślę? Poza tym od kiedy Louisa „odnalazła Amaris”, wygląda o dziesięć lat starszej niż wcześniej i ciężko stwierdzić, czy promienieje, czy nie, bo przeważnie jest usmarowana białkiem, nawet po tym, jak wetrze w siebie cały mój olejek do kąpieli, co wciąż mam jej za złe i będę mieć jeszcze długo.

Kiedy udało mi się dość do siebie na tyle, żeby wydusić:

- Co, do cholery? - Peter i Jane weszli do kuchni, żądając czekoladowych płatków śniadaniowych.

- Poprosiliśmy ciocię Louise o śniadanie, ale powiedziała, że może nam dać tylko swoje obrzydliwe smoothie albo jakąś paskudną owsiankę - poskarżyli się.

Pierwszy raz w życiu byłam wdzięczna Peterowi i Jane za ich awersję do czegokolwiek, co może zawierać witaminy lub inne substancje odżywcze. Przynajmniej miałam pewność, że nie wezmą do ust niczego, co przygotowują Louisa czy Bardo,

więc żadne z ich płynów ustrojowych nie trafi do żołądków moich dzieci.

- O właśnie, Ellen! - przypomniała sobie Louisa. - Nie mogłam zrobić owsianki z nasionami chia, bo nie mogłam ich nigdzie znaleźć. Gdzie je trzymasz?

- Nie mam nasion chia - burknęłam, szykując się na nieuniknione. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, czym są nasiona chia. Słyszałam o nich tylko raz, kiedy Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson trajkotała coś na ten temat do reszty członkiń Sabatu.

- Nie ma problemu - zaświergotała Louisa. - Pewnie i tak będziesz jechać dziś do sklepu, to kupisz. Zrobiłam krótką listę rzeczy, których będziemy potrzebować, mogłabyś to dla mnie załatwić? Albo mam lepszy pomysł! Pojadę z tobą! Urządzimy sobie mały wypad na zakupy, same dziewczyny! Będzie super!

Tak, na pewno będzie super. Będzie tak super, że wolałabym od razu zacząć kopać sobie grób.

Mogło być przecież gorzej. Naprawdę mogło. Przynajmniej udało mi się wybić jej z głowy pomysł, żebyśmy wszyscy, łącznie z ósemką dzieci, pojechali ich kamperem Gunnarem. Argument, że ładowanie dwunastu osób do samochodu, w którym wystarcza pasów dla czterech, jest łamaniem prawa, podziałał, mimo że Louisa długo upierała się, że w Szkocji nikt nie zawraca sobie głowy takimi głupotami. Jestem pewna, że to bzdury i ludzie nie zawracają sobie głowy pasami tylko w jej urojeniach. Powstrzymałam się jednak o komentarzy na rzecz snucia wizji o tym, jak Louisa

trafia za kratki, a jej dzieci marnieją pozbawione życiodajnego mleka z jej piersi. Ona sama zamienia się w pomarszczoną wiedźmę odcięta od źródła odmładzającej spermy Barda i kiedy wychodzi z więzienia, jest już tak zasuszona, że Bardo rzuca ją dla jakiejś młódki, a dzieci w ogóle już jej nie pamiętają.

Ostatecznie jednak Louisa skapitulowała. Wzięłyśmy mój samochód i zostawiłyśmy większość dzieci z Bardem i Simonem, żeby chociaż część z nas została przy życiu, bo wypad na zakupy z Louisą może się równać jedynie wejściu w paszczę lwa albo czymś jeszcze gorszym.

Aldi się nie sprawdził, bo nie mieli w nim nasion chia ani kawy organicznej, chociaż znalazłam całkiem przydatny mały generator prądu w przystępnej cenie. Kiedy jednak zaproponowałam Louisie, żeby sobie taki kupiła, by zmniejszyć koszty prądu, które ponosi przez zupełnie nieefektywne panele słoneczne, wzdygnęła się.

- PALIWA KOPALNE, ELLEN! - krzyknęła. - Nie, nie i jeszcze raz nie! Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdybym sprowadziła do naszego ustronia paliwożerczego potwora!

Za to jeżdżenie po całym kraju zrupieciałym kamperem, który żłopie diesla, a wypluwa czarny dym, jest jak najbardziej w porządku? Nawet moja ukochana terenówka była dla Louisy pretekstem do wygłoszenia wykładu na temat pojazdów, które palą jak smok. Oczywiście z sugestią, że powinnam przesiąść się do samochodu elektrycznego. Czasami wydaje mi się, że ona sama już nie wie, co mówi.

Waitrose, mimo że ma w sprzedaży niezbędne nasiona chia

i wszystkie organiczne produkty, jakie można sobie wyobrazić, również zostało skreślone, jako „korporacyjna sieciówka dla nudziarzy z klasy średniej”.

Gwoli ścisłości: ja jestem nudziarą z klasy średniej, tak samo jak i Louisa, która uczyła się w prywatnej szkole, a potem studiowała na Uniwersytecie w Durham. Poza tym uwielbiam Waitrose’a, ale po dwudziestu minutach chodzenia w tę i z powrotem i wysłuchiwania narzekań o tym, że „na Boginię, ten produkt przebył tyle kilometrów, żeby tu być” (choć zauważyłam, że jeśli chodzi o kawę, żywnościokilometry przestają ją interesować), w końcu pękłam i zgodziłam się, żeby zabrać ją „na jakiś lokalny targ albo do sklepu ze zdrową żywnością. Widziałam jeden po drodze, myślę, że to o wiele lepszy wybór”. Ponieważ Louisa właśnie zamierzała rozebrać się na środku sklepu i w alejce z pieczywem zacząć karmić piersią najstarsze dziecko, Cedrica, uznałam, że faktycznie najlepiej będzie, jeśli stamtąd wyjdziemy. Przynajmniej ludzie przestaną się na nas gapić, a Louisa nie odbierze mi raz na zawsze radości z przebywania w moim ulubionym sklepie.

Kiedy wróciliśmy do domu, Simon powitał nas w drzwiach. Miał podkrążone oczy, w wyciągniętych na pełną długość rękach trzymał drącego się w niebogłosy Boreasa (nie pozwoliłam Louisie zabrać go ze sobą, bo nie mają fotelika. Nie przekonał mnie argument, że będzie całkiem bezpieczny na jej kolanach, w chuście).

- Chodź - rzucił Simon, wciskając (śmierdzącego, a jakże) Boreasa w objęcia ukochanej matki, po czym złapał mnie za

rękę i dodał: – Idziemy do pubu.

Okazało się, że nasz anioł stróż Sam odwiedził nas, kiedy mnie nie było, i zaprosił Petera i Jane na nocowanie.

– Spakowali plecaki i założyli kurtki, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć – wyjaśnił Simon.

Opowiedzieliśmy sobie, jakie okropieństwa spotkały nas tego popołudnia, uśmierzając ból wspianiałym i życiodajnym alkoholem.

– Jej wyczucie ironii jest równe zeru. Odmawia kupowania organicznej kawy w Waitrosie, bo to sklep dla „klasy średniej”, a potem, w tym cholernym sklepie ze zdrową żywnością, wypchała wózek potwornie drogimi nasionami dla ptaków, a kiedy doszliśmy do kasy, oświadczyła, że zapomniała torebki, bo odzwyczaiła się od płacenia za zakupy, bo w jej stronach stosuje się wymianę barterową ze znajomymi. Musiałam za nią zapłacić!

– Wleźli za mną do mojej szopy. Mojej szopy! Nawet Peter i Jane nie wchodzi do mojej szopy!

– Jeśli mam być szczerą, kochanie, to myślę, że nie wchodzi tam tylko dlatego, że w twojej szopie jest ciemno i dziwnie pachnie, a poza tym powiedziałeś im kiedyś, że mieszkają tam wiewiórki wampirze, które atakują małe dzieci.

– Zaczęli wszystkiego dotykać. W mojej szopie! A potem to małe, jak ono się nazywa? Nie to najmniejsze, tylko następne w kolejce, to wiecznie zasmarkane...

– Oilell. Przypominam ci, jednak, że to owoce miłości i lędźwi twojej siostry i powinieneś pamiętać ich imiona.

- Odpieprz się, kochanie. Ani mi się waź jeszcze raz wspominać o lędźwiach mojej siostry. Wystarczy mi po tym filmie z narodzin. W każdym razie tak, właśnie ten dzieciak w pewnym momencie wypiął się, żeby zrobić kupę. W mojej szopie!

- Ludzkość upadła nisko! Wczoraj narobiła w kuchni. Nie zdobędę się na choćby odrobinę sympatii dla... Czy to jest chłopiec, czy dziewczynka?

- Nie mam pojęcia. Nie podchodziłem, żeby sprawdzić. Tak czy inaczej, ten pieprzony Bardo oglądał sobie w tym czasie moje narzędzia i nawet nie zauważył, ale ta najstarsza...

- Coventina.

- Jak ty to robisz, że pamiętasz ich imiona?

- Lata wysłuchiwania o tym, co Tilly powiedziała Milly, a Milly wygadała się Katie, która wygadała się Lucy, która od razu pobiegła do Sophie. Z kolei Sophie powiedziała, że Tilly i Milly powinny to zrobić, przez co Lucy się popłakała, co było bardzo głupie z jej strony, a Katie nawet się nie przejęła. Wtedy Sophie powiedziała Tilly, a później Milly... i tak dalej, i tak dalej. Po wysłuchaniu tego wszystkiego musisz jeszcze ustalić, kto jest kim, żeby przypadkiem nie pomylić wrogów z przyjaciółmi i nie zaprosić na przyjęcie urodzinowe nieodpowiedniej Tilly, Milly, Sophie, Katie czy Lucy.

- Czy one wszystkie nazywają się Tilly, Milly, Katie, Sophie i Lucy?

- Nie, kochanie, nie bądź głuptasem. Niektóre nazywają się Olivia. Jest też kilka Poppie. Ale wracając do tematu, jak się

skończyła przygoda z kupą na podłodze?

- Ach tak! Ta najstarsza...

- Coventina.

- Otóż Coventina jakimś cudem dostrzegła nienawiść w moich oczach i pianę cisnącą mi się na usta, więc szybko złapała sralucha i wyniosła go na dwór, żeby załatwił się na patio. I tym sposobem przynajmniej nie narobił w mojej szopie. A potem Bardo zapytał mnie, czy mógłby pożyczyć moją grzbietnicę, a kiedy zapytałem po co, powiedział, że chciałby ją zabrać do ustronia, bo ma tam trochę pracy. Ellen, on chciał mi ją po prostu UKRAŚĆ.

- Bardziej mnie interesuje, co się stało z kupą na patio.

- Coventina poszła po torebki na psie kupy i ją sprzątnęła. Ona jest najnormalniejsza z nich wszystkich, nawet ją lubię. Przyłapałem ją, jak razem z Peterem i Jane podkradali parówki w cieście z lodówki. Kiedy spytałem, jak to się ma do jej bezglutenowego weganizmu, powiedziała, że nie chce o tym rozmawiać i sięgnęła po kolejną.

- Brawa dla Coventiny! Któregoś dnia pewnie zbuntuje się przeciwko rodzicom, zmieni imię na Susan i zostanie maklerem giełdowym.

Wyjście z Simonem było całkiem urocze, szczególnie że zazwyczaj kiedy proponowałam wspólny wypad, marudził, że jest zbyt zmęczony, zmarznięty albo przemoknięty, a poza tym przecież „tam będą ludzie”. Patrząc na rodzinę jego siostry, zaczynam trochę rozumieć, dlaczego Simon postanowił wypisać się ze świata Ludzi.

Było dużo śmiechu, trochę (bardziej niż trochę) się

upiliśmy, a kiedy spojrzałam na telefon, okazało się, że dostałam mejla z informacją, że dziesięć osób kupiło moją aplikację, co (jeśli moja pijacka arytmetyka się nie myliła) oznaczało, że zarobiłam siedem funtów! Jeśli ściągnie ją jeszcze dziewięćdziesiąt osób, zwróci mi się za wpisowe! Tymczasem, skoro już ktoś ją kupił, powinnam chyba wspomnieć o niej Simonowi, na wypadek gdyby w przyszłości miała się okazać kopalnią złota dla naszej rodziny. Ciężko mu było zrozumieć, o co chodzi i po co to robiłam, ale kluczowe słowo - pieniądze - przebiło mur niezrozumienia i ostatecznie Simon stwierdził, że mądrze postąpiłam.

W drodze do domu nawet trzymaliśmy się za ręce. Szkoda tylko, że nie pozwolił mi zajrzeć do śmietnika przy domu pod numerem 27. Moim zdaniem to było nie fair, chociaż Simon słusznie zauważył, że gdyby było tam coś godnego uwagi, Louisa i Bardo przywłaszczyliby to sobie już kilka godzin wcześniej.

Czwartek, 24 grudnia - Wigilia Bożego Narodzenia

Zapomnijcie o tym, co mówiłam na temat 1 grudnia. To wcale nie jest najpogodniejszy dzień w całym okresie świątecznym, bo jest nim oczywiście Wigilia! Dzień pocałunków pod jemiolą i słuchania audycji radiowych z kolędami. Dobrze, że ciągle używają tam fragmentów Biblii Króla Jakuba, a nie tego paskudnego współczesnego tłumaczenia, które wciskają na szkolnych szopkach, bo chociaż nie jestem ani trochę religijna, kiedy już słucham Biblii, chcę, żeby to była ta „prawdziwa” wersja ze

wszystkimi zwrotami typu „wejrzyjże na mię” i „tyś jest Bogiem moim”.

Jest to też dzień oglądania *Tego wspaniałego życia* na kanapie z wtulonymi we mnie pąsowiejącymi z zachwytu maleństwami, a później pakowania prezentów przy kominku w kiczowatym, ale gustownym swetrze w świąteczne wzorki i oczywiście lampką grzanego wina (ciągle jeszcze nie sprawdziłam, czym jest grzany cydr). To dzień jedzenia ciasteczek, czytania dzieciom *Nocy wigilijnej*, wykładania na talerze ciasteczek oraz szykowania szklaneczki szkockiej dla Mikołaja (od pierwszej Gwiazdki we troje, czyli z maleńką Jane, Simon wetuje mój pomysł ze szklaneczką mleka) i marchewki dla Rudolfa. Później wieszanie skarpetek, posyłanie dzieci do łóżek i oglądanie z ukochanym mężem *To właśnie miłość* przy kieliszku świetnego czerwonego wina, a wreszcie wspólna wyprawa na górę, na drewniane wzgórze Łózkowa.

Nie jest to natomiast dzień, który powinien zacząć się od dziewięciu SMS-ów od Jessiki, w których zadręcza mnie pytaniami o to, który pudding przywieźć, bo ma jeden z Waitrose'a („Mam wspaniałe wieści! Udało mi się wyhaczyć na eBayu pudding Hestona Blumenthala!”), jeden z Selfridges, jeden z Harrodsa i jeden z Fortnum & Mason. Pewnie wydała na puddingi więcej niż ja na całą kolację świąteczną! Dostałam też pięć SMS-ów, w których dopytuje się, czy na pewno kupiłam piklowane buraczki („OCZYWIŚCIE, ŻE KUPIŁAM PIKLOWANE BURACZKI, JESSICO, ZA KOGO TY MNIE MASZ, DO KURWY NĘDZY?”).

Ten dzień nie powinien też zaczynać się od awantury pomiędzy kompletnie niewyspanym Peterem i Jane, podczas gdy ja usiłuję poskromić bałagan, który Louisa znowu zostawiła w kuchni. Ani od uświadomienia sobie faktu, że obranie ziemniaków dla dwudziestu dwóch osób zajmie mi więcej czasu, niż cała transmisja z mszy i kolęd w radiu. Powstaje też pytanie, czy uda mi się wcisnąć do piekarnika tego pieprzonego indyka giganta, którego z trudem usiłuję przerobić na świąteczną potrawę. Żeby nie było zbyt pięknie, przez cały ten czas Bardo łązi za mną, żądając kategorycznie, żeby jego pieczeń ze szlamu, którą komponuje dla swojej monstrualnych rozmiarów trzódki, przypadkiem nie zetknęła się z owocem krwawej rzeźni, jakim jest mój indyk.

Nie jest to też dzień, w którym cysterna nadzienia do indyka powinna wylać się na podłogę. I którą będę mopować, pochlipując:

- Ja tylko chciałam obejrzyć *To wspaniałe życie*, czy oczekuję zbyt wiele?

W mojej wizji nie mieści się też odkrycie, że Peter i Jane najedli się żelek Haribo, chociaż tym razem, dzięki Bogu, podzielili się z Coventiną („Czy możecie mówić do mnie Tina? Po prostu Tina?”), ale i tak cała trójka skacze teraz po domu jak Gumisie na cukrowym haju.

Kiedy wyjrzałam przez okno, Nisien wypinał właśnie tyłek na środku trawnika, a z jadalni dochodził mnie podejrzany smrodek, co prawdopodobnie oznaczało, że Oilell poszła zostawić pod choinką swoje prezenty świąteczne.

Koło 20:00 byłam kompletnym wrakiem. Nie zapakowałam

ani jednego prezentu. Trudno było odróżnić dzieci naszprycowane żelkami Haribo od nienaszprycowanych, bo na tym etapie wszystkie były tak podekscytowane, że osiągały częstotliwości kopulujących kociaków i wszelkie próby posadzenia ich w miejscu i zmuszenia do wysłuchania *Nocy wigilijnej* spełzały na niczym. Tina podjęła jedną próbę, żeby mi pomóc, i wydarła się na nie:

- MORDY W KUBEŁ, GÓWNIAKI!

Niestety jedyne, co tym osiągnęła, to obudzenie niemowlaka, który dołączył do chóru wrzasków. W tym momencie uznałam, że dłużej już tego nie zniosę. Wzięłam butelkę baileysa, zaszyłam się w sypialni i zaczęłam pakować prezenty.

Nie zaznałam jednak spokoju ze względu na sto milionów ważnych spraw, którymi wszyscy zawracali mi głowę: Louisa chciała pożyczyć nożyczki, Simon przyszedł spytać, czy mają już szykować ciasto i whisky dla Mikołaja, Peter i Jane musieli się poskarżyć, że ktoś czy tam coś było niesprawiedliwe. Potem znowu przyszła Louisa, prosząc o więcej ręczników (JESZCZE WIĘCEJ? Co ona będzie z nimi robić? Zamierza znowu rodzić czy co? To ma być jakiś kolejny cud świąteczny?!). Do pokoju zajrzał też Cedric, twierdząc, że był ciekawy, co porabiam, ale jestem pewna, że tak naprawdę myszkował po domu, sprawdzając, co by tu ukraść. No i w końcu Bardo, który chciał... Sama już nie wiem, czego do kurwy nędzy chciał Bardo, bo w tym momencie uświadomiłam sobie, że wpadłam po uszy w coś, co nazywa się klasycznym bożonarodzeniowym załamaniem

nerwowym.

Zacząłam płakać, że prosiłam tylko o pięć minut spokoju, tylko pięć minut, bo przecież święta powinny być magiczne, a oni rujnują całą magię, po czym kilka razy wydarłam się, że **PIEPRZĘ TO WSZYSTKO** i porwałam przerażonego psa, koc (tego ruchu nauczyło mnie doświadczenie z poprzednich lat) i butelkę baileysa i uciekłam do garażu, gdzie oglądałam na YouTube fragmenty *Tego wspaniałego życia* i ryczałam, wtulając się w czworonoga.

Mój pies niespecjalnie lubi, kiedy używam go, żeby się wypłakać. W przeciwieństwie do tego, co mówi się o tym gatunku, nie należy do miłych i empatycznych zwierząt, które potrafią wyczuć ból. Ciągle się wiercił i puszczał bąki. Czasami wydaje mi się, że w połowie jest kotem. Tak czy inaczej, musiałam jeszcze zapłakać nad tym, że nawet pies mnie nie lubi i że w garażu jest cholernie zimno, ale duma zabrania mi wrócić do środka, więc piję baileysa, żeby się ogrzać.

Po półtorej godzinie znalazł mnie Simon.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

- Nie! Wszystko zniszczyliście i nic już na to nie poradzę! - biadoliłam.

- Nie musisz już nic na to radzić - powiedział Simon. - Dlaczego co roku robisz to samo, zamiast zwyczajnie poprosić o pomoc? Zresztą mniejsza o to. Dzieci już śpią. Powiedziałem im, że jeśli któreś wyjdzie z łóżka przed siódmą rano, przerobię Rudolfa czerwono-nosego na świąteczną kolację. Skończyłem pakować prezenty, a Louisa

i Bardo sprzątają w kuchni. Nie wiem, jak sobie z tym poradzą, ale przynajmniej się starają. Poza tym popatrz! Pada śnieg! Będziemy mieli białe święta! A białe święta są...

- Magiczne? - chlipnęłam. Miał rację. Z nieba padały wielkie białe płatki śniegu. Pokrywały obrzydliwą trampolinę i porzucony zestaw do gry w swingball, zmieniając naszą nudną podmiejską uliczkę w Narnię.

- Zachowałam się jak kutas - powiedziałam do Simona.

- Masz rację, ale jesteś moim kutasem. To znaczy... no wiesz, co mam na myśli. Poza tym bardzo cię kocham - odparł Simon, a potem mnie pocałował i to było naprawdę magiczne.

Piątek, 25 grudnia - Boże Narodzenie!

Magia świąt trwała tylko do chwili, w której przypomniałam sobie, że nikt nie sprzątnął kupy Nisiena ze środka trawnika, i musiałam wyjść na dwór i ją usunąć, zanim dzieci w nią wdepną, kiedy rano zobaczą, że spadł śnieg i pobiegną się bawić na dworze.

Simon faktycznie podjął heroiczną próbę zapakowania prezentów, ale nie wiedział, że drugie tyle miałam schowane w różnych zakamarkach domu, więc zostało jeszcze sporo pakowania. Poszliśmy spać około drugiej w nocy, co i tak było wcześniej niż w poprzednich latach.

Niestety nie od razu udało nam się zasnąć, bo Louisa i Bardo postanowili wykorzystać wolną chwilę na uprawianie głośnego seksu. Nie będę nawet próbowała tego opisać, powiem tylko, że oboje są bardzo głośni i rano nie byłam

w stanie spojrzeć im w oczy, pamiętając, co do siebie krzyczeli.

Dzieciom udało się dotrzymać obietnicy złożonej Simonowi i nie wstały z łóżek przed siódmą, bo nie chciały brutalnie uśmiercać Rudolpha. Za to kiedy już wstały, były jeszcze bardziej podekscytowane niż wczoraj. Peter i Jane zostali zaspokojeni w swym hedonistycznym materializmie, a dzieci Louisy zostały obdarzone podarkami ręcznej produkcji, czyli wystruganymi przez Barda, i ubrankami ode mnie (bałam się, że wszystko inne poddane zostanie surowej krytyce). Wywołało to niemałą kontrowersję w towarzystwie i dzieci Louisy zażądały wyjaśnień, dlaczego Mikołaj przyniósł im jakieś śmieci, a wszystkie fajne prezenty dał ich kuzynom. Louisa i Bardo wyjaśnili im, że Mikołaj zna wartości wyznawane przez każdą z rodzin i obdarował je zgodnie z nimi, po czym przypomnieli dzieciom, że jedyne, co tak naprawdę posiadamy, to nasze dusze, a dobra materialne to w gruncie rzeczy tylko krępujące nas kajdany.

Słyszając te słowa, Cedric zapragnął wszcząć rewolucję i zażądał redystrybucji burżuazyjnych dóbr wśród mas, dodając, że bardziej sprawiedliwie byłoby, gdyby Peter i Jane oddali im trochę swoich błyskotek i zatruwającej umysł elektroniki. W tym momencie Jane wyjęła z kieszeni nóż i oznajmiła, że utnie rękę każdemu, kto choćby sięgnie po jej własność, skąd wywnioskowałam, że przewidziała plany Cedrica, bo zdążyła się z wyprzedzeniem uzbroić.

Konflikt udało nam się zażegnać, sugerując, żeby wyszli do ogrodu poszaleć w puszystych zaspach, więc pół godziny

później, kiedy zdołałam już zabrać Jane nóż, jak i całą resztę przyrzędów, w które się zaopatrzyła w ramach militaryzacji, ubraliśmy dzieci w czapki, rękawiczki, kurtki i buty i wysłaliśmy je na dwór. Wtedy dorośli mogli w spokoju wymienić się prezentami.

Podarowałam Louisie drogie mydło, przybory toaletowe i całkiem ładny szalik – prezenty, po które sięgam zawsze, kiedy popadam w panikę, bo nie wiem, co komuś kupić. Bardo dostał olejek do brody, szczoteczkę do paznokci i hipsterski żel pod prysznic. Długo sprawdzałam, czy wszystko, co wybieram, jest organiczne, pochodzi z etycznych źródeł i zostało zrobione z miłości przez rzemieślników. Szalik był utkany z konopi indyjskich, więc nie było mowy, żeby obrazili się na moje starannie przemyślane (gdyby ktoś miał wątpliwości) prezenty, i postanowili ich nie przyjąć.

My otrzymaliśmy „zabiegi”. Mnie się upiekło, bo dostałam tylko sesję uzdrawiania energią życiową reiki od Louisy, więc przynajmniej miałam pewność, że nie będzie mnie dotykała.

– Nie wiedziałam, że przeszłaś szkolenie z reiki, Louisa – powiedziałam.

– Proszę, mówi mi Amaris. Poza tym nie potrzebowałam żadnego szkolenia, Ellen – odparła nadąsana. – Reiki polega na przekazywaniu energii, która płynie przez twój organizm, innej osobie. Mam tak silną więź ze swoją energią, że przychodzi mi to bardzo łatwo. Czasami jedyne, co mogę zrobić, to zatrzymać jej przepływ i ukierunkować na inną osobę. Poczuj to! – powiedziała, wymachując mi rękoma

przed nosem. - Czujesz to ciepło, tę energię? Ona przepływa przeze mnie cały czas, Ellen, cały czas! Jest niesamowicie mocna. Możliwe, że jestem jednym z najsilniejszych mistrzów reiki w historii. Mam powołanie!

Prawdę mówiąc, poczułam niewiele, poza tym że Louisa mogłaby częściej myć ręce.

- Ech, no tak. A czy masz prawo mówić o sobie „mistrz reiki”, jeśli nie przeszłaś szkolenia?

- Takiej mocy nie da się nauczyć, Ellen. Ma się ją albo nie. Ja po prostu jestem. To jednocześnie błogosławieństwo od Bogini i moje przekleństwo.

- Świetnie. No cóż, dziękuję ci bardzo.

Simon miał gorzej - dostał podróż do poprzednich wcieleń. Bardo był podekscytowany.

- Amaris wciąż mówi o tym, jak bardzo tłumisz emocje. Dlatego dobierzemy się do twojego wnętrza i dowiemy się, dlaczego - oznajmił.

Simon nie był w stanie wydusić z siebie słowa. Za to Louisa nie miała oporów:

- Bardo jest w tym świetny. To jeden z najbardziej popularnych zabiegów w naszym ustroniu. To rewelacja! Ludzie opowiadają później, że kiedy dowiadują się, kim byli w poprzednich wcieleniach, zaczynają o wiele lepiej rozumieć siebie. W zeszłym miesiącu była u nas kobieta, która w poprzednich wcieleniach była Marią Antoniną, Emily Brontë, królową Wiktoria i Marią Curie! Pomyślcie tylko, jaki bagaż żałoby, emocji i traum musiała ze sobą nosić przez całe życie. Bardo pomógł jej zrozumieć, że negatywne

emocje rosły w niej przez wiele stuleci, i że musi odpuścić i wybaczyć sobie swój ból. Oczywiście czegoś takiego nie da się przewyciężyć w ciągu kilku godzin. Potrzebowała wielu sesji, żeby wyzwolić się od poprzednich wcieleń i zacząć żyć teraźniejszością, ale Bardo potrafi zdziałać cuda.

- Nie zapominaj, że była też Kleopatram, Ams - dodał Bardo.

- A Maria Curie, Emily Brontë i królowa Wiktoria przypadkiem nie żyły w podobnych czasach? - zaczął drążyć Simon.

Mnie zaciekało co innego:

- Ile bierzecie za jedną taką... sesję?

- Simon! To nie podziła, jeśli nie będziesz wierzył! - krzyknęła przerażona Louisa.

Natomiast Bardo zaczął mamrotać pod nosem, że w takich sytuacjach pieniądze nie mają znaczenia i dla niego najważniejsze jest to, że może używać swojego talentu, żeby pomagać innym. Na koniec dodał jednak:

- Oczywiście musimy też jakoś pokrywać nasze koszty.

- A jak dokładnie będzie wyglądać taka... podróż?

Bardo znów się rozpromienił.

- Cóż, przeważnie robimy to w naszej jurcie, ale myślę, że tym razem wystarczy twoja szopa. Rozpalimy w piecu, rozbierzemy się, zapalę zioła. Niestety nie mogę ci powiedzieć jakie, bo to ściśle strzeżony sekret, który zdradził mi pewien jogin z Omnatoli. Wprowadzę cię w trans swoim śpiewem i ruszamy!

Simon jeszcze chwilę temu wyglądał na gotowego na zabawę „w podróż”, byleby tylko zrobić szwagra w bambuko

i zdemaskować go jako oszusta, którym ewidentnie był. Jednak kiedy dowiedział się, że będzie musiał siedzieć twarzą w twarz z nagim Bardem, poblekł ze strachu.

- A za pomocą jakich technik zamierzasz wprowadzić mnie w trans? - zapytał Simon

Zbity z pantafelku Bardo odparł tylko:

- Po prostu powiem ci, że zapadasz w trans, i w niego zapadniesz...

- Ach tak. To bardzo miłe z twojej strony, ale przed nami kilka pracowitych dni, więc nie wiem, czy wystarczy nam czasu - zdecydowanym tonem oznajmił Simon.

Jestem pewna, że podejrzewał Barda o to, że planuje potajemnie nafaszerować go jakimiś narkotykami i sprzątnąć mu drogocenną piłę sprzed nosa.

Na szczęście dla Simona dokładnie w tym momencie dzieci uznały, że znudził im się śnieg, bo w końcu bawiły się już CAŁE dwadzieścia minut (podczas których skutecznie przemieniły moją wymarzoną śnieżną krainę w postapokaliptyczne pustkowie). Wymyśliły sobie nową zabawę - wejście do domu i naniesienie wszędzie wody i błocka. Wobec takiego stanu rzeczy postanowiłam porzucić Simona i zabrałam swojego kaca oraz butelkę dzinu do kuchni, żeby sprawdzić, jak tam indyk i całe sterty innego jedzenia, a także zamartwiać się, że nie wystarczy dla wszystkich.

Jessica i Neil przyjechali koło 12:30.

- Pomyślałam, że przyjedziemy trochę wcześniej i wam pomożemy. Poza tym Persephone i Gulliver nie mogli się

doczekać, kiedy zobaczą swoich kuzynów, prawda, kochani?

Persephone i Gulliver schowali się za matką, z odrazą patrząc na chaos i zniszczenie, które panowało w moim domu. Prawdę mówiąc, wcale im się nie dziwiłam. Louisa i Bardo wykrzykiwali słowa zachęty do Oilell, która kucała na patio, bo postanowiłam położyć kres obsrywaniu podłogi, podczas gdy Nisien obserwował ich oburzony, że ktoś zabrał mu jego działkę.

Peter, Jane i Coventina, która zbuntowała się przeciwko swojej rodzinie, ślęczeli przed telewizorem, grając w jakąś kretyńską grę na konsoli, co chwilę pokrzykując i pożerając słodczyce, które im jeszcze zostały.

Cedric maszerował w tę i z powrotem, śpiewając hymn brytyjskiej Partii Pracy, od czasu do czasu rzucając obelgi pod kątem dzieci, które dzierżyły w dłoniach współczesną technologię i nie chciały podzielić się nią z ludem.

Idelisa, środkowe dziecko, które wszyscy do tej pory ignorowali (widocznie brakowało jej psychopatycznych tendencji brata i ducha walki Coventiny), próbowała zmieniać pieluszkę małemu Boreasowi, który stanowczo protestował.

- Rety, ale z was wesola rodzinka! - powiedziała Jessica.

Neil zamruczał coś pod nosem. Persephone i Gulliver pociągnęli mamę za rękę i kiedy nachyliła się do nich, szepnęli jej coś do ucha.

- Jesteście tacy słodcy! Persephone i Gulliver pytają, czy mogą już wręczyć prezenty. Persephone była bardzo zajęta przygotowaniem do egzaminów z pianina i altówki, więc

zagra wam pierwszą część symfonii, której uczyła się na szkolny koncert. Gulliver za to napisał serię sonetów po łacinie. Stanowią luźny hołd dla twórczości Katullusa. Czy to nie miłe z ich strony?

- Przemię - rzuciłam bez przekonania, bo próbowałam sobie przypomnieć, czy Katullus to nie był „ten od sprośnych fraszek”.

- A ja przywiozłam wszystkie puddingi świąteczne, więc możesz wybrać, który podasz - mówiła dalej Jessica. Pewnie chodziło jej o to, że jeśli wybiorę niedobry, będzie mogła zwalić na mnie. Po chwili dodała jeszcze: - Nie mówiłaś mi też, gdzie kupiłaś buraczki, więc kiedy byłam w Fortnum, kupiłam na wszelki wypadek jeden słoiczek. A teraz powiedz, jak mogę ci pomóc?

- Mogłabyś na przykład zacząć obierać marchewki - zaproponowałam, ale głównie dlatego, że jestem złośliwa i chciałam posłuchać, jak się będzie z tego wykręcać.

- Och, Ellen, a mogłabym nie? Wczoraj zrobiłam paznokcie na przyjęcie, na które jutro idziemy do Cholmondeley-Featherstonehaughów, znasz ich, prawda? Nie chciałabym zniszczyć sobie manikiuru. Cokolwiek, byle nie to, powiedz tylko słowo - zakończyła z westchnieniem.

- To może napełnisz wszystkim kieliszki? - powiedziałam, podając jej kilka butelek. Alkohol kończył się w zatrważającym tempie. To pewnie dlatego, że Simon i ja próbowaliśmy leczyć chandrę, a Louisa i Bardo jakimś dziwnym trafem nagle pozbyli się swoich etyczno-organiczných skrupułów. Widocznie przy drinkach na czyjś

koszt ściśle zasady przestają ich obowiązywać.

- Idealnie! Bąbelki, zabawa! - powiedziała Jessica, po czym znacząco spojrzała na etykietę i warknęła do Neila „Drinki!”, na co on od razu gdzieś potruchtał. - Kochana, nie mogę nie zauważyć, że twoje bąbelki... Co to właściwie jest? Prosecco? Marki CAVA, doskonale! Tylko że niestety nie jest organiczne. Mam nadzieję, że to nie problem, ale ostatnio pijam tylko organiczne wina, bo od sulfidów miewam potworne migreny.

Oczywiście. Jessica nie może po prostu mieć kaca jak wszyscy normalni ludzie.

- Kupiłam za to kilka butelek pysznego organicznego wina, kiedy byliśmy w uroczej malutkiej winiarni na południu Francji...

Ha, ha, ha, pomyślałam. Lepiej się pośpieszcie, bo kiedy tylko Louisa i Bardo zwęszą, że w domu pojawiło się organiczne wino...

Louisa ma idealne wyczucie czasu, więc nie zdziwiło mnie, że w tej samej sekundzie pojawiła się w kuchni i rzuciła się na Jessicę z objęciami. Moja siostra ma jeszcze większe problemy z bliskością fizyczną niż ja i wyraźnie się wzdrygnęła. I chociaż wiedziałam, że w duchu marzy o tym, żeby sięgnąć po środek do dezynfekcji rąk, dobre maniery powstrzymały ją przed tym i ograniczyła się do dyskretnego wytarcia ich w spódnicę.

- Jessica! Kopę lat! Jak się masz? Czy dobrze słyszałam, że przywozłaś organiczne wino? To takie miłe z twojej strony. Masz absolutną rację w kwestii sulfidów. Wciąż to

powtarzam Ellen, ale nie chce mnie słuchać. Zresztą znasz ją, zawsze wybierała ilość, a nie jakość. Pewnie dlatego wyszła za mojego brata.

Po tych słowach Louisa zaczęła paskudnie mrugać porozumiewawczo do Jessiki, ale na szczęście pojawił się Neil. W rękę trzymał moją butelkę Aldi Cava i po raz pierwszy od kilku dni Louisa przykryła dłoń kieliszkiem.

- Nie, dziękuję, Neil. Jessica właśnie mi powiedziała, że powinnam koniecznie spróbować tego fantastycznego organicznego wina, które przywieźliście. Bardzo chętnie spróbuję. Bardo! Bardo! Chodź, spróbujesz organicznego wina od Jessiki!

- Chętnie, dzięki! - krzyknął Bardo, odłożył przeciekające dziecko i przyszedł do nas.

Jessica i Neil nałożyli fałszywe uśmiechy, bo właśnie uświadomili sobie, że ich drogocenne butelki Châteauneuf du Pyłek Jednorożca znikną w gardłach Louisy i Barda, zanim jeszcze usiądziemy do kolacji.

- Jessico, nie masz nic przeciwko, prawda? - spytała niewinnie Louisa.

- Nie, nie, oczywiście, że nie. Częstujcie się! - wycedziła moja siostra przez zęby.

- Tylko powiedz, kiedy... - dodała, a Neil zaczął nalewać.

- Ha, ha, ha, KIEDY! - pisnęła Louisa, kiedy z kieliszka prawie już się wylewało. - Och, Neil, chyba nie próbujesz mnie upić, ty psotniku? Lepiej nalej Bardowi tyle samo, bo jeszcze pomyśli, że ci się podobam!

Neil zaczął apoplektycznie wywracać oczami. Muszę

przyznać, że widok Neila – który ożenił się z czystą jak łąka, błyszczącą Królową Śniegu – robiącego miny na samą myśl o wątpliwej czystości majteczkach Louisy, był najlepszą rzeczą, jaka mi się dzisiaj przytrafiła.

Sam i Hannah przyjechali około 14:00. Samowi się udało i mógł spędzić święta z Sophie i Tobym. Niekoniecznie dlatego, że Robina oświeciło i postanowił uczynić to co słuszne. Po prostu w ostatniej chwili znajomy zaprosił go na rejs jachtem po Karaibach. Sam mamrotał czasem pod nosem coś o najnowszym „przyjacielu”, ale przez większość czasu cieszył się z tego, że może spędzić święta z dziećmi. Hannah też wzięła swoją dwójkę – Emily i Lucasa, którzy wprawdzie połowę genów odziedziczyli po Durnym Danie, ale byli uprzejmi, mili i schludni.

Persephone płakała przez ostatnią godzinę, bo chciała odegrać swój „prezent”, a Gulliver mamrotał pod nosem coraz bardziej okrutne frazy po łacinie i nie byłam pewna, czy to jego sonety, czy ciska pod naszym adresem okrutne przekleństwa (kiedy powiedziałam o tym Simonowi, odparł, że Gulliver musi być przyciśnięty do muru, skoro klnie bardziej niż pierdzące dzieci Louisy), więc zasugerowałam, że skoro jesteśmy w komplecie, czas rozpakować pozostałe prezenty.

Był jeszcze jeden niezręczny moment, kiedy Cedric postanowił, że będzie dogrywał akompaniament perkusyjny do recitalu Persephone, co wywołało kolejny potok łez i niezbyt taktowną (nawet jeśli prawdziwą) tyradę o tym, że „Mamusiu, ten BRUDNY CHŁOPIEC wszystko psuje”. Poza

tym incydentem, udało nam się wzajemnie obdarować w większości bezużytecznymi prezentami kupionymi na świętym ołtarzu świętego Johna Lewisa, a cała operacja przebiegła w typowej dla klasy średniej atmosferze pełnej przylepionych uśmiechów i werbalnej życzliwości.

Louisa wciąż próbowała wcisnąć wszystkim wokół swoje tak zwane zabiegi. Jessica zakrztusiła się orzechem brazylijskim i zsiniała, kiedy zaproponowała jej w ramach prezentu sesję refleksologiczną. Za jedną sesję tygodniowo Jessica płaci pewnej „uroczej, malutkiej kobiecie” z Harley Street tyle, ile wynosi moja miesięczna rata kredytu za dom. Prędzej poszłaby do piekła, niż zdjęła szpilki Jimmy’ego Choo i pozwoliła się dotknąć Louisie tłustymi łapskami.

Obiad podałam około 16:00, po tym, jak w towarzystwie Sama i Hannah przeprowadziłam godzinną degustację wina od Jessiki (faktycznie było pyszne). Jakimś cudem udało mi się wyrwać jedną butelkę Louisie.

Dzieci siedziały w kuchni przy stoliczkach do zabawy ustawionych przy blacie kuchennym i jadły z plastikowych talerzyków. Nałożyłam im jedzenie i szybko zamknęłam za sobą drzwi, słuchając na odchodnym o tym, jakie to niesprawiedliwe, że traktujemy je jak dzikusy i izolujemy, podczas gdy dorośli rozsiedli się w jadalni. Louisa poczekała, aż wszyscy zajmą miejsca przy stole, i oznajmiła pełnym głosem:

- To takie miłe, Ellen, że umożliwiasz dzieciom wyrażać ich kreatywność i pozwalasz im malować po meblach. Trochę tylko szkoda, że pomalowały też ten piękny kredens po

babci.

- Nie myśl o tym zbyt wiele, Louiso! Wszak nie posiadamy niczego, tylko nasze dusze, prawda? Kredens to tylko przedmiot! - odcięła się Jessica.

Nie wiem, czy Jessica broniła mnie z czystej lojalności, czy mściła się na Louisie za to, że wypła jej wino, ale i tak byłam jej wdzięczna.

O 20:00 Neil (który miał prowadzić) był pijany jak bela. Część dzieciaków też chwiała się w podejrzany sposób, jakby maleństwa podpijały z butelek, kiedy zamknęliśmy je w kuchni. Świąteczna herbatka była gotowa godzinę po tym, jak skończyliśmy kolację. Razem z Jessicą namawialiśmy wszystkich na ślepy test słynnych buraczków. Goście wyglądali na przerażonych, więc odśpiewaliśmy jeszcze *Pieśń świętego buraka*, którą napisałyśmy dwadzieścia lat temu i nagabywałyśmy resztę: „No dalej, mów, które są lepsze!”. Ostatecznie uznali, że są równie smaczne, co było całkiem zabawne, bo kiedy w końcu ja i Jessica też wykonałyśmy test, uznałyśmy, że i jedno, i drugie są obrzydliwe, i kto w ogóle wymyślił piklowane buraczki?

Około 22:00 prawie się zaprzyjaźniłam z Jessicą.

- Jesteśmy siostrami - wybełkotała. - I ja cię kocham. Persephone, odczep się wreszcie odemnie. Idź pooglądać telewizję z innymi, okej? Mamusia dyzkuuuuje z ciosią Ellen. Tak się cieszę, że zorganizowałaś święta, Ellen, jezdeźmy prawie jak rodzina. Ci wszyscy ludzie... - dodała, machając ręką w kierunku przysypiających na podłodze Louisy i Barda.

Simon i Louisa zapewnili nam klasyczną świąteczną

rozrywkę w postaci kłótni o to, kto jest ulubieńcem rodziców, bo zadzwonili do Simona przez FaceTime, żeby złożyć nam wszystkim życzenia, a do Louisy nie. Louisa tupnęła nogą i Simon powiedział jej, że żałuje, że rodzice nie oddali jej do adopcji. Potem było trzaskanie drzwiami i wszystko inne, co robią rozkapryszone dzieci.

Sam, Hannah, Neil i Simon próbowali grać w Trivial Pursuit, a w każdym kącie domu przy gniazdku elektrycznym można się było natknąć na dziecko z iPadem czy innym tabletem.

Jessica ciągnęła:

- Jestak cudownie. Od teo włącznie som święta. Chciałabym być taka jak ty. Chciałabym mieć wszystko w dupie, jak ty.

Dlaczego wszyscy mi to mówią? Czy oni nie zdają sobie sprawy, ile czasu poświęcam na zamartwianie się tym, żeby zrobić wszystko jak należy? Co oni sobie myślą? Czy jeśli wszyscy wokół uważają, że niczym się nie przejmuję, to oznacza, że powinnam martwić się jeszcze więcej? A może tak naprawdę wszyscy się boją i myślą, że prześlizgują się przez życie, chociaż projektują dla świata zupełnie inny obraz siebie? Może nikt nie jest tak idealny, jak mi się wydaje? Nawet Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson? Ale za dużo wypięłam, żeby o tym myśleć. W końcu są święta. Jest magicznie (tak jakby). Potrzebuję dolewki.

Sobota, 26 grudnia - Drugi dzień świąt

OJOJOJ!

Ból głowy. Kac. Stan ogólnej niemocy radzenia sobie

z rzeczywistością, kiedy magia minęła. Śnieg zamienił się w breję. Resztki indyka straszyły gołymi kośćmi i pewnie powinnam przerobić go na zupę, ale w lodówce mam tylko parówki w cieście, nadzienie i pięć puddingów, które Jessica ostatecznie u mnie zostawiła. Dzisiaj sami muszą o siebie zadbać, bo ja będę leżała w piżamie, jadła ciastka i czytała książki, które dostałam od Hannah i Sama pod choinkę. Będę opychać się rachatlukum tak długo, aż zrobi mi się niedobrze i przypomnę sobie, że tak naprawdę to nie lubię rachatlukum. Będę mieć wszystko w dupie – zgodnie z tym, co myślą o mnie inni. Najpierw tylko trochę ogarnę, żeby potem z mocy przysługującego mi prawa odpocząć. I założę czystą piżamę – w końcu nie jestem zwierzęciem.

Poniedziałek, 28 grudnia

Najbardziej nie lubię tego marazmu pomiędzy świętami i Nowym Rokiem. Ekscytacja i ożywienie związane z Bożym Narodzeniem znika w tempie gasnącej zapalniczki, którą podpalamy petardy, a jedyne, co nam zostaje, to sterty tandetnych prezentów, kiepskie dowcipy i mikroskopijne śrubokręty, które na pewno kiedyś nam się przydadzą, o ile tylko uda nam się zapamiętać, gdzie je schowaliśmy.

Świąteczne potrawy, począwszy od najważniejszej, czyli żółtego sera, przez przekąski, parówki w cieście, tartinki i całą resztę pyszności, które przed świętami trzeba trzymać pod kluczem, żeby wygłodniałe hordy ich nie splądrowały, nim nadejdzie Boże Narodzenie, zostają okrzyknięte „nudnymi” i leżą wzgardzone przez wszystkich, podczas gdy

ja desperacko próbuję przemycić je w babeczkach z ciasta francuskiego lub wcisnąć w kanapkach każdemu, kto choć na chwilę zwolni kroku, przechodząc po domu.

Dzisiaj jedliśmy zapiekankę z indykiem i szynką.

Oczywiście mam na myśli mnie, Simona i nasze dzieci, bo nie możemy wymagać od koczowniczej watahy Louisy, że pożywi się takim paskudztwem. Oni po raz kolejny ucztowali przy specjale Barda - swoją drogą, musiałam przepychać kibel już trzy razy. W sposób niebudzący wątpliwości, poinformowałam też Simona, że następnym razem będzie jego kolej.

A kiedy mu powiedziałam, jakie pyszności zaserwuję dzisiaj na obiad, westchnął:

- Och, Ellen, trochę już mi się przejadło to wykwintne jedzenie. Mam ochotę na coś prostego, może jakąś sałatkę...

Prawdę mówiąc, też mam ochotę na sałatkę, ALE ŚWIĘTA TAK NIE DZIAŁAJĄ i choćbyśmy mieli skisnąć, będziemy jeść świąteczne potrawy, dopóki się nie skończą. Simon powiedział, że nie rozumie, dlaczego drę się na niego wściekle, waląc rączką noża o blat. Podobno to niegrzeczne.

Wtorek, 29 grudnia

Nareszcie koniec. Louisa i Bardo poupychali do rozklekotanego kampera dzieci, wystrzelili z rury wydechowej czarną kulą dymu i ruszyli w drogę. Szczerze mówiąc, zaczynałam się już bać, że ten dzień nigdy nie nadejdzie. Louisa, która niewątpliwie zakochała się w ciepłej wodzie i centralnym ogrzewaniu, zaproponowała, że zostaną

„jeszcze kilka dni”, ale Simon stawał się coraz bardziej podejrzliwy w związku z wypadami Barda do szopy i garażu. (Wczoraj wieczorem przyłapałam go na tym, że brał do rąk słoiczki z różnymi śrubkami, jakby chciał po wadze ocenić, czy Bardo ich nie splądrował. Nie zdziwiłoby mnie to). Na propozycję siostry odburknął tylko:

- Byłoby wspaniale, ale na pewno stęskniliście się już za waszym ustroniem. Dzieci marzą już o swoich łóżeczkach, no i przecież nie ma to jak w domu, prawda? Wspaniale było was gościć, musimy to kiedyś powtórzyć. Byle niezbyt prędko. Szerokiej drogi! - Po czym dosłownie wypchnął ich za drzwi.

Bardo natomiast podjął ostatnią próbę wycyganienia droгоценnej piły i nieśmiało wymamrotał:

- Simon, pamiętasz, jak powiedziałeś, że mógłbym pożyczyć twoją piłę? Mogę szybko po nią skoczyć...

Ale Simon miał już tego wszystkiego po dziurki w nosie i odparł tonem nieznośnym sprzeciwu:

- Tak mi przykro, Bardo, stary druhu, ale doszło do katastrofy i piła jest popsuta. Niestety, rozpadła się na kawałki. Jaka szkoda!

„Stary druhu”? A niech mnie! Jedyne sposoby, w jaki Simon potrafił się zbuntować przeciwko zakochanej w New Age siostrze hipisce, to przemienić się w karykaturę samego siebie, i to rodem nawet nie ze swojej młodości, ale z zamierzonych lat trzydziestych.

Bardo nie dał się tak łatwo spławić. Odwdzięczając się pięknym za nadobne, zaproponował wesoło, że zabierze piłę

ze sobą, bo świetnie mu idzie „naprawianie rzeczy”. A jeśli się nie uda, może rozłożyć ją na części.

W powietrzu unosił się testosteron. Mężczyzna stawiał czoła Mężczyźnie w walce o ich świętego Graala - Narzędzie Mocy. Miłości Simona do narzędzi z napędem elektrycznym nie należy lekceważyć.

- Rzecz oczywista, że zaniósłem ją już do naprawy - rzucił chłodno. - To wybitny fachowiec, mieszka daleko stąd. Zawiozłem ją tam dziś rano. JAKA. SZKODA. ŻEGNAJ. BARDO.

Na końcu byliśmy świadkami jeszcze jednej scenki, kiedy Peter i Jane rzucili się z objęciami na Cedrica. Wcale nie po to, by zademonstrować miłość kuzynowską rodem z *Jedenastej godziny*, ale dlatego, że podwędził im iPody i inne przenośne konsole do gier, licząc na to, że mu się upiecze.

Louisa dużo bardziej przejęła się tym, że jej latorośl zapragnęła usmażyć swoje szare komórki „okropnymi mikrofalami” (czy iPody w ogóle emitują mikrofałe? Nieważne, nie będę podważać pseudonaukowej wiedzy Louisy) niż tym, że jest chuliganem złodziejaszkiem. Tym razem przyznała Simonowi rację - że powinni wrócić do ustronia i się „oczyścić”. Może nie nazwała naszego domu gniazdem rozpusty, ale wiem, że miała to na końcu języka.

Dawno nie czułam takiej ulgi, kiedy im machałam na pożegnanie. Trochę będę tęsknić za Coventiną, ale obawiam się, że ona i Jane miałyby na siebie zły wpływ. Połączenie ich charakterów pewnie skończyłoby się tym, że zostałyby

nieletnimi bossami podziemi, sprzedając na czarnym rynku żelki Haribo i dozwolone od lat osiemnastu egzemplarze komiksu *The Beano*, wykorzystując Petera jako muła.

Jak wspaniale, że znów mamy nasz dom tylko dla siebie! Czuję się, jakbym od kilku dobrych miesięcy nie robiła nic innego, tylko gotowała i sprzątała.

Środa, 30 grudnia

Ha! Nareszcie pozbyliśmy się choinki! Koniec! NIE MA JEJ! Nie mogłam już patrzeć na to nieszczęsne drzewko, wniesione do domu z radością w atmosferze świątecznej pompy i radości, które od dłuższego czasu wyglądało jak smutny wyschnięty krzak. Daleko mu było do pochodni ciepła i miłości, które kiedyś reprezentowało. Igły będą pewnie odkurzać co najmniej do marca, ale chrzanić to – salon wydaje się teraz taki duży! W ogóle cały dom wygląda na większy, od kiedy ściany przestały zdobić pocztówki, tandetne ozdóbki i wieńce z bluszczu. I choć może nie panuje w nim porządek, bo odkurzanie igieł z choinki znudziło mi się mniej więcej po godzinie (plus półgodzinie wyciągania pieprzonych igieł z zapchanego odkurzacza), wygląda na o wiele czystszy. Może Simon ma rację z całym tym swoim marudzeniem o minimalizmie? Może dom w kształcie surowego białego pudła nie byłby taki zły?

Pies też się cieszy, że wywaliliśmy choinkę, bo wreszcie mógł ją obsikać. Wolno mu było to zrobić, dopiero kiedy wystawiliśmy ją na dwór, a wiem, że marzył o tym od dnia, w którym pojawiła się w domu.

Czwartek, 31 grudnia - sylwester

Czemuż, ach czemuż (uwielbiałam *Points of View*, zanim Anne Robinson nie zrobiła się trochę upiorna) pod wpływem wina i niespodziewanego przyływu dobroduszości uznałam na przyjęciu u Alicii z TV, że zrobienie imprezy będzie świetnym pomysłem? I DLACZEGO postanowiłam zorganizować ją w sylwestra, który jest chyba najgorszym dniem na świecie, żeby organizować przyjęcia, bo charakteryzuje się tym, że pod presją zbliżającej się północy trzeba się świetnie bawić, BO PRZECIEŻ TO SYLWESTER I TAK TRZEBA!

Po odliczaniu i północy przychodzi ten moment, kiedy obłapiają cię spoceni faceci pod pretekstem składania życzeń noworocznych, a ty czujesz jedynie głębokie rozczarowanie i rozpacz w związku z faktem, że ostatnie iskierki grudniowej nadziei gasną bezpowrotnie i roztacza się przed tobą wizja mrocznej pustki stycznia i kolejnego roku, w którym najpewniej znów nie uda ci się zostać prawdziwym dorosłym człowiekiem.

Dlaczego (to pytanie retoryczne, bo oczywista odpowiedź brzmi: „za dużo wypiałam”) nie stwierdziłam, że spędzenie sylwestra przed telewizorem z *Jools' Annual Hootenanny* nie jest takie złe, bo można oglądać zebranych w studiu celebrytów, którzy udają, że nie kręcili zdjęć do tego programu w sierpniu i próbują nam wmówić, że każdy z nich, co do ostatniej sztuki, wiedzie najlepsze życie pod słońcem? Dlaczego pomyślałam, że impreza to dobry pomysł?

Wpadłam w szal sprzątanania, gotowania i szykowania

tartinek, w przerwach zaglądając na Facebooka, gdzie wszyscy, których znam, wstawiają takie oto teksty:

Nie mogę się doczekać świetnego Sylwka u Ellen!

Już niedługo powitam nowy rok z Ellen i naszą paczką!

Lampka bąbelków przed Sylwestrem u Ellen!

Robię się na bóstwo przed imprezą u Ellen, do siego roku!

NIENAWIDZĘ ICH! Nie mogę sobie pozwolić na „lampkę bąbelków” ani „robienie się na bóstwo”, bo w popłochu odkurzam, szykuję pieprzoną sałatkę Cezar i próbuję nie spalić profiterolek, a to wszystko wina moich beznadziejnych znajomych, którzy zgodzili się do mnie przyjść, oraz Simona, bo pozwolił mi zrobić imprezę. A jeśli jeszcze raz zaproponuje coś równie głupiego i samolubnego, jak nalanie mi kieliszka wina albo przygotowanie kąpieli (wanna wciąż jeszcze dla mnie nie istnieje po tym, co mogło się w niej dzieć w święta), zadżgam go na śmierć parówką koktajlową w sosie miodowo-musztardowym.

Oddychaj. Oddychaj. Dasz radę. Ci ludzie to twoi przyjaciele. No, może z wyjątkiem tych, których zaprosiłam, żeby pokazać wszystkim, że jestem wyważoną, zorganizowaną i gościnną panią domu. I tych, których zaprosiłam, bo kiedyś zaprosili nas i byłam im to winna. I tych, którzy wydawali mi się mniej beznadziejni niż zwykle, bo byłam pijana w sztok. Będzie dobrze. Większość tych ludzi to moi przyjaciele.

Przynajmniej dzieci zostały na noc u Sama z opiekunką, więc nie wparują w połowie mojego eleganckiego i wyrafinowanego przyjęcia, zadając gościom pytania typu:

„Kto puścił bąka? Peter czy pies?” i uprzejmie podpowiadając: „Pomogę ci, moje bąki bardziej pachną kapustą, a jego mięsem”.

Drinki! Jasna cholera! Czy Simon zaczął już robić drinki? To będzie moja tajna broń. Simon jest świetny w robieniu cholernie mocnych drinków, które jakimś cudem smakują jak zaledwie lekko zaprawiony alkoholem sok. Pięć minut po przyjsciu wszyscy kompletnie się urzną i będzie im wszystko jedno, a jutro rano pewnie nie będą nic pamiętać, więc z łatwością wmówię im, że jestem najlepszą organizatorką przyjęć na całym globie. Hura! Jestem ocalona! Chociaż i tak nie cierpię tych zadowolonych z siebie drani, którzy oznaczają mnie w swoich postach na Facebooku.

GRRR! Idą pierwsi goście!

STYCZEŃ

Piątek, 1 stycznia - Nowy Rok

O Boże, moja głowa! Słodki Jezu, co się wczoraj działo? Jasna cholera. Pamiętam, kiedy przyszedł Sam, potem pomagali mi z Hannah wszystko przygotować, wypiliśmy kilka drinków...

Kiedy przyszła reszta gości, byłam absolutnie urocza - tryskająca entuzjazmem, żartobliwa i gościnna. Przedstawiałam gości sobie nawzajem i pilnowałam, żeby wszyscy się ze sobą integrowali. Czyżbym w pewnym momencie zaczęła wrzeszczeć: „INTEGRUJCIE SIĘ, DO JASNEJ CHOLERY, WY ŻAŁOSNE DRANIE!”? Hm, to możliwe. Ale na pewno pomyśleli sobie, że jestem ironiczna i zabawna.

Jedzenie. Podałam jakieś jedzenie, prawda? Kiedy się obudziłam, trzymałam w ręku parówkę w cieście, więc chyba tak... Oj tak, podałam jedzenie. Właśnie sobie przypomniałam, jak rzuciłam się na męża jednej z mam (który swoją drogą okazał się dyrektorem szkoły), krzycząc, że nie rozumiem, czemu wszyscy nagle przestali jeść gluten, opychając się jajkami po szkocku i jego też próbując na siłę nakarmić.

Muzyka? O tak, była muzyka. I tańce! Ja na pewno tańczyłam, bo w pewnym momencie kazałam wszystkim zejść

z parkietu, żeby odtańczyć mój taniec do *Wuthering Heights* Kate Bush. Obawiam się, że również śpiewałam. Pamiętam też szok i grobową ciszę po tym, jak zakończyłam swój wirtuozerski performans. Cholera, liczyłam na gorący aplauz...

Cholera do kwadratu! Gdzie ja w ogóle jestem? Dlaczego śpię w pokoju gościnnym? Dobry Boże, czy byłam tak okropna, że Simon postanowił się ze mną rozwieść? Może znowu odtańczyłam swój pseudoseksowny układ do piosenki *Patricia the Stripper*? O tak, ZROBIŁAM to. Ale chyba nie byłam sama... Kto tańczył ze mną? A niech mnie! Tańczyła ze mną Fiona Montague! Od razu czuję się lepiej, wiedząc, że Fiona tak bardzo była pijana, a ja nie byłam jedyną osobą, która przeholowała. Poza tym tańczenie do *Patricii the Stripper* i *Wuthering Heights* to moja imprezowa norma. To nie tak, że zrobiłam coś naprawdę okropnego i niewybaczalnego, jak na przykład rąbnięcie szalików u Alicii z TV, żeby odtańczyć taniec siedmiu szali czy coś w tym stylu.

Czy to by była przesada, gdybym wysłała Simonowi SMS-a z prośbą o kubek herbaty? Dokończyłam parówkę w cieście, żeby całkiem nie opaść z sił. Dałabym wszystko za kanapkę z bekonem.

Sobota, 2 stycznia

O rety. Okazało się, że jednak trochę przeholowałam. Podobno zmusiłam Fionę Montague do tego, żeby zatańczyła ze mną układ do *Patricii the Stripper*, chociaż Simon

powiedział, że jak raz zaczęła, wcale nie chciała przestać, a w dodatku „całkiem nieźle ruszała bioderkami”. Później oznajmiłam wszem i wokół, że zonglowanie profiterolkami to nowa dyscyplina olimpijska i zrobiłam demonstrację tej konkurencji. Kiedy Simon zaczął robić mi wymówki, strzeliłam focha i poszłam się położyć w pokoju gościnnym, żeby zrobić mu na złość.

O wiele ciekawsze było to, że Alison Evans przyszła ze swoim całkiem niczego sobie bratem Markiem, który opuścił imprezę, trzymając w ręku karteczkę z numerem telefonu... Sama, a kogóż by innego? Podobno nawet już zadzwonił i umówili się na randkę.

Jestem przekonana, że minęło sporo czasu, od kiedy Sam był ostatnio na randce, bo nagle stracił cały swój miejski szyk i zamienił się w piskliwą, rażoną strzałą amora nastolatkę. Co chwilę wysyłał mnie i Hannah kolejne zdjęcia koszulek z prośbami o radę, którą wybrać, i dokładnym opisem ich wad i zalet:

Niebieska podkreśla kolor moich oczu, a zielona moje bicepsy, chociaż nie chciałbym za bardzo ich podkreślać, żeby nie wyjść na jakiegoś mięśniaka. Z drugiej strony nie chcę też wyjść na łatwego. Ta w szkocką kratę też mi się podoba, ale jest zbyt pretensjonalna, wyglądałbym w niej jak hipster. Myślę, że założę tę niebieską. Tak, tak zrobię. Chyba że uważacie, że powinienem włożyć zieloną? A może lepiej kupić nową? Myślicie, że zauważy, że mam na sobie nową rzecz? Nie chcę wyjść na desperata. Mógłbym powiedzieć, że dostałem ją na Gwiazdkę. Tylko od kogo? Przecież nie od

mamy! Dobra, któraś z was mogła mi ją kupić pod choinkę. Jak go spotkacie, nie zapomnijcie mu o tym powiedzieć. Powiedzcie Markowi, że kupiłyście mi ładną koszulkę i wtedy wyjdę na osobę, której znajomi mają dobry gust i lubią mnie na tyle, żeby kupić mi drogie prezenty. Tak! Mamy to!

Co miał na myśli, mówiąc, że wyjdzie „na osobę, której znajomi mają dobry gust”? Przecież jego znajomi mają świetny gust! No może z wyjątkiem renowacji kredensu, ale taka wpadka może przecież zdarzyć się każdemu.

Mój kac zdecydowanie zelżał, więc w trakcie prób uspokojenia Sama, który stawiał czoła dylematom dotyczącym wyboru koszulki (swoją drogą ciekawe, czy dostał już zdjęcie penisa i dlatego jest taki podenerwowany? Okej, koniec dygresji), stworzyłam listę postanowień noworocznych, których w tym roku zdecydowanie dotrzymam. Za kilka miesięcy skończę czterdziestkę, więc czas najwyższy nauczyć się, jak być dorosłym. Czterdziestolatki nie wspinają się na rozklekotane pianina, żeby tańczyć do *Patricii the Stripper* (mimo iż tańczenie na pianinie to nie lada wyzwanie). Czterdziestolatki są Poważnymi Ludźmi. Mając na uwadze powyższe, w tym roku:

NAUCZĘ SIĘ FRANCUSKIEGO. Poprawnego francuskiego, z francuskim akcentem. Nauczę się go na tyle dobrze, żeby móc prowadzić elokwentne rozmowy wykraczające poza moje obecne limity, czytaj: zdania typu *Je voudrais aller le discotheque*. Mam trzydzieści dziewięć lat. Jestem za stara, żeby mówić ludziom, że chcę iść na dyskotekę. Niezależnie od tego, w jakim języku to powiem.

Będę też czytać ciekawe powieści w oryginale, wyciągnięta wygodnie na *chaise longue*'u. *Pani Bovary* to była niezła francuska książka, w dodatku całkiem pikantna. Chociaż czy ja właściwie czytałam *Panią Bovary*, czy tylko oglądałam ten sprośny serial, w którym bohaterowie przez większość czasu wymykali się do lasu, żeby się obściskować? Mniejsza o to. Przeczytam *Panią Bovary* po francusku. Albo przynajmniej po angielsku.

Dzieci zmuszę, żeby uczyły się razem ze mną i potem będziemy mogli urządzać sobie „francuskie wieczorki”, jak w *Szkole w górach*^[13], gdzie będziemy rozmawiać tylko po francusku i mówić do siebie rzeczy takie jak *Voulez vous passez le petit pois, s'il vous plait?* W te dni będę zapraszać też dzieci Czarownic na herbatkę, żeby po powrocie do domów opowiadały matkom, jaka z nas światowa inteligencja, a sabatowe mamuśki poczują się zawstydzone, mimo że ich konta na Pinterescie wyglądają imponująco, a na ich Instagramach królują hasztagi #takaszczęśliwa. Ha!

ZMIENIĘ PRACĘ. Owszem, mogę się sporo obijać, ale kiedy już muszę pracować, przyznaję, że jest to dość nudne. Simon twierdzi, że wszystkie prace są nudne i mam szczęście, że mogłam pogodzić swoją z wychowywaniem dzieci, ale mimo wszystko wołałabym robić coś ciekawszego, co byłoby wyzwaniem dla mojego intelektu.

- Każdy by tego chciał, kochanie. Kiedy się z ciebie zrobiła taka pretensjonalna nudziara? - kwituje w takich sytuacjach, ale on może sobie tak mówić, bo jest architektem. Mimo wszystko zostawia po sobie jakąś spuściznę przyszłym

pokoleniom (albo chociaż na kilka lat), nawet jeśli sam nie jest przekonany do swojej spuścizny „mejli ze współpracownikami i paskudnych osiedli w centrum miasta”.

Skoro jestem taką zdolną i kreatywną projektantką aplikacji, powinnam rozważyć przebranżowienie się, na przykład zostanę przedsiębiorcą social mediów. Nie mam pojęcia, czym się taka osoba zajmuje, ale ciągle się na to ostatnio natykam. Może pierwszym punktem na mojej liście postanowień powinno być sprawdzenie, co to znaczy?

Zamierzam też zacząć intensywnie promować moją aplikację, żeby wreszcie coś na niej zarobić. Dzisiaj rano z radością odkryłam, że kupiło ją już ponad sto osób, co oznacza, że wyszłam na zero! Od tej pory tylko czysty zysk! Jeśli dorzucę do tego bycie przedsiębiorcą social mediów, niedługo zostanę milionerką.

PIC MNIEJ WINA. Zamiast wypychać wózek każdym możliwym alkoholem z wyprzedaży, będę kupować u małych niezależnych sprzedawców jedną, najwyżej dwie butelki wysokiej jakości wina, które będę popijać powoli, delektując się wyśmienitym aromatem.

Prawdopodobnie będzie to francuskie wino, które dopełni mój nowy wizerunek eleganckiej kobiety z klasą. I tak będę zbyt zajęta nauką francuskiego i zostawianiem królową apek/specjalistką ds. social mediów, żeby marnować czas na upijanie się pinot grigio z supermarketu. Nie będę już miała czasu na *EastEndersów* i przeglądanie Facebooka przy kieliszku taniego wina. Nie będę musiała zagłuszać dzwonienia w uszach narzekających dzieci ani tępić w sobie

obawy, że wszyscy wokół wiodą o wiele ciekawsze życie. Dzieci wreszcie przestaną narzekać, bo będą prowadzić kulturalne rozmowy po francusku.

STANĘ SIĘ MILSZA DLA SIMONA. Ustalimy sobie stały dzień na randki, podczas których będziemy rozmawiać o sztuce i polityce, a nie o tym, kto nie spuścił wody po zrobieniu kupy - on czy dzieci?

Będziemy trzymać się za rękę, spacerując wzdłuż oświetlonych światłem księżyca rzek, i myśleć o tym, że jesteśmy bratnimi duszami. Nigdy więcej nie nazwę go upierdliwą ofiarą losu ani kretyńcem (przynajmniej nie na głos) i będę częściej nosić bieliznę od kompletu, żeby przestał myśleć, że za każdym razem, kiedy założę majtki i stanik w tym samym kolorze, chodzi mi tylko o jedno. Będę doceniać jego miłe i hojne gesty w stosunku do mnie i dzieci. Przestanę się skupiać na rzeczach, które mnie w nim irytują. Przestanę być takim uparciuchem i czekać, aż mnie przeprosi, nawet wtedy, kiedy to ja się mylę. Zresztą przy moim nowym, dojrzałym podejściu do naszej relacji, pewnie i tak nie będziemy się więcej kłócić. Możemy zamiast tego organizować „spotkania rodzinne”, podczas których będziemy po kolei przedstawiać swoje zarzuty i oczyszczać atmosferę bez wzajemnego obwiniania się, a potem wspólnie pracować nad rozwiązaniami, innymi niż rzucanie w siebie pudełkiem ciastek (na przykład po tym, jak kolejny raz zapyta mnie, dlaczego piekarnik jest włączony, a przecież każdy kretyń by się domyślił, że jest włączony po to, żeby UPIEC MU COŚ NA OBIAD).

POLITYKA. Muszę się nią zainteresować. Nie tylko wewnętrzną. Międzynarodową też.

Zrozumiem amerykański system polityczny. Poznam różnicę pomiędzy premierem i prezydentem Francji. Sprawdzę, kto rządzi Hiszpanią (czy oni dalej mają króla, czy znowu myślę ich z Portugalią?).

Sprawdzę też, gdzie na mapie leżą Hiszpania i Portugalia, żeby wiedzieć, dokąd ludzie jeżdżą na wakacje. Już nigdy więcej nie popełnię tak karygodnego błędu, jak stwierdzenie, że Kolonia leży we Francji. Chociaż, prawdę mówiąc, ten błąd nie wydaje mi się aż tak karygodny. Bo skąd się wzięło „eau de cologne”, skoro Kolonia leży w Niemczech? Dlaczego ta nazwa nie jest po niemiecku?

Poznam nie tylko skład rządu, ale też gabinetu cieni. Przestaną czytać *Mail Online*, szczególnie rubrykę z plotkami. Zamiast tego będę czytać *Guardiana* albo *New Statesman*. Stanę się troskliwą, współczującą i dobrze poinformowaną osobą.

TV. BBC2 i BBC4. Tylko! Może jeszcze Sky Arts.

Koniec z taśmowym oglądaniem *EastEnders*. *Gra o tron* może być, bo słyszałam gdzieś, że w scenariuszu jest dużo analogii politycznych, więc będę mogła ją oglądać w ramach postanowienia o interesowaniu się polityką. Ale tylko ze względu na analogie, a nie przez moje zamiłowanie do smoków, romansów i niezdrową fascynację Jaqenem H'gharem.

Wprowadzę ściśle ograniczenia dotyczące czasu przed telewizorem dla dzieci. Przestaną udawać, że nie wiem, że

oglądają Netfliksa w pokojach po tym, jak kazałam im wyłączyć telewizję. I będą oglądać CBBC. Przede wszystkim wiadomości.

DZIECI. Będziemy razem robić dużo ciekawych i pouczających rzeczy. Przestanę też na nie krzyczeć, że są głupie, nawet jeśli przykleją się do stołu, robiąc ciekawe i pouczające rzeczy.

Przeczytam kilka książek, żeby pomagać im rozwiązywać konflikty, kiedy będą próbowały się pozabijać, zamiast wrzeszczeć na nie: „Na Boga, czy możecie wreszcie przestać się kłócić, do cholery! Nie obchodzi mnie, kto zaczął! Ma być spokój. Natychmiast!”.

Będę słuchać o ich przemyśleniach i emocjach, które doprowadziły do tego, że chciały się pozabijać z powodu iPada, a potem spokojnie wyjaśnię im, że takie zachowanie jest nieakceptowalne i zaproponuję kilka sposobów na to, jak dać upust swojej frustracji. Na przykład poprzez taniec interpretacyjny.

PIENIĄDZE. Będę ostrożniej wydawać. Przestanę chować głowę w piasek, udając, że posiadanie karty kredytowej to jak wygranie darmowych pieniędzy. Raz w tygodniu będę logować się na stronach banku, żeby sprawdzić, ile wydajemy, i pomyśleć, jak zmniejszyć nasze długi. Zajmę się tym niedługo, bo kiedy ostatnio zalogowałam się na konto, z przerażenia natychmiast zamknęłam przeglądarkę. Postanowiłam zerknąć ponownie, żeby upewnić się, że to tylko błąd, bo przecież nie mogliśmy wydać aż tyle przez święta, ale okazało się, że to prawda. Będę musiała

powiedzieć o tym Simonowi, ale na pewno stawimy czoła tej sytuacji jak odpowiedzialni, dorośli ludzie.

Co jeszcze...? Ach tak! Schudnąć! Ten punkt widnieje na liście postanowień noworocznych prawie wszystkich kobiet, prawda? Schudnąć i zacząć ćwiczyć. Idealnie byłoby schudnąć tak, żeby ludzie za moimi plecami szeptali: „Wydaje mi się, że teraz jest nawet trochę ZA chuda”, chociaż jeśli zrzucę choćby dwa, trzy kilo, i tak będę zadowolona.

Przejrzałam listę swoich postanowień. Podobają mi się. Jeśli je wszystkie spełnię, zamienię się w jedną z najbardziej próżnych, upierdliwych żołą na świecie. Tak czy inaczej, dzisiaj już za późno, żeby zaczynać, poza tym zostało mi mnóstwo wina z sylwestra. Dzieci wróciły ze szkoły z plakatami o konieczności redukcji odpadów, którymi przez całe popołudnie wymachują mi przed nosem, więc chyba powinnam wypić te sikacze z promocji, zanim przestawię się na drogę wina z małych winiarni? Czy to nie będzie właśnie redukcja odpadów?

Dokończę tanie chardonnay i rzucę okiem na Facebooka, ale tylko na posty ludzi, którzy udostępniają artykuły z *Guardiana*, żeby powoli zacząć wdrażać się w świat polityki.

Ciekawe, jak jest po francusku: „Pieprzyć moje pieprzone życie!”.

Środa, 13 stycznia

Simon przejrzał wyciąg z rachunku bankowego.

W dzisiejszych czasach takie sytuacje są raczej nieuniknione. Moja mama mogła przynajmniej chować przed tatą drukowane rachunki pod materacem, ale nawet on w końcu je znajdował i robił awantury podobne do tej, w której właśnie uczestniczyłam.

Właściwie była to dosyć standardowa awanturka. Kosmiczne kwoty na rachunkach i olbrzymie wydatki w zeszłym miesiącu to oczywiście moja wina, bo przecież to ja wszystko kupowałam. Simon z uporem ignorował fakt, że wydałam tyle pieniędzy na jedzenie i prezenty głównie dla JEGO przeklętej rodziny, a konkretniej JEGO wiecznie niezaspokojonej seksualnie siostry i jej watahy niemytych smarkaczy. Niestety, nazwanie w ten sposób Louisy i jej bliskich było kolejnym błędem – jedynie Simon ma prawo krytykować swoją siostrę. Ja mogę tylko przyznać mu rację.

W końcu Simon ryknął:

- Ellen, do jasnej cholery! Nigdy nie staniemy na nogi, jeśli będziesz dalej tyle wydawać. Haruję jak wół, żeby cokolwiek zarobić, a ty szastasz pieniędzmi na lewo i prawo.

Mogłam mu odpowiedzieć na różne sposoby. Na przykład przypomnieć, że to nie ja musiałam spłacać kredyt studencki przez pierwsze pięć lat wspólnego życia. Lub przypominając mu, że kiedy skończyliśmy studia i wzięliśmy ślub, zarabiałam więcej od niego. Albo że jedyny powód, dla którego pracuję na pół etatu, jest taki, że ktoś musi zajmować się dziećmi. I jeśli to ja szastam pieniędzmi, to ciekawe, co on z nimi robi, skoro ciągle widzę u niego nowe gadżety i te pieprzone narzędzia, których nigdy nie używa?

Nie zrobiłam tego. Postanowiłam być optymistką.

- Nie jest tak źle, Simon. Przez jakiś czas będziemy po prostu żyć oszczędniej. Poza tym może moja aplikacja...

- Chryste, Ellen, zamknij się już wreszcie z tą swoją aplikacją! Ile osób ją kupiło? Sto? A może weszłaś już na globalny poziom i sprzedałaś ich dwieście? Twoja aplikacja nie wyciągnie nas z finansowego dołka. Ja przynajmniej próbuję coś zaoszczędzić. Zamówiłem żarówki energooszczędne i przyrządy do pomiaru energii, żebyśmy mogli sprawdzić, ile prądu zużywamy.

- Naprawdę? To wspaniałe wieści, Simon, po prostu, kurwa, wspaniałe! Dlaczego ty zawsze jesteś takim zadowolonym z siebie, świętoszkowatym dupkiem? Mówisz mi, że nie mamy pieniędzy, i że to wszystko moja wina, podczas gdy ty oszczędzasz **POPRZEZ WYDAWANIE PIENIĘDZY!**

- To nie ja wydałem fortunę na święta, Ellen. Tylko tyle mówię. Gdybyś lepiej rozplanowała wydatki i poszukała promocji, nie musiałabyś wydać aż tyle. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdybyś tylko lepiej organizowała swój czas. I wyobraź sobie, że moje żarówki sprawią, że na dłuższą metę zaoszczędzimy, więc w rzeczywistości są inwestycją, w przeciwieństwie do stu osiemdziesięciu funtów, które wydałaś w sklepie ze zdrową żywnością. Może chociaż powiesz mi na co? Co się w ogóle kupuje w takim sklepie? Soczewicę?! Tylko ty potrafisz być tak rozrzutna, żeby wydać tyle na soczewicę, której nawet nie jadamy!

- To wszystko wydatki twojej pieprzonej siostry! To ona

jest księżniczką, która nie może jeść ociekającego toksynami jedzenia z supermarketów. A drugim powodem, dla którego rachunki były takie wysokie, jest to, że MIAŁAM OSIEM DODATKOWYCH OSÓB DO NAKARMIENIA! Co, wyobraź sobie, nie jest takie tanie, Simon, bo NIE JESTEM PIEPRZONYM MESJASZEM I NIE POTRAFIĘ NAKARMIĆ PIĘCIU TYSIĘCY PIĘCIOMA BOCHENKAMI I DWOMA RYBAMI! A nawet gdybym potrafiła, twoja siostra i tak by nimi wzgardziła, bo nie są organiczne, bezglutenowe, ani WEGAŃSKIE, DO KURWY NĘDZY! Co więcej, niestety nie umiem też zamieniać wody w wino, żeby zaspokoić jej wieczne pragnienie albo chociaż znieczulić się, żeby móc z nią jakoś wytrzymać. Poza tym jak myślisz, niby kiedy miałabym jeździć od sklepu do sklepu w poszukiwaniu promocji, na których zaoszczędzę pięć centrów na worku marchewek, albo jechać do innego sklepu tylko po ziemniaki tańsze o dziesięć centów? Możesz mi powiedzieć, jak sobie to wyobrażasz? Jeśli tego jeszcze nie wiesz, to wyobraź sobie, że muszę się też zajmować TWOIMI dziećmi, sprzątać dom i gotować, podczas gdy ty robisz... co właściwie? Pracujesz o jeden dzień więcej niż ja i uważasz, że dzięki temu możesz przez cały weekend siedzieć na dupie, podczas gdy ja uganiam się za dziećmi, gotuję, sprzątam i piorę, gdy ty nie robisz zupełnie nic, żeby mi pomóc...

- Bardzo mi przykro, że jestem zbyt zmęczony, żeby prasować po tym, jak przepracuję sześćdziesiąt godzin w tygodniu, kochanie! - warknął Simon. - Jak mogę w ogóle śmieć prosić o chwilę dla siebie? I nie zwalaj wszystkich

świętecznych wydatków na moją rodzinę. Twoja rodzina też u nas była!

Miałam ochotę go zabić. Zaczęłam nawet snuć bardzo satysfakcjonującą wizję, w której walę go kijem do krykieta Petera i chowam w płytkim grobie w pobliskim lesie. Mogłabym też przywalić mu mrożonym udem jagnięcym, jak w *Niespodziankach* Roalda Dahla. Niestety nie miałam w zamrażalniku jagnięcia. Ale chyba mam półtuszę wołową...? Czy to wystarczy? Pewnie nie, pewnie powinnam mieć nogę, żeby móc się nią porządnie zamachnąć. Gdybym zdecydowała się na półtuszę, musiałabym najpierw powalić Simona na ziemię i bardziej przypominałoby to walenie kamieniem w łeb.

Zamiast go zamordować, wzięłam jednak głęboki oddech i zapytałam:

- Simon, a pamiętasz gołębia?

- O czym ty w ogóle mówisz? Próbuję z tobą rozmawiać o oszczędzaniu pieniędzy i uporządkowania naszego życia, a ty zaczynasz o jakimś pieprzonym gołębiu?

- Wiesz co? Nieważne. Po prostu odpieprz się ode mnie i daj mi spokój. To wszystko i tak moja wina, jak zawsze. Od dzisiaj kupuję tylko mrożonki. Będziesz zadowolony? Lubisz mrożone jagnię?

Co do jednego ma rację. Nie ma sensu co chwilę sprawdzać mejla, żeby zobaczyć, czy ktoś kupił moją aplikację. Wysłałam ją do wielu stron z prośbą o recenzję i rekomendację, ale to i tak niczego nie zmieni. Ten pomysł od samego początku był głupi.

Od czasu kłótni nie rozmawiamy ze sobą. Konkretniej, ja nie odzywam się do niego, tylko pasywno-agresywnie kursuję po domu, trzaskając drzwiami i naczyniami w kuchni, żeby udowodnić swoją rację. Obawiam się jednak, że mimo całego hałasu, jaki produkuje, Simon rozkoszuje się świętym spokojem. Może powinnam zacząć się do niego odzywać, choćby po to, żeby zrobić mu na złość? Ciężko jest wytrwać w milczeniu, kiedy każda komórka mojego ciała wrzeszczy: „A POZA TYM...”.

Sobota, 16 stycznia

Staram się unikać Simona i dalej się do niego nie odzywam, więc zabrałam Petera i Jane na wystawę wolnej sztuki i do muzeum. Ta wycieczka ma dwa plusy: po pierwsze, nie będę musiała patrzeć na mężusia i słuchać, jak cmoka z dezaprobatą, bo znalazł w lodówce pudełko po humusie, w którym została jakaś nędzna resztką, a wczoraj minął termin ważności, a co za tym idzie - wysłuchiwać kolejnego wykładu o „marnowaniu jedzenia”. Po drugie, na wystawę wchodzi się za darmo, więc jest idealnym sposobem na zademonstrowanie mojej oszczędności i fiskalnej rozwagi.

Na tym jednak nie poprzestałam. Żeby było jeszcze ekonomiczniej, uznałam, że zamiast jechać moim dżipem, który pije jak smok, a potem płacić bajońskie sumy za parking, pojedziemy autobusem, co będzie tańsze i ciekawsze dla dzieci.

Przestawienie się z samochodu na komunikację miejską oznacza też, że nie natkniemy się na Perfekcyjnych

Atkinsonów, bo Perfekcyjna Mama Lucy wyznała mi kiedyś, że robią z rodziną „Dzień Komunikacji Miejskiej” tylko raz w roku. Zostawiają range rovera, po czym wymyślają sobie jakiś cel i muszą dostać się tam i z powrotem przy użyciu transportu publicznego. Mama Lucy poinformowała mnie, że to „wyśmienita zabawa”.

Niestety okazało się, że autobus kosztował fortunę i taniej by wyszło pojechać samochodem. Muzeum i galeria wolnej sztuki są wypełnione po brzegi skarbami i artefaktami ze wszystkich zakątków świata, ale Peter i Jane byli zainteresowani jedynie odchodami dinozaurów i Pokojem Egipskim, bo przecież to oczywiste, że jeśli masz dzieci w wieku szkolnym, przynajmniej jedno z nich będzie musiało kiedyś przygotować prezentację o starożytnym Egipcie.

Później udało mi się zaciągnąć dzieci, żeby pooglądały dzieła sztuki. Były niewzruszone, dopóki nie znalazły aktu. Na ten widok zaczęły chichotać, pokazywać akt palcami i krzyczeć: „TYŁEK! CYCKI!”.

- Przestańcie być tacy dziecinni! - syknęłam.

Na co oni odparli zdeorientowani:

- Mamo, ale jak mamy nie być dziecinni? Jesteśmy dziećmi!

Moja próba odświeżenia ciała i umysłu cichą kontemplacją dzieł impresjonistów spełza na niczym, kiedy Peter stanął za mną, nucąc pod nosem:

- Tyłki, tyłki, tyłki, chcę więcej tyłków!

Po chwili uświadomiłam sobie też, że Jane nie wydaje żadnych dźwięków, co zawsze jest podejrzane. Jakaś część mnie liczyła na to, że moja córka stoi oniemiała pięknem,

które ją otacza, ale w głębi duszy wiedziałam, że tak nie jest. Znalazłam ją w pokoju obok przy gablocie z drogą biżuterią. Próbowала otworzyć kłódkę.

Jeśli mam być szczerą, nie byłam szczególnie zbulwersowana faktem, że moje dzieci nie potrafią się skupić na wystawie. Sama spędziłam wiele chwil w muzeach, próbując coś poczuć, absorbować i chłonać ze zrozumieniem sztukę, ale przeważnie czułam się głupia i nie na miejscu. Ponieważ jednak zatrzymałam się przy jakimś obrazie, musiałam tam chwilę postać, żeby inni ludzie nie wzięli mnie za ignorantkę, która nie potrafi okazać odpowiedniego zachwytu. To analogiczna sytuacja do momentów, w których orientujesz się, że idziesz w złym kierunku, ale nie możesz ot tak, zawrócić, bo przecież LUDZIE SIĘ ZORIENTUJĄ, więc wchodzisz do jakiegoś sklepu i dopiero po wyjściu ruszasz w przeciwną stronę.

Po pewnym czasie pękłam i dałam się zaciągnąć do muzealnego sklepiku, o którym dzieciaki marudziły, od kiedy tu przyszliśmy. Znowu odmówiłam kupna parasolki z baletnicą za 35,99 funtów, mimo że była już na wyprzedaży i kosztowała tylko 22,99.

W drodze do domu popełniłam wielki błąd, mówiąc dzieciom, żebyśmy usiedli na piętrze w autobusie, bo „będzie fajnie”. Nie siedziałam na piętrze, od kiedy zakazali palenia tytoniu w komunikacji. Wcale nie było „fajnie”. Było bardzo głośno, bo banda nastolatków wśród pisków i wrzasków „omawiała” filmiki, które wysyłali sobie na Snapchacie, mimo że siedzieli kilka rzędów od siebie. Plus był taki, że

zagłuszyli Petera i Jane przekrzykujących się, że to drugie oszukuje w zgadywankach.

Zapomniałam za to, że piętro autobusu oferuje niesamowity wgląd w domy i życie innych ludzi. Kiedy wracaliśmy, było już ciemno. Ludzie zapalali światła po powrocie do domu i mogłam zobaczyć wiele ciekawych scen - parę krojącą w kuchni warzywa na kolację, kobietę w salonie czytającą magazyn z lampką wina, pusty pokój z kominkiem, książkami i obrazami, którego mieszkańcy z pewnością zaraz wrócą i rozsiądą się wygodnie w miękkich sofach.

Zawsze mnie to zadziwia, kiedy mijam cudze domy i zaglądam w okna, że za każdymi drzwiami kryje się inna historia, mieszka inna rodzina, która myśli i czuje to samo co moja, która tak samo kłóci się, spiera, je pizzę i ogląda telewizję. Czy inni ludzie myślą o tym, kiedy mijają mój dom? Czy zagląдают mi przez okno i widzą ładny dom, kobietę, która ma wszystko: dwójkę uroczych dzieci i kochającego męża?

Ja zawsze widzę właśnie to - szczęście. Para kroi warzywa w atmosferze cichej współpracy, nie w wymownej ciszy, z zaciśniętymi szczękami, agresywnie, po srogiej kłótni, kiedy kobieta zastanawia się, czy przekroić cebulę, czy lepiej wbić mu nóż prosto w serce. Kobieta z winem rozkoszuje się zasłużoną chwilą dla siebie po intensywnym dniu w dobrze płatnej pracy, a nie dlatego, że chce upić się z żalu, bo jej kochanek postanowił wrócić do żony. A pusty pokój czeka na kochającą się rodzinę i miły wspólny wieczór, a nie dlatego,

że ktoś zbiegł na dół, by odebrać telefon, który przyniesie złe wieści.

Kiedy ludzie mijają mój dom, nie widzą kobiety, która zastanawia się nad swoimi wyborami życiowymi, która jest przekonana, że jest beznadziejną matką i nie ma pewności, czy mąż jeszcze ją kocha – w tym momencie na pewno za nią nie przepada, a w dodatku od kilku dni prawie ze sobą nie rozmawiają – i która nie wie, jak długo jeszcze będzie w stanie przywdziawać fałszywy uśmiech i udawać, że wszystko w porządku, „naprawdę, czuję się świetnie”, zanim zacznie pijana wyplakiwać się psu, bo nikt inny i tak jej nie zrozumie.

A może to wszystko jest o wiele prostsze? Może para nie ma już sobie nic do powiedzenia? On zastanawia się, dlaczego nie kupił sobie sportowego samochodu i nie zjechał nim południowej Francji, zamiast wydawać całe oszczędności na wystawne wesele i kredyt, na który go nie stać, a ona myśli o chłopcu, który pocałował ją kiedyś na plaży na półwyspie Kintyre. Szkoda, że nie pamiętam imienia tego chłopca, bo ten pocałunek był niewątpliwie jednym z dwóch najbardziej romantycznych momentów w moim życiu.

Simon jest odpowiedzialny za drugi najbardziej romantyczny moment, choć muszę przyznać, że jest on też najbardziej absurdalny. To było w Edynburgu. Parą byliśmy od niedawna. Spacerowaliśmy po parku Meadows i nagle zobaczyliśmy prześliczne różowe gołębice na ścieżce przed nami. Były naprawdę urocze (przynajmniej z daleka), więc kiedy Simon powiedział, że w jego rodzinnych stronach jest

ich mnóstwo, powiedziałam, że chcę różowego gołębia i żeby przywiózł mi jednego.

Poszliśmy dalej. Zupełnie zapomniałam o gołębiach. Kilka tygodni później Simon pojechał do domu na urodziny czy święta. Nie byliśmy jeszcze wtedy na etapie wspólnych obiadów rodzinnych, więc ja nie byłam zaproszona. Pewnie w zamian wkręciłam się na jakąś imprezę i ostro zabalowałam.

W niedzielę wieczorem Simon przyszedł do mojego mieszkania. W dłoniach trzymał pudełko z tektury i nalegał, żebym wyszła razem z nim. Wyciągnął mnie do parku naprzeciwko mojego bloku i podał mi pudełko. Cieszył się jak dziecko w bożonarodzeniowy poranek. Był z siebie taki dumny.

Otworzyłam pudełko, wrzasnęłam na całe gardło, upuściłam je i uciekłam.

Simon wyjechał w rodzinne strony, złapał jednego gołębia z domu babci, przywiózł go pociągiem z Hampshire (dzielnie stawiając czoła podejrzliwym spojrzeniom współpasażerów za każdym razem, kiedy otwierał pudełko, żeby nakarmić albo napić gołębia) i w końcu przejechał przez pół Edynburga, żeby mi go sprezentować, bo kiedyś powiedziałam, że różowe gołębie są ładne.

Biedny Simon nie miał pojęcia, że mam fobię i boję się ptaków, ciem, nietoperzy i wszystkiego, co trzepocze albo furkocze i najstraszniejszą rzeczą, jaką mogłam zobaczyć po otwarciu pudełka (no, może z wyjątkiem Gwyneth Paltrow) był przerażony gołęb. Krzyczałam tak głośno, że ludzie

myśleli, że Simon chce mnie okraść, i sprzedawca *Big Issue* próbował nawet dokonać obywatelskiego zatrzymania.

To była najbardziej urocza rzecz, jaką ktokolwiek kiedykolwiek dla mnie zrobił. Po chwili przestałam krzyczeć, uspokoiłam się, a mój amant został uwolniony. Gołąb niestety w międzyczasie odleciał (Simon musiał długo zapewniać mnie, że to gołąb pocztowy, który na pewno sobie poradzi z powrotem do domu, więc mogę przestać płakać nad biednym samotnym ptaszkiem w wielkim mieście. W końcu to, że panicznie boję się gołębi, jeszcze nie znaczy, że nie będę się martwić o takie paskudne, płochliwe i przerażające ptaszysko). Potem zapadł zmierzch, a mój przyszły mąż objął mnie ramieniem i po raz pierwszy wyznał mi miłość (powiedział: „Jesteś szurnięta, ale i tak cię kocham”, ale możemy pominąć ten szczegół dla dobra historii).

A teraz marudzi, kiedy poproszę go, żeby przyniósł mi pranie z pralki. Wątpię, żeby jeszcze kiedykolwiek przyniósł mi gołębia.

Jasna cholera, chyba dopadła mnie styczniowa chandra! Już rozumiem, czemu ludzie twierdzą, że w komunikacji miejskiej można nabawić się depresji.

Niedziela, 17 stycznia

Przeglądałam dzisiaj stare zdjęcia. Udawałam, że je porządkuję, ale tak naprawdę chciałam je obejrzeć, żeby zobaczyć, jacy byliśmy kiedyś młodzi. Znalazłam jedno z przyjęcia „Klechy i kokoty”, na którym jesteśmy z Hannah przebrane za wyuzdane kokoty w obrożach, kabaretkach,

szelkach i wymalowane o wiele za ciemną szminką - klasykiem lat 90.

Tamtej nocy chyba złamałam nadgarstek podczas radosnych wygibasów na parkiecie. Nie chciałam jechać na pogotowie, bo bałam się, co pomyślą, kiedy zobaczą taką wyuzdaną latawicę, więc zamiast tego leczyłam się tanim dżinem. Obudziłam się rano z potwornym bólem w nadgarstku i kacem gigantem. Chociaż możliwe, że to wcale nie było wtedy. W tamtych czasach ciągle ktoś urządzał przyjęcia „Klechy i kokoty”.

Co się z nimi właściwie stało? Czy to był tylko wymysł lat 90., czy młodzi, fajniejsi od nas - starych przyków - ludzie dalej je organizują? Przez moment myślałam, że może sama powinnam urządzić takie przyjęcie, na przykład z okazji czterdziestki, ale szybko dotarło do mnie, że po urodzeniu dwójki dzieci i zjedzeniu zbyt wielu chipsów nie będę tak dobrze wyglądać w kabaretkach, jak kiedy miałam dziewiętnaście lat, byłam giętka i szczupła. Większość z nas musiałaby się przebrać za główną bohaterkę *Pastora na obcasach*. Nawet wtedy wkurzało mnie, że kiedy chłopaki pożyczali ode mnie kuse spódniczki i obcisłe spodnie, wyglądali w nich (przynajmniej z tyłu) o wiele lepiej ode mnie, osoby, która zawsze miała problemy z „boczkami” i była tak szczupła tylko dlatego, że żywiła się tanim winem, wódką, dietetyczną coca-colą, niekończącymi się zapasami marlboro lightów (Boże, ile bym dała, żeby móc dalej tyle palić) i okazjonalnym kebabem z Istanbula albo parówkami w cieście z całodobowej piekarni, o którą zahaczałam po

drodze z klubu.

Później trafiłam na serię fotek z Simonem. Począwszy od obowiązkowych zdjęć z fotobudek, po wygłupy na imprezach, podczas których ja stroiłam absurdalnie śmieszne miny, a Simon stał za mną, jak na pana Luzaka przystało, ale na każdym mnie obejmował. W końcu trafiłam na zdjęcia ślubne i zaczęłam płakać, po pierwsze dlatego, że byliśmy tacy młodzi, pełni nadziei i wyglądaliśmy na szczęśliwych, a po drugie dlatego, że miałam taką paskudną sukienkę.

Serio, co ja sobie myślałam? Setki metrów sztywnej, błyszczącej tafty, rękawki z pufami (à la Ania z Zielonego Wzgórza), dziwaczne koronki i falbanki. Lata 80. były już dawno za nami, kiedy braliśmy ślub, a mimo to wyglądałam, jakbym urwała się z *Dynastii*. Pocieszało mnie tylko to, że moja druhna Hannah wyglądała równie okropnie.

Simon (dupek!) oczywiście postawił na niestarzejącą się elegancję, czytaj: garnitur. Moim zdaniem to niesprawiedliwe. Mężczyźni kupują sobie jeden garnitur i o ile nie przytyją (a tak się składa, że Simon nie przytył ani kilograma), noszą go przez całe życie, podczas gdy kobiety muszą kupować nową sukienkę na każdą okazję i niech Bóg ma je w swojej opiece, jeśli założą to samo co jakaś inna dziewczyna (tymczasem wszyscy faceci są ubrani identycznie).

Cicho pochlippingując i mruczając pod nosem o podwójnych standardach, próbowałam znaleźć zdjęcia z pierwszego tańca, bo o ile moja suknia ślubna była dziwaczna, o tyle sukienka na wesele była jednym z koszmarków rodem z lat

90. - szmaragdowo-zielona, przekoronkowana i przefalbankowana tafta, a do tego bojerko (co się właściwie stało z taftą? Trafiła w to samo miejsce, w które przyjęcia „Klechy i kokoty”?). Wtedy do sypialni wszedł Simon.

Mówi się, że kobiety wychodzą za swoich ojców. Cóż, jedną z cech, które Simon zdecydowanie dzieli z moim ojcem, jest nieumiejętność radzenia sobie z emocjonalnością kobiet. Mój ojciec nadrabiał ten brak, dając nam pieniądze, co Jessica i ja szybko rozpracowałyśmy i uczyniłyśmy z tego źródło dochodów, kiedy byłyśmy nastolatkami. Drżąca warga była warta co najmniej piąta. Jeśli udało nam się wydusić parę łez, dostawałyśmy dziesiątka, a przy porządnym płaczu była szansa aż na dwudziestkę. Nie musiałyśmy nawet wymyślać powodów do płaczu, wystarczyło powiedzieć, że „Jestem taka smutna z powodu rozwodu” – szantaż emocjonalny świetnie się sprawdzał jako klucz do portfela taty. Jessica odkładała połowę swoich oszczędności i inwestowała w obligacje premiowe Premium Bonds, a ja wydawałam wszystko na wódkę, fajki i imprezy. Pewnie dlatego Jessica ma teraz wielki dom, kupę forsy i perspektywę niezłej emerytury, a mnie nie stać nawet na botoks, żeby wyrównać wszystkie zmarszczki, jakie zrobiły mi się wokół ust po latach palenia.

Simon niestety nie jest taki hojny w stosunku do płaczących kobiet. Przeważnie zamyka się w swojej szopie i siedzi w niej, dopóki nie uzna, że niebezpieczeństwo minęło, dlatego zdziwiłam się, kiedy wszedł do pokoju i usiadł przy mnie na łóżku. Pewnie chciał się spakować, bo jutro znowu wyjeżdża na tydzień w delegację. Szykowałam

się psychicznie na ochrzan za porozrzucane po podłodze zdjęcia.

Zamiast mnie strofować, Simon podniósł jedno z nich. Byliśmy na nim razem. Tło było całkiem czarne, więc nie wiem, czy zostało zrobione w pubie, czy na przyjęciu. Ja śmieję się do niego, a on patrzy na mnie w sposób, w jaki nie patrzył już od bardzo dawna.

- Chryste, byliśmy tacy młodzi!

- Za młodzi - powiedziałam chłodno, bo ciągle jeszcze byłam na niego zła.

- Tak myślisz? Swoją drogą, pamiętam gołębia. Nie sądzę, żeby ktokolwiek mógł przejechać osiemset kilometrów, łącznie z przeprawą metrem przez Londyn, z gołębiem w kartonowym pudełku, i nie pamiętać tego przeżycia.

Nie mogłam się nie roześmiać.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chcę, żeby nasza relacja tak wyglądała.

Wciąż byłam bardzo zła, ale trudno się złościć, kiedy wszędzie wokół leżą zdjęcia, na których byliśmy tacy szczęśliwi (i szczupli). Poza tym on pierwszy przeprosił, więc formalnie to ja wygrałam. Oczywiście nie powiedziałam tego na głos, chociaż bardzo mnie kusiło, ale w głębi duszy wiedziałam, że Simon wie, że ja wiem, że wygrałam.

Może nie był to najlepszy sposób na rozpoczęcie dojrzałej relacji ani przykład załatwiania spraw w dorosłym stylu, ale wciąż byłam przekonana, że to on nie miał racji, więc uważam, że jego przeprosiny były jak najbardziej na miejscu. Poza tym nadal bardzo go kocham. Oczywiście

z wyjątkiem momentów, w których fantazjuję o zakopaniu go w płytkim grobie w środku lasu.

LUTY

Poniedziałek, 1 lutego

Sam jest zakochany! I to tak, że niedługo zacznie pisać do rubryki z poradami w *Just 17*, żeby dowiedzieć się, czy mu się podoba, czy nie. Jego głównym dylematem, o którym opowiadał mi przez dwadzieścia minut po szkole, a potem dalej pisał w naszej grupowej konwersacji z Hannah, jest to, czy powinien świętować miesięcznicę pierwszej randki z Markiem za kilka dni, czy może tym razem powinien odpuścić, ale odbić sobie to w walentynki. Próbuje wcisnąć temat Marka w każdą możliwą rozmowę, co jest nawet całkiem urocze. Nie zdziwiłabym się, gdyby ćwiczył podpisywanie się „Sam Evans” i bawił się w sprawdzanie kompatybilności imion.

Tymczasem Hannah uznała, że skoro Sam mógł się zakochać po tym, jak został zdradzony przez tego prosiaka Robina, może i ona powinna znowu zanurzyć się w wody jeziora randek (to jej porównanie, nie moje. Z tego, co mi opowiadała, prędzej nazwałabym je jeziorem drani).

Tak czy inaczej, odkryła jakąś miłą stronę dla przedstawicieli klasy średniej, na której znajomi piszą, jaki jesteś, i na tej podstawie ludzie decydują, czy się z tobą spotkać. Hannah stwierdziła, że to lepsze rozwiązanie, bo mężczyźni na tej stronie nie wyglądają na typków, którzy

wysyłają zdjęcia penisów. Sam parsknął śmiechem, kiedy to usłyszał. Powiedział, że wszyscy faceci są w takim typie, wystarczy tylko dać im ku temu okazję. Hannah się obraziła.

Biedna dziewczyna. Mam nadzieję, że wie, co robi. Zasługuje na kochającego chłopaka (nie takiego jak Dupek Dan), ale nie jestem pewna, czy znajdzie go w sieci. Przynajmniej poprosiła mnie o napisanie notki na jej profil. Gdybym tylko wiedziała, co napisać... Myślałam o:

Znam Hannah, od kiedy miałyśmy po jedenaście lat. Bądź dla niej dobry i nie wysyłaj jej zdjęć swojego interesu, bo znajdę cię i ci go odrąbię.

A może jednak przesadzam...?

Znam Hannah od wielu lat. Lubi ser żółty i wino. Uwielbia śmiać się z przyjaciółmi, podróżować i spędzać czas z rodziną. Jest kochaną i bardzo radosną osobą.

Ale płytkie. O każdym można by tak napisać. Dobry Boże, to jest o wiele trudniejsze, niż myślałam!

Hannah jest przezabawna.

NIE! Zaraz potem musiałabym napisać, że jest „zwariowana” i „szalona”. Może nie powinnam pisać tego tak, jakbym próbowała ją sprzedać?

Hannah jest miła, lojalna i kochająca.

Świetnie! Pytanie tylko, kiedy zmieniła się w golden retrievera? Kto by pomyślał, że napisanie kilku zdań o tym, dlaczego ktoś inny powinien bzyknąć twoją najlepszą kumpelę, będzie takie trudne? Może kiedy następnym razem wyjdziemy do pubu, powinnam po prostu podejść do jakiegoś przystojniaka i powiedzieć: „Podobasz się mojej kumpeli, nie

chciałbyś się z nią poobściskować?”, tak jak to robiłam, kiedy miałyśmy po czternaście lat.

Ciekawe, czy w dzisiejszych czasach czternastolatki dalej się obściskują, czy wybierają zabawy rodem z hardcorowego porno? Pewnie się dowiem, kiedy Peter i Jane podrosną. Chociaż czasami wątpię, czy Jane kiedykolwiek znajdzie na tyle odważnego chłopaka, żeby chciał ją bzyknąć. Współczuję też każdemu, kto spróbuje wysłać jej sprośne SMS-y. Pewnie skończy się to wbiciem sztyletu prosto w serce, a w najlepszym wypadku wepchnięciem telefonu tam, gdzie słońce nie dociera. Jane wciąż jeszcze przeżywa traumę po obejrzeniu *Jak powstają dzieci* na DVD w szkole. Ostatnio oświadczyła, że NIGDY PRZENIGDY nie będzie TEGO robić. Miejmy nadzieję, że tak zostanie, kiedy podrośnie i zacznie przeżywać burzę hormonalną.

Jeśli zaś chodzi o Petera, jestem w stanie wyobrazić sobie regularne wizyty tatuśków wściekłych o to, że Peter splamił honor ich niewinnych córek. Mój syn po prostu urodził się bezwstydnikiem i tak już mu pewnie zostanie. Simon ciągle nie może się otrząsnąć po tym, gdy zabrał małego Petera na zakupy. Nasz aniołek wychylił się z wózka i uszczypnął jakąś panią w pośladki. Pani oczywiście myślała, że była to sprawka mojego męża i chciała wzywać policję. Simon wciąż powołuje się na ten incydent, kiedy próbuje wymigać się od zakupów. A przecież Peter jest teraz w takim wieku, że jedyne, co mógłby nabroić, to puścić głośnego bąka i śmiać się do rozpuku, podczas gdy pozostali klienci będą maskować zmieszanie.

Wróćmy jednak na targ, na którym próbuję sprzedać przyjaciółkę:

Hannah jest kochana. Jest ciepła i zabawna. Jest wspaniałą mamą i przyjaciółką. Zasluguje na mężczyznę równie wspaniałego jak ona. Takiego, który nie pokaże jej penisa, dopóki się nie spotkają.

Może z wyjątkiem ostatniego zdania. Dobra, wystarczy! Szukając inspiracji, czytałam opisy innych. Są prawie identyczne. Wszyscy lubią czytać i podróżować, nawet jeśli ich najdalsza wyprawa to pijacki rejs do Calais albo wycieczka z klubu 18-30 do Benidorm, a najdłuższa książka, jaką czytali, to knajpiane menu, które buchnęli do domu.

Wszyscy są uroczymi ludźmi, piją tylko dla towarzystwa (bo przecież kto by chciał przyznać, że jest wysoko funkcjonującym alkoholikiem albo lubi samotnie żłopać piwo ubrany w poplamione slipy, dopóki nie zaśnie?) i szukają kogoś „wyjątkowego”.

Mimo wszystko uważam, że Hannah jest niesłychanie odważna. Simon może i bywa wkurzający, ale ja bym nie potrafiła przeglądać profili setek mężczyzn, próbując na podstawie małego zdjęcia ocenić, czy któryś z nich wygląda na moją bratnią duszę, i zastanawiać się, czy napisali, że lubią się przytulać, bo tak naprawdę są grubi. Albo że są wysportowani, bo uważają się za lepszych, a do tego będą oczekiwali, że będziemy razem uprawiać jogging.

Dzięki Bogu, Simon nigdy ode mnie nie oczekiwał, żebym uprawiała sporty. Kiedy dzieci były bardzo małe, zapisałam się na gimnastykę, głównie po to, żeby korzystać z darmowej

przechowalni dla dzieci. Liczyłam też na to, że odzyskam figurę sprzed ciąży. Przez jakiś czas regularnie chodziłam na zajęcia i byłam w całkiem niezłej formie. Najbardziej podobały mi się zajęcia z kick-boxingu, które bardzo pomagały wyładować złość i frustrację na worku bokserskim, chociaż nikomu się nie chwaliłam, że wyobrażam sobie twarz mojego męża, kiedy to robię.

Zaczęłam mieć wątpliwości, kiedy kazali nam balansować na chybotałej desce do ćwiczenia równowagi. Te upiorne zajęcia prowadził mięśniak w obcisłej kamizelce, który nieustannie i w bardzo niepokojący sposób gładził swoje mięśnie.

Byłam też chyba jedyną kobietą na sali, której nie zaimponowały wysmarowane oliwką bicepsy. Pozostałe panie ćwiczyły w pełnym makijażu i trzepotały sztucznymi rzęsami, próbując zwrócić na siebie uwagę mięśniaka. Tymczasem ja, ubrana w ulubiony wielki stary T-shirt, nie mogłam sobie poradzić z wykonywaniem ćwiczeń i instruktor cały czas musiał mi asystować, oczywiście ku wielkiemu oburzeniu odzianych w kompleciki z lycry wielbicielek fitnessu.

Gwoździem do trumny na mojej drodze do wakacyjnej sylwetki były zajęcia „dla początkujących”, na których kazali nam klęczeć na wielkich, dmuchanych piłkach. Upierałam się, że to niemożliwe, równie mocno jak instruktorka, której zdaniem było to bardzo proste i każdy sobie z tym poradzi.

To wcale nie było proste. Przez jakiś ułamek sekundy balansowałam na piłce, po czym wystrzeliłam jak z procy i przeleciałam przez pół sali, zderzyłam się ze słupem

i padłam na ziemię otumaniona.

Nikomu to nie umknęło. Wiele osób rzuciło mi się na pomoc. Powiedziałam, że „Wszystko w porządku, ha, ha, ha, nic mi się nie stało!” i na chwiejnych nogach wyparowałam z pomieszczenia, zabrałam dzieci z przechowalni, uciekłam i moja noga więcej tam nie powstała.

Płaciłam składki członkowskie przez kolejne sześć miesięcy, żeby nikt nie pomyślał, że jestem zbyt zawstydzona tamtym wydarzeniem, żeby wrócić, ale któregoś dnia Simon powiedział, że wyrzucam pieniądze w błoto i kazał mi się wypisać. Od tamtej pory jedynym sportem, jaki uprawiam, jest bieganie za psem, kiedy rzuci się w pogoń za królikami.

To, że nie jestem wysportowana, stanowi tylko jeden z powodów, dla których nie mogłabym się tak wystawić. Kolejnym jest to, że wstydzę się rozebrać przy ludziach, po tym jak urodziłam dwójkę dzieci i przytyłam więcej, niż mi się wydaje.

Simon widział moje rozstępy i ciało, które zmieniło się (a raczej: zdewastowało) w wyniku ciąży, porodów i setek batoników Mint Clubs, uważam go zresztą za współodpowiedzialnego za te zmiany (może z wyjątkiem batoników), więc jego się nie wstydzę, ale jak miałabym rzucić ciuchy przed obcym człowiekiem, krzyżąc radośnie „Ta-dam!” po dwudziestu latach, kiedy jedynymi osobami, które widziały mnie w pełnej okazałości, są mój mąż i personel przychodni lekarskich?

Muszę się trzymać tego postanowienia, żeby być miłą dla Simona, bo on ani razu nie dał mi do zrozumienia, że nie

wyglądam już jak młoda seksbomba. Kiedy marudzę, że jestem gruba albo narzekam na swoje rozstępy, Simon śmieje się i mówi, że wyglądam bosko. I może nie kupuje mi kwiatów, ale bardzo często przynosi mi herbatkę, co moim zdaniem jest o wiele więcej warte. A to, że spędza tyle czasu w swojej przeklętej szopie i zagraca mój dom bezużytecznymi gadżetami, które jego zdaniem oszczędzą nasz czas i pieniądze, chociaż prawda jest taka, że marnują zarówno nasz czas, jak i pieniądze, bo ciągle trzeba szukać do nich pilotów albo aplikacji, żeby je uruchomić, i tak jest lepsze, niż gdyby miał łązić po mieście i obracać inne dziewczyny i łamać moje serce, jak byli partnerzy Sama czy Hannah.

Wtorek, 9 lutego, Dzień Naleśnika

Wczoraj przez godzinę oglądałam na YouTube filmiki instruktażowe o tym, jak prawidłowo podrzucać naleśniki na patelni. Straciłam całą pieprzoną godzinę. Efekt końcowy? Naleśniki na suficie, podłodze i grzbiecie psa.

Przyznaję, mogłam wziąć pod uwagę, że organizacja naleśnikowego przyjęcia i zaproszenie dzieci Sama po szkole może mnie przerosnąć, ale żeby aż tak? Miałam szczywany plan, żeby swoje naleśniki nazywać crepsami, co mogłabym podciągnąć pod realizację planu „nauczę się francuskiego i zostanę kulturalną, dystyngowaną i światową osobą”, ale jak widać, nic z tego. Swoją drogą, po francusku „pieprzyć moje życie” to „baise ma vie”. Chyba wolę angielską wersję, bo francuski skrót brzmiałby BMV, a to już zbyt

niebezpiecznie zahacza o luksus.

Niestety crepsy okazały się jedynie przestrogą, żeby nigdy więcej nie zgadzać się na wspólne gotowanie z dziećmi, bo Sophie i Jane rozsypały mąkę po całej podłodze, a Peter i Toby rozbili pięć jajek i żadnym nie trafili do miski. Po kilku nieudolnych próbach zrobienia ciasta skończyły nam się jajka i mleko. Jedyne, co mi zostało, to zabrać dzieciom miskę, wrzucić jej zawartość do KitchenAida i modlić się o cud.

Cud wyszedł dość gumowaty, ale i tak wylałam go chochlą na patelnię i podjęłam próbę smażenia. Pierwsze trzy oczywiście przywarły, prawdopodobnie dlatego, że zignorowałam instrukcje świętej Delii Smith i Nigelli Lawson, żeby naleśniki smażyć na specjalnie do tego przeznaczonej patelni, którą można kupić tylko w wybranych supermarketach za kosmiczną sumkę.

Ostatecznie udało mi się zdrapać z patelni jakąś półzjadliwą breję i kiedy dzieci skończyły się o nią kłócić jak banda wściekłych psów, wytknęły mi, że nie podrzucałam naleśników, tylko przewracałam je szpatułką, czyli zrobiłam wszystko źle. I że powinnam jednak spróbować je podrzucać. Albo, jak z kamienną miną zasugerowała Jane, powinnam „sama się wyrzucić”. Odniosłam wrażenie, że to wcale nie był żart.

Ponieważ naoglądałam się tyle filmików o podrzucaniu, postanowiłam spróbować. Niestety w związku z brakiem odpowiedniej techniki jedyne, co mi się udało, to przykleić naleśniki do sufitu. Dzieci uparły się, że pójdzie im lepiej, ale ich próby również skończyły się katastrofą, to znaczy

naleśniki wylądowały na podłodze i grzbiecie skonsternowanego tym faktem psa.

Sam, kochany jak zawsze, próbował zachować twarz, kiedy przyjechał odebrać dzieci i zastał je tak upačkane mąką, jajkami i ciastem na naleśniki, że mógłby pomyśleć, że byłem gotowa wrzucić je na głęboki tłuszcz i usmażyć niczym szkocka wersja wiedźmy z *Jasia i Małgosi*. Wiedźmy z południa opiekałyby dzieci na drogim, zatwierdzonym przez Mary Berry grillu z Lakeland, a wiedźmy z północy pewnie byłyby do tego stopnia zajęte kłótniami o to, czy podać dzieci w bułce do hot dogów, hamburgerów, w cieście czy z chlebem, że w ogóle zapomniałyby je upiec.

Niedziela, 14 lutego, Walentynki

Mawiają, że miłość romantyczna umarła. Cóż, mają rację. Simon i tak nigdy nie chce obchodzić walentynek, bo tego samego dnia ma urodziny. Jego matka bardzo się upierała, żeby nazwać go Walenty, ale ojciec na szczęście jej to wyperswadował. Chyba nie byłabym w stanie wyjść za jakiegoś Walentego. Czy to znaczy, że jestem płytka? Nie, chyba nie – chłopak, o imieniu Walenty wyrósłby na zupełnie inną osobę niż ktoś o tak przyziemnym imieniu jak Simon.

Ja też nie jestem wielką miłośniczką walentynek, bo wciąż kojarzą mi się z czasami, kiedy chodziłam do szkoły dla dziewcząt. W walentynki zawsze próbowałam przemknąć po szkole niezauważona albo udawałam, że wyszłam z domu, zanim przyszedł listonosz, podczas gdy wszystkie wyfiokowane, popularne blondyny (które niewątpliwie

wyrosną na perfekcyjne czarownice sabatu perfekcyjnych mamusiek rządzących na placu zabaw), nonszalancko przechadzały się po korytarzach, wymachując pęczkami kartek pocztowych albo, jeśli miały chłopaka, różami owiniętymi w paskudny celofan.

Z jakiegoś powodu, w walentynki nigdy nie miałam ani chłopaka, ani nawet tajemniczego wielbiciela. Niektóre dziewczynki dostawały kartki od swoich ojców, co było chyba jeszcze gorsze, niż nie dostać nic - mój ojciec na szczęście nigdy się do czegoś takiego nie posunął.

Natomiast na pierwszym roku studiów dostałam aż cztery walentynki! Byłam wniebowzięta. Poprawiałam włosy i z nonszalancją paradowałam po korytarzach uczelni. Byłam popularna! Wtedy po raz pierwszy poczułam, że kiedyś odnajdę prawdziwą miłość. Rok później też dostałam kilka kartek, a po dwóch byłam już dziewczyną Simona i od tamtej pory dostałam już tylko jedną walentynkę, zrobioną przez Jane w przedszkolu. Bardzo mnie to wzruszyło, bo postanowili wysłać walentynkę do każdej z mamusí. Simon strasznie się wściekał, że mam tajemniczego adoratora, dopóki nie wyjaśniłam mu, o co chodzi. Pamiętam też, że nie mogłam się zdecydować, czy pochlebia mi jego zazdrość, czy raczej obraża fakt, że był aż tak zaskoczony, że ktoś inny mógł wysłać mi kartkę.

Za to w tym roku muszę stawić czoła poglądom Petera i Jane na Dzień Świętego Walentego, jak również załamaniu nerwowemu Sama. Peter oznajmił, że jest śmiertelnie zakochany w Poppy Hodgkins, nadaktywnej dziewczynce, od

której na kilometr czuć syntetyczną truskawką („Ona tak pięknie pachnie!”, wzdycha Peter), która, jak podejrzewam, wyrośnie na szkolną latawicę, ale na razie mój syn wręczył jej walentynkę i poprosił o chodzenie. Poppy powiedziała, że się zastanowi (puszczalska gnojowa).

Jane natomiast była zniesmaczona tym, że Freddie Dawkins miał czelność dać jej kartkę (czy sensem wysyłania walentynek nie powinno być to, że są anonimowe?), bo Freddie jest „cuchnącym rudzielcem i okularnikiem”.

Powiedziałam Jane, że nie powinna oceniać ludzi po wyglądzie, a Freddie to z pewnością uroczy chłopiec, chociaż prawda jest taka, że faktycznie w jego wyglądzie jest coś niefortunnego, nie wiedzieć czemu zawsze lekko trąci kapustą kiszoną i zachowuje się w dość specyficzny sposób, który implikuje, że w przyszłości może mieć do czynienia z trupami grzebanymi w płytkich grobach w środku lasu.

Odrzucając go, Jane raczej nie pomogła Freddiemu w zwalczaniu ułomności towarzyskiej. Myślę, że było wręcz przeciwnie – to, że podarła walentynkę (a wraz z nią jego serce) na strzępy, cisnęła nią o ziemię i podeptała na oczach wszystkich, prędeż zadziało jako katalizator do wielu dysfunkcyjnych relacji, i to w najlepszym wypadku. W przeciwieństwie do rodziców Poppy Hodgkins, raczej nie muszę się obawiać, że Jane zaliczy wpadkę jako nastolatka.

W międzyczasie Sam szykował romantyczną kolację dla Marka, co szło mu raczej fatalnie. Po siedemnastym SMS-ie o tym, że sknocił małże, zasugerowałam, żeby kupił gotowe w Marks & Spencer i schował opakowanie. Sama tak robię,

kiedy Simon uparcie odmawia świętowania walentynek. Ja nie muszę gotować, a on jest wniebowzięty, że przygotowałam dla niego taki wykwintny posiłek.

Simon spędził ten dzień nieświadomy, przez jakie udręki przechodzą jego dzieci, bo bawił się swoimi prezentami urodzinowymi. Już dawno ustaliliśmy, że nie będę kupować mu prezentów, bo jest parszywie wybredny i jeśli kupię coś, co nie trafi w jego gust, równie dobrze mogę nie dawać mu nic. Może nie byłoby w tym nic złego, gdyby zwracał źle dobrane prezenty i prosił o zwrot pieniędzy, ale niestety miał w zwyczaju przekonywać mnie, że prezent bardzo mu się podoba, po czym odkładał go na półkę, gdzie wraz z innymi zostawał już na zawsze: niechciany, nietknięty i niekochany.

Któregoś dnia postawiłam ultimatum. Albo wsadzi sobie w dupę wszystkie drogie zegarki, koszulki, szaliki i gadżety, które mu kupiłam, albo sam będzie sobie sprawiał prezenty, a ja będę je ładnie pakować i mu wręczać. Wybrał to drugie.

Dalej mam w zwyczaju kupować mu butelkę drogiego dżinu albo kaszmirowy szalik, żeby nie było, że w ogóle się nie staram. Po jakimś czasie wypijam dżin, a szalik sobie biorę, więc nie ma w tej sytuacji przegranych. W tym roku kupił sobie kilka czarnych pudełek, które można podłączyć do telewizora, więc mamy jeszcze więcej pilotów do zgubienia, a włączenie go powoli zaczyna przypominać wyzwanie z *Krypton Factor*^[14]. Kupił też kolejną piłę, żeby jego ukochanej grzbietnicy nie było smutno w szopie, żeby sam poczuł się jeszcze bardziej męski i żeby Bardo skisł z zazdrości, kiedy następnym razem nas odwiedzi.

Ciągnąca się w nieskończoność kłótnia z moimi skarbami o to, że nie mogą zostać ze mną i Simonem na naszej romantycznej kolacji, tylko mają natychmiast iść spać, sprawiła, że podczas odgrzewania dania z M&S lekko przeholowałam z dzinem, który kupiłam Simonowi w prezencie. Kiedy jedliśmy tiramisu, wpadłam w romantyczny nastrój i patrząc mu głęboko w oczy, spytałam:

- Pamiętasz, kiedy pierwszy raz ugotowałam dla ciebie obiad, kochanie?

- Oczywiście! Jak mógłbym zapomnieć? - odparł.

A ja rozpromieniałam:

- Zajęło mi to tyle czasu! I narobiłam niezłego bałaganu. Co mi strzeliło do głowy, żeby stwierdzić, że zapiekanka z cannelloni ze szpinakiem i ricottą będzie dobrym pomysłem? To wszystko wina Delii Smith!

- To wcale nie był pierwszy obiad, który dla mnie przyrządziłaś - sprostował Simon.

- Oczywiście, że był! Cannelloni wyszło kluchowate, ale ugotowałam je specjalnie dla ciebie, bo byłeś wtedy wegetarianinem - oburzyłam się zraniona, że nie pamięta naszego pierwszego wspólnego posiłku.

- Nie mam pojęcia, dla kogo je zrobiłaś, ale nie brzmi to jak coś smacznego. Poza tym nie mogło chodzić o mnie, bo nigdy nie byłem wegetarianinem. A pierwszego razu, kiedy dla mnie ugotowałaś, nigdy nie zapomnę, bo próbowałaś upiec mięso w szklanym naczyniu na kuchence elektrycznej. Naczynie eksplodowało i kiedy przyszedłem, w twojej kuchni

było pełno strażaków i tłuczonego szkła, a ty szalałaś w hysterii.

Ups. Dziwne. Dla kogo w takim razie robiłam zapiekankę? Tak czy inaczej, Simon ma rację. O ile dobrze pamiętam, wyszła dosyć marna - rozmiękła i gumowata.

- Ach tak. Coś sobie przypominam...

- Następnym razem, kiedy próbowałaś dla mnie gotować, udało ci się uniknąć wzywania straży pożarnej, ale chciałaś zrobić pieczeń z jakiejś dziwnej części indyka, która wyszła niejadalna. Zrozumiałem wtedy, że jesteś jedyną osobą na świecie, która potrafi schrzanić potrawę według przepisu Delii. Później kupiłaś książkę z kuchnią włoską i gotowałaś głównie makaron, co było o wiele mniej ryzykowne. Wtedy uznałem, że małżeństwo z tobą będzie jednak bezpieczne.

- Będzie bezpieczne? A co to, do cholery, znaczy? Ale z ciebie romantyk! Ożeniłeś się ze mną ze względów bezpieczeństwa?

- Nie, moja droga. Nie można powiedzieć, żebyś była najbezpieczniejszą osobą na świecie. Wiedziałem, że chcę spędzić z tobą resztę życia już na naszej pierwszej randce, tylko przez wzgląd na twój nietuzinkowy talent kulinarny nie wiedziałem, ile ta reszta życia potrwa - zaśmiał się Simon.

Ten żart tylko trochę mnie udobruchał, więc zapytałam jeszcze:

- Ale teraz już lubisz, jak gotuję, prawda? Poprawiłam się?

- Oczywiście, kochanie. Masz wielki talent, jeśli chodzi o chowanie opakowań gotowych dań z Marks & Spencer. Jesteś prawdziwą mistrzynią kuchni!

Co za burak! Mimo to - ale cóż, byłam już trochę wstawiona - zrobiłam się sentymentalna i łąsa na komplementy (w końcu to walentynki!), więc drążyłam dalej:

- Naprawdę już wtedy wiedziałeś, że chcesz spędzić ze mną resztę życia?

- Oczywiście! Nie zapytam cię o to samo, bo już raz pomyliłaś mnie dzisiaj z innym chłopakiem, więc raczej nie mogę ci zaufać w tej kwestii. Ale ja od dawna miałem cię na oku, tylko nigdy nie było okazji, żeby z tobą porozmawiać, bo albo byłem pijany, albo ty byłaś, albo kręcił się przy tobie jakiś dupek. Przez długi czas myślałem, że nie wiesz nawet, kim jestem. Ale któregoś razu przyszłaś sama, więc pomyślałem sobie, że nie mam nic do stracenia. Postanowiłem zawalczyć. Przynajmniej wokół nie było nikogo, kto mógłby mnie wyśmiać, gdybyś dała mi kosza. Reszta to już historia.

- Tak, nawet pomimo tego, że poszłam z tobą do łóżka na pierwszej randce, chociaż teoretycznie dziewczyny nie powinny tak robić. A co ci się we mnie tak spodobało?

(Straciłam wszelkie opory. Już mi to mówił, ale chciałam posłuchać jeszcze raz. Mogłabym o tym słuchać codziennie. Zastanawiałam się, czy nie włączyć potajemnie telefonu, żeby nagrać Simona, i włączać sobie, kiedy znowu zamknie się w szopie albo będzie chrapał przed telewizorem).

- Miałaś świetne cycki! - powiedział, na co ja wyciągnęłam rękę, żeby palnąć go w łeb. - No dobrze, dobrze, dalej masz świetne cycki! Poza tym zawsze wyglądałaś na taką szczęśliwą, jakbyś bawiła się najlepiej ze wszystkich. Szkoda,

że już tak nie wyglądasz. Ale teraz twoja kolej, w końcu to moje urodziny. To ty powinnaś mówić mi, jak nie mogłaś mi się oprzeć, bo byłem pociągający i miałem boskie ciało.

Powiedziałam mu, że zawsze wydawał mi się mroczny i tajemniczy, a grzywka, która przysłaniała mu oczy, zawsze wywoływała u mnie kosmate myśli. Też byłam przekonana, że nie ma pojęcia o moim istnieniu i bardziej interesują go mroczne i kapryśne artystki, a nie ktoś tak zwyczajny i nudny jak ja. Później poszliśmy na górę. Niestety przez tego wegetarianina i jego głupią zapiekankę ze szpinakiem Simon wyszedł na większego romantyka ode mnie.

Środa, 17 lutego

Czasami zastanawiam się, co do cholery jest ze mną nie tak. Jak najgorsza kretyńka zgodziłam się na telekonferencję w domu, po tym jak odbiorę dzieci ze szkoły. Jakim idiotą trzeba być, żeby załatwiać ważne telefony, kiedy po domu pałętają się dzieci?

Dałam im iPady i wszystkie możliwe przekąski, których mogłyby zapragnąć. Zaprowadziłam do toalety, żeby uniknąć nieprzyjemnych incydentów z serii „Mamusiu, pomóż mi się wytrzeć” (do czego doszło ostatnio, kiedy wykonywałam z domu służbowy telefon), mimo że Peter na co dzień świetnie sobie z tym radzi. Wymknęłam się z salonu cichutko jak myszka, kiedy tylko uzyskałam połączenie, ale to wszystko na nic, bo dziecięce radary natychmiast wykryły, co się święci, i po zaledwie kilku sekundach stanęły pod drzwiami, drąc się wniebogłosy. Ku mojemu rozczarowaniu

odkryłam też, że szantaż emocjonalny i błagania w stylu: „Bądźcie cicho i zostawcie mnie w spokoju, bo mam coś bardzo ważnego do zrobienia” działają na nie jak płachta na byka i zaczynają jęczeć najgłośniejszym, jak to możliwe, co doprowadza mnie do szału.

Usilne próby uciszenia ich spełzły na niczym, przez co nie mam pojęcia, na co się zgodziłam, bo nie słyszałam swoich rozmówców. Mam nadzieję, że nie zrobiłam żadnej głupoty... Przeprosiłam za ryki, które było słychać w tle, twierdząc, że to zakłócenia w połączeniu internetowym, i poprosiłam o przesłanie mi mejla z podsumowaniem naszej rozmowy. Dzięki temu będę przynajmniej miała pojęcie, o czym rozmawiałam. Później otworzyłam drzwi i zażądałam wyjaśnień od moich kochanych maleństw, dlaczego waliły w drzwi i wyły przez cały czas trwania mojej rozmowy, mimo że powiedziałam im, jak to się skończy, jeśli się natychmiast nie uciszą.

Peter był cały czerwony i płakał. Zawstydzony schował się za niewzruszoną Jane. Wszystko wskazywało na to, że to ona próbowała wyważyć drzwi.

- MAMUSIU, DLACZEGO NAM NIE OTWORZYŁAŚ? - rzuciła oburzona. - Peter wciągnął nosem ziarnko groszku!

Że co?! Do jasnej cholery, zostawiłam ich tylko na dziesięć minut! Tyle im wystarczyło, żeby Peter wciągnął nosem ziarnko groszku?

- Co takiego? Dlaczego włożyłeś sobie groszek do nosa? I skąd w ogóle wytrzasnąłeś groszek? Nie jedliśmy go od tygodni!

Peter wzruszył ramionami i odparł:

- Znalazłem ziarenko w kącie w kuchni. Nie wiem, czemu włożyłem je do nosa.

Świetnie. Po prostu świetnie! Nie wystarczy, że jestem matką, która zaniedbuje swoje obowiązki. Teraz wyjdę jeszcze na niechlujną panią domu, co dzieci z przyjemnością dopiszą do listy zbrodni, które przeciwko nim popełniam.

- Kurwa mać - rzuciłam pod nosem.

Peter gorliwie dmuchał nos, ale groszek musiał utknać głębiej i nie zostało nam nic innego, jak jechać do kliniki niewielkich obrażeń i modlić się, że nie przekroczyłam jeszcze dopuszczalnej liczby wizyt i nie wezwą opieki społecznej. Simon był na jakimś Bardzo Ważnym wyjeździe służbowym w ciepłych krajach (a jakżeby inaczej?), więc musiałam zabrać też Jane.

Nawet jak na niewielkie obrażenia, chłopiec z groszkiem w nosie nie stoi na szczycie listy priorytetów, więc musieliśmy trochę poczekać na naszą kolej. Ignorując moje starania, żeby je jakoś zabawić, dzieciaki uznały, że tarzanie się po podłodze jest o wiele ciekawsze. Moje desperackie syknięcia:

- Wstawajcie natychmiast! Zaraz złapiecie jakieś paskudztwo! Na Boga, system immunologiczny przedstawicieli klasy średniej nigdy sobie z tym nie poradzi!
- nic nie wskórały.

W końcu wezwała nas zmęczona, przepracowana pielęgniarka, i zaczęła operację wyciągania groszku specjalnie do tego przeznaczonym narzędziem,

prawdopodobnie zastanawiając się nad tym, po jaką cholere przeznaczyła tyle czasu i oszczędności na studia, po których miała ratować ludziom życie, a tymczasem zajmuje się takimi przypadkami.

Jane przez jakiś czas była podejrzanie cicho, ale kiedy tylko weszliśmy do pokoju pielęgniarki, zaczęła mamrotać coś pod nosem.

- Kochanie, nic nie rozumiem. Mogłabyś mówić głośniej? I przestań tak seplenić, otwórz buzię i mów jak człowiek.

Jane posłuchała i głośno oznajmiła:

- Powiedziałam, że chyba utknął mi między zębami spinacz do papieru.

Ze co tym razem?!

Oniemiała od tej rewelacji, zdołałam tylko zapytać:

- Ale jak? I po co? I skąd go wytrzasnęłaś?

- Znalazłam na podłodze w poczekalni - zaczęła się bronić Jane.

Na rany Chrystusa! Co jest nie tak z moimi dziećmi? Co w nią wstąpiło, że postanowiła włożyć do buzi przypadkowy przedmiot znaleziony na szpitalnej podłodze?

- Chciałam sprawdzić, czy wejdzie, a on utknął - dodała.

- Ale po jaką cholere chciałaś to sprawdzić?

- Mamusiu, nie mów do mnie tak brzydko. Jesteś niemila. Miłe mamusie nie mówią tak do swoich dzieci - zgrywała niewiniątko Jane. Na tyle, na ile to możliwe, kiedy ma się spinacz do papieru między zębami.

Mamusiom, których bachory nie robią takich rzeczy, łatwo jest być miłym i nie przeklinać, złośliwie przeszło mi przez

myśl.

Spinacz faktycznie porządnie utknał. Nie byłam w stanie go wyjąć. Szczęście w nieszczęściu, całe to wydarzenie miało miejsce w momencie, kiedy miła pielęgniarka pojawiła się z wyciągaczem groszku, więc po tym, jak sprawnie usunęła ciało obce z nosa mojego syna, umierając ze wstydu, spytałam, czy nie mogłaby jeszcze raz wykonać swojej czarodziejskiej sztuczki, żeby wyjąć też spinacz. Kiedy wyjaśniałam jej sytuację, patrzyła na mnie wzrokiem pełnym politowania, po czym sięgnęła po szczypcę i usunęła przedmiot. Będę musiała poszukać innego szpitala. Po tym wszystkim nigdy nie odważę się tam wrócić.

Pieprzyć moje pieprzone życie! Czy to naprawdę takie dziwne, że czasem sięgam po kieliszek? W takich sytuacjach wino już nie pomaga, więc musiałam wspomóc się dżinem. Popijając drinka, mruczałam pod nosem:

- Ciesz się każdą chwilą, mawiają. Tak szybko rosną, są darem bożym, mawiają.

Jasne, dzisiejszy dzień z moimi kochanymi szkrabami był istnym błogosławieństwem. Prawie zdzieliłam telefon młotkiem, kiedy przeczytałam SMS-a od Simona, w którym zapytał, jak mi minął dzień, i narzekał, że ma już po dziurki w nosie jedzenia z restauracji i nie może się doczekać, kiedy zje w domu coś prostego. Oczywiście ma na myśli lasagne - zawsze, kiedy pisze o czymś prostym, ma na myśli lasagne. Któregoś dnia znajdzie lasagne w miejscu, w którym zupełnie by się nie spodziewał. Może nawet mrożoną, jeśli wyjątkowo mi podpadnie.

Sobota, 20 lutego

Simon w końcu wrócił i demonstracyjnie posmutniał, kiedy odmówiłam zrobienia mu jego wymarzonej, prostej, pieprzonej lasagne, więc oświadczyłam, że to dlatego, że dzisiaj jest dzień matki z córką i ojca z synem i nie mam na to czasu. Wpadłam na ten pomysł dzisiaj rano, kiedy uświadomiłam sobie, że Jane wygląda, jakby uciekła z przytułku dla ubogich. Musiałam przegapić moment, w którym drastycznie urosła, bo nie dość, że większość jej ubrań dziwnie się skurczyła, to jeszcze były znoszone i dziurawe. Niedawno zaczęła też marudzić, że sama chce sobie wybierać ubrania, które są w JEJ stylu, więc mimo ciągłego żalu o incydent ze spinaczem do papieru postanowiłam, że zabiorę ją na dziewczynskie zakupy. To świetna okazja do zacieśniania więzi i wesołych pogawędek bez wlokącego się za nami Petera, który narzeka, że jest głodny i bierze do rąk każdy przedmiot, który wygląda na drogi i tłuący. Spędzimy miło czas, a kiedy Jane dorośnie, będzie opowiadać innym: „Moja mama była dla mnie jak siostra!”, choć jak się nad tym zastanowię, bycie siostrą według Jane oznacza dręczenie młodszego brata i podejmowanie ciągłych prób ukatrupienia go, więc może to wcale nie byłby komplement? Wystarczy, jeśli będzie mówić, że byłam jej najlepszą przyjaciółką. Niektóre kobiety mówią tak o swoich matkach. Tak będzie chyba najlepiej.

Jane wzgardziła każdym uroczym strojem, który jej zaproponowałam: wszystkimi ślicznymi koszulkami z kokardkami i w kotki, zwiewnymi spódniczkami

i sukienkami w stylu retro. Jak się dzisiaj dowiedziałam, to wszystko było FUJKA. Ditto Gap, Next, Primark. FUJKA, FUJKA, FUJKA.

W końcu, kiedy Jane wzdrygnęła się na widok kolejnej sukienki, którą do niej pomachałam, będąc o krok od wpadnięcia w rozpacz, spytałam:

- A co ci się podoba?

- Chcę koszulkę w dinozaury.

- Koszulkę w dinozaury? Kochanie, nie widziałam tutaj takich.

- Są. W pierwszym sklepie.

- W pierwszym sklepie? To dlaczego mi nie powiedziałaś wcześniej?

- Bo nie pytałaś. - Wzruszyła ramionami.

Cofnęłyśmy się do pierwszego sklepu, ale nie znalazłam tam żadnej koszulki w dinozaury.

- Kochanie, jesteś pewna, że to ten sklep? - spytałam desperacko.

- Tak. Tam są takie. - Wskazała palcem dział dla chłopców.

- Ale to jest koszulka dla chłopców...

- I co z tego? Podoba mi się. I spodnie też są tu fajne. Nie to, co te paskudztwa całe w brokacie.

W końcu ubrałam córkę w sekcji męskiej, ale było mi już wszystko jedno. Chciałam tylko, żeby koszmar pod tytułem „Ja proponuję Jane ubranie, a ona mówi, że jest głupie” wreszcie się skończył. Potem poszłyśmy do kawiarni. Nadłożyłam drogi, żeby zahaczyć o dział z butami, bo zauważyłam, że jest promocja, więc pomyślałam, że warto

sprawdzić. Miałam szczęście. Parę srebrnych szpilek (bardzo dobrej jakości, przecenionych z 79 do 23 funtów, więc grzechem byłoby ich nie kupić) później byłyśmy w kawiarni.

- Jesteśmy przyjaciółkami, prawda kochanie? - spytałam radośnie znad kubka kawy. Jane kupiłam gorącą czekoladę. Rozwazałam przez moment małą buteleczkę wina, ale musiałam ją odstawić, bo przyjechałyśmy samochodem.

Jane spojrzała na mnie z jeszcze większym odrzuceniem, niż kiedy zaproponowałam jej różową cekinową koszulkę z Hello Kitty.

- Nie - rzuciła stanowczo. - Oczywiście, że nie jesteśmy. Jesteś moją mamą, nie przyjaciółką. Sophie jest moją przyjaciółką. I Tilly, i Milly, i Lucy, ale nie Lucy Atkinson. Ty nie jesteś. Ludzie nie przyjaźnią się ze swoimi mamami.

- Niektórzy się przyjaźnią - oburzyłam się.

- Ach tak? Cóż, ci ludzie są jacyś dziwni!

Kiedy wróciłyśmy do domu, pierwszą rzeczą, jaką powiedziała, było:

- Tato, mama kupiła kolejne buty! Mówiłam jej, że ma ich za dużo i wcale ich nie potrzebuje, ale ona i tak je kupiła!

Dom wyglądał, jakby przeszedł przez niego huragan. Po całej kuchni i salonie walały się brudne naczynia, a na stoliku stały cztery (tak, CZTERY) niedopite szklanki soku i kilka puszek po piwie. Na oparciu kanapy leżały spodnie Petera, a cały blat był usmarowany masłem i resztkami sera. Obok śmietnika, który był pełny, leżała pusta paczka po chipsach.

- Simon, co tu się działo, do cholery? Co wy tu wyprawialiście?

- Spędziłem cały dzień, zajmując się twoim synem! W przeciwieństwie do was nie mogliśmy sobie jeździć po mieście i sklepach z butami – odparł urażony.

- Rozumiem, ale co właściwie robiliście? Mogliście przecież wynieść śmieci albo chociaż wstawić naczynia do zmywarki...

- Mówiłem ci, że opiekowałem się Peterem. Zrobiłem mu lunch. Poza tym mam jetlag. Jak miałem znaleźć czas na to wszystko, kiedy ty włóczyłaś się po sklepach? Poza tym nie rozumiem, dlaczego ciągle narzekasz na dzieci, ja i Peter bawiliśmy się świetnie.

Nie wątpię. Oczywiście, że bawili się świetnie, bo Simon miał pod opieką tylko jedno dziecko, więc nie musiał wysłuchiwać ich kłótni ani próbować ich rozdzielać, kiedy chcą się pozabijać, bo jedno krzywo spojrzało na drugie. Poza tym nie robił nic innego poza zajmowaniem się Peterem, który prawdopodobnie spędził cały czas, kiedy mnie nie było, z nosem wlepionym w iPada. Simon nie musiał szorować kibla, pakować ton naczyń do zmywarki, odkurzać klocków lego, prasować, jednocześnie przerywając kłótnie, odpowiadając na ciągłe prośby o jedzenie, ściąganie aplikacji i odpowiadanie na idiotyczne pytania o to, kto lepiej walczy: robot czy małpa. Nie dziwne, że świetnie się bawili, przecież wszyscy wiedzą, że Simon jest pieprzonym ojcem roku! Poza tym kupowanie ciuchów z moją ukochaną córką jest czystą rozrywką, rzeczywiście, ten dzień był dla mnie spełnieniem marzeń, oczywiście tylko dopóki Jane ich nie podeptała, odmawiając zapozowania do zdjęcia na Instagram

z hasztagiem #dziewczyngóra i #szczęściara, po czym serwując mi wykład o tym, że wrzucając do sieci jej zdjęcia bez pytania o zgodę, łamię prawa człowieka.

Kurwa mać. Dobrze, że przynajmniej mam srebrne szpilki, chociaż na psie nie zrobiły żadnego wrażenia.

Poniedziałek, 29 lutego

Ponieważ dzieci Sama zaprzyjaźniły się z moimi, Sophie i Toby byli u nas dzisiaj w gościnie i jak to zwykle w moim domu bywa, potwornie się usmarowali czymś, co jak zakładam, było butelką sosu pomidorowego.

Żeby zadośćuczynić Samowi, zaproponowałam mu kieliszek wina, kiedy przyjechał po dzieci. Oczywiście skończyło się na tym, że wypiliśmy całą butelkę, a Sam opowiadał o jego niesamowitych przygodach z Markiem. To łatwe, kiedy twój chłopak ma tak zwyczajne imię jak Mark, ale kiedy ja z maślanymi oczkami zaczynam: „Simon mówi...”, moi przyjaciele natychmiast rzucają coś w stylu: „Połóż ręce na głowie!”. Moi znajomi są do bani. Za to Sam cały czas jest zakochany po uszy i żartuje sobie, że skoro mamy rok przestępny, na pewno któryś z nich oświadczy się drugiemu.

Po wyjściu Sama byłam trochę zawiana, bo wypłam pół butelki wina na pusty żołądek, więc zdobyłam się na odwagę, żeby zalogować się na konto bankowe, przekonać się, że jestem ledwo wypłacalna i zobaczyć, jakie grosze zostaną mi na koncie po tym, jak zejda z niego stałe polecenia zapłaty.

Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że mam o 10 tysięcy

funtów więcej, niż się spodziewałam. To się nie zdarza. 10 tysięcy na minusie – owszem, ale nigdy na plusie. Po przejrzaniu wszystkich transakcji znalazłam przelew na 10 tysięcy i 3 funty. Za moją aplikację.

Wciąż lekko wstawiona, ale przynajmniej pełna nadziei, przejrzałam mejle z ostatnich miesięcy, których nie czytałam, żeby uniknąć kolejnych smutnych wieści typu:

Dziesięć osób kupiło twoją apkę, zarobiłaś 7 funtów.

Okazało się, że kupiło ją 14.290 osób! Był też mejl od portalu internetowego, który recenzuje aplikacje, z informacją, że napiszą o niej w jednym z najbliższych artykułów. Pewnie dlatego tyle osób ją kupiło.

Oniemiałam z wrażenia i radości. Simon pracował do późna, więc nie mógł ze mną porozmawiać, co zrobimy z tym nagłym zastrzykiem gotówki. Może wydamy je na wakacje życia? Albo dwadzieścia par butów od Louboutina? Albo dziesięć par butów i weekend w Paryżu. Tylko ja i on, spacerujący za rękę wzdłuż Sekwany... A potem tydzień wakacji z całą rodziną.

Otworzyłam kolejną butelkę wina, żeby wznieść toast, i marzyłam dalej. Moglibyśmy kupić nowy samochód, który nie śmierdziałby zgniłymi jabłkami, chociaż to nie ma sensu, bo dzieci traktują każdy samochód jako przenośny kubeł na śmieci.

W końcu niezbyt entuzjastycznie (i ku własnemu zdziwieniu) pomyślałam, że skoro Simon tak się stresuje brakiem pieniędzy, szczególnie w związku z wydatkami świątecznymi, mogłabym spłacić kartę kredytową.

Wystarczyłoby na cały dług.

Postanowiłam, że nie powiem o tym Simonowi. Zrobię mu miłą niespodziankę i kiedy sprawdzi, jaka jest najniższa możliwa rata w tym miesiącu, odkryje, że dług zniknął. A kiedy zapyta mnie, jak to się stało, rzucę od niechcienia:

- Pamiętasz tę aplikację, którą stworzyłam? Mówiłeś, że nigdy na niej nie zarobię, że to marzenia ściętej głowy. Cóż, tak się złożyło, że właśnie spłaciłam dzięki niej kartę kredytową. Zwróć też uwagę na to, jak oszczędna i rozsądna byłam, wydając na to swoje pieniądze, skoro mogłam kupić sobie wymarzone buty od Louboutina! A podobno jestem taka głupia i niegospodarna!

Potem mogłabym się tym chełpić, a Simon byłby wniebowzięty, że mamy jeden problem z głowy.

Rozpogodzona tym faktem i czerwonym winem zrobiłam przelew, bojąc się, że jeśli będę dłużej zwlekać, wpadnę na lepszy pomysł, co zrobić z pieniędzmi.

Simon wrócił do domu wyczerpany, a ja przez cały wieczór posyłałam mu głupkowate tajemnicze uśmiešky i nie pisałam ani słówka, nawet kiedy się całkiem załamał, że jestem tak nabzdryngolona we wtorkowy wieczór.

Dotarło też do mnie, że skoro już tyle zarobiłam, może uda mi się zarobić jeszcze więcej! Być może moja przyziemna i wynikająca z oszczędności decyzja jeszcze zostanie wynagrodzona fantastycznymi wakacjami albo pięknymi szpilkami, w których i tak nie umiem chodzić. Miałam pełne prawo do dumy, chociaż rano pewnie będę mieć kaca i załamię się, że nie wydałam dziesięciu tysięcy na coś

fajniejszego.

MARZEC

Piątek, 4 marca

Figa z makiem z pasternakiem. Zero. Guzik z pętelką. Tyle Simon miał mi do powiedzenia na temat faktu, że nasza karta kredytowa została w magiczny sposób spłacona. Dlaczego nic nie powiedział? Nie zauważył? A może zauważył, ale uznał, że to błąd w matriksie, który będzie mieć fatalne konsekwencje, bo jego żona nie umie gospodarować pieniędzmi? Boi się, co odpowiem, kiedy zapyta, w jaki sposób spłaciłam kredyt? Boi się, że wpadłam w hazard albo zdefraudowałam oszczędności staruszek? Nieuprzejmie tak nic nie mówić.

Stało się dzisiaj za to coś niespodziewanego. Oddałam samochód do warsztatu (och, jak wspaniale będzie nie musieć się martwić, kiedy przyjdzie do płacenia), a dzieci prosto po szkole jechały do Sama na nocowanki, więc Simon podrzucił mnie do pracy. Postanowiłam wrócić autobusem. Już marzec, więc nie będę musiała znów siedzieć na piętrecie i pochlipywać żałośnie, porównując wymyślone smutne historie z życia ludzi za oknami mijanych domów do mojej własnej.

Ponieważ nie musiałam odbierać dzieci, zostałam dłużej w pracy. Nie chciałam jechać z rozwrzeszczanymi uczniami podstawówek. Kiedy przyszedłam na przystanek, zaczęło

padać, a do autobusu miałam jeszcze piętnaście minut, więc schowałam się w małej galerii po drugiej stronie ulicy, jednej z tych, w których jest mnóstwo pięknych rzeczy, ale stać mnie tylko na ładne kartki pocztowe.

Miałam trochę czasu, więc postanowiłam się rozejrzeć, zanim kupię pocztówki. Akurat podziwiałam figurkę śpiącej koszatki z brązu (nawet gdybym miała na zbyciu 450 funtów, nie kupiłabym za nie czegoś tak małego), kiedy podszedł do mnie bardzo wysoki mężczyzna, zresztą jedyna osoba w galerii poza mną.

Nie lubię, kiedy ludzie naruszają moją prywatną przestrzeń. Nie lubię nawet, kiedy Simon leży blisko mnie w łóżku, pomijając oczywiście specjalne okazje. Kiedy śpimy, każde z nas ma swoją połowę łóżka, chociaż Simon upiera się, że zawsze próbuje zawłaszczyć sobie również tę jego. Nie lubię, kiedy ojciec moich dzieci narusza moją prywatną przestrzeń, więc tym bardziej nie jestem zachwycona, kiedy robi to obcy człowiek.

Facet miał dla siebie cały sklep, więc czemu sterczał nade mną i tą pioruńsko drogą koszatką? Może chciał ukraść mi torebkę? Wyglądał bardzo kulturalnie, ale nigdy nie zapomnę, jak kiedyś w metrze jechał z nami podejrzany typek i szepnęłam do Simona, żeby pilnował portfela, a sama kurczowo złapałam swoją torebkę, bo nie podobało mi się, jak na nas patrzył. Okazało się później, że to był tajniak, który w pewnym momencie powalił na ziemię bardzo eleganckiego mężczyznę i skuł go kajdankami za to, że ukradł jakiejś miłej pani torebkę.

Nie zamierzałam ryzykować. Postanowiłam odejść, ale najpierw rzuciłam mu wymowne spojrzenie godne samego Misia Paddingtona.

On jednak, zamiast się zawstydić i odejść, jak przystało na prawdziwego Brytyjczyka, stanął w miejscu i wyszczerzył do mnie zęby. Dobry Boże, pomyślałam, to pewnie jakiś turysta, dla którego będę musiała być miła i przez którego spóźnię się na autobus, bo jak przystało na prawdziwą Brytyjkę, będę musiała mu wytłumaczyć, jak dojechać tam, dokąd próbuje dojechać. A to wszystko w piątek, kiedy marzę jedynie o tym, żeby wziąć kąpiel, popijając dzin, który pomoże mi wymazać z pamięci to, co moja szwagierka wyprawiała w wannie, a później przebrać się w piżamę i oglądać telewizję, jedząc chipsy. Chryste, jest piątek, dzieciaki śpią poza domem, a to jest szczyt moich ambicji? Zamieniam się w Simona. Przez to wszystko nie zwróciłam uwagi, że mężczyzna coś do mnie mówi.

- Ellen Green! Tak myślałem, że to ty! Wszędzie rozpoznam twój wzrok „Odpieprz się natychmiast i daj mi święty spokój”.

- Charlie? O mój Boże, Charlie! Co ty tu robisz?

Charlie Carhill! Ostatnio myślałam o nim jakieś dwadzieścia lat temu. Poprawka, dwadzieścia lat temu postanowiłam, że nigdy więcej o nim nie pomyślę. Kiedyś bardzo brzydko go potraktowałam, czego wstydzę się do tej pory. Zamknęłam wszystkie myśli o Charliem w małym pudełeczku z tyłu głowy i nigdy go nie otwierałam, bo wiązałyby się to z bardzo niekomfortowymi drgawkami

z zimna i uderzeniami gorąca na przemian. I nagle Charlie wyrósł przede mną jak spod ziemi. Co więcej, wyglądał całkiem nieźle i chyba ucieszył się na mój widok, co było bardzo dziwne, biorąc pod uwagę naszą historię.

Chwilę później mnie przytulił, a kiedy wypuścił mnie z objęć, oznajmił:

- Nie mogę w to uwierzyć! Tak się cieszę, że cię widzę!

Wtedy przypomniało mi się, że Charlie zawsze był miły, szczery i nigdy nie chował urazy, więc odparłam:

- Ciebie też świetnie widzieć! Ale co ty tutaj robisz?

- Pracuję niedaleko stąd, w szpitalu Świętej Katarzyny.

- Ach tak! Jesteś lekarzem w Świętej Katarzynie! To wspaniale! - powiedziałam, prawie mdlejąc. Oczywiście, że jest lekarzem, idiotko, pomyślałam sobie. Czy naprawdę sądziłaś, że spędził ostatnie dwadzieścia lat życia jak nieśmiały i ciapowaty student medycyny tylko dlatego, że zamknęłaś wspomnienia o nim w małym pudełeczku z tyłu głowy?.

- Tak, od niedawna tu pracuję. Ale... Ellen Green! Wciąż nie mogę uwierzyć, że to ty! - powiedział rozpromieniony, na co ja trochę zbyt szorstko odparłam:

- Teraz nazywam się Russell, ale tak, to zdecydowanie ja. We własnej osobie!

- Jesteś zajęta? Śpieszysz się? Może dasz się zaprosić na drinka? - powiedział zupełnie niezrażony.

A ja odparłam, że „byłoby miło”, bo autentycznie ucieszyłam się na jego widok. Poza tym miałam sobie odrobinę za złe, że chociaż widzieliśmy się tylko kilka minut,

a już zdążyłam być dla niego oschłą. No i przecież był Olać-to-Piątek! Wypiliśmy po drinku, a potem po jeszcze jednym i ostatecznie wróciłam do domu lekko wcięta o wiele później, niż planowałam.

Kiedy wróciłam, Simon czytał w kuchni gazetę, popijając wino. Napisałam mu wcześniej SMS-a, że po pracy idę na drinka, ale nie wchodziłam w szczegóły.

- Dobrze się bawiłaś? - spytał.

Już miałam powiedzieć „Nie uwierzysz, kogo dzisiaj spotkałam, Simon!”, ale wydukałam tylko: „Było miło. Nic nadzwyczajnego”, po czym wzruszyłam ramionami, sugerując, że to był najzwyczajniejszy piątkowy wypad ze znajomymi z pracy.

Planowałam powiedzieć Simonowi, że wpadłam na Charliego. Przez całą drogę do domu zastanawiałam się, co dokładnie powiem o tym dziwnym, chociaż miłym zbiegu okoliczności. Jednak kiedy przyszło co do czego, nie powiedziałam ani słowa.

Może to dlatego, że Simon nigdy nie poznał dobrze Charliego, i gdybym chciała mu opowiedzieć, musiałabym wyjaśnić, kim jest i jaką pełnił rolę w moim życiu. To z kolei oznaczałoby, że muszę przypomnieć sobie, jak postąpiłam wobec niego. Nie chciałam o tym myśleć, szczególnie że Charlie ewidentnie puścił w niepamięć, że zachowałam się wobec niego tak podle.

- Hej! - powiedział Simon. - Jest Olać-to-Piątek i mamy wolną chatę. Może wyskoczmy na drinka? Albo pójdziemy coś zjeść? Jadłaś już?

Simon rzadko daje się wywabić do świata ludzi i chociaż marzyłam o tym, żeby wreszcie zdjąć stanik, głupio mi było odmówić. Poszliśmy do włoskiej knajpy na makaron i wino, a w pewnym momencie nawet trzymaliśmy się za ręce, więc trudno było znaleźć dobry moment, żeby porozmawiać o Charliem.

Sobota, 5 marca

Sam uznał, że nadszedł czas, żebyśmy ja i Hannah bliżej poznały Marka. Namawiałam Simona, żeby poprosił starszą córkę Baxterów spod 34 o zajęcie się dziećmi i poszedł z nami, ale dwie noce z rzędu poza domem to dla niego za dużo.

- Ty jesteś jeszcze w kwiecie wieku, kochanie, ale pamiętaj, że ja jestem już starym, zgrzybiałym dziadem. - I dodał, że poczuł palącą potrzebę uwalenia się na kanapie w ukochanym polarze i oglądania *Fanów czterech kółek*.

- Pieprz się, kochanie - odparłam. - Jesteś ode mnie tylko o rok starszy. A poza tym o co ci chodzi z tą „kobietą w kwiecie wieku”? Robisz ze mnie pannę Jean Brodie.

Simon wziął mnie na ręce i patrząc mi głęboko w oczy, powiedział:

- Czy ona przypadkiem nie była wyuzdana?

- Natychmiast postaw mnie na ziemię! Nie dość, że nie idziesz, to jeszcze przez ciebie się spóźnię!

Niestety miłość Sama też nie mogła przyjść, bo zaległa w domu rażona wirusem grypy żołądkowej.

- Proponowałem, że się nim zaopiekuję... - zaczął Sam

wspaniałomyślnie. - Ale na szczęście się nie zgodził. Prawdę mówiąc, nie znoszę dobrze wymiotów. Biedaczek wyglądał jak duch.

- Może tak pobladł na myśl o spotkaniu z nami? - zasugerowała Hannah.

- Dokładnie! Nasza reputacja nas wyprzedza! - zażartowałam, ale zaraz zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie ma w tym ziarenka prawdy. Jestem pewna, że nigdy nie wygłupiłam się przy siostrze Marka, Alison, ale jej dzieci mogły przynieść ze szkoły jakieś szokujące historyjki o moich. Z drugiej strony jej najstarszy syn, Oscar, jest bohaterem Petera, bo kiedyś zrobił w szkole tak wielką kupę, że zapchał cały system wodno-kanalizacyjny.

- Mam nadzieję, że niedługo poczuje się lepiej - dodałam z poczucia obowiązku, po czym przeszłam do ważniejszych tematów, czyli kazałam Hannah zgadywać, na kogo wczoraj wpadłam.

- Nie, nie na niego. Na nią też nie. Daj spokój, przecież na jej widok na pewno bym się nie ucieszyła. Nigdy nie zgadniesz, kto to był!

- Skoro nigdy nie zgadnę, to dlaczego mi nie powiesz?

- Rety, jesteś beznadziejna. No dobrze, powiem ci. Na Charliego! Charliego Carhilla! Dziwne, prawda?

Hannah nie wyglądała na zachwyconą.

- Co ty sobie myślisz? Po co się z nim spotkałaś?

- Nie spotkałam się z nim. Byłam w galerii na High Street. Jak się okazało, on też tam był. Pierwszy mnie rozpoznał i podszedł się przywitać, więc poszliśmy na drinka.

- Na drinka. Tylko ty i Charlie? Chryste, Ellen, po co? Nie możesz zostawić go w spokoju? Zamierzasz znowu z nim pogrywać? Nie narobiłaś już wystarczająco dużo szkód? - Hannah syknęła jak wąż, aż przeszły mnie ciarki.

- Nie widziałam go dwadzieścia lat. Mogę iść z nim na drinka, jeśli mam ochotę, a tobie nic do tego. Prawdę mówiąc, pomyślałam sobie, że może cię zainteresuje, jak na niego wpadłam i będziesz chciała się dowiedzieć, co u niego.

Przez całą tę wymianę zdań Sam robił coraz większe oczy, aż w końcu nie mógł się już powstrzymać i prawie zrywając się z krzesła, pisnął:

- Kim jest Charlie Carhill i co zrobiła Ellen?

- Złamała mu serce! - warknęła Hannah.

- Nieprawda! - zaprotestowałam. - Nic takiego nie zrobiłam. To nie była moja wina, że Charlie coś do mnie czuł, a ja tego nie odwzajemniałam.

- Oczywiście, że nie twoja wina! Ani trochę. Przecież wcale nie zwodziłaś go przez dwa lata, robiąc mu nadzieję, że ma u ciebie jakieś szanse. I wcale nie poszłaś z nim w końcu do łóżka, czego nigdy nie będę w stanie zrozumieć. A kiedy wreszcie sobie pomyślał, że coś z tego będzie, dałaś nogę z Simonem. On cię widział! Widział, jak wychodziłaś z pubu Pear Tree z Simonem. Ale żeby tego było mało, męczyłaś go jeszcze przez kolejny rok. Wydzwaniałaś do niego po każdej kłótni z Simonem, wyplakiwałaś się na ciepłym ramieniu Charliego tylko po to, żeby myślał, że może wreszcie ze sobą zerwiecie i tym razem faktycznie coś zdziała. Byłaś dla niego okropna, Ellen. I to ja musiałam zbierać go do kupy.

- Ellen, ty bezbożnico! Dwóch facetów jednej nocy! I jeszcze zwodziłaś go, kiedy spotykałaś się z Simonem. Niegrzeczna dziewczynka! - wtrącił Sam.

- Zamknij się - warknęłyśmy na niego w tym samym momencie.

- Ja tylko próbowałem pomóc... - wymamrotał obrażony Sam.

- No i o co ci chodzi z tym zbieraniem go do kupy? Prawie go nie znałaś. - Byłam w szoku, że Hannah aż tak się wściekła.

- Znałam go bardzo dobrze. Byłam na tej samej imprezie, kiedy się poznaliście. Na pierwszym roku studiów chodziłam z wami na obiady, a kiedy spławiałaś Charliego, bo okazywało się, że masz coś ciekawszego do roboty, chodziliśmy we dwójkę. A kiedy postanowiłaś zrujnować mu życie, wysłuchiwałam jego żalów. Możliwe, że znam go nawet lepiej od ciebie, bo kiedy ja się z nim spotykałam, rozmawialiśmy o nim, a nie o tobie. Traktowałaś go jak psa! Chociaż dla swojego psa jesteś o wiele miłsza niż dla niego.

Trochę mnie to zabolalo, bo Charlie faktycznie przypominał psa ze swoją skłonnością do poświęceń, ale zawsze to lubiłam. Czasami tylko musiałam się powstrzymać, żeby nie podrapać go za uszkiem, po brzuchu albo powiedzieć mu, że jest dobrym pieskiem, ale nie powiem, żebym była wtedy z siebie dumna.

- Wcale nie zrujnowałam mu życia! - odparowałam wściekle, chociaż wiedziałam, że moja złość na argumenty Hannah wynika ze wstydu za własne zachowanie. - Poza tym

to było osiemnaście lat temu! Dlaczego nagle jesteś taka oburzona, że poszliśmy razem na drinka? W swoim czasie nie wspomniałaś o nim ani słowem, to czemu się teraz wtrącasz?

- Nie widywałam cię zbyt często, Ellen. Kiedy zaczęłaś spotykać się z Simonem, byłaś nim tak zaabsorbowana, że nie miałaś czasu dla innych, dopóki czegoś od nich nie chciałaś. Na przykład żeby Charlie cię adorował i wielbił, kiedy kłóciłaś się z Simonem.

- Nie o to mi chodzi, tylko o całą resztę! O to, że byliście takimi dobrymi znajomymi, i że uważałaś, że jestem okropna. Nigdy mi o tym nie mówiłaś. Poza tym wcale go nie zwodziłam. Bardzo go lubiłam, tylko nie w taki sposób jak on mnie.

- To po co poszłaś z nim do łóżka, skoro nie chciałaś niczego więcej i wcale go nie zwodziłaś? I wiesz, to nie było zwyczajne bzykanko. Byłaś jego pierwszą partnerką. Dobrze wiedziałaś, jak wiele to dla niego znaczyło, a i tak robiłaś sobie z tego później żarty. Śmiałaś się z tego, jak biedny prawiczek Charlie próbował rozpiąć twój stanik spoconymi dłońmi. Dokładnie pamiętam twoje słowa: „Charlie nie umie bzykać”.

- Ellen, rozdziwoczyłaś go? Ty nieczuła bezwstydnico! - wyszeptał Sam.

- Zamknij się! - rzuciłyśmy znowu chórkami.

- Nie wiem, dlaczego poszłam z nim do łóżka, skoro wiedziałam, że to droga donikąd. Spałam z wieloma chłopakami, którzy nie byli miłością mojego życia. Nie miałam pojęcia, że to jego pierwszy raz, dopóki nie było za

późno. Co miałam powiedzieć: „Przepraszam, wpadnij, kiedy ktoś cię już rozdziewiczy?”. Uważasz, że tak by było lepiej? A może powinnam mu powiedzieć, że się z nim nie prześpię, bo jako prawiczek na pewno jest beznadziejny w łóżku? Chryste, byłam pijana! Myślałam, że robię coś dobrego. Że kiedy się prześpiemy, przejdzie mu i znajdzie sobie jakąś miłą dziewczynę. Byłaś jedyną osobą, której o tym powiedziałam, bo odniosłam mylne wrażenie, że mówimy sobie wszystko. Nie wiedziałam, że byłaś aż tak zde gustowana moim wyborem, bo śmiałaś się do rozpuku, kiedy opowiadałam ci o tym, że przytulał mnie nieporadnie jak inżynier, który trzyma prezerwatywy w pudełku na kalkulator. Nie wiedziałam, że Charlie był dla ciebie tak wyjątkowy, a wasza przyjaźń wręcz święta! Strasznie mi przykro, że w przeciwieństwie do ciebie jestem zwykłą szmatą.

- W przeciwieństwie do mnie, czyli zimnej suki? A może biednej, starej Hannah, która nie jest w stanie nikogo zaliczyć? - spytała drżącym głosem.

- Nie - westchnęłam. - W przeciwieństwie do ciebie jestem zwykłą szmatą. Ty nigdy nie poszłabyś z kimś do łóżka tylko po to, żeby go nie urazić. To ja jestem tą okropną nieszanującą siebie osobą z niskim poczuciem własnej wartości.

- Niskim poczuciem własnej wartości? Wolne żarty! To TY byłaś pewna siebie, Ellen! Zresztą dalej jesteś. Z tobą wszyscy chcieli rozmawiać i wychodzić. Ja byłam tylko twoim przydupasem. Chciałabym mieć chociaż gram twojej pewności siebie. To w tobie zakochał się Simon Russell,

chłopak, za którym wzdychała połowa Edynburga. Ty sprawiłaś, że Charlie gotów był całować ziemię, po której stąpasz. Ty! A ja byłam singielką nie z szacunku do samej siebie, tylko dlatego, że byłam zbyt nieśmiała i podenerwowana na samą myśl o podryw. Gdybym się z tobą nie zakolegowała, pewnie byłabym teraz samotną starą panną, która mieszka w piwnicy z siedemnastoma kotami. Ludzie lubili mnie tylko dlatego, że byłam twoją przyjaciółką i chodziłam wszędzie, gdzie ty poszłaś - wypaliła Hannah.

- Wcale nie byłam pewna siebie! Byłam przerażona. Nienawidziłam siebie. Cierpiałam katusze za każdym razem, kiedy musiałam wejść do pomieszczenia pełnego ludzi. A ty zawsze kazałaś mi wchodzić jako pierwszej i zagadywać ludzi. Wiesz, jak mi się to w ogóle udawało? Wyobrażałam sobie, że jestem Jessicą. Udawałam, że jestem swoją czarującą i pewną siebie starszą siostrą. Zawsze chciałam być taka jak ty. Chciałam być tą spokojną opanowaną osobą, która nie boi się być sobą. Tymczasem byłam fałszywą, głośną, egzaltowaną kopią mojej pieprzonej siostry.

Przez chwilę patrzyłyśmy na siebie. Sam otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale szybko przemyślał sprawę i zrezygnował.

- Wygląda na to, że miałyśmy zupełnie inny obraz siebie, niż wszyscy wokół - westchnęła Hannah.

- No właśnie - przytaknęłam. - I masz rację, że byłam okropna dla Charliego, ale nie rozumiem, dlaczego tak cię to złości, skoro wtedy było ci wszystko jedno.

- Nie chciałam, żebyś go znowu zraniła. Tak jak kiedyś.

- Ale czemu tak bardzo przejmujesz się jakimś Charliem Carhillem? Dlaczego tak się wściekłaś, że poszłam z nim na drinka? Nie pamiętam, kiedy ostatnio się pokłóciłyśmy, a teraz kłócimy się przez niego... O mój Boże... - powiedziałam, kiedy uświadomiłam sobie, o co tu chodzi. - Też miałaś z nim romans? To dlatego jesteś zła, że się z nim spotkałam?

Hannah nigdy nie była dobra w ukrywaniu emocji. Zrobiła się czerwona jak burak. Na jej czole widać było pulsujące żyłki.

- Nie! Do niczego między nami nie doszło!

- To dlaczego spiekłaś takiego raka? Aha! Już wiem! Podobał ci się! Chciałaś, żeby był twoim chłopakiem! Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Chryste, wiem, że zachowałam się nie fair, ale nigdy nie poszłabym z nim do łóżka, gdybym wiedziała, że ci się podobał...

- Podobał... to za mało powiedziane. Ale Charlie szalał za tobą. Nie chciałam być z nim, wiedząc, że jestem twoim substytutem. Chciałam jego. Liczyłam na to, że jeśli będziemy się przyjaźnić, w końcu zacznę podobać mu się bardziej niż ty. Ale wtedy poszłaś z nim do łóżka. Następnego dnia mieliście iść razem na drinka i pierwszy raz w życiu byłaś gdzieś przed czasem, więc zaczęłaś rozmawiać z Simonem i kiedy Charlie przyszedł, to zobaczył, jak wychodzicie razem, trzymając się pod ramię. Charlie był zdruzgotany, ale ponieważ to, co działo się między tobą a Simonem nabrało poważnego charakteru, myślałam, że

w końcu mu przejdzie. Tyle że ty nie chciałaś zostawić go w spokoju. A to piwo, a to kino, a to spacer po parku. Twoje ego było ciągle głodne, więc zerowałaś na starym dobrym Charliem. Jak miał o tobie zapomnieć? Powiedziałam mu, że zasługuje na kogoś lepszego, że powinien zrobić sobie od ciebie przerwę. Pamiętasz, co powiedział przy waszym następnym spotkaniu?

Pamiętałam. Doskonale. Charlie siedział naprzeciwko mnie. Trzymał mnie za rękę i powiedział:

- Nie zniosę tego dłużej. Bardzo cię kocham i ciężko mi ze świadomością, że masz kogoś innego. Nie powinniśmy się spotykać. Nie potrafię być dla ciebie tylko przyjacielem. Żegnaj, Ellen.

Potem wstał, delikatnie mnie pocałował, odwrócił się i wyszedł, nie patrząc za siebie.

Sam teatralnie westchnął i otarł łezkę, a Hannah kontynuowała:

- Liczyłam na to, że skoro zerwał z tobą kontakt, to zacznie widzieć we mnie kogoś więcej niż przyjaciółkę. Niestety, nic z tego. Pozostałam tym, kim zawsze dla niego byłam. Twoim przedłużeniem. Mnie też nie chciał oglądać, bo kojarzyłam mu się z tobą. Zaakceptowałam fakt, że nigdy nie będziemy razem i zaczęłam spotykać się z Eddiem. A Charlie zaczął chodzić z tą beznadziejną studentką prawa, która uganiała się za nim przez poprzednie trzy lata...

- Szkaradną Rachel! - wtrąciłam. - Ożenił się z tą potworą. Są po rozwodzie - dodałam prędko, bo usta Hannah zaczęły wyginać się w podkówkę, a potem dodałam: - Zawsze

uważałam, że to głupia krowa. Trzeba go było ostrzec. Ale wciąż nie mogę uwierzyć, że przez tyle lat nawet nie wspomniałaś...

- Wprost nie mogę uwierzyć, że udawałaś swoją starszą siostrę Jessicę, kiedy musiałaś rozmawiać z ludźmi.

- Byłam przekonana, że to oczywiste.

- Nie. Zawsze myślałam, że naprawdę taka jesteś. Czasami nawet udawałam, że jestem tobą, kiedy musiałam rozmawiać z obcymi. Na przykład kiedy Emily pierwszy raz szła do szkoły i zobaczyłam wszystkie te mamuśki, zaczęłam się zastanawiać, co ty byś zrobiła w takiej sytuacji. Postanowiłam stawić im czoła i podeszłam do nich.

- Sprytnie, tylko że byłaś w błędzie. Ellen z nimi nie rozmawia. Nienawidzi większości z nich! - zarechotał Sam.

- ZAMKNIJ SIĘ!

- Tak czy inaczej, przepraszam. Masz rację, że zareagowałam zbyt emocjonalnie. Zaskoczyło mnie to, że się spotkaliście - powiedziała Hannah.

- Ja też przepraszam. Faktycznie byłam okropna dla Charliego. Całe życie mam z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie wiedziałam, że zobaczył mnie i Simona tamtej nocy.

- Teraz to już nie ma znaczenia. Co u niego słyszeć? Nie mogę uwierzyć, że ożenił się ze Szkaradną Rachel! Jak ona go do tego zmusiła? - spytała Hannah już spokojniejszym tonem. Ciekawość zaczęła brać górę nad urazą.

- Mogę coś powiedzieć czy znowu każecie mi się zamknąć? Mogłem być waszym mediatorem! Urządzilibyśmy sobie *Jeremy Kyle Show*. Ja byłbym Jeremym, chociaż oczywiście

jestem o wiele przystojniejszy. W sumie możemy powtórzyć waszą rozmowę. Będę komentował i udzielał wam głosu.

- Zamknij się, Sam - powiedziałyśmy kolejny raz, chociaż tym razem już o wiele łagodniej.

- Na litość boską! Skoro nie mogę być waszym Jeremym, mam dość tej gadaniny. Pozwólcie, że podsumuję: Ellen była trochę puszczalska, Charlie Jak-mu-tam był beznadziejnym w łóżku świętym, a Hannah potrzebuje faceta. Kochana, załóż sobie konto na Facebooku, wyślij Charliemu zaproszenie i kto wie, co będzie? Minęło osiemnaście lat, więc raczej przeszło mu już z Ellen, z waszych opowieści wnioskuję, że jego żona też nie była jakimś aniołem, a poza tym miał mnóstwo czasu na ćwiczenie się w rozpinaniu staników. Hannah... Po prostu to zrób, zresztą co ja ci będę mówił... Przydałaby się tequila!

Kilka szotów później, Hannah wybełkotała:

- Aco z Jessicą?

- Co?

- No, Jessca! Kogoona udje?

- Ona nie msi nikgo udwać! To Jessca!

- Nie... Ja udję ciebe, ty udjesz Jesskę, a ona... Kgo? Na pewno kgoś udaje - upierała się Hannah.

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym oświadczyłam dumnie:

- Jessca udaje krlową!

Sam ze śmiechu prawie spadł z krzesła.

- Ja też udaję królową! Oszywiście nie dzisiaj. Królowa nigdy nie spadłaby z krzśla. Ani tronu - dodał, czkając.

Nie obraziłabym się, gdyby Hannah zaczęła spotykać się z Charliem. Oboje są przesympatyczni i zasługują na szczęście. Niestety byłam tak wstawiona, że zapomniałam powiedzieć Hannah, że Charlie dał mi swój numer telefonu. Postanowiłam jednak naprawić błędy przeszłości. Wyślę mu jej numer i zasugeruję, żeby zadzwonił zapytać, co słyhać. Tak właśnie zrobię! Później! Na razie jestem bardzo zajęta. Tequilą.

Niedziela, 6 marca - Dzień Matki

Dzień Matki na kacu? Nie polecam. Dzieci obudziły mnie z samego rana, żeby wręczyć mi laurki i prezenty. Laurki były szcudrze posypane brokatem. Prezenty, czyli dwie bryły o bliżej nieokreślonych kształtach, tak samo. Mam brokat w całym łóżku.

- Moja to kupa! - oznajmił z dumą Peter.

- Jakiś ty miły - podziękowałam nieśmiało, bo nie byłam pewna, czy ulepił tę kupę w szkole z gliny (co już było niesmaczne), czy może zasuszył własną kupę i ją przyozdobił. Z Peterem nigdy nie wiadomo.

- Twoja też jest piękna! - pochwaliłam Jane. - To jest... Eee.... Właściwie... Co to jest?

- To jest coś. Posypane brokatem. Wszyscy musieliśmy takie zrobić. - Jane wzruszyła ramionami. - Możemy teraz zrobić ci śniadanie?

- Och, oczywiście, kochani! Poproszę! A... Czy mogę wam pomóc?

- NIE! Dziś Dzień Matki. Dostaniesz śniadanie do łóżka.

- Niesamowite, ale mnie rozpieszczacie!

Kiedy tylko dzieci zeszły na dół, szturchnęłam Simona:

- Idź ich pilnować!

- Co? Dlaczego?

- Bo to Peter i Jane. Nie znasz własnych dzieci, kochanie?

W tej chwili znajdują się w jednym pomieszczeniu z nożami i wieloma łatwopalnymi przedmiotami. Ja mam troszeczkę kaca, kotku, więc...

- Na własne życzenie! Nie ma zmiłuj!

- ...Nie chciałam spędzić reszty dnia, wyjaśniając ordynatorom i pracownikom opieki społecznej, jak to się stało, że moje dzieci zaczęły dźgać się nożami, a potem podpalać. Dlatego bardzo cię proszę, idź ich przypilnować.

- Ale to im zajmie wieki... - zaczął marudzić Simon, po czym dodał: - Myślałem, że moglibyśmy skorzystać z faktu, że są zajęci i...

- NIE! Nie ma mowy! Żadnego seksu! Cały czas myślałam tylko o tym, że owoce mojego łona zabijają się na dole o to, które z nich, pod pretekstem przygotowania mamie jajecznicy, będzie rozbijać jajka bezpośrednio na palnik kuchenki. Proszę, zejdź na dół i ich przypilnuj. Później ci to wynagrodzę. Obiecuję. Będziesz miał później ochotę na odrobinę... czasu intymnego?

- Na miłość boską, Ellen! Błagam cię, nigdy więcej nie mów o tym „czas intymny”. Od razu straciłem ochotę.

Simon był nadąsany, ale w końcu zwlókł się z łóżka i spytał:

- Nie widziałas przypadkiem moich bamboszy?

Na dźwięk tego słowa aż usiadłam.

- BAMBOSZE? Chryste, Simon, od kiedy nosisz bambosze? I ty mówisz, że od „czasu intymnego” tracisz ochotę? „Czas intymny” brzmi o wiele mniej zniechęcająco. Niedługo zaczniesz krążyć po domu w kardiganie ze skórzanymi łatami na łokciach, rozdając niczego niepodejrzewającym dzieciom landrynki. BAMBOSZE!

- No co? Ciągle mi zimno w stopy - powiedział smutno.

Walnęłam się z powrotem na łóżko. Cholerne bambosze.

Zjedzenie czegokolwiek było nie lada wyzwaniem, ale fakt, że będąc na tequilowym kacu, przełknęłam niedosmażoną jajecznicę przyprawioną kawałkami skorupki, podaną na przypalonym toście i filiżankę mleka w kolorze herbaty, jest niepodważalnym świadectwem potęgi mej matczynej miłości.

Później niewiele się już działo. Dzieci straciły zainteresowanie ideą Dnia Matki po tym, jak pozwoliliśmy im zdemolować kuchnię. W wolnej chwili zadzwoniłam do mamy, która od razu zaczęła narzekać, że nie dostała pocztówki ani ode mnie, ani od moich dzieci. Musiałam ugryźć się w język, żeby nie wrzasnąć: „I nie dostaniesz, bo nie jesteś ich matką!”. Przez kolejne dwadzieścia minut rozwodziła się nad Jessicą i jej wspaniałymi latoroślami, więc przez resztę dnia łąziłam za Simonem, przypominając mu, żeby zadzwonił do swojej mamy.

Nie napisałam jeszcze do Charliego, ale na pewno to zrobię później. Na razie dodał mnie do znajomych na Facebooku. Przyjęłam. Nie chciałam go urazić.

Sobota, 12 marca

W każdy pieprzony weekend postanawiam, że tym razem będzie inaczej: że będziemy szczęśliwą, kochającą rodziną, i przeżyjemy mnóstwo miłych chwil wartych udokumentowania na Instagramie, oczywiście z odpowiednimi hasztagami. Ciągle od nowa wyobrażam sobie, że będzie to wyglądało, mniej więcej, tak:

SOBOTA

8:00. Budzę się, wyskakuję z łóżka wypoczęta, świeża i gotowa do działania. Idę obudzić kochane pociechy, które będą ziewać, przeciągać się i gramolić z łóžeczek, wyglądając absolutnie uroczo w piżamkach od White Company.

8:30. Siadamy do stołu, rozmawiając wesoło o planach na ten dzień. Simon jest lekko poczochrany i ma seksowny dwudniowy zarost. Oczywiście wcale mi to nie przeszkadza, bo mam świadomość, że zanim wstaliśmy, uprawialiśmy namiętny seks. Zajadamy rogaliki, pijemy sok pomarańczowy i kawę, czytamy gazety i rozmawiamy o bieżących wydarzeniach. Nie wykluczamy z dyskusji równie zainteresowanych tematem dzieci.

10:00. Wychodzę z wanny po relaksującej kąpieli i spotykam w łazience Simona – ogolonego i ubranego w gustowną koszulę z dzianiny. Dzieci też są już ubrane. Wyglądamy jak z żurnala. Dla klasy średniej.

12:00. Dzieci pomagają mi przygotować pyszny lunch.

Zdrową zupę podajemy z chlebem domowej roboty. Jemy z radością i zachwycamy się nad tym, jakie to wszystko pyszne.

14:00. Idziemy na uroczy spacer po lesie. Natykamy się na klimatyczny rustykalny pub. Dzieci topią lodowate serce gburowatego właściciela, poruszonego ich szczerą radością. Później powie nam, że przypomniały mu, czym jest miłość. Pies grzecznie drzemie u naszych stóp.

17:00. Simon proponuje, że ugotuje obiad, więc ja, popijając lampkę wina, zagłębiam się w lekturze wciągającej, ale niebanalnej i błyskotliwej powieści.

20:00. Całą rodziną oglądamy film. Coś z klasyki. Przed pójściem spać, dzieci wymieniają kilka rezolutnych i adekwatnych uwag na jego temat.

22:00. Rozmawiamy z Simonem o sztuce i polityce przy lampce wina. Potem idziemy się położyć. Uprawiamy więcej namiętnego seksu.

NIEDZIELA

Mniej więcej to samo, tyle że dzieci wcześniej się kładą, bo chcą się wyspać przed pójściem do szkoły.

Rzeczywistość wygląda niestety zgoła inaczej:

SOBOTA

9:00. Na lekkim kacu wstaję z łóżka. Pospałabym jeszcze, ale próbuję uciec przed coraz bardziej natarczywymi awansami Simona. W salonie spotykam Petera, który gra w grę komputerową. Gra wygląda na nieadekwatną do jego wieku, nie mam też siły myśleć o tym, dlaczego jest w samych gaciach. Idę do pokoju Jane tylko po to, żeby dowiedzieć się, że ona też już wstała, dorwała się do iPada i ogląda w łóżku filmiki z kotkami na YouTube. Zmawiam szybką modlitwę, żeby nie przyszło jej do głowy, żeby wpisać w Google „śliczne koteczki”.

10:00. Krzyczę na wszystkich, żeby przestali się wreszcie kłócić i zjedli to cholerne śniadanie. Simon, siedząc przy kuchennym stole, drapie się po jądrach. Peter natychmiast go kopiuje. Jane zaczyna wrzeszczeć, że są obrzydliwi i rzuca w Petera łyżką. Peter rzuca w Jane miską z rozmiękłymi płatkami śniadaniowymi. Nie trafia. Płatki lądują na psie. Wyganim dzieci do pokoi, na co one jęczą, że jestem niesprawiedliwa, bo wciąż są głodne. Sprzątam pobojuwisko w kuchni. Kąpię psa.

12:00. Schodzę do kuchni, żeby przygotować dzieciom zdrowy lunch. Przy lodówce stoi Peter i w zatrważającym tempie wtranzala parówki w cieście. Krzyczę, żeby natychmiast przestał, na co on w przerażeniu podskakuje i zaczyna się dławić. Próbuję wykonać chwyt Heimlicha. Jane przygląda się nam niewzruszona i kilkakrotnie pyta, czy jeśli Peter umrze, będzie mogła przenieść się do jego pokoju.

14:00. Krzykami i piskami zmuszam wszystkich, żebyśmy wyszli na spacer. Nalegam, żeby Simon zawiózł nas w urocze miejsce na spacer na łonie przyrody. Sama nigdy więcej nie będę przy nim prowadzić, bo jest skończonym dupkiem i kiedy ostatnio się na to zgodziłam, musiałam wysadzić go na środku ulicy, bo miałam już dosyć jego „pomocnych” uwag i tego, że cały czas naciskał wyimaginowany hamulec. Dzieci kłócą się przez całą drogę, bo Jane opowiada Peterowi, co zrobi z jego rzeczami, kiedy umrze.

Dzieci dalej się kłócą, pies ucieka, a Simon ma na sobie swój najstarszy i najobrzydliwszy polar, chyba tylko po to, żeby zrobić mi na złość. Jane, której misją wciąż jest zabicie Petera, wpycha go do rzeki. Znajdujemy pub, w którym postanawiamy kupić dzieciom gorącą czekoladę. Barman mówi, że z psami nie wpuszczają, więc musimy siedzieć na dworze. Peter zawodzi, że umrze z wychłodzenia organizmu. Jane posyła mu pełne nadziei spojrzenie. Simon marudzi przez cały pobyt w pubie, bo musi prowadzić, a ja zamówiłam sobie wino.

17:00. Ogłaszam strajk i odmawiam gotowania obiadu. Zamówimy coś z dowozem. Próbuję jakoś okiełznać trzecią wojnę światową, którą wywołała dyskusja o tym, co mamy zamówić. Oświadczam, że nie będę zamawiać jednocześnie pizzy, curry i chińszczyzny. Zamawiam dla wszystkich curry. Nalewam sobie kieliszek wina.

20:00. Wszyscy wokół wsadzili nosy w laptopy, telewizory i iPady. Proponuję, żebyśmy obejrzeli film. Dzieci

odpowiadają, że moje filmy są głupie i nudne. Poddaję się. Idę po dolewkę.

22:00. Przypominam sobie, że nie położyłam jeszcze dzieci. Krzyczę na nie, żeby natychmiast się kładły. Wyrrywam im urządzenia elektroniczne, wrzeszcząc, że już nigdy, PRZENIGDY ich im nie oddam. Simon przez cały ten czas chrapie na kanapie. Kładę dzieci do łóżek. Schodzę na dół i próbuję przełączyć *Fanów czterech kółek*, ale Simon natychmiast się budzi i z żalem oświadcza: „Oglądałem to!”

01:00. Trochę bardziej wstawiona, niż planowałam, kładę się do łóżka. Simon znowu zaczyna się do mnie przybliżać, na co mówię mu, żeby się odpieprzył.

NIEDZIELA

Wygląda mniej więcej tak jak sobota, tyle że nigdzie nie wychodzimy, bo nikt z nas nie przeżyłby drugiej rundy. Simon chowa się w szopie, a ja piorę sto tysięcy ton ubrań, w wolnych chwilach wrzeszcząc na dzieci. Jutro szkoła, więc próbuję położyć dzieci spać trochę wcześniej, co jest powodem kolejnej awantury. Dzieci twierdzą, że to niesprawiedliwe, że muszą iść do łóżka o ósmej wieczorem, podczas gdy ich koledzy i koleżanki do dwunastej w nocy grają w *Grand Theft Auto*.

Czwartek, 17 marca

Simon wreszcie poszedł po rozum do głowy i wspomniał

o tym, że nasza karta kredytowa została spłacona. Był o wiele mniej zadowolony, niż myślałam. Prawdę mówiąc, zgodnie z moimi obawami, jego pierwszą reakcją było podejrzenie, że posunęłam się do wątpliwych czynów, żeby zdobyć pieniądze. Nie mogę powiedzieć, żeby mi to schlebiało. W drugiej kolejności zasugerował, że mam bardzo bogatą ciotkę, o której istnieniu nie mówiłam mu wcześniej, bo jestem zachłanna. Kiedy udało mi się dojść do słowa i wyjaśnić, że sama zarobiłam pieniądze, bo jestem (jakby nie wiedział) bardzo mądra i zdolna, podejrzenie zamilkł.

Nie zauważyłam tego od razu, bo rozwodzenie się nad tym, jaka jestem mądra, i chwaleniem się, ile aplikacji sprzedawałam od pierwszej wypłaty, czyli od końca stycznia, trochę mi zajęło. Okazało się, że w lutym sprzedawałam jeszcze 40 tysięcy i tyle samo w marcu, co oznaczało, że niebawem zarobimy jeszcze sześćdziesiąt tysięcy, a może nawet więcej. Co my zrobimy z tymi pieniędzmi? Moglibyśmy pojechać na wakacje, kupić samochód albo kilka, a może nawet i jedno i drugie? Czy to nie abso-kurwa-lutnie fantastyczne?

Simon zamruczał coś pod nosem, po czym zapytał:

- Ellen, a podatki? Będziesz musiała to wykazać w rozliczeniu rocznym. Zapłacisz co najmniej czterdzieści procent podatku!

- Naprawdę tylko tyle masz mi do powiedzenia? „A podatki?”. Nawet jeśli zapłacę czterdzieści procent, zostanie nam z tego trzydzieści tysięcy! Pieprzyć urzędników z podatkowego, to znaczy nie dosłownie i nie powiem, żebym to pochwałała, chociaż ktoś na pewno to robi... Chciałam

tylko powiedzieć, że te pieniądze mogą zmienić nasze życie!

- Może gdybyś założyła spółkę, podatek nie byłby aż tak wysoki...

- PIEPRZ SIĘ! I swoją spółkę! Nie widzisz, co dla nas zrobiłam? Mimo tego, że od początku mówiłeś mi, że to głupi pomysł i nic z tego nie będzie.

- A co miałem powiedzieć? „Gratulacje, świetnie się spisałaś!”?

- Tak, właśnie to mogłeś powiedzieć! Ale postanowiłeś być pesymistycznym dupkiem i zacząłeś gadać o podatkach i spółkach, kolejny raz próbując mi wmówić, że jestem tylko głupiutką dziewczynką, która nie radzi sobie z finansami i zaraz pobiegnie do sklepu wydać to wszystko na buty.

- Oczywiście, że się cieszę i uważam, że jesteś niesamowita! Ostatnie, co bym powiedział na twój temat, to że jesteś głupia, ale musisz przyznać, że nie radzisz sobie najlepiej z finansami, karty kredytowe traktujesz jak darmowe pieniądze i masz tendencję do kupowania niepotrzebnych butów...

- Simon, miałeś być miły!

- Chciałem, tylko że... ja... - zaczął, po czym zamilkł na chwilę. W końcu spuścił wzrok i nie patrząc mi w oczy, dodał: - Nie będę ci już potrzebny.

- Potrzebny? Do czego? O czym ty mówisz? - spytała zdezorientowana.

- Do niczego. Nigdy mnie nie potrzebowałaś i zawsze bałem się, że któregoś dnia mnie zostawisz. Mogłaś mieć każdego, a wybrałaś mnie. Z tyłu głowy zawsze miałem myśl,

że któregoś dnia obudzisz się i pomyślisz: „Co ja robię z tym facetem?”. A potem odejdiesz.

- Ale z ciebie kretyn! Skoncentrowany na sobie kretyn. Tu nie chodzi o ciebie! I co ci nagle strzeliło do głowy? Przedwczoraj Hannah mówiła, że szalała za tobą połowa mieszkanek Edynburga.

Simon nagle się rozpogodził.

- Serio? A kto na przykład? Może ta blondynka z wielkimi cyckami? Jak ona miała na imię...? Sadie? Czasami wydawało mi się, że puszcza do mnie oczko. Podobałem jej się?

- Zamknij się, Simon. Dlaczego pomyślałeś, że od ciebie odejdę? I dlaczego w ogóle nie cieszysz się z pieniędzy, które dla nas zarobiłam? Jeśli ich nie chcesz, mogę równie dobrze wydać je wszystkie na buty. Chcesz się przekonać?

- Cieszę się i jestem z ciebie dumny. W ostatnich latach, kiedy musieliśmy liczyć każdy grosz, czasami myślałem sobie, że przynajmniej jesteśmy zbyt spłukani, żebyś mnie zostawiła. Wiem, że to głupie...

Znowu spuścił wzrok. Czekał na moją odpowiedź. Pewnie liczył, że zacznę go pocieszać i przekonywać, że wcale nie jest palantem. Ale ja odparłam:

- Tak, to bardzo głupie. Naprawdę bardzo głupie! I co ja ci takiego zrobiłam, że zacząłeś myśleć, że cię zostawię?

- Nie wiem. Chyba myślałem, że tylko czekasz, aż spotkasz kogoś lepszego. Jak ten student medycyny, z którym wszędzie chodziłaś, kiedy zaczęliśmy się spotykać. Ten, który się w ciebie wpatrywał jak labrador w talerz parówek.

- „Labrador w talerz parówek”?! Dziękuję ci, Simon,

dobrze wiedzieć, że uważasz, że mam na mężczyzn taki wpływ. A czy kiedykolwiek przeszło ci przez myśl, że gdybym chciała, wyszłabym za labradora Charliego, a nie za ciebie?

- Pamiętasz jego imię.

- A ty pamiętasz imię cycatej Sadie.

- To nie to samo. Poza tym masz go w znajomych na Facebooku. Ja nie mam cycatej Sadie w znajomych - nadała się Simon.

- Mam w znajomych wiele osób. Poza tym ty nie masz cycków Sadie w znajomych, bo masz tylko sześciu znajomych, a z Facebooka korzystasz po to, żeby sprawdzić, w jakim będę nastroju, kiedy wrócisz do domu. Kiedyś didżej z Radio 2 udostępnił mój post na Twitterze, ale to wcale nie znaczy, że ucieknę w świat ze Steve'em Wrightem.

- Tak, ale...

- Simon, nie tylko ty masz różne paranoje. Myślisz, że ja nigdy nie martwię się, że któregoś dnia zauroczysz się tym, że twoja sekretarka seksownie układa papiery, albo padniesz rażony urokiem jakiejś señority o kocich oczach na wyjeździe służbowym? A jednak mimo że mamy długi, dwójkę dzieci z piekła rodem i wiele innych problemów, jeszcze tego nie zrobiłeś. Wciąż jesteśmy razem i nie rozumiem, dlaczego upierasz się, że pieniądze zmienią nasze życie na gorsze, a nie na lepsze. Załazisz mi dzisiaj za skórę tym negatywnym podejściem. Ale mimo wszystko nie zamierzam od ciebie odchodzić, bo wyobraź sobie, że pomijając momenty, w których mam ochotę rzucić się na ciebie z nożem kuchennym za to, że jesteś kłótliwym, zapatrzonym w siebie

dupkiem, nosisz obrzydliwy stary polar i bambosze jak stary dziad, ciągle cię Kocham! Poza tym będziesz musiał mi pomóc z tymi podatkami, bo ciągle jeszcze nie nauczyłam się nic na temat VAT-u. A więc, jak sam widzisz, potrzebuję cię. Dlatego rozchmurz się wreszcie, do cholery, i porozmawiaj ze mną o tym, co moglibyśmy sobie kupić za te pieprzone pieniądze, bo CIEŻ KOCHAM i tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Simon od razu zaczął głądzić coś o kredytach studenckich, spłacie kredytu mieszkaniowego i emeryturach.

- Chrzanić to! Chcę chociaż jedną parę butów od Louboutina i jedne fajne wakacje. Tym, co zostanie, możesz rozporządzać.

To jest pewnie kolejny powód, dla którego to Simon podejmuje w naszym domu najważniejsze finansowe decyzje.

Powinnam wykorzystać moment, w którym zeszło na Charliego, żeby poinformować Simona, że na niego wpadłam, prawda? I dodać, że jutro po pracy spotykamy się na drinka. Oczywiście nie stoi za tym nic zdrożnego. Wymieniliśmy kilka wiadomości o tym, co się u nas działo w ciągu ostatnich kilku lat, i Charlie zaproponował, żebyśmy rozmawiali na żywo. Proponował, żebym wzięła Simona, więc na pewno nie ma nieprzyzwoitych intencji. Tyle że Simona trudno wyciągnąć z domu nawet do przyjaciół, a co tu mówić o spotkaniu z człowiekiem, którego ledwo znał wieki temu? Jakoś nie udało mi się o tym wspomnieć.

Tak czy inaczej, mam czyste zamiary. Pomyślałam, że jeśli się spotkamy, będę mogła opowiedzieć mu o Hannah,

wspomnieć niby przypadkiem o tym, jaka jest fantastyczna i tak się składa, że jest akurat wolna, bla, bla, bla. Lepiej mówić takie rzeczy na żywo. Inaczej zrobiłabym z niej desperatkę.

Jestem dobrym człowiekiem! Niedługo będę mogła wrócić do planowania wesela stulecia! Resztę wieczoru mogę spędzić na oglądaniu w Internecie niewygodnych butów i luksusowych willi w ciepłych krajach, podczas gdy Simon będzie gorączkowo porównywał plany oszczędnościowe.

Piątek, 25 marca - Wielki Piątek

Rodzice Simona, Michael i Sylvia, opuścili swój wytworny zameczek we Francji i przyjechali do nas na święta. Standardowo poinformowali nas o tym trzy dni wcześniej (klasyczne: „Znaleźliśmy prom last-minute”). Peter i Jane bardzo się ekscytują przyjazdem „francuskich dziadków”, a konkretniej „mamie i papi”, bo Sylvia nalega, żeby tak ich nazywać. Muszę przyznać, że „mamie” jest dla mnie niezbyt wygodne, bo zawsze wydaje mi się, że wołają mnie i zaczynam ryczeć: „CO ZNOWU?!”. A kiedy próbują udawać francuski akcent, brzmią jak nieporadna podróbka Ala Jolsona, co też nie jest zbyt fortunne w miejscach publicznych.

Jedno trzeba oddać teściom - zawsze przywożą ze sobą hektolitry taniego francuskiego sikacza, więc nie opijają nas tak jak ich ukochana córka, co w pewnym stopniu wynagradza fakt, że musimy ich gościć. Sylvia zawsze pozostawała dla mnie tajemnicą. Wiem, że uwielbia szale.

Z wyjątkiem Alicii z TV jest jedyną osobą na świecie, która potrafi założyć tyle szali naraz. Czasami zastanawiam się, czy nosi pod nimi jakieś ubrania. Kiedy spytałam o to Simona, poblądł i powiedział:

- Nawet nie mów przy mnie takich rzeczy! Chryste, a co będzie, jeśli się upije i postanowi odtańczyć taniec siedmiu zasłon? Na samą myśl o tym robi mi się słabo!

Poza tym, że uwielbia szale i nazywa swojego pieska Napoleonem Mopsapartem, nie bardzo wiem, co jeszcze lubi. O, mam! Poduszki! Ja też lubię poduszki. Możliwe, że to jedyna rzecz, która nas łączy, bo nie przepadam za szalami, a Napoleon Mopsaparte to mały wredny potworek, który zawsze podejrzanie na mnie filuje. Mój pies podziela tę opinię, a ma świetnego nosa do charakterów. Najchętniej pożarłby Napoleona Mopsapartego (kiedy się o nim mówi, nie można pomijać jego pełnej tytułatury) żywcem, ale Sylvia prawie nigdy nie odstawia go na ziemię. Tak czy inaczej, na temat poduszek nie da się zbyt długo rozmawiać, więc kiedy przyjechali, zaczęłam paplać, co mi ślina na język przyniosła. Najjaśniejszym punktem mojego monologu był moment, w którym zaczęłam opowiadać o tym, że wydry mają przeciwstawne kciuki (wygląda na to, że pioruńsko droga wycieczka do akwarium, podczas której Jane próbowała utopić Petera w basenie „do głaskania rybek”, jednak się opłaciła), a znudzona Sylvia zapytała mnie, na jakiej wystawie ostatnio byłam. Musiałam się mocno powstrzymać, żeby nie zacząć wrzeszczeć, że nie mam czasu chodzić po galeriach, a kiedy próbuję zabrać jej wnuki,

żeby zaszczepić im miłość do nauki i kultury, dostają szału, biegają po całym budynku jak dzikie bestie i żądają, żeby natychmiast zabrać je do sklepiku.

Sylvia uważa się za artystkę, bo sto lat temu, jeszcze zanim wyszła za Michaela, była przez chwilę pracownikiem biurowym w BBC, więc w każdą możliwą rozmowę wciska: „Kiedy pracowałam w telewizji...”. Kiedy mieszkała w Surrey, chodziła też na kółko artystyczne i raz nawet zgłosiła się do telewizyjnego konkursu dla malarzy, więc wszystkie talenty Simona i Louisy przypisuje swoim genom. Uwielbia też ze smutkiem kręcić głową nad tym, że Simon się marnuje, zadając się z taką ignorantką jak ja.

Na szczęście ojciec Simona jest równym gościem. Uroczym, czarującym, niestwarzającym problemów. Lubi czerwone wino, golfa, tweed i swoje wnuki (kolejność nieprzypadkowa). W ubiorze wyznaje ścisłą zasadę nadrzędności tweedu, a jego głównym celem w życiu jest działanie wszystkim wokół na nerwy, co uważam za całkiem niegłupi cel. Jego kolejnym hobby jest pilnowanie, żeby nikomu nie zabrakło alkoholu, więc każdy, kto przebywa w jego towarzystwie, staje się nie wiedzieć kiedy pijany jak bela. Odkryłam to podczas pierwszej wizyty w domu rodzinnym Simona.

Michael i Sylvia mieszkali wtedy w przepięknym domu w Surrey. Moi rodzice zawsze byli splukani, przynajmniej na papierze, i nigdy nie mieszkali w wielkich willach. Woleli wydawać pieniądze na sprawy rozwodowe, wzajemne oskarżanie się i nasze chesne za szkołę, o czym przypominają

nam przy każdej możliwej okazji, mimo że skończyliśmy edukację ponad dwadzieścia lat temu (mogłam to podciągnąć pod „wzajemne oskarżanie się”).

Sylvia bardzo szybko dała mi do zrozumienia, że nie uważa, abym była odpowiednią partią dla jej syna ani materiałem na spadkobierczynię. Jednym z powodów było to, że jako dziecko rozwiedzionych rodziców, które ma wiele „przyszywanych” matek i ojców, uważa mnie za osobę podejrzaną moralnie. Po pewnym czasie stwierdziłam, że:

a) Sylvia patrzy z góry na każdego, kto nie może pochwalić się tytułem szlacheckim albo tym, że pracuje w telewizji („Czy wspominałam wam już, że kiedyś pracowałam w telewizji?”).

Oraz b) Nikt nie jest wystarczająco dobry dla jej ukochanego synka, może z wyjątkiem księżniczki, ale też nie byle jakiej. Musiałaby pochodzić z brytyjskiej rodziny królewskiej, bo wszystkie inne też budzą w niej podejrzenia.

Idąc tym tropem, Simon musiałby ożenić się z księżniczką Beatrycze lub jej siostrą Eugenią, chociaż nawet one nie są faworytkami Sylvii, bo uważa, że ich matka jest równie pospolita, co rude włosy (to jej opinia).

Sylvia ma bardzo długą listę rzeczy, które uważa za pospolite. Wśród nich znajdują się między innymi: kupowanie spodni wszędzie, tylko nie w Marksie & Spencerze, dalie, ITV, okrągłe kolczyki („Kochana, czy naprawdę chcesz wyglądać jak Cyganka?”), Grecja i Finlandia (nie pytajcie), kawa rozpuszczalna (niestety, to snobstwo przekazała też swojemu synowi, który wzdrygnął się na widok słoika

Nescafé w moim mieszkaniu), komputery, jedzenie na wynos, dzem kupiony w sklepie, suszarki bębnowe do ubrań, magazyny i co najdziwniejsze, instytucje walczące o prawa kobiet (podejrzewam, że kiedyś ją z któregoś wyrzucili).

Podczas pierwszej wizyty byłam pod dużym wrażeniem willi i tego, że Sylvia jest oziębła i budzi lęk, a Michael to hojny i gościnny człowiek. Kiedy napełniał mi enty kieliszek, nachyliłam się i pogratulowałam mu pięknego domu. Nie omieszkałam wspomnieć, że imponuje mi to, że gdyby wszyscy członkowie domostwa poszli do toalety w tym samym momencie, zostałyby jeszcze dwa wolne kibelki dla gości.

- No tak... Rzeczywiście. Nigdy jednak nie myślałam o tym w ten sposób. Moglibyśmy chyba kiedyś to sprawdzić... Może dolewkę? - odparł Michael, który w każdej sytuacji pozostawał dżentelmenem.

W latach osiemdziesiątych Michael pracował w City i natrafił na, jak to zwykł mawiać, „żyłę złota”. Ma niemożliwą do wyczerpania pulę niesamowitych anegdot z tamtych czasów. Większość z nich kończy czymś w stylu: „I nigdy nie zgadniecie, skąd striptizerka to wyjęła!” albo „Można się było tego spodziewać po takiej ilości białego proszku”, podczas gdy Sylvia desperacko próbuje go uciszyć, bo uważa, że słuchanie takich historii psuje jej wizerunek pani na włościach. Niestety nadszedł moment, że i ja zaczęłam go uciszać, bo bardzo lubi wyskakiwać z tymi historyjkami przy dzieciach i później muszę odpowiadać na niezręczne pytania, na przykład:

- Ale dlaczego tamta pani grała w ping-ponga bez ubrania?

Michael jest też pozbawionym wstydu kapitalistą (swojego zięcia Barda nazywa „bezużytecznym gburowatym hipisem”, a kiedyś naraził się na gniew Louisy, bo nauczył Coventinę grać w pokera i powiedział jej, że gra nie ma sensu, jeśli nie robi się tego na pieniądze), więc ucieszył się na wiadomość o sukcesie mojej aplikacji.

Podaję, że jego entuzjazm wynikał także z ulgi, bo zauważyłam, że zarówno on, jak i Sylvia od pewnego czasu robili dyskretnie cięcia budżetowe, sugerując, że po kilku recesjach źródło wysycha, głównie przez ekstrawagancję Sylwii i spustoszenie, jakie na ich koncie sieje Louisa, którą trzeba regularnie spłacać, chociaż ona sama nazywa to „inwestowaniem w ustronie”.

Skrzynki szampana i win z Saint-Émilion, które przeważnie przywozili, zamienili na kartony „takiego śmiesznego wina z lokalnej winiarni, którą niedawno odkryliśmy”. Sylvia wciąż jeszcze nosi jedwabne szale, ale pręcej kupuje je we francuskich marketach niż u Hermèsa, a Michael przestał kompulsywnie kupować samochody tylko po to, żeby je sprzedać kilka miesięcy później, „bo mu się znudziły”, i teraz utrzymuje, że jego stary dobry saab to „prawdziwy klasyk” i nie potrzebuje niczego bardziej współczesnego. Przy całej swojej jowialności i hojności Michael jest w gruncie rzeczy roztroptym człowiekiem, i jestem pewna, że mają wystarczająco dużo pieniędzy, żeby żyć komfortowo, ale widocznie sprawy finansowe muszą go trochę martwić, szczególnie że nie jest już w stanie pomagać nam w takim

samym zakresie jak Louisie. Dlatego był podekscytowany wiadomością o tym, że mamy nowe źródło gotówki. Zaczął się nawet ze mną droczyć i zapytał:

- I co zrobisz z tymi pieniędzmi, Ellen? Zrealizujesz swoje marzenie i dobudujesz kilka toalet, żebyście mogli ich używać w tym samym czasie?

Niedziela, 27 marca - Niedziela Wielkanocna

„Zorganizujemy wspólne szukanie jajek wielkanocnych!”, mówiłam. „Będzie super!”, mówiłam. „Hannah, Sam, przyjdźcie z dziećmi!”, mówiłam.

Simon zaproponował, żebyśmy zaprosili też jego kolegę ze szkoły, Tristana, którego ponownie odkrył na przyjęciu bożonarodzeniowym, jego żonę Alicję z TV i ich dzieci.

Żeby tego było mało, postanowiłam zaprosić też nowych sympatycznych sąsiadów, którzy wprowadzili się do domu Jenkinsów w zeszłym tygodniu. Niestety opowieści o Louisie, jej kamperze i plemieniu nie dotarły do ich uszu i nie udało mi się obniżyć ceny nieruchomości na tyle, żeby Hannah mogła sobie na nią pozwolić.

Mamę poznałam kilka dni po tym, jak się wprowadzili. Wydała mi się bardzo miła, chociaż nie udało mi się wyciągnąć od niej informacji, ile zapłacili za dom, co było jedynym z dwóch powodów, dla których podeszłam do niej wesoło na ulicy i zaprosiłam na kawę, udając sąsiedzką gościnność. Drugi był taki, że wyjątkowo miałam porządek w domu i uznałam, że warto to wykorzystać, bo nie wiadomo, kiedy znowu taka okazja się powtórzy.

Ona nazywa się Katie, a jej mąż Tim. Mają dwie małe córeczki, Lily i Ruby. Są najmiłszymi i prawdopodobnie najnudniejszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek poznałam. Oboje nie przestawali nerwowo chichotać i z przerażeniem patrzyli na Michaela, który krążył wokół nas z dwoma butelkami wina i popędzał:

- No dawaj! Do dna! Nie musimy przecież znosić się nawzajem na trzeźwo. Swoją drogą, opowiadałem ci kiedyś, jak stary Eddie Harrington-Huges... Nie wzdychaj tak, Sylvio, ja tylko opowiadam tym miłym ludziom, jak podmieniliśmy biały proszek Eddiego na oranżadę w proszku. Poszedł na obiad wielkanocny do zięcia i pewnym momencie wymknął się na chwilę, żeby wciągnąć kreskę. Pomyślał sobie, że pieczona jagnięcina będzie mu bardziej smakować, a skończył z połową torebki oranżadki w nosie. Musującej! Wykichał prawie całą zupę grzybową na teściową i myślał, że mózg mu eksploduje! Co znowu, Sylvio? Nieodpowiednia historia? O co ci chodzi? Ach tak, dzieci! Faktycznie, przepraszam. Jane, kochanie, *mamie* zabroniła mi opowiadać historię o mistrzyni ping-ponga, którą poznałem w Bangkoku. Wiem, to zabawna historia, prawda? Co tym razem, Sylvio?

Sylvia podeszła do mnie, wymachując szalami, wskazała na zgromadzenie i zapytała:

- *Chérie*, kim są ci wszyscy ludzie? Kto ich zaprosił?
- To nasi przyjaciele i sąsiedzi - rzuciłam beznamiętnie.
- Tamten człowiek jest księgowym! - oburzyła się, pokazując palcem Tima. - Biedny Simon. Ellen, on przez

ciebie mieszka na jakimś zaścianku. Nie mogłaś zaprosić kogoś ciekawszego? To same korposzczury.

- Grrr...

- I kim jest ta kobieta? Ta, która nosi naraz tyle szali! Jak ona wygląda? Co ona sobie myślała?

Pokazała na Alicię z TV. Wydaje mi się, że toczyła się między nimi sekretna wojna na szale. Mogłabym przysiąc, że widziałam ją, jak wymykała się na górę, żeby dorzucić jeszcze jeden tylko po to, żeby mieć o jeden więcej.

- To jest Alicia. Pracuje w TV. Jej mąż to Tristan, z którym Simon chodził do szkoły.

- Tristan! Masz na myśli Tristana Barnaby-Soamesa? Był takim uroczym dzieckiem! Jego ojciec kupił prawie całe Warwickshire. Uroczy mężczyzna. Mówisz, że Alicia pracuje w TV? Zawsze myślałam, że to artystyczna dusza. Podejdę się przywitać, na pewno mamy wielu znajomych z czasów, kiedy pracowałam w telewizji. I powiem Tristanowi, żeby pozdrowił ojca. To wspaniały człowiek. Wykupił prawie całe Warwickshire.

Sylvia odeszła, chichocząc kokieteryjnie, więc mogłam skupić się na rodzicach odrzutkach i dziesięciorgu podekscytowanych dzieciach i przeprowadzić w ogrodzie akcję szukania jajek, pilnując, żeby nikt nie złamał sobie karku, potykając się o psa, który nie ma pojęcia, o co chodzi w zabawie, ale na pewno będzie chciał dołączyć.

Zbieranie jajek nie poszło tak źle, jak się spodziewałam. Tylko połowa dzieci płakała, bo poczuła, że podział zdobyczy jest niesprawiedliwy, ledwo dwójka wdepnęła w psie kupy,

których nie zdążyłam posprzątać, a sam pies okazał na tyle wyrozumiałości, że jego jedynym przewinieniem było zjedzenie skradzionej tabliczki białej czekolady i natychmiastowe wymiotowanie jej, dzięki czemu oszczędził mi wycieczki do weterynarza.

Mogłabym powiedzieć nawet, że wszystko szło świetnie, dopóki z domu nie zaczęły nas dochodzić krwawe okrzyki. Córeczka Katie i Tima, Lily, przyniosła ze sobą ulubionego pluszaka, Rabiego (trochę dziwne imię, ale nie mnie oceniać. Wszystkie zdobycze Jane z warsztatów „Zbuduj sobie misia”, popularnych na przyjęciach urodzinowych, nazywają się „Tulasek”, „Pluszaczek”, „Tulaśny Pluszaczek” albo „Pluszowy tulasek”). Podekscytowana zbieraniem jajek Lily niezbyt roztropnie zostawiła Rabiego na ziemi, goniona pragnieniem złowienia jak największej ilości czekoladek i polepszaczy z serii E. Sylvia na chwilę zaniedbała swój obowiązek i odstawiła Napoleona Mopsapartego na ziemię, żeby wypytać Alicię z TV, czy zna Binky’ego Warringtona-Jonesa, Emeraldę Tuftsona-Smitha albo jeszcze kogoś innego, kto pracował dla BBC czterdzieści lat temu. Alicja próbowała wyjaśnić, że pracuje dla niezależnej wytwórni, ale Sylvia tylko się zaśmiała i dumnie oznajmiła, że w telewizji wszyscy się znają.

Napoleon Mopsaparte wykorzystał cudowny moment wolności i poczłapał do porzuconego na środku podłogi niekochanego Rabiego i natychmiast go dosiadł. Lily przyłapała Napoleona Mopsapartego, kiedy parszcząc ekstatycznie, kopulował z pluszaczkiem, i podniosła raban:

- Piesek chce zabić Rabiego!

Zamiast uwolnić zabawkę ze szponów Napoleona Mopsapartego, Sylvia zaczęła świergotać:

- Piesek pańci jest taki mądry! Znalazłeś sobie nowego przyjaciela, Napoleonku Mopsaparte?

Lily wyła z rozpacz, a pozostali zastygli z przerażenia. Podjęłam próbę powstrzymania przyływu namiętności Napoleona Mopsapartego zdecydowanym kopem, ale ponieważ był w drgawkach euforii, kompletnie mnie zignorował. Sylvia wrzeszczała już głośniejsze niż Lily:

- Przestań kopać mojego psa! Jesteś sadystką!

W tym momencie mój własny pies, który już powrócił do zdrowia po czekoladowej uczcie, przyszedł zobaczyć, co to za zamieszanie, i albo uznał, że powinien zostać obrońcą cnoty Rabiego, albo zemścić się za to, że Napoleon Mopsaparte kogoś sobie przygruchał, a on nie, albo najzwyczajniej w świecie postanowił wykorzystać ten moment na zamordowanie swojego arcywroga i skoczył mu do gardła.

Krzyki stały się jeszcze głośniejsze, bo ja i Sylvia próbowałyśmy opanować psy, Lily wyła wniebogłosy, bo Rabiego ledwo było widać w tym zgiełku, a pozostali zaczęli skakać wokół nas, rzucając kompletnie nieprzydatne porady. Seksualnie niezaspokojony mopsik nie jest jednak odpowiednim rywalem dla rozwścieczonego bulteriera, więc chociaż wcale nie byłam wielką fanką Napoleona Mopsapartego, zaczynałam się bać, że mój pies zamorduje go z zimną krwią na oczach Sylvi i nas wszystkich. Z pewnością nie wpłynęłoby to korzystnie na przebieg

kolejnych spotkań rodzinnych. Poza tym sąsiedzi już i tak mają nas za niebezpiecznych piromanów po tym, jak zorganizowaliśmy pokaz sztucznych ogni. Nie chciałam, żeby dorzucili nam jeszcze łatkę tych, którzy mają psa mordercę.

Mocowałam się ze szczęką psa, ryzykując, że poodgryza mi palce, ale szczęśliwie Sam doznał olśnienia, przyniósł dzbanek po likierze Pimm's z owocami i wylał resztki lodu psom na głowy. Poskutkowało. Sylvia błyskawicznie chwyciła Napoleona Mopsapartego na ręce i pochlipywała smutno. Lily odzyskała Rabiego, niestety lekko wybrakowanego. Mogłabym też przysiąc, że miał o wiele bardziej wybałuszone oczy niż wcześniej. Ja natomiast uświadomiłam sobie, że resztki owoców wpadły mi pod bluzkę, która pod wpływem wilgoci stała się kompletnie przezroczysta. Zrobiło mi się też cholernie zimno. Przytuliłam psa do piersi, starając się zachować choć resztki godności i cnoty, po czym mężnie ignorując listki mięty i kawałki truskawek spływające mi po dekolcie, spytałam wesoło:

- Czy ma ktoś ochotę na pyszną babkę wielkanocną?

Niedługo potem wszyscy wyszli. Wątpię, żeby Tim i Katie okazali się naszymi bratnimi duszami. Szkoda, bo byłoby mi to na rękę, ale obawiam się, że po dzisiejszym dniu prędzej zaczną nas unikać.

KWIECIEŃ

Piątek, 1 kwietnia

Michael i Sylvia jutro wyjeżdżają. Całe szczęście, bo pomijając wszystko inne, Sylvia nigdy nie była fanką Olać-to-Piątku. To był długi tydzień, którego Sylvia wcale nie ułatwiała. Raz próbowałam wsadzić Petera do wanny, ale upierał się, że skóra sama się oczyszcza, jeśli zbierze się na niej odpowiednia warstwa brudu, chociaż nie chciał mi pokazać filmów na YouTube, z których się o tym dowiedział. Powiedziałam mu, że jeśli chce chodzić umorusany, niech pojedzie do ciotki Louisy i zamieszka z nią w lesie, w którym nie ma iPadów. Byliśmy w połowie kłótni, kiedy Sylvia, kobieta w pełni sił, krzyknęła z dołu:

- Ellen, może napijemy się drinka?
- Częstuj się! - warknęłam przez zaciśnięte zęby.
- Och, wybacz mi, nie chciałam się narzucać. Będę musiała poczekać, aż Simon i jego ojciec wrócą do domu, skoro jesteś taka zajęta. Nie mogę zostawić Napoleona Mopsapartego samego.

Oczywiście codziennie musimy wysłuchiwać o stresie pourazowym, który przechodzi jej pies, po tym, jak „prawie stracił życie”. Podobno przeżył tak głęboką traumę, że jedyne, co jest w stanie przełknąć, to kurczak pieczony, i tylko wtedy, kiedy Sylvia karmi go ręką. Ciekawe, że nie ma

problemów z przełknięciem ciasteczek mojego psa, które podkrada, kiedy tylko udaje mu się na chwilę wyrwać ze szponów Sylvii.

To nie wszystko. Ciągłe wypytywała Simona o dziewczyny, z którymi umawiał się przede mną:

- Rozmawiasz czasem z Catherine MacKenzie, synku? Była przesympatyczna, prawda? Lubiłam ją. A Toggy Wilkes-Cholmondeley? Jej rodzice mieli piękny zamek. Urocza dziewczyna.

Simon na próżno tłumaczy, że ostatni raz widział Catherine MacKenzie szesnaście lat temu, kiedy Sylvia kazała mu odprowadzać ją na lekcje tańca, natomiast Toggy Wilkes-Cholmondeley stworzyła szczęśliwą rodzinę ze swoją żoną Elizabeth. Sylvia już zawsze będzie taktowna jak czołg pancerny.

W takich sytuacjach ulubioną radą Simona dla mnie jest „Nie przejmuj się”, ale nawet on czasem przyznaje, że nie wie, jak Michael z nią wytrzyma. Ból obcowania z Sylwią zawsze uśmierzały tanie wakacje we Francji, ale jeszcze nigdy nie musiałam znieść jej u siebie przez cały tydzień. Perspektywa kolejnej rundki za kilka tygodni była dla mnie tak przerażająca, że umówiłam się na obiad z Charliem, żeby się wyzalić.

Charlie nie powiedział mi, żebym się nie przejmowała. Dzielnie wysłuchał całej listy niesprawiedliwości, jakie mnie dotknęły, począwszy od chwili, kiedy Sylvia pierwszy raz wzięła malutką Jane na ręce i powiedziała:

- O rety, Jane musiała odziedziczyć urodę po twojej

rodzinie, bo na pewno nie wygląda jak nikt z naszej!

Charlie okazał mi wsparcie i nalegał, żebym kupiła sobie czekoladowe ciasto z lodami jako balsam dla udręczonej duszy. Nie wywracał oczami, a kiedy ze złości walnęłam łyżką w stół i próbując nie udławić się ciastem, wybełkotałam „Jędza!”, nie skwitował tego słowami:

- Kochanie, to moja matka. Nie możesz się z nią po prostu jakoś dogadać?

Kiedy się żegnaliśmy, przytulił mnie natomiast trochę za mocno i za długo. Muszę dać mu numer Hannah.

Później, przy obiedzie, Sylvia zapytała o wakacje.

- Kiedy przylecicie, Simon? To takie głupie, że nie ma już ferii z okazji Wielkanocy, jest tylko ta głupia przerwa wiosenna, czy jak to się tam nazywa. Przynajmniej będzie ciepło, kiedy przyjedziecie.

- O, właśnie chciałem z tobą o tym porozmawiać. W tym roku chcielibyśmy pojechać gdzieś indziej - odparł Simon.

Naprawdę???

- Och, to cudownie! A dokąd jedziemy? - spytała Sylvia.

- MY jedziemy na Korfu.

A to niespodzianka!

- Korfu! Wspaniale! Uwielbiam tę wyspę! Cwany lisek z ciebie! A gdzie się zatrzymamy?

Podczas gdy Sylvia się ekscytowała, mnie rzedła mina na myśl o wspólnych wakacjach. Simon wziął głęboki wdech i powiedział:

- Prawdę mówiąc, myślałem, że może będziecie chcieli od nas odpocząć i zarezerwowałem mały domek tylko dla mnie,

Ellen i dzieci.

Moje serce znów przyśpieszyło.

Kiedy Sylvia się zaśmiała, powiało chłodem jak na Syberii. Jej śmiech był przeszywający, jakby chciała wbić każdemu z nas w serce po soplu lodu. (Szczerze mówiąc, sople lodu zawsze mnie przerażały. Bo co, jeśli spadną i przeszyją cię na wylot? Boję się też, że gdybym puściła bąka na mrozie, byłby widoczny jak wydychane ciepłe powietrze i wszyscy od razu by wiedzieli, co się stało. Z tych dwóch względów idea wyjazdów na ferie zimowe nigdy nie była mi szczególnie bliska).

- Bardzo śmieszne, Simon. Przechabawne! - rzuciła ostro. - Tylko że ja nie urodziłam się wczoraj. Musiałbyś się mocno postarać, żeby mnie nabrać. Nie obudziłam się z ręką w nocniku, dobrze wiem, że jest prima aprilis. To kiedy przyjeżdżacie?

- Mamo, nigdy nie rozmawialiśmy o tym, że przyjedziemy. Nie wiem, czemu założyłaś, że tak będzie.

- Założyłam to dokładnie na tej samej zasadzie, na której ty założyłeś, że jesteś zaproszony! A prawda jest taka, że nigdy nie pytasz ani ojca, ani mnie, czy nam to pasuje. Nie wiem, czy wiesz, ale nie prowadzimy pensjonatu do twojej dyspozycji, młody człowieku.

Tutaj akurat miała rację. Wielokrotnie mówiłam Simonowi, że powinien zapytać rodziców, czy pasuje im nasz przyjazd, zanim kupi bilety, ale on tylko wzruszał ramionami i mówił, że lubią, kiedy pojawiajemy się niespodziewanie.

W kąciку oczu Sylvii dostrzegłam coś na kształt łezki, co

bardzo mnie zdziwiło, bo nie spodziewałam się, że jest zdolna do emocji, które mogą zniszczyć jej makijaż. Wtedy zwróciła się do mnie:

- Podejrzewam, że to wszystko twoja sprawka! Ty i ta twoja głupia gra! Jakby nie wystarczyło mi, że kiedy przyjaciele pytają, czy moja synowa pracuje, muszę mówić im, że robisz w informatyce. Nie mogłabyś robić czegoś ciekawszego? Synowa Sukey Poste jest architektką wewnątrz. A teraz będę musiała wszystkim opowiadać, że wymyśliłaś grę o matkach pijaczkach, takich jak ty!

- Spokojnie, staruszek! Po pierwsze w pracy Ellen nie ma absolutnie nic złego, a po drugie wstrzymaj konie, zanim powiesz coś, czego będziesz później żałować. O tej porze roku na Korfu będzie przepięknie, chociaż w morzu może być już chłodno. Ale pewnie wynajęłaś domek z basenem. Prawda, synu?

- Ellen o niczym nie wiedziała, mamo - powiedział Simon.

- Za to ja wiedziałem - wtrącił Michael. - Powiedział mi o tym kilka dni temu. Prosił mnie, żebym trzymał buzię na kłódkę, bo chciał zrobić Ellen niespodziankę. Zamierzałem ci o tym w końcu powiedzieć, Sylvs.

Byłam wdzięczna, że Michael był na tyle kochany i wspierający. Nawet użył jednego ze swoich ulubionych powiedzonek, żeby ukoić gniew Sylvii, i wziął część winy na siebie, dzięki czemu niespodzianka Simona nie została całkowicie zniszczona przez falę jej złości.

Sylvia zachwiała się lekko i tak mocno przycisnęła Napoleona Mopsapartego do piersi, że prawie udławił się

kawałkiem kurczaka, którym go przed chwilą nakarmiła.

- Rozumiem - powiedziała drżącym głosem. - Cóż, musicie mi teraz wybaczyć, ale poczułam się niepotrzebna, skoro nikt w tej rodzinie o niczym mi nie mówi. Pójdę się położyć, czuję, że zbliża się migrena. Może zapytam Louise, czy nie chciałyby przyjechać do nas z dziećmi.

Migreny Sylvii są już rodzinną legendą, bo dopadają ją tylko wtedy, kiedy nie uda się jej postawić na swoim. To świetna wymówka do ostentacyjnego wyjścia i drobnego szantażu emocjonalnego. Mimo że ciągle opowiada o tym, co je wywołuje (kawa, czekolada i ser żółty to tylko kilka z tych rzeczy), z przyjemnością spożywa wszystkie te produkty bez żadnych skutków ubocznych. Kiedy ktoś to zauważy, oświadcza, że zupełnie inne produkty mają zły wpływ na jej zdrowie. Jest też jedyną osobą, jaką znam, która cierpi jednocześnie na klaustrofobię i agorafobię. Tak tylko mówię...

Kiedy Sylvia opuściła scenę, teatralnie powiewając na odchodnym swoimi szalami, Michael, który wyraźnie zbladł na sugestię, że Louisa razem ze swoim stadkiem miałyby ich odwiedzić, wstał i wymamrotał, że pójdzie pooglądać telewizję z dziećmi, po czym spacerkiem poszedł do salonu, gdzie Peter i Jane oglądali kreskówki.

- Korfu? Naprawdę? - zwróciłam się do Simona.

- Chyba nie masz pojęcia, ile w tym miesiącu zarobiłaś, Ellen.

- Nie bardzo - odparłam trochę zawstydzona. Po wykładach Simona na temat podatków i spółek zrzekłam się

odpowiedzialności za dochody z aplikacji. Simon założył spółkę, żeby wszystko odbywało się zgodnie z prawem. Ja tylko załatwiłam, żeby przelewy przychodziły na konto biznesowe, a nie osobiste.

Czasami sprawdzałam pocztę, żeby zobaczyć, ile sprzedałam, i próbowałam jakoś przeliczyć to na pieniądze, ale po wszystkich wykładach na temat podatku VAT i kontaktach z urzędem skarbowym nie byłam w stanie dojść, ile mogło zostać dla nas. Pozwoliłam sobie jednak raz na wypad do Harveya Nicksa, gdzie kupiłam parę Louboutinów. Są absolutnie piękne, chociaż mają tak wysoki obcas, że kiedy próbowałam zrobić w nich krok, wyglądałam jak Bambi na lodzie.

- Za sprzedaż w lutym dostaliśmy sześćdziesiąt tysięcy. Dzisiaj przyszedł przelew. W ubiegłym miesiącu sprzedałaś prawie 140 tysięcy sztuk. To kolejne sto tysięcy! Oczywiście przed odliczeniem podatku. Udało ci się, kochanie! Rozwiązałaś nasze problemy finansowe! Za to ja zachowałem się jak dupek, bo w ciebie nie wierzyłem. Należy mi się nagroda za bycie frajerem. Zgrywałem łowcę jaskiniowca, który przyniósł do domu mamuta o złotym runie. Wydaje mi się, że zasłużyłaś na wakacje bez moich rodziców. Nie sądzisz? Szczególnie biorąc pod uwagę fakt, że byłaś na tyle dzielna, że nie udusiłaś mojej matki jednym z jej jedwabnych szali.

- Wow! Naprawdę zarobiłam aż tyle?! A czemu wybrałaś Korfu?

- Nie chcesz jechać na Korfu? Powinienem zarezerwować

coś innego? Wolałabyś Barbados? – zmartwił się Simon.

- Nie! Korfu brzmi idealnie! Zastanawiam się tylko, dlaczego wybrałaś akurat to miejsce.

- Znalazłem bardzo ładną willę. Prawdę mówiąc, jest olbrzymia, ale gdyby moja matka się o tym dowiedziała, suszyłaby mi głowę, aż wreszcie bym pękł i ją zaprosił, więc trzymajmy się wersji o małym, skromnym domku. Powiedziałaś mi kiedyś, że *Nasza rodzina i inne zwierzęta* to twoja ulubiona książka, i że chciałabyś zobaczyć kiedyś Korfu, więc pomyślałem, że spodoba ci się ten pomysł.

Faktycznie kiedyś tak powiedziałam. Musiało to być bardzo dawno temu, bo nie pamiętam, kiedy ostatnio dyskutowaliśmy z Simonem o książkach albo podróżach. Od jakiegoś czasu nasze rozmowy sprowadzają się do tego, kto w drodze do domu kupi w Sainsbury's jogurty na drugie śniadanie dla dzieci, dlaczego jestem jedyną osobą w domu, która wieszka nowy papier toaletowy w łazience albo kto użył najlepszych śrubokrętów Simona do otworzenia puszki z farbą. Mimo to pamiętał i niedługo pojedziemy razem na Korfu.

Postąpiłam wyjątkowo jak na siebie taktownie i powstrzymałam się od zapytania, jakiego koloru będą ściany willi i wytknięcia mu, że wcale nie przeczytał książki, bo nie ma pojęcia, o czym mówi. Nie chciałam zrujnować tej chwili. Liczyło się to, że pamiętał i zaplanował wakacje, a ja byłam bardzo, bardzo szczęśliwa.

Czwartek, 14 kwietnia

Jesteśmy na Korfu. Jest przepięknie. Podróż nie była niestety usłana różami, bo Simon, jak zawsze w takich sytuacjach, przeobraził się w najgorszego dupka na świecie.

Zabawa zaczęła się już kilka dni przed wyjazdem. Simon zaczął chodzić po domu, zawracając głowę wszystkim wokół i rozpaczliwym tonem pytając mnie, czy nie widziałam jego kapelusza słomkowego (nie, chociaż pamiętam jak przez mgłę, że mogłam go wyrzucić podczas sprzątania, bo kiedy na niego spojrzałam, poraziła mnie jego brzydota) albo czy kupiłam mu specjalny krem z filtrem, od którego nie dostanie wysypki (owszem, kupiłam, bo nie mogłam patrzeć, jak próbował odegrać obcojęzycznej farmaceutce, że wszystko go swędzi. Wyglądał jak opędzająca się od wszy małpa).

Kiedy dojechaliśmy na lotnisko, byłam ekstremalnie zestresowana i plułam sobie w brodę, że wyszłam za takiego irytującego dupka (co zresztą dzieje się zawsze, kiedy jedziemy razem na wakacje). Simon też był bardzo zdenerwowany, bo przypadło mu niezwykle odpowiedzialne zadanie, jakim jest odprawa. Ja nie mogłabym tego zrobić, bo przecież nie jestem PRAWDZIWYM MEŹCZYZNĄ. Jestem tylko kobietą, więc moim zadaniem było pilnowanie Petera i Jane, żeby nie jeździli po całym lotnisku na walizkach na kółkach. Kiedy je kupowaliśmy, wydawały nam się szalenie praktyczne, ale niestety okazały się bronią masowego rażenia.

Z Peterem i Jane w akcji będzie sukcesem, jeśli po nadaniu bagaży zostawimy za sobą mniej niż piętnaście osób z obitymi kostkami. Przez cały czas, kiedy Simon nas

odprawiał, musiałam też trzymać jego paskudny nylonowy plecak, który zawsze zabiera na wakacje. Przecież nie można od niego wymagać, żeby trzymał jednocześnie paszporty, karty pokładowe i swój bagaż podręczny.

W drugim ręku miałam swoją torbę podręczną, która ważyła chyba więcej niż odprawiony bagaż, bo byłam cwana i postanowiłam w niej upchnąć wszystkie najlepsze buty bez ponoszenia dodatkowych kosztów.

Po odprawie musieliśmy przejść przez bramki bezpieczeństwa, co było kolejnym wyzwaniem dla Simona. Średnio co trzydzieści sekund kazał nam przechodzić z jednej kolejki do drugiej, żeby przechytryć system. Zaproponowałam, że skoro mamy trochę więcej pieniędzy, moglibyśmy dopłacić i skorzystać z bramki pierwszeństwa, ale Simon wzdrygnął się na mój pomysł. Podobno chodzi o zasady i opłacenie bramki nie byłoby sportowym zachowaniem.

Ponieważ zmienialiśmy kolejkę co najmniej siedem razy, bo Simon twierdził, że tak będzie szybciej, przez bramkę bezpieczeństwa przeszliśmy jakieś piętnaście minut później niż ludzie, którzy stali za nami w pierwszej kolejce. Teraz mój mąż mógł podjąć kolejną heroiczną misję, jaką było znalezienie bramki. Natychmiast. Nieważne, że mieliśmy jeszcze dwie i pół godziny do odlotu, bo Simon zawsze zaciąga nas na lotnisko absurdalnie wcześnie, pewnie na wypadek gdyby jego bzdurny system omijania kolejek zawiódł. I nieważne, że na tablicach nawet jeszcze nie wyświetlały się informacje o bramkach. Simon to

PRAWDZIWI MĘŻCZYŻNA i znajdzie ją, używając intuicji.

Ruszył więc obarczony jedynie swoim plecakiem oraz niezwykle cennymi paszportami i kartami pokładowymi, które przechowywał w specjalnej kieszonce swoich specjalnych podróżniczych spodni, a my dreptaliśmy za nim. Oprócz swojej, po brzegi wypełnionej butami torby, ciągnęłam też walizki Petera i Jane, które musiałam im skonfiskować po tym, jak próbowali przejechać staruszkę, i kurczowo trzymałam dzieci za ręce, na wypadek gdyby postanowiły dać nura w wielką piramidę z czekoladek Toblerone w sklepie bezcłowym (do którego oczywiście nie mogliśmy wejść, bo Simon szukał bramki).

Raz na jakiś czas Simon zatrzymywał się i spoglądał za siebie, cmokając z niezadowoleniem, a my próbowaliśmy go dogonić. Musiałam wziąć Petera i Jane na ręce, bo na lotnisku zawsze robią wszystko, żeby mi się urwać.

- Raz, dwa - rzucił apodyktycznie. - Co się tak wleciecie?

W odpowiedzi syknęłam, że wbiję mu nóż prosto w serce, kiedy tylko zaśnie, na co spojrzał na mnie mocno zdziwiony. Przecież specjalnie dla mnie szukał naszej bramki!

Broń Boże, żebym opóźniła święte poszukiwania przystankiem w sklepie, żeby kupić dzieciom (które niespodziewanie oznajmiły, że zaraz poumierają z pragnienia) wodę. Jak śmiałabym tak pokrzyżować mu plany?

W końcu co najmniej godzinę przed tym, gdy ktokolwiek z obsługi w ogóle pomyśli o wpuszczaniu na pokład, Simon znalazł bramkę i triumfował, jakby zdobył biegun północny.

Usiadł najbliżej drzwi, jak się dało, żeby po standardowej kłótni ze mną o to, czy powinniśmy udawać, że jedno z naszych dzieci ma poniżej pięciu lat, by wepchnąć się przed wszystkich w kolejkę i wcześniej wejść na pokład.

Kiedy go dogoniłam czerwona jak burak, spocona, zipiąca i ledwo widoczna zza walizek i dzieci, którymi byłam objuczona, spojrzał na mnie zdziwiony.

- Tu jesteście! Myślałem, że idziecie tuż za mną. Gdzie się zgubiliście?

A kiedy wreszcie wsiedliśmy na pokład (po kolejnej „przygodzie” z jazdą lotniskowym autobusem, w trakcie której jakiś facet pchał się na mnie spoconymi pachami, a dzieci robiły wszystko, żeby się powywracać i połamać nosy, podczas gdy Simon stał na drugim końcu pojazdu, udając, że nas nie zna) i usiedliśmy na naszych miejscach, jedyne, co byłam w stanie mu powiedzieć, to:

- Chcę rozwodu!

- Ale o co ci chodzi? - zapytał zaskoczony.

Na co ja ryknęłam:

- Nienawidzę cię! Jesteś zwykłym dupkiem! Nie cierpię cię!

Potem zamówiłam kilka dzinów z tonikiem, żeby ukoić nerwy. Uspokołam się na około dziesięć minut przed lądowaniem, ale wtedy zaczęły się kolejne problemy. Simon oczywiście próbował wyjść z samolotu jako pierwszy, do wszystkich wokół mówił podniesionym głosem, odbiór bagażu zamienił w dzieło sztuki performatywnej, aż w końcu wpadł w szal, kiedy staliśmy w kolejce po wynajmowany

samochód.

Za każdym razem, kiedy gdzieś wyjeżdżamy, dzieje się toczka w toczkę to samo. Nie rozumiem, dlaczego jeszcze mnie to dziwi. Jakby tego było mało, w tym roku zapewnił nam dodatkową atrakcję. Nie zauważył, że w wynajmowanym aucie hamulec ręczny nie był zaciągnięty i kiedy uruchomił silnik, samochód zaczął turlać się do tyłu, przez co o mało nie zginęłam, bo próbowałam akurat zapiąć Petera w foteliku. Ja z kolei zgubiłam kartkę, na której zapisałam bardzo skomplikowaną instrukcję obsługi dojazdu do naszej willi, co oznaczało niekończące się błądzenie po Korfu z Simonem robiącym mi awanturę. Kiedy ją w końcu znalazłam, powiedziałam mu, żeby się ode mnie odpieprzył, i życzyłam mu rychłej śmierci.

Willa była natomiast idealna. Położona wysoko na wzgórzach, z widokiem na zatokę, otoczona gajem oliwnym. Na drzewkach wisiały hamaki, a w ogrodzie był basen z pobłyskującą w słońcu błękitną wodą.

Kiedy wypakowaliśmy z samochodu bagaże, łącznie z kilkoma skrzynkami wina, które kupiliśmy w drodze z lotniska (co było powodem kolejnej kłótni, więc musiałam jak szalona biegać z wózkiem po greckim supermarkecie), Peter i Jane zobaczyli basen i od razu chcieli iść popływać.

Otworzyłam usta, żeby powiedzieć: „Nie! Później”, po czym pomyślałam, że przecież mamy wakacje i nie ma powodu, dla którego mieliby tego nie robić. Zamiast im zabraniać, poprosiłam tylko Simona, żeby ich popilnował, bo to, że jesteśmy na wakacjach, wcale nie znaczy, że nie będą

próbowali nawzajem się potopić albo z jakiegoś powodu nie pozapominają, jak się pływa, mimo że wydaliśmy fortunę na zajęcia z basenu.

Poniedziałek, 18 kwietnia

Tu jest wspaniale! Wolni od ograniczeń, jakie wynikają z przebywania w domu - gdzie ciągle się śpieszymy i nie mamy czasu na zrobienie tych stu tysięcy rzeczy, które trzeba zrobić, więc tylko biegamy w amoku i robimy sobie awantury - jesteśmy o wiele miłszymi ludźmi.

Dzieci całymi dniami pływają w basenie i prawie wcale się nie kłócą. Nie wiem, czy mam zawdzięczać to słońcu, temu, że mają dużo ruchu i zwyczajnie nie mają siły, czy może temu, że sama jestem dla nich łagodniejsza. Simon wygląda, jakby był o dziesięć lat młodszy, a ja po raz pierwszy od dawna czuję się, jakby mój kark nie był ze stali.

Wstajemy rano i parzymy kawę. Dzieci, jakimś cudem, zgadzają się jeść owoce i jogurty na śniadanie, czym pewnie odroczą nieuchronne nadejście szkorbutu o kilka miesięcy. Potem pływamy w basenie i przyrządzamy grilla na obiad. Peter, który na początku stanowczo odmówił spróbowania sardynek, w pewnym momencie się przemógł, uznał, że są pyszne i pożarł ich dziesięć, co wcale mnie tak nie ucieszyło, bo liczyłam, że będzie więcej dla mnie.

Przez resztę dnia nigdzie się nie śpieszymy, głównie czytamy książki. To znaczy ja czytam, Simon słucha czegoś na iPodzie, Peter bawi się kartami do pokemonów, bez których nigdzie się nie rusza, a Jane chodzi po ogrodzie

w poszukiwaniu martwych zwierząt (to dlatego, że kiedy przyjechaliśmy, znalazła na balkonie zdechłą modliszkę w połowie rozczłonkowaną przez mrówki).

Od czasu do czasu rozmawiamy o tym, żeby pozwiedzać okolice, ale w naszym domku jest tak miło i przyjemnie, że do tej pory jedyna wyprawa, jaką podjęliśmy, skończyła się na drinkach i lodach w pobliskiej knajpce. Raz na jakiś czas kończy nam się wino i muszę posyłać Simona do sklepu po nowe zapasy. Ja nie prowadzę samochodu za granicą.

Simon jeszcze ani razu nie schował się z laptopem, twierdząc, że musi „popracować” albo „odpisać na kilka mejli”, co tylko potwierdza moją teorię, że kiedy jesteśmy na wakacjach u Michaela i Sylvii, używa pracy jako wymówki, żeby odpocząć od swojej matki albo jego własnych dzieci, które każde wakacje we Francji spędzają na próbach wymordowania się nawzajem, bo Sylvia pasie je słodyczami, twierdząc, że francuskie słodycze mają mniej cukru niż brytyjskie i nie mamy prawa obwiniać jej za zachowanie swoich dzieci. Możliwe też, że Simon wymyka się, żeby odpocząć od żony, która bezustannie narzeka na jego matkę.

W naszym domku jest Wi-Fi, ale chwilowo rzuciłam swój nałóg, jakim jest Facebook. Oczywiście po tym, jak tuż po przyjeździe wrzuciłam kilka zdjęć na pokaz, czego zresztą szybko pożałowałam, bo Charlie zaczął bombardować mnie wiadomościami, kiedy tylko zobaczył, że jestem dostępna. Nie ma w tych wiadomościach nic nieodpowiedniego – to tylko żarty, śmieszne zdjęcia i memy, ale jest ich dosyć dużo. Wręcz podejrzanie dużo. Tak czy inaczej, nie będę o tym na

razie myśleć. Charlie to problem życia codziennego, któremu stawię czoła, kiedy wrócimy do domu. O ile kiedykolwiek zdecydujemy się wrócić...

Zaczęłam snuć plany, żeby zamieszkać tu na zawsze i zostać kolejnymi Durrellami. Nie zrezygnowałam z Internetu w stu procentach, bo w tajemnicy przeglądałam strony greckich biur nieruchomości z pięknymi starymi willami i wyobrażam sobie, że przechadzam się bosą po kamiennych posadzkach, popijając lokalne wino z ceramicznego kubka (nie jestem pewna, czy picie z takiego kubka byłoby przyjemne, ale doskonale wpisuje się w moją wizję), karmiąc oliwkami dzieci, które do tego czasu staną się spalonymi słońcem dziećmi bohemy, a później odchodzę do zagajnika ze sztalugą i maluję kolejny obraz.

W mojej wizji raport szkolny, w którym nauczyciel napisał, że „Chociaż rozumiem, że dla Ellen, dziecka pozbawionego talentu, zajęcia ze sztuki mogą wydawać się trudne, byłoby miło, gdyby od czasu do czasu się na nich skupiła i chociaż udawała, że coś robi”, nie stanie mi na przeszkodzie w karierze malarki akwareli. Pamiętam, że faktycznie na lekcjach plastyki wieszcznie robiłam kleksy i byłam niegrzeczna, ale kiedy zainstaluję się już na dobre w mojej nowej willi na Korfu, na pewno rozbudzę w sobie geniusz twórczy.

Czwartek, 21 kwietnia

Po tym, jak położyliśmy dzieci spać, usiedliśmy z Simonem na tarasie, piliśmy wino i obserwowaliśmy światła po drugiej

strony zbocza i w zatoce. Słuchaliśmy psów szczekających w odległej wiosce i śpiewu cykad w ogrodzie i gaju oliwnym. Poza tym słyhać było tylko okazjonalnie przejeżdżające skutery.

Było uroczo, spokojnie i romantycznie, ale tylko do czasu, gdy horda przeklętych świerszczy postanowiła zabawić się w detektywów i poszukać źródła światła palącego się na tarasie, a po drodze przypuścić zmasowany atak na nas i nasze kieliszki. Kiedy z piskiem zerwałam się z krzesła i uciekałam do środka, Simon krzyknął:

- Chryste, przecież one ci nic nie zrobią!

Gerald Durrell na pewno nie miewał takich problemów.

Mimo ataku plagi szarańczy, postanowiłam opowiedzieć Simonowi o swojej wizji i planie, żeby zostać na Korfu na zawsze. Roztoczyłam przed nim poetycki obraz naszej przyszłości, ale mój mążonek nie był przekonany.

- Nikt nie chce wracać z wakacji, Ellen - skwitował.

- Ale czy to nie byłoby wspaniałe? Stara willa z kamienia otoczona gajem oliwnym, a na zboczach ogrodu krzaki winorośli. Moglibyśmy zacząć robić własne wino! Mielibyśmy do pomocy starego Greka, który przechadzałby się po gaju... Nazywałby się Nico! Miałby osiołka i do końca życia opłakiwałby swoją dawną miłość. Przez wiele lat uparcie unikałby tematu wojny, ale pewnego dnia, kiedy już by nam całkowicie zaufał, opowiedziałby o tym, jak walczył w greckim ruchu oporu, i o tym, że Maria, jedyna kobieta, którą naprawdę kochał, została postrzelona przez nazistów i zmarła w jego ramionach. Od tamtej pory jedynym jego

przyjacielem był osiołek, oczywiście dopóki pewni uroczy ekscentryczni gringo...

- Kochanie, terminu „gringo” używają Meksykanie.

- CICHÓ BĄDŹ! Roztaczam przed tobą wizję naszego nowego życia, a ty rzucasz mi kłody pod nogi! Na czym to ja skończyłam...? Ach, tak! Alexis...

- Alexis? Ta z *Dynastii*?

- Nie! Nasz stary, grecki pomocnik!

- Myślałem, że nazywał się Nico...

- OJ, CO ZA RÓŻNICA! Nico, nasz tajemniczy i posunięty w latach pomocnik, wędrujący po gajach oliwnych z osiołkiem - jego jedynym przyjacielem, nauczyłby się na nowo odczuwać emocje i miłość, obcując z dwójką brytyjskich dzieci i ich nieszczęsnymi rodzicami, którzy ciągle popełniali gafy, powodujące dziwne nieporozumienia między nimi a miejscowymi. Ale dzięki pomocy Nica wreszcie stają się pełnoprawnymi członkami lokalnej społeczności i urządzają wielkie przyjęcie w gaju oliwnym, gdzie wino domowej roboty leje się strumieniami, a wszyscy żyją długo i szczęśliwie!

- Chryste, kochanie, naczytałaś się za dużo powieści dla kobiet w różowych okładkach...

- Może masz rację... - przytaknęłam smutno. W domu leżało dużo książek zostawionych przez poprzednie wczasowiczki. Ale czy jednym z kluczowych punktów wakacji nie jest właśnie to, że zabierasz ze sobą opasłe tomiszczą literatury, żeby nadrobić zaległości, a kiedy tylko przyjedziesz, porzucasz je na rzecz marnych powieści

z pieprzykiem?

- A z czego byśmy żyli?

- Nie potrzebowalibyśmy aż tylu pieniędzy. Przecież mielibyśmy własną winnicę, o czym już ci mówiłam. Wiedziałbyś, gdybyś mnie słuchał. Potrzebowalibyśmy tylko chleba i sera, ale przecież moglibyśmy wydoić osiołka...

- A czy osiołka można wydoić?

- Skąd mam wiedzieć? Na pewno się da.

- Nigdy nie jadłem oślego sera.

- No to kupilibyśmy kozę! Nie potrzebuję problemów, potrzebuję rozwiązań! Poza tym wystarczyłby nam chleb domowej roboty, KOZI ser, trochę dzikiego miodu z uli, które zbudowalibyśmy w gaju oliwnym. Poza tym hodowalibyśmy własne owoce wokół domu, na przykład brzoskwinie i persymony...

- Co to są persymony?

- Nie wiem dokładnie, ale czy mógłbyś przestać mi przerywać? Chodziło mi o to, że nie potrzebowalibyśmy dużo pieniędzy.

- Sprawdziłem w Internecie, persymony to takie śliwki. Poza tym potrzebowalibyśmy pieniędzy na elektryczność, telefon, wodę i ogrzewanie. I gdzie dzieci chodziłyby do szkoły?

- Posłalibyśmy je do jakiejś uroczej lokalnej szkółki tu, we wsi.

- Ale przecież one nie mówią po grecku. My zresztą też!

- Mam egzamin językowy z łaciny.

- Kochanie, łacina i grecki nie mają ze sobą nic wspólnego.

Łacina nie ma nic wspólnego nawet ze greką klasyczną. Po wszystkich latach, kiedy jeździliśmy do moich rodziców, nie nauczyłaś się francuskiego, więc jak zamierzasz się nauczyć greckiego? Pewnie bylibyśmy jednym z tych głupich małżeństw z telewizji, które wyprowadzają się za granicę, ale wracają do kraju dwa tygodnie później, bo nie potrafią znaleźć w supermarkecie soku pomarańczowego. Poza tym grecka ekonomia kuleje i trzeba być szaleńcem, żeby inwestować tu jakiegokolwiek pieniądze.

- Może i tak, ale skoro grecka ekonomia kuleje, to funty brytyjskie są tu o wiele więcej warte - kombinowałam.

- Nie, kochanie - odparł Simon i zaczął przynudzać o inflacji i ekonomii, więc przestałam go słuchać i rozmarzyłam się o gajach oliwnych, akwarelach i seksownym kapeluszu, który bym zakładała do malowania.

Kiedy znowu zaczęłam słuchać, Simon wciąż niszczył moje marzenia. W dodatku zaczął zadawać mi pytania o to, jak zaplanowałam opłatę rachunków. Już miałam zasugerować, że moglibyśmy używać lamp naftowych, a wodę czerpać ze starej kamiennej studni, ale uświadomiłam sobie, że zaczynam niebezpiecznie przypominać Louise, a w rzeczywistości nie zniosłabym takiego życia.

Na szczęście szarańczy robiło się coraz więcej, więc miałam pretekst, żeby zrobić angielskie wyjście i schować się w środku przed Simonem i jego głupimi pytaniami o praktyczne aspekty mojej wizji. W praktyce moje angielskie wyjście wyglądało tak, że drąc się w niebogłosość:

- Ratunku! Mam je we włosach? Tylko nie we włosach! -

pobiegłam do domku.

Postanowiłam jednak, że tak łatwo się nie poddam i resztę wieczoru spędziłam, szukając idealnego domu. Mam tydzień na spełnienie mojego marzenia. Uda mi się!

MAJ

Niedziela, 1 maja

Niestety nie udało mi się spełnić marzenia życia. Simon doszczętnie je podeptał, na każdym kroku przypominając, że powinnam skupić się na aspektach praktycznych, na tym, że ktoś będzie musiał ubrać i nakarmić dzieci, a grecka ekonomia jest zbyt kapryśna. Nie chciał mi też uwierzyć, że płacenie podatków w Grecji jest nieobowiązkowe, a jestem pewna, że nie jest, ani w to, że będziemy w stanie wyżyć z uprawy ziemi i wszystko się ułoży, jeśli tylko kupimy odpowiedni dom. Z wyżej wymienionych przyczyn wróciliśmy na przedmieścia.

Może Louisa właśnie w ten sposób trafiła do „ustronia”? Może marzyła tylko o prostym życiu, a ponieważ nie miała za męża Simona „niszczyciela marzeń”, po prostu przekuła swoje marzenia w rzeczywistość? Z drugiej strony już ja widziałam tę rzeczywistość Louisy. Jest zdecydowanie zbyt zabłocona, wilgotna i śmierdząca. Z drugiej strony Louisa mieszka w podmokłych lasach Szkocji, a nie na skąpanych słońcem wzgórzach Grecji, więc wszystko wskazuje na to, że ona jest jednak bardziej szurnięta ode mnie. To dobrze, bo trochę mi wstyd, że ja i Louisa mogłybyśmy mieć ze sobą coś wspólnego.

Od kiedy wróciliśmy, pralka chodzi bez przerwy. Nie wiem,

jak to możliwe. Byłam pewna, że robiłam pranie podczas wakacji, a poza tym chodziliśmy głównie w szortach i podkoszulkach. Nie założyłam ani razu pięknych butów, które ze sobą zabrałam. Wystarczyły mi japonki. W dodatku przez dźwiganie bagażu podręcznego chyba uszkodziłam sobie kręgosłup. Wcale nie był tak lekki, jak udawałam.

Dzieci na powrót zdziczały. Kiedy tylko samolot wylądował, zaczęły się kłócić i awanturowały się przez całą drogę do domu. Na niebie czarne chmury, hiacynty przekwitły, wszędzie są korki i nie chce mi się jutro iść do pracy. Simon mówi, że złapała mnie powakacyjna chandra. A ja przecież chciałabym tylko siedzieć na terracio (to chyba po włosku, chociaż bardziej prawdopodobne, że takie słowo w ogóle nie istnieje), popijając tanie lokalne wina, patrząc na dzieci pluskające się wesoło w basenie i obserwując zapalające się w oddali światła. Mówiąc w skrócie: rzeczywistość jest do bani, nienawidzę swojego życia i wszystko jest nie fair. Zaraz zacznę krzyczeć i będę krzyczeć tak długo, aż zrobi mi się niedobrze. Chociaż bardziej prawdopodobne, że zaklnę nieśmiało pod nosem.

Plusem jest powrót do brytyjskiego systemu wodno-kanalizacyjnego, to znaczy możliwości spuszczenia papieru w toalecie. Muszę przyznać, że niezbyt mi się podobał cały ten system z wyrzucaniem zafajdanego papieru do kosza. Miło jest też umyć zęby, kiedy Simon nie suszy mi głowy, żebym płukała przegotowaną wodą, a nie kranówką. I oczywiście cieszę się na widok psa. Tęskniłam za nim bardzo i co chwila wydzwaniałam do hotelu dla psów, żeby

dowiedzieć się, że wszystko z nim w porządku. Wysłałam mu nawet pocztówkę.

Środa, 4 maja

A niech mnie piorun trzaśnie! Byłam dzisiaj w szkole przed czasem, więc poszłam na plac zabaw, co ostatnio rzadko mi się zdarza. Staram się go unikać i najczęściej przychodzę dokładnie z dzwonkiem, po czym powoli idę ulicą, żeby nie zdążyć wejść na plac. Dzięki temu nie muszę rozmawiać z Sabatem i innymi mamuszkami. Wiem, że to nieładne i antyspołeczne zachowanie, ale ostatnio jakoś nie mam siły grać w ich gierki i tańczyć, jak mi zagrają. Jedyne, co mnie pociesza to fakt, że Sam robi dokładnie to samo, kiedy przyjeżdża po Sophie i Toby'ego, więc przynajmniej nie jestem jedyną osobą, którą mogą za to zwyzywać.

Dzisiaj postanowiłam, że będę odważna. Jeśli Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson i jej świta zechcą podejść do mnie, żeby z politowaniem zapytać, czy miałam udane wakacje, przynajmniej będę mogła powiedzieć: „Tak, dziękuję, wyskoczyliśmy na kilka tygodni na Korfu. Tak, było magicznie! Wiem, czasami warto jest się wyrwać”, zamiast udawać, że świetnie się bawiłam u Michaela i Sylvii, podczas gdy te jędze będą wybałuszać oczy i prawie połamią sobie karki, próbując okazać fałszywą sympatię w związku z faktem, że jestem biedna i skazana na wakacje u teściów.

Kiedy weszłam na plac, większość mamusiek stała na swoich stałych miejscach, tyle że wszystkie sprawdzały coś w telefonach i szeptały między sobą. Kurwa mać, znowu

o czymś zapomniałam, pomyślałam. A może stało się coś bardzo ważnego w polityce, o czym nie wiem? Mamuśki miały raczej wesołe miny, więc może to było coś pozytywnego? Zaczęłam się zastanawiać, czy upiecze mi się, jeśli na pytania „Czy to nie wspaniałe?” będę tylko uśmiechać się i przytakiwać.

Wtedy jak na zawołanie Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson podeszła do mnie, a tuż za nią w kolejce ustawiły się pozostałe wiedźmy.

- Czy to prawda, Ellen? - pisnęła.

Czy to prawda? Ale CO? Co ona wie na mój temat? Że jestem mężatką, ale flirtuję bardziej niż przystoi z Charliem Carhillem, bo schlebia mi jego atencja? Tak, tak, wszyscy wokół wiedzą, że jestem puszczalska, chociaż do niczego między nami nie doszło, wypiliśmy razem kilka drinków i czasami piszemy do siebie wiadomości, ale przecież nie mogę udawać, że ich nie widzę, a poza tym niedługo wyjaśnię tę sprawę.

Tylko skąd miałyby o tym wiedzieć? To przecież niemożliwe. W takim razie o co chodziło? Chryste, założę się, że ktoś zobaczył, jak mój pies robi kupę w parku, której nie sprzątnęłam, bo skończyły mi się torebki. Miałam tam wrócić i zrobić to później, ale zupełnie zapomniałam! W tych okolicach za zostawienie psiej kupy można zostać ukamienowanym. Liczyłam na to, że jeśli przybiorę przestraszony wyraz twarzy jelenia wpatrzonego w światła samochodu i będę zachowywać się, jak gdyby nic się nie stało albo wszystkiemu zaprzeczę, to mi się upiecze.

Uśmiechnęłam się głupkowato i szeroko otworzyłam oczy.

- Dobry Boże! A więc to prawda! Spójrzcie tylko na jej wyraz twarzy! Mówiłam ci, Fiona, a ty mi nie wierzyłaś! Ta opiekunka au pair... Jak jej tam było na imię... Nigdy nie jestem w stanie go wymówić! W każdym razie kiedy pokazała mi artykuł, od razu wiedziałam, że chodzi o ciebie!

- Artykuł?

Jasna cholera! Trafiłam do lokalnej gazety z powodu psiej kupy? To dopiero publiczne piętnowanie!

- Tak, w jakiejś gazetce dla komputerowych nudziarzy. Podobno studiowała coś związanego z komputerami na uniwersytecie na Ukrainie, więc lubi takie rzeczy. W każdym razie pisali tam o najbardziej popularnych aplikacjach i ich twórcach, i napisali o *Dlaczego mamusia pije?* stworzonej przez Ellen Russell Games sp. z o.o. Od razu wiedziałam, że chodziło o ciebie! Fiona mówiła, że jesteś na to za głupia, ale ja wiedziałam!

Dzięki, Fiona! A ja myślałam, że nasze wspólne wykonanie *Patricii the Stripper* nas do siebie zbliżyło. Więcej cię nie wciągnę za sobą na pianino. Zaproszę mamę Lucy Atkinson.

- Hm, no tak. To było o mnie. Ściągnęłyście ją?

- Czy ją ściągnęłyśmy? My ją kochamy, Ellen! Jesteśmy uzależnione!

Zauważyłam, że wokół nas zebrał się mały tłumek mamusiek, które szeptały o mojej aplikacji. Mama Lucy Atkinson oczywiście pełniła rolę rzeczniczki całego placu zabaw.

- Jest świetna! I taka życiowa! Czuję się, jakby ktoś ubrał

moją codzienność w grę!

Twoją codzienność? Byłam zdezorientowana. To jest codzienność normalnych mam, takich jak ja i Hannah. Nie twoich perfekcyjnych, powiewających na wietrze, błyszczących włosów, nie twojej jak-jej-tam-było-na-imię opiekunki ani twoich cholernie idealnych dzieci! Tymczasem mama Lucy zaczęła się rozkręcać...

- A ten fragment, w którym trzeba unikać idealnych mamusiek pod bramą szkoły, jest przezabawny!

PRZECIEŻ TO TY JESTEŚ NAJIDEALNIEJSZĄ Z IDEALNYCH MAMUSIEK! STRACIŁAŚ ROZUM CZY CO?! CO TY WYGADUJESZ?

- Zawsze czułam, że muszę uciekać przed wszystkimi pracującymi matkami, które patrzą na mnie spode łba za to, że nie pracuję, że nie jestem niezależna finansowo. Tobie też zazdroszczę, że chodzisz do pracy, masz jakieś życie poza rodziną. Czasami martwię się, że jestem złym przykładem dla Lucy...

- A ja zawsze czułam, że muszę uciekać przed wami, mamusiami, które zostały w domu - wtrąciła Alicia z TV. - Myślałam, że mnie oceniacie, bo zostawiłam dzieci dla kariery, bo nie potrafiłam poświęcić się dla nich. Martwiłam się, że daję im zły przykład, bo ciągle jestem zajęta pracą, a przecież mogłabym z nimi piec ciasta, rysować czy tworzyć origami...

- Nienawidzę piec! Moje życie nie byłoby ani odrobinę gorsze, gdybym już nigdy nie musiała piec żadnych przeklętych babeczek! Nie cierpię ich! - rzuciła w przestrzeń

Fiona Montague.

Prawdę mówiąc, na placu zabaw jeszcze nigdy nie było tak przyjaźnie jak dzisiaj. Wszystkie mamy żartowały o tym, że czują się niewystarczająco dobre, że martwią się, czy podjęły dobry wybór, idąc do pracy albo zostając w domu, i że niezależnie od tego, jak bardzo kochają swoje dzieci, bycie rodzicem czasami jest potwornie nudną i żmudną harową.

Skąd miałam wiedzieć, że wszystkie mamy czasem tak się czują? Że nawet Perfekcyjną Mamę Perfekcyjnej Lucy Atkinson korci, żeby powiedzieć samej Świętej Lucy, żeby się zamknęła i przestała się mazgaić, Fiona Montague zamyka się w łazience i pochlipuje, bo rzyga Świnką Peppą, a Alicia z TV któregoś dnia, ku mojemu własnemu zdziwieniu, zaczęła śpiewać na całe gardło czołówkę komediowego serialu historycznego podczas bardzo ważnego spotkania w pracy?

Byłam w szoku. Stworzyłam tę aplikację, żeby dać upust swoim emocjom, i wrzucić do niej wszystko, co grało mi na nerwach w życiu codziennym. Mimo że bardzo cieszyłam się z pieniędzy, które na niej zarobiłam, zdziwiło mnie, że jest tak popularna. Byłam przekonana, że wszystkie tandetne mamy, które ledwo wiążą koniec z końcem i jeśli zdarzy im się wyjątkowo dobry dzień, to znaczy tylko tyle, że względnie sobie poradziły, są w mniejszości. Tymczasem okazało się, że jest inaczej – większość z nas uważa, że sobie nie radzimy, nawet jeśli sprawiamy wrażenie SuperMatek, które żyją idealnym życiem.

Na odchodnym Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy

Atkinson przytuliła mnie mocno. Byłam przerażona.

Wtorek, 10 maja

Dzisiaj zadzwonili do mnie ze szkoły, prosząc, żebym przyjechała najszybciej, jak to możliwe, bo „wydarzył się mały wypadek” z Jane. Sekretarka Petra, która zazwyczaj jest miła i radosna, brzmiała bardzo ponuro i złowieszczo, i nie nazwała mnie Ellen, tylko panią Russell. Powiedziała, że nie zna szczegółów, ale dyrektorka prosi, żebym jak najszybciej stawiała się w szkole, i że Jane nic się nie stało.

Na takie sytuacje zazwyczaj reaguję paniką. Zadzwoniłam do Simona, który miał wyłączony telefon, więc zadzwoniłam do biura tylko po to, żeby dowiedzieć się, że jest na spotkaniu, i żebym spróbowała skontaktować się z nim przez komórkę. Bardzo pomocne, biorąc pod uwagę, że jego pierworodne dziecko znalazło się w niebezpieczeństwie. Nie jestem pewna, ale chyba nie omieszkałam powiedzieć tego na głos, zanim się rozłączyłam.

Roztrzęsiona ruszyłam do szkoły, próbując wyobrazić sobie, co takiego mogło przytrafić się Jane, że aż trzeba było wezwać mnie w środku lekcji, choć nie zakończyło się hospitalizacją. Zaparkowałam samochód w strefie na miejscu „tylko dla pracowników”, gdzie rodzicom absolutnie zabrania się parkować, ale skoro to nagły wypadek, to uznałam, że mogę, i wbiegłam do środka.

Jane siedziała w sekretariacie z Petrą. Była blada jak ściana i zaciskała wargi tak mocno, że wiedziałam, iż jest na skraju płaczu, ale prędzej umrze, niż uroni łzę na oczach

innych. Petra rzuciła mi pełne sympatii spojrzenie i przewróciła oczami, kiedy dyrektorka, pani Johnson, wparowała do pomieszczenia.

Pani Johnson jest zadufanym w sobie babsztylem. To jedna z tych osób, które postanowiły zostać nauczycielem, żeby w łatwy sposób zyskać władzę nad ludźmi słabszymi od siebie, a nie – jak większość nauczycieli – dlatego, że czuła powołanie, by zapełniać umysły młodych ludzi wiedzą, miłością do nauki i rozbudzać w nich ciekawość świata. Pech chciał, że przypomina mi moją dyrektorkę, co oznacza, że za każdym razem, kiedy ją widzę, muszę się powstrzymać, żeby nie spuścić wzroku, nie wymamrotać pod nosem, że **WCALE NIE ŻUJĘ GUMY**, po czym nie dać nogi za stojaki na rowery, wypalić peta i uciec na wagary z jakimś niegrzecznym chłopcem.

Pani Johnson posłała mi swój słynny jaszczurzy uśmiezek, z którym jej wzrok nigdy nie koreluje, i powiedziała:

- Pani Russell, proszę za mną!

dokładnie w tym samym momencie, w którym Jane powiedziała:

- Mamusiu, chciałam ci coś powiedzieć!

Zatrzymałam się i spytałam:

- Co się stało? Ktoś cię skrzywdził, Jane? Nikt mi jeszcze nie powiedział, dlaczego zostałam wezwana.

- Proszę wejść, pani Russell, zaraz wyjaśnię pani, co zrobiła Jane – odparła dyrektorka.

- Mamusiu, proszę! – wyjąkała moja córeczka desperacko, a mnie prawie pękło serce, bo wiedziałam, że długo już nie

będzie w stanie powstrzymać łez, a Jane nienawidzi płakać na oczach innych. Nawet przy mnie ma opory, a co dopiero mówić o Petrze czy tej przeklętej Johnson.

Wzięłam głęboki wdech i obudziłam swoją wewnętrzną Jessicę:

- Pani Johnson, myślę, że najlepiej będzie, jeśli porozmawiam z córką, zanim usłyszę pani wersję wydarzeń - powiedziałam tak chłodno, jak tylko umiałam.

Sztuczny uśmiech zniknął z twarzy dyrektorki. Skrzywiła się jak srający kot.

- Myślę, że jednak lepiej będzie, jeśli pójdzie pani ze mną.

Jane rzuciła mi błagalne spojrzenie.

- Nie wydaje mi się. Chcę porozmawiać z córką, zanim pomówię z panią. Czy to jasne? - Naprawdę byłam niczym Jessica, której dostawca zakupów z Waitrose'a przywiózł kiedyś przeterminowanego łososa, a ona zadzwoniła do centrali złożyć reklamację.

Pani Johnson prychnęła z niezadowolenia, ale ton wściekłej Jessiki, której sprzedano przeterminowanego łososa, jasno oznajmiał, że nie biorę pod uwagę sprzeciwu.

- W takim razie możecie obie wejść ze mną do gabinetu - złożyła swoją negocjacyjną ofertę dyrektorka.

Ale Jessica-Której-Sprzedano-Nieorganiczne-Jabłko natychmiast ją ukróciła:

- Najpierw porozmawiam z córką, a potem z radością wysłucham pani wersji zdarzeń. Dziękuję, że pozwoliła mi pani skorzystać ze swojego gabinetu, to bardzo miłe. Chodź, Jane!

Przemknęłam obok niej, zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, a Jane podreptała za mną. Johnson wymruczała coś pod nosem, a Petra uśmiechnęła się do mnie szeroko, dyskretnie pokazując kciuk w górę. („Ociekające gniewem wyjście z pomieszczenia” zastosowałam dzięki uprzejmości Jessiki, która podczas pierwszej i jedynej wycieczki do Nando’s odkryła, że żeby coś tam zjeść, trzeba stanąć w kolejce i sobie zamówić).

Kiedy byliśmy już w środku, poza zasięgiem wzroku Petry i Johnson, Jane pękła i zalała się łzami. To nie zdarzało się często. Moja córka była nieustraszoną wojowniczką, która od urodzenia chodziła własnymi drogami, a płacz uznawała za oznakę słabości i głupoty. Teraz jednak szlochła w moich ramionach, okazjonalnie rzucając niewiele mówiące: „To niesprawiedliwe!” i „Nienawidzę ich!” albo coś o Oscarze i Tilly. Kiedy ją uspokoiłam i z ulgą stwierdziłam, że łzy rozpaczy ustąpiły miejsca łzom gniewu, Jane wreszcie była w stanie wykrztusić, o co chodziło.

Z jej opowieści wynikało, że Oscar Fitzpatrick od dłuższego czasu znęcał się nad jej przyjaciółką Tilly. Kiedy widział, że w okolicy nie ma nikogo z kadry, potrafił ją kopnąć, uszczypnąć, zabrać jej drugie śniadanie czy ją zwyzywać. W skrócie – był małym perfidnym gówniarzem. Szkoła okazała się w tej sytuacji zupełnie bezużyteczna. Mimo że wiele dzieci poświadczało, że tak się zachowuje, najsurowsza „kara”, jaka spotkała tego parszywego gnojka, była taka, że w trakcie przerwy musiał zostać w klasie, kiedy inne dzieci mogły bawić się na dworze. Nauczyciele pozwolili mu

wybrać, czym się zajmie podczas przerwy. W klasie był kącik z klockami lego, więc wątpię, żeby kara odniosła jakikolwiek skutek.

Dzisiaj Tilly przyniosła do szkoły nową lalkę, którą dostała w zeszłym tygodniu na urodziny. Kiedy pokazywała ją swoim koleżankom, w tym Jane, Oscar podszedł do nich, wyrwał jej lalkę, urwał jej głowę, wyrzucił korpus przez płot, a głowę wrzucił do śmietnika, mimo że dziewczynki przez cały czas krzyczały, żeby przestał i próbowały mu ją zabrać.

Jane uznała, że czas wziąć sprawy w swoje ręce i zrobić wreszcie użytek z zajęć dźiu-dźitsu, na które ją posyłam. Powaliła Oscara na ziemię (co szczerze mówiąc, trochę mi zaimponowało, bo to jeden z tych zmutowanych chłopców, którzy górują wzrostem nad wszystkimi dziećmi w klasie), a potem skopała go w klejnoty, bo:

- Zasłużył sobie na to, mamusiu! Mówiłaś, żebym używała dźiu-dźitsu tylko do obrony, więc użyłam. Broniałam Tilly!

Niestety jeden z nauczycieli, mimo że nie widział, jak Oscar dręczy Tilly, zobaczył Jane rzucającą się na niego z pięściami, dlatego wezwano ją do dyrektorki. Odmówiła jednak jakichkolwiek zeznań, dopóki nie przyjadę, bo używając pokładów mądrości, o których niestety zapomina, kiedy trzeba znaleźć kaptcie szkolne i tym podobne, oświadczyła, że ma prawo milczeć.

Kiedy zapewniłam Jane, że postąpiła słusznie i zaraz wszystko za nią załatwię, odesłałam ją do Petry, założyłam z powrotem maskę Jessiki i wezwałam panią Johnson do gabinetu.

Podczas mojej rozmowy z córką dyrektorka spuchła ze złości tak bardzo, że wyglądała jak wściekła rozdymka tygrysa. Wparowała do gabinetu i ostro rzuciła:

- Mam nadzieję, pani Russell, że rozumie już pani powagę sytuacji!

- Oczywiście. I w stu procentach zgadzam się z panią, że sytuacja jest poważna. Podzielam też pani obawy, że zaniechanie, którego się tu dopuszczono i które doprowadziło do tego, że dzieci muszą brać sprawy w swoje ręce, żeby chronić kolegów i koleżanki z klasy, kiedy nie mogą polegać na pracownikach kadry w kryzysowych sytuacjach, może mieć zły wpływ na wizerunek szkoły.

Ha! To wstrętne babsko kompletnie zbaraniało. Przez chwilę bełkotała coś pod nosem, po czym rzuciła wściekle:

- Miałam na myśli to, że Jane zupełnie bez powodu zaatakowała inne dziecko!

- Dziecko, które regularnie znęcało się nad jedną z jej przyjaciółek - odparłam.

- Pani Russell, nie zamierzam rozmawiać z panią o innych dzieciach. Jesteśmy tu, żeby omówić brutalny atak Jane na Oscara. Obawiam się, że w tej sytuacji możemy uznać, iż Jane była agresorem, a więc to ona znęcała się nad innym dzieckiem. Dlatego musimy podjąć odpowiednie kroki w tej sytuacji.

- A jakie dokładnie kroki zamierza pani podjąć?

- Jane publicznie przeprosi Oscara i nie weźmie udziału w piątkowych zabawach.

- A co będzie robić w tym czasie?

- Przyjdzie do mojego gabinetu i przemyśli swoje zachowanie.

Obudziła się we mnie Matka Lwica, która do tej pory pozostawała uśpiona. Nie musiałam już udawać człowieka sukcesu ani swojej siostry, żeby pokieraszować to babsko, które chciało niesprawiedliwie ukarać moje maleństwo. Jeśli się nie opanuje i nie zostawi mojej córki w spokoju, spalę tę głupią budą razem z jej truchłem. I to w najlepszym wypadku. Pazur na wierzchu. Będzie wojna.

- Ale kiedy Oscar zabrał Tilly drugie śniadanie, rzucił je w błoto i zdeptał, musiał zostać w klasie na przerwie, gdzie mógł się bawić klockami. Nie musiał nikogo przeproszać i nie opuścił piątkowych zabaw - zauważyłam.

- Tak, pani Russell, ale incydent z Jane był dużo bardziej agresywny, poza tym widział go jeden z członków kadry.

- A wszystkie inne incydenty, łącznie z dzisiejszym, kiedy Oscar był agresywny wobec Tilly, nie liczą się, mimo że widziało je kilkoro dzieci, które chętnie potwierdzą wersję zdarzeń Jane i Tilly? Uważa pani, że wersja pracownika kadry, który widział jedynie koniec bójki, jest bardziej wiarygodna niż wersja kilkorga dzieci?

- Pani Russell, ja..

- Czy pani uważa, że Jane jest głupia? - wtrąciłam.

- Słucham?

- Pytam, czy uważa pani, że moja córka jest głupia. Czy naprawdę myśli pani, że wpadłaby na pomysł, żeby bez powodu zaatakować chłopca dwa razy większego od siebie? Mogę powiedzieć na temat Jane wiele rzeczy, ale na pewno

nie to, że jest głupia. Broniła swojej koleżanki i powinna zostać za to pochwalona. Na pewno nie będzie nikogo przepraszać ani nie opuści piątkowych zabaw, bo... - Sięgnęłam do torebki po telefon, w duchu dziękując samej sobie, że jeszcze nie zużyłam wszystkich danych z pakietu na przeglądanie Facebooka. - Po pierwsze, cytuję: dyrekcja placówki edukacyjnej definiuje nękanie jako „ciąg powtarzających się incydentów”, więc jednorazowe zachowanie Jane się nie kwalifikuje. Po drugie, polityka szkoły w sytuacjach, w których dochodzi do nękania, opiera się na promowaniu pozytywnych zachowań, do których z pewnością nie można zaliczyć ukarania Jane, oraz na uczeniu dzieci, by brały odpowiedzialność za swoje czyny. Jak zamierza pani to zrobić, kiedy traktuje pani głosy kilkorga dzieci za mniej ważne od głosu jednego pracownika kadry, który nawet nie uczestniczył w całym incydencie? Jane broniła koleżanki, a pani zaniedbała obowiązek opieki nad Tilly, Jane czy Oscarem, ponieważ nie zapewniła im pani bezpiecznego środowiska i stałej opieki.

- Pani Russell, chciałam powiedzieć...

- **JESZCZE NIE SKOŃCZYŁAM!** Sugeruję, żeby natychmiast wycofała pani wszystkie swoje absurdalne zarzuty wobec mojej córki, bo inaczej z przyjemnością poinformuję lokalne władze o pani zaniedbaniach i o tym, jak niniejszym i jakże haniebnym incydentem zawiodła pani wszystkich swoich podopiecznych. Czy wyrażam się jasno? - ryknęła moja wewnętrzna lwica.

- Pani Russell, może jednak spróbujemy rozwiązać tę

sytuację bez interwencji władz... Na pewno znajdziemy jakąś wygodniejszą drogę. Przyznaję, że postąpiłam wobec Jane odrobinę nietaktownie...

- I chciałyby pani przeprosić? - zasugerowałam.

- Oczywiście jest mi bardzo przykro, że nieumyślnie postawiłam Jane w stresującej sytuacji, i że źle się przeze mnie poczuła.

Trochę kulały te jej przeprosiny, ale i tak byłam w szoku, że udało mi się tyle zdziałać. Postanowiłam, że skoro już mam ją w garści, to mogę iść na całego i spytałam:

- I nie będzie pani oczekiwała od Jane, że przeprosi Oscara ani nie zabroni jej pani brać udziału w piątkowych zabawach?

- Nie, oczywiście że nie! - wyjąkała Johnson.

Jej twarz miała już dziwnie fioletowawy odcień. Zaczęłam się obawiać, że dostanie zawału. Postanowiłam wyjść, póki miałam przewagę, więc wstałam i najuprzejmiej, jak tylko mogłam, powiedziałam:

- Cieszę się, że udało nam się wyjaśnić to głupie nieporozumienie, pani Johnson. Miło było panią widzieć. Jeśli chciałyby pani jeszcze o czymś porozmawiać, proszę śmiało do mnie dzwonić. Oczywiście zwalniam Jane z reszty lekcji, bo przez cały ten incydent jest mocno roztrzęsiona. Do widzenia! - rzuciłam i wymaszerowałam z gabinetu jak Jessica z Nando's, żeby w razie nagłej śmierci dyrektorki nikt mnie nie oskarżył.

Napędzana furją, zamaszystym krokiem szłam do samochodu. Jane tuptała za mną.

- Mamciu? Jesteś na mnie zła? - spytała.

Nie nazywała mnie „mamcią”, od kiedy skończyła trzy lata.

- Oczywiście, że nie jestem na ciebie zła, kochanie. Jestem zła na panią Johnson, Oscara i szkołę, ale na ciebie ani trochę. Postąpiłaś słusznie, że się postawiłaś takiemu dużemu chłopcu. Jestem z ciebie dumna. Broniłaś koleżanki i chociaż mogła stać ci się krzywda, wcale się nie bałaś. Sama powinnaś być z siebie dumna. Wykazałaś się odwagą.

- Uff, to dobrze. A może mogłybyśmy w drodze do domu pojechać na lody?

Westchnęłam z ulgą. Fakt, że Jane postanowiła wykorzystać tę sytuację dla własnej korzyści, był jednoznacznym dowodem na to, że wszystko wróciło do normy.

- A kupisz mi komiks? - dodała.

Wieczorem zadzwoniła do mnie mama Tilly i powiedziała, że szkolny melodramat opowiada się teraz jako walkę Davida z Goliatem pomiędzy Jane i Oscarem. Poprosiła, żebym podziękowała Jane za to, że zainterweniowała. Rozpierała mnie duma. Aż się wzruszyłam, nawet mimo tego, że Jane bezwstydnie naciągnęła mnie na prezenty na pociechę warte piętnaście funtów.

Jak to zwykle bywa po konfrontacjach, resztę wieczoru spędziłam na człapaniu w tę i z powrotem po domu, mamrocząc pod nosem docinki, którymi mogłabym zmiażdżyć panią Johnson jak muchę.

Piątek, 20 maja

Znowu Olać-to-Piątek! Chciałabym móc powiedzieć „Już znowu Olać-to-Piątek”, ale mam wrażenie, że przepaść między poniedziałkiem a piątkiem powiększa się z każdym kolejnym tygodniem.

Nakarmiłam uroczę maleństwa mrożoną pizzą i poszłam się wyszykować na mały wypad do pubu z Hannah i Samem. Z radością odkryłam, że udało mi się wcisnąć w parę białych dżinsów, które wydawały mi się bardzo wakacyjne. Kiedy zaczęłam nakładać tusz do rzęs, do pokoju weszła Jane i z przerażeniem zapytała:

- Zamierzasz w tym wyjść z domu, mamo?

- Dokładnie! A co jest nie tak z moim ubraniem?

- Nic takiego, po prostu nagle zauważyłam, że masz taką wielką pupę.

Urodź dziecko, mawiają. Poczujesz się spełniona, mawiają. Poznasz prawdziwe uroki życia, mawiają.

Szczęśliwie udało mi się nie rozplakać w związku z tym, co Jane powiedziała na temat rozmiarów mojego tyłka. Zastanawiałam się, czy się przebrać, czy obrać taktykę „Olać to!”, kiedy do pokoju wszedł Peter i powiedział, że chce się przytulić, zanim wyjdę. Przytulanie polegało głównie na tym, że Peter wytarł umazane czekoladą ręce w moje białe dżinsy. Cóż, przynajmniej miałam z głowy dylemat, czy mogę w nich wyjść z domu, bo kiedy już mnie puścił, wyglądałam, jakbym wykąpała się w błocie. Posiadanie dzieci to czysta frajda! Kto nie lubi mieć pękniętego serca? Kto nie chciałby zostać użyty jako żywa serwetka przez małą lepłą kreaturę?

Do pubu dojechałam lekko spóźniona, bo po pierwsze

musiałam się przebrać, a po drugie nawrzeszczyć na Simona, żeby przyszedł zająć się swoimi ukochanymi dziećmi. Na miejscu dowiedziałam się, że Sam już nie jest zakochany. Uznał, że Mark jednak nie jest w jego typie, i że potrzebował go tylko po to, żeby wrócić do gry. A poza tym nazwał mnie homofobką.

- Dlaczego miałyby powiedzieć coś takiego? - oburzał się Sam.

- Hm... Chyba wiem, o czym mówił - powiedziałam, czując, że zaczynam się czerwienić. - Między mną a jego siostrą doszło do pewnego nieporozumienia, które zapomniałam wyjaśnić.

Sam uniósł brwi ze zdziwienia i spytał:

- Ellen, coś ty jej nagadała? On myśli, że jesteś beznadziejnym przypadkiem.

- Eee... Byłyśmy na przyjęciu i było bardzo głośno. Byłam już po kilku lampkach wina. Wtedy jeszcze nie znałyśmy się dobrze i kulturalnie sobie rozmawiałyśmy i zadawałyśmy typowe głupie pytania. Spytałam ją, czy ma rodzeństwo, a ona odpowiedziała, że ma brata, na co ja zapytałam, czy jest żonaty, a ona odpowiedziała: „Nie, nie żyje”, to znaczy ja źle zrozumiałam, bo było bardzo głośno! No i kiedy później o tym myślałam, wydało mi się dziwne, że jest tak bezpośrednia. W każdym razie chciałam być miłą, więc powiedziałam: „Tak mi przykro!”, na co ona rzuciła mi dziwne spojrzenie, więc dodałam jeszcze: „Czy to się wydarzyło nagle?”, na co ona odparła, że niezupełnie, bo zawsze to przeczuwała. Pomyślałam sobie, że widocznie był

chory na jakąś nieuleczalną chorobę, więc powiedziałam: „To i tak musiało być bardzo trudne”, na co ona znów krzywo na mnie spojrzała. Wtedy stwierdziłam, że widocznie okazuję jej za mało sympatii i spytałam: „A jak sobie z tym radzą wasi rodzice? To musi być wielki cios, kiedy coś takiego spotyka twoje dziecko”. Wtedy strasznie się napuszyła, powiedziała, że się na mnie zawiodła, myślała, że jestem bardziej tolerancyjna i że zachowuję się, jakby jej brat był martwy, a on jest tylko gejem. Ale ja myślałam, że on naprawdę nie żyje i wzięłam ją za jakiegoś zblazowanego dziwoląga bez serca. Wy tłumaczyłam jej swój błąd i myślałam, że między nami wszystko w porządku, ale jak widać, nie podziela mojego zdania. Po co w ogóle to rozpowiadała? Przyszła na moje przyjęcie ze swoim niemartwym bratem gejem, a wszystkim wokół mówi, że jestem bigotką.

Sam prawie płakał ze śmiechu.

- Jesteś kompletnie szurnięta! Nie mogę w to uwierzyć! „Jak sobie z tym radzą wasi rodzice?”. Chyba zwariowałaś! Ale nie martw się za bardzo, podejrzewam, że Alison opowiedziała mu tę historię w całości, tylko on nie wyłapał zakończenia. Nie jest zbyt bystry. Za to urody nie można mu odmówić. I dzięki tobie nie mam już wyrzutów sumienia, że go rzuciłem.

Hannah z kolei była smutna, bo jej ulubiony portal randkowy *Proszę, bzyknij moją przyjaciółkę* nie załatwił jej ani jednej randki, nie mówiąc już o poznaniu bratniej duszy, z którą mogłaby spędzić resztę życia, więc zaczęła nam jęczeć, że będzie sama do końca świata.

Sam pocieszał ją, że przynajmniej nie dostaje już zdjęć penisów, ale przez to wpadła w jeszcze większą rozpacz.

- Jestem starą zasuszoną wiedźmą, której mężczyźni nie chcą nawet wysyłać zdjęć penisów! Jestem starą raszplą! Moje dzieci niedługo dorosną i przeprowadzą się do Australii, żeby być jak najdalej ode mnie. Nawet koty ode mnie uciekną, więc zacznę rozmawiać z usychającymi roślinami doniczkowymi. A rośliny uschną specjalnie, bo będą chciały popełnić samobójstwo, żeby nie musieć więcej ze mną rozmawiać. ZOSTANĘ ZUPEŁNIE SAMA!

- Będziesz mieć nas - powiedziałam nieśmiało, licząc na to, że trochę się dzięki temu rozchmurzy.

- Nieprawda! Ty będziesz jeździć na rejsy po Nilu z Simonem, a Sam będzie miał setki tysięcy romansów. Wszyscy mnie porzucicie!

- A może po prostu przesadziłaś z dżinem? Chyba upiłaś się na smutno.

Rejsy po Nilu? Czy ona myśli, że na starość zamienię się w niemieckiego turystę?

Wtorek, 26 maja

Dzień Sportu. Nie cierpię Dnia Sportu. Swoje talenty do sportu Peter i Jane odziedziczyli po mnie, co oznacza mniej więcej tyle, że mają grację i koordynację ruchową Bambiego na lodzie oraz szybkość i zwinność hipopotama. Brakuje im również ducha walki i umiejętności działania w zespole, chociaż zawsze strzelają focha, kiedy przegrają albo dostaną medal dla uczestników, którzy wzięli udział w zawodach,

choć nie można powiedzieć, żeby się popisali. Jane szczególnie gardzi nagrodami z serii „Każdy wygrywa”, na które trzeba czekać godzinami w kolejce i które przyznaje się każdemu dziecku. W zeszłym roku zagroziła, że zorganizuje bojkot i musiałam przekupić ją żelkami Haribo, żeby nie robiła scen.

Poza tym, że Peter i Jane są całkowicie niekompetentni, zawsze czuję się trochę oszukana w Dzień Sportu. Uważam, że w taki dzień powinno świecić słońce, mamy powinny być ubrane w zwiewne sukienki z bładozielonego jedwabiu w kwiaty, a ojcowie przechadzać się w beżowych bawełnianych garniturach i słomkowych kapeluszach. Na dziedzińcu (nigdy nie byłam pewna, czym właściwie jest dziedziniec) stałyby misy z truskawkami i lodami oraz drinki z likieru Pimm's, a może nawet i szampan. Zwycięzców powinno się nagradzać aplauzem i może pojedynczym czy podwójnym okrzykiem „Hura!”. Wyobrażam sobie też kosze piknikowe pełne kanapek z kurczakiem lub musików z łososia. Nauczyciele płci męskiej są ubrani w białe spodnie do krykieta i swetry z dzianiny, a żeńska część personelu w eleganckie komplety do tenisa.

Możliwe, że w swojej głowie pomyliłam Dzień Sportu z jakimś filmem kostiumowym.

Tak czy inaczej, w rzeczywistości Dzień Sportu to ponure boisko szkolne, po którym biega rozpasana horda dzieci w odblaskowych nylonowych kamizelkach (jestem pewna, że gdyby dostatecznie się rozpędziły, zaczęłyby płonąć, chociaż oczywiście nie dotyczy to moich latorośli). Te odblaskowe

ciuszki są po to, żeby było wiadomo, do którego domu przynależy dane dziecko (dzieci są przydzielane do domów, żeby nie było przegranych).

Pomimo wszelkich starań szkoły, by zachować polityczną poprawność, dzieci i tak wyzywają się od ofiar losu i frajerów, bo dzieci są po prostu okrutne, mają mentalność stada i nie znają litości dla słabszych. Szczęśliwie – dzięki kombinacji sprytu i bezczelnego oszukiwania – Peterowi i Jane udało się w tym roku nie przegrać z kretesem, przez co jestem z nich jeszcze bardziej dumna, niż gdyby faktycznie wygrali.

Nauczyciele paradują wokół boiska wciśnięci w „sportowe” ubrania. Młodziutkie nauczycielki zatrudnione na okres próbny wybierają obcisłe legginsy, przez które tatusiom oczy wychodzą na wierzch bardziej, niżby przystawało mężczyznom w ich wieku. Pani Briggs, ta od religii, zakłada tradycyjny staromodny dres, który zawsze lekko trąci kulkami na mole. Poza Dniem Sportu chyba nigdy nie widziałam jej poza budynkiem szkoły.

Najbardziej przerażający widok zapewnia uczestnikom pani Johnson, dyrektorka, która mimo że jest już damą w średnim wieku, wciska obfity tyłeczek w stroje zbliżone krojem do noszonych przez młodziutkie nauczycielki. Plus tej sytuacji jest taki, że wszelkie nieczyste myśli, które młode nauczycielki mogły zasiać w umysłach tatusiów swymi jędrnymi ciałami, znikają, kiedy w zasięgu ich wzroku pojawia się pani Johnson z megafonem w jednej tłustej rączce i trąbką w drugiej.

Programowo staram się jej unikać, ale prędzej czy później i tak mnie dopada i sprawia, że znów czuję się jak zła uczennica. W tym roku dzięki incydentowi z Jane zadowolili się jedynie zerkaniem na mnie z drugiego końca boiska, przez co, szczerze mówiąc, odczułam niemałą ulgę.

Matki dzielą się na atrakcyjne, ale lekko zmieszane swoim wyglądem, kobiety pracujące, które przychodzą do szkoły prosto z biura, oraz na matki z Sabatu i im podobne, które również mają na sobie stroje sportowe, bo zamierzają wziąć udział w Wyścigu Mam. W zeszłym roku doszło podczas wyścigu do małej tragedii. Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson została zdyskwalifikowana, bo założyła specjalistyczne buty do biegania i zarzucono jej, że chciała tym zyskać przewagę nad innymi, przez co nie może się już poszczycić, że wygrała wszystkie biegi z rzędu.

Ojcowie za to skupiają się na udowadnianiu, który jest najważniejszy i najbardziej zajęty. Wygrywa ten, który najgłośniej rozmawia przez telefon o ważnych i pilnych sprawach i ma największy aparat fotograficzny do dokumentowania triumfów swoich kochanych latorośli.

W tym roku postanowiłam się zbuntować i na Dzień Sportu założyłam zwiewną sukienkę. Próbowałam namówić Simona, żeby założył kapelusz słomkowy, ale szorstko odparł, że nie urwał się z reklamy Del Monte. Kiedy zaproponowałam Samowi, że może w takim razie on założyć kapelusz, dostałam taką samą odpowiedź. Kto by pomyślał, że reklama ananasa w puszce tak mocno wpłynęła na umysły brytyjskich chłopców?

W ramach buntu schowałam też butelkę likieru Pimm's do torebki. Miała być dla mnie, Sama i Simona, ale plotka szybko się rozeszła i co chwilę podchodziły do mnie mamy dzieci z różnych klas i konspiracyjnym szeptem mówiły: „Słyszałam, że masz alkohol”. Poczułam się jak diler rozprowadzający kontrabandę wśród wybranych. Przykuśtykała do mnie nawet Perfekcyjna Mama Perfekcyjnej Lucy Atkinson, której szczęśliwa passa została raz na zawsze przerwana, bo w tym roku przegoniła ją Fiona Montague i zajęła drugie miejsce. Ponieważ sędziowie nie zgodzili się na ponowne przeanalizowanie wyników, musiała pocieszyć się rozgrzewającym serce likierem.

Dzięki likierowi piekielny Dzień Sportu upłynął w tym roku o wiele szybciej. I nawet podczas szytej na olimpijską miarę „Ceremonii zamknięcia”, która polegała na tym, że tłumy kompletnie nieskoordynowanych dzieci wymachują kolorowymi wstążeczkami przy akompaniamencie piosenek na fletni pana, zamiast mruknąć pod nosem „Proszę, zabijcie mnie natychmiast!”, poczułam ogarniające mnie ciepło i wzruszenie. Że też nie wpadłam na pomysł z likierem kilka lat wcześniej!

CZERWIEC

Środa, 1 czerwca

Ostatnio jestem trochę przygnębiona, bo moje ulubione mejle informujące o tym, że aplikacja sprzedaje się świetnie, nie przychodzą już tak często i nie zawierają tak imponujących liczb jak kiedyś. Podejrzewam, że jej magiczna moc się wyczerpała i że to początek końca. Wiem, że zarobiłam na niej więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek mogłam sobie zamarzyć, więc nie powinnam narzekać, ale lubiłam radosny dźwięk przychodzących mejli. Kupiłam kilka par butów, dwie pary oficerek i jedną czy dwie torebki, ale nie chciałabym, żeby moje źródło zupełnie wyschło. To wspaniałe uczucie móc wejść do sklepu i powiedzieć:

- Poproszę to - zamiast wpatrywać się w wystawy i czekać na przeceny.

Simon i dzieci byli niewzruszeni moją hojnością. Myślałam, że jestem dobrą i kochającą matką i żoną, kiedy kupowałam im markowe spódnice, koszulki i kurteczki, ale Jane od razu powiedziała, że ubrania, które jej kupiłam, są „głupie” i nie zamierza się rozstawać ze swoimi ulubionymi koszulkami w dinozaury. Simon najpierw oznajmił, że nie będzie nosić koszulek ode mnie, bo czuje się w nich jak alfons, a potem spojrzął na metki z cenami i prawie zemdłał. Przynajmniej Peter zgodził się nosić to, co mu kupiłam, bo jest jeszcze

małym chłopcem i nie zwraca uwagi na to, w czym chodzi, choć kiedy po raz pierwszy założył jedną z nowych koszulek, od razu zalał ją sokiem. Plama nie chce zejść, więc mam nauczkę za to, że wydałam siedemdziesiąt pięć funtów na T-shirt dla tego małego brudasza. Otrzymałam też sugestię, że jeśli chcę kupować rodzinie drogie prezenty, woleliby najnowsze modele ukochanych tabletów, iPadów i tym podobnych, ale odmówiłam ich zakupu, bo nie chcę, żeby dzieci jeszcze częściej wlepiły nosy w ekrany. A Simon na pewno nie potrzebuje kolejnego pieprzonego gadżetu, który pod pretekstem ułatwienia nam życia uczyni je o wiele trudniejszym.

Wieczorem Simon robił jakieś głupoty na laptopie, więc pierwszy raz od dawna wpadł mi w ręce pilot do telewizora i nawet udało mi się go uruchomić, oczywiście dopiero po przyciśnięciu stu tysięcy przycisków na stu tysiącach pudełek i włączeniu stu tysięcy pieprzonych dekoderek, które Simon kiedyś podłączył, bo jest cholernym gadżetowym nerdem. Udało mi się nawet podłączyć iPlayera, czy jak go tam zwa, i dzięki temu mogłam nadrobić zaległości z *EastEnders*, co było najlepszą rzeczą, jaka mogła mi się przytrafić w środowy wieczór.

Trochę się zdenerwowałam, kiedy Simon postanowił mi przeszkodzić i zaczął marudzić coś o pieniądzach, bo Sharon akurat robiła dramatyczną awanturę Ianowi Beale'owi, więc nie byłam w nastroju na kolejny wykład o kredytach studenckich i funduszach emerytalnych. Mimo to Simon upierał się, że to, o czym mówi, jest o wiele ważniejsze niż

stragan Iana Beale'a, i zażądał, żebym wyłączyła telewizor, po czym oświadczył, że przeanalizował moje dochody z aplikacji i że nawet po odliczeniu podatku (ten człowiek ma jakąś obsesję na punkcie podatków, chyba minął się z powołaniem) zarobiłam tyle, że wystarczy nam na spłacenie kredytu mieszkaniowego!

- Spłacimy kredyt, kochanie! To spełnienie marzeń wszystkich przedstawicieli klasy średniej!

- Nie - poprawiłam go. - Prawdziwym marzeniem wszystkich przedstawicieli klasy średniej jest spłacić kredyt i kupić dom z wysepką w kuchni i piecykiem Aga w kolorze kaczego jaja. Ale to i tak fantastyczne wieści! A czy możemy rzucić prace?

- Nie. Zarobiliśmy dużo pieniędzy, ale niestety nie aż tyle. Poza tym sama mówiłaś, że ostatnio sprzedaż spada. Mimo to dokonałaś czegoś niesamowitego, Ellen! Nawet kiedy spłacimy kredyt, zostanie nam spora sumka.

- A wystarczy, żeby spełnić drugie w kolejności marzenie wszystkich przedstawicieli klasy średniej? - spytałam z nadzieją.

- A jakie to marzenie?

- Mały uroczy domek wakacyjny. Może w Norfolk? W Norfolk jest ładnie, prawda? Albo jakaś stara willa na Korfu! Nawet jeśli wystarczy nam tylko na depozyt, to będzie inwestycja, bo będziemy ją wynajmować innym ludziom! Poza tym to będzie o wiele przyjemniejsza inwestycja niż kredyty studenckie...

Simon znów zaczął przynudzać o tym, dlaczego kredyt

studencki będzie bardziej opłacalny niż uroczy domek albo stara willa, a ja odpowiadałam mu w myślach: „Tak, ale czy będę mogła pochwalić się na placu zabaw, że jadę na kilka dni odpocząć na swoim kredycie? Albo wstawiać piękne zdjęcia tego pieprzonego kredytu na Pinteresta?”. Zmęczona jego marudzeniem, zaproponowałam:

- Trzeba to oblać! Porządnie!

- Masz rację! Wstawiłem szampana do lodówki, przyniosę go!

Simon wrócił i podał mi butelkę schłodzonego szampana. Malutkie bąbelki pękały wesoło w kieliszkach. Łakomo wzięłam porządny haust i od razu zaczęłam się krztusić, bo smakował jak musujący kwas akumulatorowy.

- Simon, co to za świństwo, do cholery?

- Szampan, kochanie. Znalazłem go na półeczce z winami.

- Nie mamy żadnego szampana na półeczce z winami.

Gdybyśmy go mieli, już dawno bym go wypić.

- Ależ mamy - obruszył się Simon. - Był trochę zakurzony, więc pomyślałem, że trzymasz go na specjalną okazję.

Zmroziło mnie.

- Pokaż butelkę! - zażądałam szybko.

Simon podał mi BUTELKĘ. To była ta słynna BUTELKA jakiegoś podejrzanego niemieckiego wina musującego, która krąży po każdej aukcji i loterii w szkołach, drużynach skautów i tak dalej, pewnie od jakiegoś 1973 roku. BUTELKI się nie wygrywa na zawsze, tylko zostaje się jej tymczasowym posiadaczem aż do kolejnej zbiórki na szczytny cel, kiedy można z ulgą wcisnąć ją komuś innemu. Simon

właśnie przerwał tradycję. Podejrzewam, że wyjście BUTELKI z obiegu szkolnych zbiórek oznacza koniec cywilizacji. W dodatku co za centuś z tego Simona! Mógł chociaż pójść do sklepu i kupić porządnego szampana, a nie wciskać mi znalezionego na szarym końcu półeczki bubla. Marudziłam mu o tym tak długo, aż zwlókł tyłek z kanapy, pojechał do sklepu i przywiózł mi coś porządnego.

Kiedy wrócił z butelką pysznego szampana Bolly, miałam wiele nowych pomysłów na to, jak moglibyśmy jeszcze uczcić nasz nowy status społeczny ludzi ze spleconym kredytem.

- Wyjedźmy gdzieś na weekend! - zaproponowałam. Simon zaczął starą śpiewkę o tym, że się zastanowi, przemyśli sprawy i tak dalej. Miałam już dość.

- Pieprzyć to! Zasłużyliśmy na to! Ja na to zasłużyłam! Wyjadę czy ci się to podoba, czy nie. Jeśli nie chcesz jechać, nie musisz, zabiorę Hannah. A ty siedź sobie tutaj z dziećmi. Ja wyjeżdżam, i to na luksusowe wakacje. Pojadę do Londynu i zatrzymam się w... hm... w hotelu Savoy! Będę pić skandalicznie drogie drinki, nosić niewygodne szpilki, pójdę na zakupy do domu towarowego Harveya Nicksa, obejrzę jakąś fajną retrospektywę w Muzeum Wiktorii i Alberta... W skrócie, będę świetnie się bawić!

Simona widocznie przeraziła perspektywa, że zostanie sam z Peterem i Jane, podczas gdy ja będę wozić się po Londynie, popijać różowe drinki i co gorsza, mieć nieograniczony dostęp do sklepów z drogimi ciuchami, bo nagle zdecydował, że jest gotów pominąć etap skrzętnego planowania i pojedzie ze mną. Niestety nie było możliwości wciśnięcia komuś

dzieci z tak małym wyprzedzeniem, co oznaczało, że one też spędzą uroczy weekend. Będziemy jak szczęśliwa rodzina z reklam. Zabiorę je do Tower of London, jak mnie kiedyś zabierał tata. To świetny pomysł na zacieśnienie rodzinnych więzi. Poza tym dzieci są o wiele bardziej ucywilizowane niż kiedyś, a w hotelu na pewno można wynająć niańkę, więc i tak będę mogła w spokoju popijać swoje wymarzone drinki. Co takiego mogłoby się stać?

Piątek, 3 czerwca

CO TAKIEGO MOGŁOBY SIĘ STAĆ?

No co? Czy ja zawsze muszę kusić los takimi pytaniami?!

Po tym, jak uparłam się, żebyśmy wyjechali na weekend świętować fakt, że jestem bardzo mądra i zapewniłam nam awans społeczny do klasy nowobogackich, wzięliśmy wolne w pracy i nazmyślaliśmy w szkole, czemu Peter i Jane nie przyjdą na lekcje, po czym kupiliśmy bilety na pociąg do Londynu (w pierwszej klasie) i zarezerwowaliśmy apartament w (a jakżeby inaczej) hotelu Savoy, przy czym Simon dostawał drgawek zarówno na widok cen, jak i na myśl o zarezerwowaniu hotelu bez uprzedniego przeczytania opinii na TripAdvisorze.

Ruszyliśmy dziarsko, chociaż trochę żałowałam, że nie mamy dopasowanych toreb od Louisa Vuittona, tylko znoszone czarne nylonowe walizki na kółkach oraz podstępne i niebezpieczne walizki dzieci, bez których nie chciały jechać. Simon chciał spakować się do jakiegoś starego jak świat szkaradnego plecaka, ale zawetowałam ten

pomysł, tupiąc nogą i krzycząc:

- Jedziemy do hotelu Savoy! Jeśli wejdiesz tam z tym obskurnym rupieciem, pomyślą, że jesteś aspirującym włóczęgą, który chce skorzystać za darmo z toalety!

Kontrargument Simona, że wezmą go co najwyżej za typowego angielskiego ekscentryka, mnie nie przekonał. Angielski ekscentryk miałby ze sobą starą skórzaną walizkę oblepioną egzotycznymi naklejkami zdobytymi w podróży na koniec świata, prawdopodobnie nosiłby też słomkowy kapelusz (opinię Simona na ten temat poznałam w Dzień Sportu). Na szczęście w końcu zgodził się na małą walizkę, którą zabierał w podróże służbowe, podczas gdy ja pożądnawie przeglądałam w Internecie kuferki kosmetyczne. Niestety zabrakło czasu na dostawę.

Podróż była miła, chociaż pociągi zawsze mnie rozczarowują. Chciałabym, żeby lokomotywa przedzierała się przez buchającą parę, jak w *Pół żartem, pół serio* z Marilyn Monroe. Mogłabym też przeżyć namiętny romans à la *Spotkanie*. Marzą mi się przedziały, jedwabne pończochy, urocze kapelusiki, bileterzy w czapkach konduktorskich oraz jedno, może nawet dwa brutalne, choć bezkrwawe morderstwa rozwiązane po drodze (jak w *Morderstwie w Orient Expresie*). Oświetlenie w pociągach, nawet pierwszej klasy, zawsze wydaje mi się zbyt sowieckie i nietwarzowe. Pragnę zbyt wiele? Chyba wszyscy lubią klimatyczną atmosferę? Wśród świateł jarzeniówek i dziwacznych mechatych nylonowych siedzeń we wzorki, od których można dostać oczopląsu, odrobina boazerii nikomu

by nie zaszkodziła.

Pomijając moje ubolewania nad faktem, że współczesne pociągi są kompletnie pozbawione duszy, podróż upłynęła bez poważniejszych incydentów. To pewnie dlatego, że Simon powiedział, żebyśmy pozwolili dzieciom połączyć się z pokładowym Wi-Fi, zamiast zmuszać je do grania w zgadywanki albo Kota Ministra (w to drugie i tak nie możemy już grać, bo kiedyś Jane wpadła na świetny pomysł, żeby grać na przekleństwa. Było to nawet zabawne, dopóki śmiertelnie nie wystraszyła jakiegoś dziecka, opisując kota przymiotnikami: chujowy, pieprzony i zasrany. Było to druzgoczące zwycięstwo. Nie mieliśmy nic do dodania).

W apartamencie było jak w raj. Hotel wysłał po nas na stację kierowcę. Dlaczego nie mogę przez całe życie jeździć z szoferem? Nagle poczułam, że bardzo mi tego brakuje. Ponieważ pochodzę z nieokiełznanej klasy średniej i tylko udaję, że czytam *Guardiana*, chciałam nawiązać z kierowcą jakiś kontakt, żeby dać mu do zrozumienia, że wcale nie jestem z uprzywilejowanej elity (mimo że czasem robię zakupy w Waitrosie), tylko tak jak on pochodzę z „ludu”. Zapytałam go, jak długo jest szoferem, ale Simon zaczął kopać mnie w kostkę i dawać znaki, żebym się zamknęła. Podobno wywyższałam się, jakbym była z rodziny królewskiej. To niesprawiedliwe. Ja tylko chciałam być miła.

Po tym, jak zameldowaliśmy się w hotelu i dopilnowałam, żebyśmy zjedli wszystkie „wliczone w cenę” przekąski i napoje, pojechaliśmy pozwiedzać Tower of London. Simon wzdrygnął się na widok cen jeszcze bardziej niż na widok

ceny apartamentu, i tylko dzięki silnej determinacji udało mi się namówić go na dopłatę do słuchawek z przewodnikiem.

Kiedy weszliśmy do środka, Peter oczywiście zaczął się nudzić i mniej więcej co trzydzieści sekund oświadczał, że się nudzi, musi iść do toalety, a poza tym to się nudzi, bo jesteśmy w najnudniejszym miejscu na świecie, a on zaraz umrze z nudów.

Jane natomiast była w transie. Szczególnie podobała jej się wystawa narzędzi tortur i odtworzone miejsce straceń. Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak podekscytowanej. W jej oczach dojrzałam podejrzany błysk. Widocznie pomyślała, że mogłaby torturować albo stracić kogoś, kto działa jej na nerwy. Próbowałam wyjaśnić córeczce, że tortury i egzekucje to narzędzia żądnych krwi despotów i nie ma dla nich miejsca we współczesnej demokracji, ale Jane nie przestała snuć planów, czyją głowę powinna ściąć w pierwszej kolejności.

Podczas gdy Jane marzyła o krwawej rewolucji i przejęciu władzy nad światem, Peter rozmontował słuchawki i z dumą pokazał ojcu części, co wywołało kolejną falę narzekań na temat wyrzuconych w błoto pieniędzy.

Ignorowałam marudzenie Simona dotyczące wydatków i kiedy wróciliśmy do hotelu, postanowiłam splądrować minibarek. Ach, ten święty minibar! Rodzice nigdy nie pozwalali mi brać niczego z minibaru, bo mój ojciec był takim samym skąpcem co Simon i takim samym zagorzałym przeciwnikiem wydawania pieniędzy na wakacjach. W przypiływie hojności pozwoliłam Peterowi i Jane zjeść małe

opakowanie Pringlesów i Toblerone. Później spojrzałam na ceny. Simon miał rację, były kosmiczne i musiałam z powrotem nałożyć zakaz na otwieranie barku. Oczywiście dopiero po tym, jak wyjęłam z niego butelkę wina...

Plan na wieczór był taki, że zabierzemy dzieci na wczesny obiad, po czym zamówimy hotelową niańkę, żeby się nimi zajęła, a my będziemy mogli wyjść na kolację z drinkami.

Kiedy czekaliśmy na windę, na chwilę straciłam czujność, bo wypiliśmy wcześniej całą butelkę wina z barku, żeby się nie zmarnowało (skoro już było takie drogie). Przeglądałam się w lustrze i próbowałam wydusić z Simona wyznanie, czy uważa, że wyglądałabym ładniej, gdybym rozjaśniła włosy. Nagle usłyszeliśmy charakterystyczne „ping” zamykających się drzwi windy i uświadomiliśmy sobie, że Peter i Jane zniknęli. Savoy jest bardzo spokojnym hotelem z czerwonymi dywanami i krętymi korytarzami, a nasze dzieci właśnie zerwały się nam ze smyczy. Szukaliśmy ich przez około dwudziestu minut bez powodzenia, więc w końcu musieliśmy zejść do recepcji, przyznać się, że zgubiliśmy własne dzieci i poprosić, żeby pracownicy hotelu się za nimi rozejrzeli.

Niestety okazało się, że hotele traktują zaginione dzieci o wiele bardziej serio niż Simon i ja. Zamknęli cały budynek, ogłaszając, że nie otworzą go, dopóki zguby się nie znajdą. Wściekli Amerykańscy turyści zaczęli kłębić się w hotelowym lobby, żądając, żeby ich uwolniono, bo chcą wyjść na kolację. Tymczasem ja próbowałam wyjaśnić menedżerowi, że jestem pewna, że dzieciom nic się nie stało, zaraz się znajdą, nie ma potrzeby zamykać hotelu ani wzywać policji, i że lepiej

będzie jeszcze trochę poszukać. Wszystko to mówiłam, nie patrząc mu w twarz, bo nie chciałam, żeby poczuł ode mnie wino.

Menedżer nie podzielał mojego podejścia do zbłąkanych owieczek. Chyba nie zrobiłam też na nim dobrego wrażenia, bo kiedy zasugerował, że Peter i Jane mogli wymknąć się z hotelu i utopić w Tamizie, odparłam wesoło, że gdyby wpadli do rzeki, przynajmniej zwróciłoby mi się za kursy pływania, na które ich zapisałam. Nie wyglądał też na przekonanego, że nikt nie chciałby ich porwać, bo Peter puszcza strasznie śmierdzące bąki, a Jane prędzej by kogoś zamordowała, niż dała się uprowadzić.

W pewnym momencie naszły mnie obawy, że Jane zwabiła Petera z powrotem do sali tortur w Tower of London, żeby przeprowadzać na nim eksperymenty, ale kiedy zaczęłam się zastanawiać, czy nie powinnam poprosić, żeby jakiś strażnik sprawdził, czy przypadkiem mała dziewczynka nie rozciąga swojego ukochanego braciszka na kole tortur, dzieci się znalazły.

Okazało się, że uciekły schodami przeciwpożarowymi i zaszyły się w podziemiach hotelu, gdzie znalazły uroczy magazynek pełen malutkich buteleczek szamponu, żelu pod prysznic i innych dóbr, których Simon nigdy nie pozwala mi kraść. Nazbierały tyle łupów, ile mogły unieść, po czym wraz ze zdobyczami skierowały się z powrotem do apartamentu, tyle że po drodze natknęły się na pokojówkę, która ich wydała. Ku wielkiemu rozczarowaniu, musiały oddać skarby wściekłemu menedżerowi i wszyscy razem wróciliśmy

skruszeni do naszego pokoju.

Po takiej dawce wstydu i mając świadomość, że wszyscy goście hotelu szczerze nas znienawidzili, nie odważyliśmy się wyjść z pokoju. Obawa, że ktoś zrobi nam zdjęcie, które trafi później na okładkę *Daily Mail* w artykule o kryzysie panującym w Wielkiej Brytanii, była zbyt silna. Odwołaliśmy opiekunkę i resztę wieczoru naszego pierwszego dnia fantastycznego weekendu spędziliśmy w apartamencie, jedząc chipsy zamówione z baru na dole i licząc na to, że pracownicy obsługi na nie nie napluli.

Sobota, 4 czerwca

Ha, ha, ha. Ale jestem przebiegła! Powiedziałam dzieciom, że w hotelu jest basen, więc oczywiście od razu chciały iść popływać. Niestety stała się rzecz tragiczna! Mamusia zapomniała kostiumu kąpielowego! Całe szczęście TATUŚ ma kąpielówki (które sama mu spakowałam), więc może zabrać dzieci na basen, a mamusia w tym czasie pójdzie rozejrzeć się po sklepach.

Nie wiem, jak to się stało, ale zamiast pójść w stronę TK Maxxa i H&M-a, skierowałam się na New Bond Street. Tam jest tyle uroczych sklepików z przepięknymi rzeczami! Dobrze się złożyło, że przed wyjazdem wszystkie dywidendy z aplikacji przelałam na swoje prywatne konto. Oczywiście nie będę niczego kupować, tylko pozaglądałam sobie przez szybki na piękne świecidełka na wystawach.

Kiedy tak zaglądałam przez szybki, nagle zobaczyłam JE - najpiękniejsze kolczyki na świecie! W dodatku wyraźnie

słyszałam, jak do mnie mówią. „Popatrz, jak błyszczymy! Tak pięknie wyglądałybyśmy na twoich uszach! Kup nas, a twoje życie stanie się lepsze! Wiesz, że tego pragniesz! Zasługujesz na mały prezencik. Błyszczący prezencik. A my tak naprawdę jesteśmy dwoma prezentami w cenie jednego! To doskonała okazja!”.

Chciałam obejrzeć je z bliska i ewentualnie zapytać o cenę, więc weszłam do sklepu. W środku moje ukochane kolczyki były jeszcze bardziej błyszczące i jeszcze piękniejsze, i chociaż ich cena była skandaliczna, można wręcz powiedzieć, że graniczyła z obłędem, nie wiedzieć kiedy podałam ekspedientce kartę kredytową, po czym wyszłam ze sklepu z piękną torebką prezentową w dłoni.

Na tym miałam zakończyć, ale kilka metrów dalej znalazłam najpiękniejszy na świecie sklep z walizkami, a na wystawie kuferek kosmetyczny. Elegancki kuferek, jaki noszą kobiety podróżujące w jedwabnych pończochach parową koleją. Taki, z którym wchodzi się do wytwornych hoteli na południu Francji, gdzie boy hotelowy skacze wokół klientek, próbując udźwignąć ich komplet walizek, a mężczyźni o podejrzanym reputacji podpalają papierosy, które trzymają w eleganckich firkach w ozdobionych drogą biżuterią dłoniach. Kuferek, który szeptał do mnie: „Zabierz mnie do Orient Expressu, a pomogę ci rozwiązać tajemnicze morderstwa. Wejdź do sklepu. Dotknij mnie. To nasze przeznaczenie”.

Nie chciałam, żeby kuferek poczuł się samotnie, więc kupiłam jeszcze walizkę do kompletu. W drodze powrotnej

będę się czuła jak królowa Anglii. Zażądam własnego wagonu dla siebie i swojego dystyngowanego bagażu. Dzieci będą musiały się ubrać w specjalne skafandry, bo inaczej nie pozwolę im zbliżyć się do moich walizek, a już nie daj Boże, obmacać je lepkimi paluchami. Simon też.

Tego wieczoru dzieci dostały obiad z obsługi hotelowej, nie chcieliśmy ryzykować kolejnej ucieczki. Zostawiliśmy je z byłym estońskim policjantem, którego przysłała agencja opiekunek, i wyszliśmy z Simonem na uroczą kolację z drinkami, z której musieliśmy zrezygnować wczoraj. Moje nowe kolczyki były na tyle krzykliwe, że nawet on zwrócił na nie uwagę.

- Mówisz o tych kolczykach? - spytałam niewinnie. - To z Accessorize.

Pewnie się zorientował, że łżę, bo przez cały wieczór nerwowo sprawdzałam, czy moje urocze dzieciątka wciąż są na swoim miejscu. Simon wpadnie w szal, jak się dowie, ile dzisiaj wydałam, ale chrzanić to! Było warto. Może go udobrucham, gdy mu kupię kolejną marynarkę alfonsa, której nigdy nie założy.

Piątek, 10 czerwca

Dzisiaj postanowiłam, że muszę zachować się jak dorosły człowiek i stawić czoła sytuacji z Charliem. Nie widziałam go od ponad dwóch miesięcy, czyli od wspólnego lunchu przed wyjazdem Sylvii i Michaela, ale przez cały czas wciąż do mnie pisał.

Problem jest taki, że w ciągu tygodnia udaje mi się

ignorować jego wiadomości, ale w weekendy zazwyczaj wypijam za dużo wina i bawię się telefonem, podczas gdy Simon udaje, że nie śpi przy *Fanach czterech kółek*, więc z nudów zaczynam chatować z nim przez Internet, bo po pierwsze mnie rozśmiesza, a po drugie twierdzi, że nigdy w życiu nie słyszał o *Fanach czterech kółek*. (Czy to w ogóle możliwe, żeby istniał taki mężczyzna?). Ta historia powtarza się co tydzień, co oczywiście czyni ze mnie bardzo złą osobę.

Powinnam zdusić to wszystko w zarodku, ale nie bardzo wiem, jak to zrobić, bo Charlie wciąż udaje, że nie jest prawdziwym Brytyjczykiem, i zamiast krążyć wokół tematu bez nazywania rzeczy po imieniu, ostatnio wyłożył kawę na ławę, co wydało mi się wręcz niegrzeczne. Dlaczego nie jest dziwakiem, który tłumia emocje jak wszyscy inni Brytyjczycy?

Moim zdaniem to wina nowego zwyczaju przytulania i całowania ludzi, których praktycznie nie znamy. Dlaczego musimy to robić? Nie chcę całować na przyjęciach ludzi, których dopiero poznaję albo widziałam dwa razy w życiu. Kiedy byłam młoda, całowanie nieznajomych polegało na tym, że jakiś nowo poznany chłopak pakował mi język do gardła. Po każdej takiej przygodzie czułam rano lekkie zażenowanie i dawno już z tym skończyłam. Poza tym ile razy w końcu trzeba to robić? Raz czy dwa? I tak zawsze znajdzie się jeszcze jakaś mądrała, która robi to trzy razy. Mam też problemy z ludźmi, którzy faktycznie cię całują, zamiast tylko lekko musnąć cię policzkiem, bo wtedy rodzi się możliwość, że ślina kogoś, kogo ledwo znam, znajdzie się na mojej twarzy, a przecież nie będę mogła od razu wytrzeć jej ręką.

Mogę to zrobić później, ale wtedy będzie już zaschnięta... To wszystko mnie po prostu przerasta! Co jest złego w zwykłym uścisku dłoni?

Przepraszam za dygresję, która świetnie obrazuje, jak fatalnie radzę sobie z rozmawianiem o emocjach i konfrontacją. Jestem zwolenniczką rzućcia cichej wiązki pod nosem i udawania, że nic się nie stało. Tak czy inaczej, Charlie napisał do mnie dzisiaj:

Cześć, Ellen.

Mam wrażenie, że mnie unikasz. Jesteś na mnie o coś zła? Jeśli tak, może spotkamy się na drinka i o tym porozmawiamy?

Charlie xx

Grrr! Przecież nie mogę mu odpisać: „Wiesz, Charlie, chodzi o to, że kiedy na ciebie wpadłam, byłam obrażona na swojego męża, bo zachowywał się jak dupek, więc czułam się niedoceniona i miło było wyskoczyć z tobą na drinka. Schlebiała mi twoja atencja i czułam się, jakbym odzyskała straconą młodość, bo myślałam, że może ciągle ci się podobam, co podkarmiło moje wygłodniałe ego. Ostatnio z Simonem układa mi się dużo lepiej, poza tym zarobiłam mnóstwo pieniędzy i pewnie kupimy domek na wsi w Norfolk albo opłacimy kredyty studenckie dla dzieci, chociaż bardziej prawdopodobne, że kupimy ten domek, może w Wells-next-the-Sea...? Byłeś tam kiedyś? Podobno to urocze miasteczko! Przepraszam, że znowu cię zwodziłam i wysyłałam ci wiadomości po pijaku. Wiem, że to bardzo złe

i nieodpowiedzialne, ale przechodząc do sedna sprawy: nie prześpię się z tobą, bo wiesz... Mam męża i w ogóle, więc sorry, że byłam taką bezwstydnicą... lol!”.

Zamiast tego (ktoś z nas przecież musi zachować się jak Brytyjczyk, skoro Charlie jest tak bezczelnie szczery) odpisałam:

Ha, ha, ha, no coś ty! Oczywiście, że nie jestem zła ani cię nie unikam. Ostatnio mam masę roboty! Ellen x

Charliego niestety nie da się tak łatwo zbyć. Dlaczego?! Co jest z nim nie tak?!

To dobrze, cieszę się, że niczym cię nie rozzłościłem. Ale chodźmy już na tego drinka, skoro mnie nie unikasz. Co robisz w przyszły piątek?

MYJĘ WŁOSY!!!

Jaka szkoda, na piątek mam już plany. Może innym razem?

Sobota?

Ellen, dostałaś moją wiadomość o sobocie? Jak na kogoś, kto mnie nie unika, świetnie ci idzie to unikanie, lol!

Kurwa mać. Będę musiała iść z nim na drinka, bo inaczej pomyśli, że naprawdę go unikam, chociaż prawda jest taka, że faktycznie to robię, ale nie mogę dać tego po sobie poznać, bo to by zniweczyło cały cel unikania go. Gdybym tylko była Francuzką... Mogłabym odpisać mu coś w stylu:

„Phi! Oui, oczywiście, że cię unikam!” i sardonicznie dmuchnąć mu w twarz dymem z gauloisesa, po czym zaśmiać się szorstko, wypić kieliszek pastisu i po sprawie. Bycie Brytyjką jest do bani! Próbuję zachować się jak dorosły i odpisuję:

Tak, sobota mi pasuje, jeśli wciąż podoba ci się ten pomysł.

Grrr! Czy właśnie użyłam słowa „podość się”? Jeszcze sobie coś pomyśli... Trudno, już po ptakach. Mogę wpatrywać się w telefon do usranej śmierci, czekając na komunikat „Nie dostarczono”. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Nic już na to nie poradzę.

Pozostaje pytanie, dlaczego jeszcze nie powiedziałam Simonowi o tym, że kilka razy spotkałam się z Charliem. Simon wciąż myśli, że jesteśmy tylko znajomymi na Facebooku, podczas gdy w rzeczywistości Charlie mieszka niedaleko stąd i w sobotę zabiera mnie na drinka. A skoro już o tym mowa... Uwaga! Odnotować: jeśli w sobotę będę pić drinki, z dużym prawdopodobieństwem się ubzdryngolę i zacznę opowiadać o swoich uczuciach. Będę musiała ograniczyć się do kieliszka białego wytrawnego wina. Dużego kieliszka.

Wtorek, 15 czerwca

Kiedy wróciłam z dziećmi ze szkoły, na podjeździe zobaczyłam samochód Simona i jakiegoś rozwalającego się grata, który niebezpiecznie przypominał kampera Louisy i Barda. Co oni tu robili? Dlaczego Simon nie był w pracy?

Dlaczego nie uprzedził mnie, że przyjeżdżają?

W domu było cicho jak makiem zasiał, czyli zdecydowanie za cicho, żeby mogli w nim być Louisa z dziećmi. Kiedy jednak zajrzałam do salonu, powitała mnie gromadka małych pucołowatych główek wpatrzonych w telewizor. Po leżących wokół śmieciach wywnioskowałam też, że jadły kanapki.

Czy to były dzieci Louisy? Czy jej dzieci nie były przypadkiem uczulonymi na gluten weganami, które miały zakaz zbliżania się do telewizora, żeby ich młodziutkie mózdzki nie podostawały zwarcia i nie powiędły? Louisa miała tyle potomstwa, że prawdę mówiąc, nigdy dokładnie im się nie przyjrzałam, i gdyby ustawiono je w rzędzie z innymi pulchnymi dziećmi, nie byłabym w stanie wyłowić tych właściwych. Przez chwilę zastanawiałam się, czy przypadkiem nie jest to dzieło włamywacza, który zamiast zabrać telewizor, postanowił zostawić nam swoje dzieci. Byłoby to co najmniej dziwne, ale za to jestem pewna, że *Daily Mail* zważyłoby to na imigrantów. W końcu najczystsze z dzieci pomachało do mnie i powiedziało:

- Cześć, ciociu Ellen! Zostaniemy u was przez kilka dni.

To Coventina. Poznałam ją po tym, że wciąż jest najbardziej cywilizowana z całej gromadki.

Peter i Jane wzdrygnęli się na widok tej inwazji. Widocznie jeszcze nie zapomnieli (i nie wybaczyli) Cedricowi próby zwędzenia ich ukochanych iPodów. Mimo to po całym dniu w szkole ciężko było im się oprzeć hipnotyzującemu blaskowi telewizora, więc dołączyli do reszty, przyjmując nawet takie same pozy, z otwartą buzią i katatonicznym wyrazem twarzy.

Tymczasem ja poszłam poszukać Simona i rodziców tych łobuzów, żeby dowiedzieć się, co oni tu właściwie robią.

Pod drzwiami do kuchni usłyszałam podejrzaną chlapanie, co oznaczało, że ktoś musiał być w środku. Najpierw się zawahałam, bo biorąc pod uwagę wilgotną naturę odgłosów, które czasami przerywały dziwne skomlenia i jęki, istniała duża szansa, że Louisa i Bardo znowu zapomnieli dobrych manier i podstawowych zasad higieny i uprawiają dziki seks na blacie, podczas gdy Simon schował się w garażu, żeby chronić swoje cenne piły przed szwagrem. Ale chyba nawet oni nie przyjechaliby bez zapowiedzi i nie zaczęli migdalić się w kuchni. Chyba...

W środku nie było ani śladu Barda, za to Louisa płakała rzewnymi łzami w ramionach Simona. Wnioskując z liczby chusteczek higienicznych rozrzuconych po stole, stanie jego koszuli – była kompletnie przemoczona i zakładam, że były to łzy, a nie efekt uboczny zabawy w miss mokrego podkoszulka czy czegoś podobnego – i tego, że twarz Louisy wyglądała jak spuchnięty burak upačkany smarkami i łzami, a oczy, które zawsze były nieduże, teraz prawie zniknęły, płakała już od dłuższego czasu.

Simon, który panicznie boi się płaczących kobiet, starał się ją pocieszyć najlepiej, jak umiał, to znaczy niezdarnie poklepywał ją po ramieniu i rzucał od czasu do czasu:

- Już dobrze, już dobrze. Może już przestaniesz płakać i napijesz się herbatki? To jak? Zaparzyć ci herbaty? No już, już.

Pies skulił się na swoim posłanku. On też się bał

roztrzęsionych kobiet.

Na mój widok Simonowi wyraźnie ulżyło. Przestał poklepywać Louise i oświadczył:

- Popatrz, siostrzyczko! Ellen wróciła! Ona będzie wiedziała, co robić. Może opowiesz jej o wszystkim, a ja... zaparzę więcej herbaty? O tak! Herbata! A może wolałabyś drinka? Co powiesz na drineczka? To świetny pomysł! Lou, chcesz dżin z tonikiem? Ellen?

Louisa załkała jeszcze głośniej, co oznaczało, że próba uspokojenia jej alkoholem nie była najlepszym pomysłem.

- Ja poproszę herbatę - powiedziałam, dyskretnie sprawdzając, które z krzeseł nie jest kompletnie obsmarkane.

Po jakimś czasie spomiędzy czknień i lamentów Louisy oraz pomruków Simona udało mi się wyłuskać całą historię.

Okazało się, że Bardo w ramach swojego pakietu „podróży do poprzednich wcieleń”, które przeprowadzał głównie na łatwowiernych i niepewnych siebie kobietach, serwował również „terapię specjalną”, czy, jak można by to ująć, „dodatkowe usługi”. Louisa żyła w błogiej nieświadomości, że jej mąż uwielbia umoczyć, kiedy tylko nadarzy się okazja. Wydało się dopiero przy ostatniej klientce, bogatej i zapewne mocno stukniętej Amerykance, która przyjechała do Szkocji, żeby potwierdzić swoją teorię o tym, że w poprzednim wcieleniu była wojowniczą celtycką księżniczką. Bardo uprzejmie potwierdził jej wersję, a potem wymienili również inne uprzejmości.

Stuknięta Amerykanka stwierdziła, że Bardo jest jej

bratnią duszą, tą, której szukała przez wieki (chyba za dużo razy oglądała *Nieśmiertelnego*), i że są sobie przeznaczeni.

Bardo nie miał nic przeciwko, pewnie dlatego, że podczas swoich poszukiwań stuknięta jankeska trzykrotnie się rozwiodła i zgromadziła całkiem pokaźną sumkę, którą rzecz jasna była gotowa podzielić się z ukochanym.

Sgathaich (wcześniej Carol) poszła do Louisy i oznajmiła, że powinni razem zamieszkać. Louisa i nadziana stuknięta Amerykanka zostałyby siostrzanymi żonami Barda. Nie można odmówić kołesowi tupetu. Większość facetów pewnie zadowoliliby się ucieczką z bogatą rozwódką, ale on uznał, że chce mieć ciasteczko i zjeść ciasteczko.

Louisa wpadła w całkiem uzasadniony szał i w odpowiedzi spakowała szóstkę dzieci do rozpadającego się kampera, razem ze wszystkim, co wpadło jej w ręce, po czym zostawiła Barda i Sgathaich/Carol w ustroniu i dała nogę, zdając się na łaskę starszego braciszka, którego właśnie błagała, żeby obronił jej honor. Simon wykręcał się tym, że ma za daleko, a poza tym Bardo to kawał chłopca.

Tak czy inaczej, wszystko wskazywało na to, że w najbliższej przyszłości Louisa i dzieci będą u nas pomieszkiwać. Gdzie dokładnie? Nie jestem jeszcze pewna. Święta to jedno, ale Louisa oświadczyła, że nigdy nie wróci do ustronia.

Zaproponowałam hotel, ale Simon powiedział, że nieładnie byłoby wyrzucać ją z dziećmi za drzwi, kiedy jest taka delikatna. Ja nie miałabym skrupułów, chociaż szybko wyszło na jaw, że Louisa nie ma żadnych pieniędzy, więc

musielibyśmy pokryć rachunek za hotel. W takiej sytuacji faktycznie lepiej, żeby została tutaj i podpijała moje wino, niż opróżniała minibarek, podczas gdy jej diabełki będą zamawiać jedzenie z hotelowej restauracji i kraść wszystko, co nie zostało przybite gwoździem do podłogi.

W końcu Louisa trochę się rozchmurzyła i wymamrotała, że mogłaby wypić mały kieliszek wina. Wykorzystałam tę przerwę w lamentach, żeby wymknąć się na chwilę do łazienki i schować dopiero co kupiony olejek do kąpieli. Przyłapałam też Petera i Jane na robieniu tego samego, tyle że z elektroniką. Nie wyglądali na uszczęśliwionych perspektywą przedłużonej wizyty kuzynostwa.

Mogło być gorzej. Przynajmniej Louisa oznajmiła, że już nie chce, żeby nazywać ją Amaris, bo kojarzy jej się to z „tym pieprzonym dupkiem Kevinem” (nie wiem tylko, jak zamierza poradzić sobie z sześcioma wielkimi skojarzeniami, które siedzą w moim salonie przed telewizorem) oraz (hip, hip, hura!) w końcu kazała wszystkim miłośnikom załatwiania się na podłodze korzystać z toalety.

Piątek, 17 czerwca

Mój dom zamienił się w piekło, bo gdzie tylko spojrzeć, tam dzieci. Czuję się, jakbym mieszkała w jakiejś paskudnej komunie albo wręcz w domu dziecka, bo z każdego kąta wygląda na mnie jakiś smarkacz. Louisa na pewno jest w szoku, chociażby dlatego, że właśnie została samotną matką szóstki dzieci, co samo w sobie jest przygnębiające, ale czuję, że jeśli niedługo nie odkurzy, kiedy będę w pracy,

albo chociaż nie zatrze śladów po swoich siejących destrukcję latoroślach, zamorduję ją z zimną krwią.

Wczoraj najmłodsze dziecko zjadło mydełko od Crabtree & Evelyn, które kładę w toalecie na dole, kiedy chcę zaimponować bogatym gościom. Co gorsza, mydełko zostało wymiotowane na schodach. Louisa rzuciła okiem na wymiociny, pociągnęła nosem (gratuluje odwagi) i rzuciła:

- Biedna, pozbawiona ojca kruszynka.

Nie umknął mojej uwadze również fakt, że mimo targającej nią głębokiej rozpaczki ma wystarczająco dużo zdrowego rozsądku, żeby zasadzać się na meble, które Simon odziedziczył po babci.

Pomijając uznany za zniszczony przeze mnie kredens, mamy jeszcze kilka ładnych mebli, którym raz na jakiś czas chciwie się przygląda, przebąkując, że nie wie, czy będzie ją stać na to, żeby od zera umeblować sobie dom, że zawsze uwielbiała sofę po babci, a poza tym czasami wystarczy kilka ładnych mebli i wystrój wnętrza gotowy. Przypominam, że mówi to kobieta, która jeszcze do niedawna żarliwie upominała wszystkich wokół, że jedynym, co jesteśmy w stanie naprawdę osiąść, są nasze dusze. Kiedy babcia wyciągnęła kopyta, zaproponowaliśmy Louisie kilka mebli, ale powiedziała, że rzeczy materialne jej nie interesują, za to gdyby Michael planował je sprzedać, niech jej przeleje dole. Mam jeszcze kilka puszek kredowej farby i nie zawaham się ich użyć, jeśli dalej będzie wyciągać swoje lepkie rączki po nasze meble.

Mam też mieszane uczucia odnośnie tego, że każdego

wieczoru, kiedy Simon wraca z pracy, rzuca się na niego i na nowo zaczyna swoje szlochanie i przedstawienie pod tytułem: „Jestem taka nieszczęśliwa!”, bo dopóki nie usłyszy przekręcającego się w drzwiach zamka, całkiem zadowolona leży na kanapie, przekrzykując kanał z bajkami dla dzieci w telewizji i odsyłając wołające o jedzenie dzieci do cioci Ellen, „bo mamusię boli głowa”.

„Kurwa mać!” stało się moją mantrą, kiedy rozbijam się od pokoju do pokoju, próbując doprowadzić dom do ładu i teatralnie klnąc pod nosem (może ktoś powinien zacząć prowadzić zajęcia z „teatralnego przeklinania pod nosem”), że NIE, nie martw się sprzątaniami po dzieciach, Louisa, byłam w pracy tylko PRZEZ CAŁY DZIEŃ. Oczywiście, że nie oczekuję od ciebie, że wytrzesz blat, schowasz ser do lodówki albo chleb do pojemnika. I nie martw się, że twoje dzieci wyjadły wszystkie jogurty ze śniadaniówek moich dzieci, bo przecież mogę iść do sklepu po nowe. Louisa i tak nie zwraca na to najmniejszej uwagi i niczym postać z greckiej tragedii osuwa się na kanapę w salonie.

Sobota, 18 czerwca

Prawie odwołałam drinka z Charliem, bo nie byłam pewna, czy wytrzymam więcej telenoweli i rozmów o uczuciach, ale po tym, jak spędziłam cały dzień z Louisą snującą się po domu i jęczącą rozpaczliwie o uwagę Simona, myśl o ucieczce na kilka godzin nagle wydała mi się bardzo kusząca.

Kiedy weszłam do kuchni się pożegnać, Louisa była

w jednej ze swoich wieczornych pól, to znaczy lkała z opartą na stole głową, którą podnosiła tylko po to, żeby wziąć kolejny haust z wielkiego kieliszka wina (nie mogę nie zauważyć, że dobrała się już nawet do całkiem niezłego barolo, które kupiłam na specjalną okazję), podczas gdy Simon skulił się ze strachu po drugiej stronie stołu, czyli wreszcie zrobił coś, żeby Louisa przestała wyplakiwać się na jego ramieniu.

Pewna część mnie nie może oprzeć się wrażeniu, że Louisa rozkoszuje się rolą porzuconej i rozpaczającej kobiety, i będzie z niej czerpać do ostatniej kropli. Doskonale przecież wie, że nie ma sensu płakać na moim ramieniu, bo kiedy raz spróbowała, wyjęłam i pada i pełnym otuchy tonem powiedziałam, że powinniśmy umówić się na wizytę w lokalnym biurze doradztwa dla obywateli, gdzie otrzyma porady prawne i dowie się, na czym stoi. Tymczasem Simona na widok jej hysterii paraliżuje strach, że jeśli udzieli jej jakiegokolwiek rady praktycznej, tylko pogorszy sprawę, więc pozwala jej rozpaczać w nieskończoność.

Wskazałam na kalendarz i bezgłośnie powiedziałam: „Wychodzę! Wpisywałam w kalendarz!”, bo przecież wiadomo, że z kalendarzem się nie dyskutuje i jeśli coś wpiszesz, to jakby zostało to wyryte na kamiennych tablicach.

Niezadowolony Simon zmarszczył czoło i spytał:

- Czy to są kolejne nowe buty? Chryste, ile już ich masz?

Zdecydowanie zaprzeczyłam, jakoby moje świeżo kupione buty były nowe, chociaż Simon nie wyglądał na

przekonanego. To pewnie dlatego, że moja kolekcja butów osiągnęła już rozmiary krytyczne i nie mogę dłużej ukrywać jej pod łóżkiem. Jest to kolejny powód, dla którego chciałabym wreszcie pozbyć się Louisy – mogłabym wtedy trzymać je w pokoju gościnnym. Gdyby Simon posłuchał głosu rozsądku i pozwolił mi kupić domek letniskowy w Wells-next-the-Sea, mogłabym część z nich trzymać tam. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego uważa, że kupno domu tylko po to, żeby trzymać w nim buty, nie ma żadnego sensu.

Louisa podniosła wzrok znad stołu, zaczęła świdrować mnie przekrwionymi od płaczu oczami i rzuciła boleściwie:

- Zazdroszczę ci, że możesz tak po prostu wyjść, Ellen. Nie masz żadnych zmartwień. - Prawie zrobiło mi się jej szkoda, ale wtedy dodała: - Szczególnie w nowych butach. Nie pamiętam, kiedy ostatnio kupiłam nowe buty.

Ożeż kurwa mać! Ależ ona jest bezczelna! Już tyle razy napomykała, że nosimy „właściwie ten sam rozmiar”, chociaż to wierutna bzdura, bo jej stopa jest co najmniej o jeden numer większa. Nie pozwolę jej wsadzać swoich wielkich (i pulchnych jak pączuszki) gir w moje ukochane buciki!

- Może też byś chciała wyjść, Lou? Mogę zostać z dziećmi. Nie potrzebujesz chyba dużo czasu, żeby się wyszykować? Przemyjesz twarz, uczeszysz włosy i możesz iść. Ellen mogłaby ci pożyczyć coś do ubrania i buty. Dobrze by ci to zrobiło.

A niech mnie! Simon musi być mocno zdesperowany, żeby chociaż na chwilę pozbyć się swojej szurniętej siostry, skoro sam z siebie proponuje, że zaopiekuje się ÓSEMKA dzieci!

Tyle że ja pierwsza opracowałam cwany plan ucieczki i nie dam się tak łatwo wrobić w wychodzenie z Louisą, która przez cały wieczór wygłaszałaby tyrady o tym, jak burżujscy kapitaliści zrujnowali jej życie i zmarnowali młodość.

No i trzeba by o wiele więcej, żeby doprowadzić do porządku czuprynę Louisy, która ostatni raz widziała nożyczki i grzebień, kiedy premierem był jeszcze Tony Blair. Będziesz musiał bardziej się postarać, Simon, złośliwie rzuciłam do męża w myślach, po czym delikatnie poklepałam Louisę po ramieniu (a raczej: wcisnęłam ją z powrotem w krzesło) i powiedziałam:

- Nie bądź głupi, Simon. Louisa nie jest jeszcze gotowa na to, żeby wychodzić. Przechodzi bardzo ciężki okres w życiu i ostatnią rzeczą, której pragnie, jest znaleźć się w środku głośnego pubu wśród samych nieznajomych. Zostałabym z wami, gdybym mogła, ale niestety nie dam rady się z tego wykręcić! Tak mi przykro!

W ten sposób wymknęłam się z domu, kątem oka patrząc, jak Simon opada z powrotem na krzesło. Wszelkie szanse na to, że przekupi dzieci czekoladą i iPadami, żeby poszły na górę i będzie mógł rozwalić się na kanapie i włączyć *Fanów Czterech Kółek*, przepadły bezpowrotnie. Czwartą noc z rzędu będzie musiał wysłuchiwać zawodzenia siostry, że WSZYSCY FACECI TO DUPKI. Swoją drogą, repertuar Louisy jest dosyć ograniczony. Zaczyna od tego, że chciałyby zabić Barda i Sgathaich, potem opowiada o tym, że Bogini ją porzuciła i zawodzi „Co ja ze sobą zrobię?!”, a kiedy zbliża się do dna butelki, przechodzi do wściekłych tyrad o tym, że

padła ofiarą patriarchatu.

Plusem tej sytuacji było to, że Simon tak bardzo opadł z sił, że nie zapytał mnie nawet, z kim się spotykam, co było mi bardzo na rękę, bo ciągle jeszcze nie wiem, jak mu powiedzieć o Charliem.

Wieczór potoczył się niestety zupełnie inaczej, niż planowałam. Spotkaliśmy się w eleganckiej winiarni (czy winiarnie znowu są na topie, czy tylko mi się wydaje? Pamiętam, że zniknęły z mapy miasta w latach osiemdziesiątych, a ostatnio gdzie tylko spojrzeć, tam nowa winiarnia). Zaczęliśmy od standardowego: „Co słyszeć?” i „Co tam ostatnio porabiasz?”, więc pomyślałam sobie: „Ha! Wszystko będzie dobrze, nie będzie żadnych rozmów o uczuciach, porozmawiamy przy drinku jak dwójka cywilizowanych ludzi, po czym rozejdziemy się do domów”. Było mi to na rękę, bo Louisa zaserwowała mi ostatnio wystarczająco dużo emocji. W pewnym momencie zapadła cisza i Charlie zapytał:

- Dlaczego mnie unikasz?

Kurczę pieczone! Liczyłam na to, że nie będzie o to pytał, skoro napisałam mu, że wcale go nie unikam. Powinien był mi uwierzyć, nawet jeśli to wierutne kłamstwo! Zaczynam się zastanawiać, czy Charlie w ogóle jest Brytyjczykiem. A może przed pójściem na studia wyjechał na rok do USA? To pewnie wtedy po raz pierwszy poczuł potrzebę komunikowania się z innymi ludźmi. A przecież mógł wieść szczęśliwy brytyjski żywot, który upłynąłby mu na momentach niezręcznej ciszy i rozmowach o niczym.

W takich okolicznościach jedyne, co można zrobić, to zaśmiać się głupkowato i wydusić z siebie:

- Ha, ha! Wcale cię nie unikam, po prostu byłam bardzo zajęta!

Kiedy to mówiłam, wlepiłam wzrok w stół, desperacko próbując uniknąć kontaktu wzrokowego, bo już i tak czułam się wystarczająco niezręcznie. Charlie natomiast pochylił się do przodu, położył palec na mojej brodzie i delikatnie uniósł moją twarz, po czym odgarnął mi włosy z czoła. Kurwa mać. Trzeba było założyć wsuwkę do włosów, jak Lucy Worsley, to nie dałabym mu powodu do takich zachowań. Szkoda, że nie byłam taka mądra jak Lucy - ona na pewno nigdy nie znalazła się w takiej sytuacji. A nawet jeśli, to bez trudu radziła sobie z czymś takim jednym zdecydowanym zagranem, jak kapitan drużyny hokejowej, który spławia zakochaną uczennicę. Lucy Worsley z pewnością była kapitanem drużyny. Albo przewodniczącą klasy. Zaczęłam rozważać, czy nie poszukać Lucy Worsley w Internecie, żeby nie myśleć o tym, co tu się zaraz wydarzy.

Jednak Charlie zniweczył mój plan, bo złapał mnie za rękę. O mój Boże! Jeszcze więcej kontaktu fizycznego! To nie jest dobry znak! Może powinnam przewrócić kieliszek z winem? Podczas czyszczenia zalanych ubrań mogłabym chwycić torebkę i powiedzieć:

- Rety! Już tak późno? Muszę lecieć, miło było cię widzieć, pa!

Wybiegłabym z winiarni, przeprowadziła się do Mongolii i zmieniła nazwisko. I poszukała w Internecie, czy Lucy

Worsley była kapitanem drużyny, a może jednak przewodniczącą klasy.

Niestety Charlie był bliżej wina niż ja i gdybym chciała przewrócić kieliszek, musiałabym sięgnąć nad stołem i jeszcze porządnie je popchnąć. Albo mogłabym powiedzieć, że dopadła mnie biegunka i muszę NATYCHMIAST biec do toalety! Kto by chciał rozmawiać na poważne tematy z osobą, która cierpi na skurcze jelit? Jasna cholera, on znowu coś mówi.

- Ellen, czy ty mnie słuchasz?

- Tak, oczywiście! Myślisz, że Lucy Worsley była kapitanem drużyny czy przewodniczącą klasy?

- Co? Kto to jest Lucy Worsley? I co ona ma z tym wszystkim wspólnego?

- No wiesz, taka blondynka, która prowadzi programy historyczne w telewizji. Bardzo wyważona kobieta. Zawsze nosi wsuwkę we włosach i buty, który sprawiają wrażenie bardzo wygodnych.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- O Lucy Worsley! I jej wsuwce do włosów! Zrobiła mnóstwo programów o Henryku VIII! I zawsze nosi tą pieprzoną wsuwkę! Ilu znasz historyków, którzy noszą wsuwkę we włosach? Na pewno wiesz, kto to jest.

- Nawet nie wiem, co to jest wsuwka do włosów, Ellen. Nie mówiąc już o tym, że nie rozumiem, dlaczego to teraz takie ważne. Czy nie możemy po prostu porozmawiać o...?

- To taka cienka spineczka. Żeby włosy nie wpadały ci do oczu albo jak chcesz umocować kok. Myślę, że ona jest

bardzo rozsądną osobą, więc na pewno w szkole była kapitanem drużyny albo przewodniczącą klasy, nie mogę się tylko zdecydować... Chyba jednak była przewodniczącą. Przewodnicząca mojej klasy była pioruńsko mądra i rozważna. Ja nie mogłam nawet być dyżurną, bo wszyscy mieli mnie za buntownika, a to przez to, że zwijałam skarpetki do samych kostek. Też mi coś, w końcu to nie *Gwiezdne wojny!* Jak chcesz, to mogę wyszukać Lucy Worsley w Internecie. Na Wikipedii pewnie napisali, czy była przewodniczącą, czy nie. Mogę się założyć o piątką, że była! Chyba mam w torebce wsuwkę do włosów, pokażę ci, jak wygląda...

Charlie był zbity z tropu, więc wykorzystałam jego konsternację, żeby pod pretekstem wyszukania w Internecie informacji o rozwoju szkolnej kariery Lucy Worsley i przeprowadzeniu wykładu na temat wsuwek do włosów, wyrwać dłoń z jego uścisku, ale okazał się sprytniejszy i złapał mnie jeszcze mocniej.

- Nie obchodzi mnie, co jakaś kobieta z telewizji robiła w latach szkolnych! Może nie zauważyłaś, ale mam też trochę za mało włosów, żeby interesować się jakimiś wsuwkami. Próbuję z tobą porozmawiać, Ellen!

- Przecież właśnie rozmawiamy! Prowadzimy bogatą konwersację o historii, telewizji i modzie.

W końcu udało mi się mu wyrwać i triumfalnym gestem wyłowiłam z torebki trochę obleśną wsuwkę i telefon.

- Popatrz! To jest właśnie wsuwka do włosów. I zaraz pokażę ci, o kim mówiłam. Tylko włączę Google'a...

Charlie wyrwał mi jedno i drugie i odłożył na stół. Kiedy brał wsuwkę, dostrzegłam na jego twarzy cień przerażenia, pewnie dlatego, że przyczepiła się do niej włochata kulka kurzu (albo kawałek zakurzonej żelki...).

- Uspokój się! - nakazał.

Nie wiedziałam, że potrafi być taki władczy! Gdyby nie to, że byłam przerażona nadchodzącą rozmową o uczuciach, przeszedłby mnie lekki dreszczyk.

- Gównu mnie obchodzi ta kobieta, a moje życie nie stało się ani odrobinę ciekawsze, kiedy dowiedziałem się, czym jest wsuwka do włosów. Musimy porozmawiać. Czy możemy być ze sobą szczerzy? Proszę...

- NIE! To znaczy może lepiej nie. Proszę...?

- Czemu tu przyszłaś, Ellen?

- Ha, ha, ha! Przecież umówiliśmy się na drinka! Drinka, drineczka, mniem, mniem! Mogę dostać z powrotem swoją wsuwkę? Czasami bardzo się przydaje, na przykład kiedy trzeba się gdzieś włamać, może posłużyć za wytrych. Jeszcze nigdy nie otwierałam wsuwką zamka, ale podobno można. Na pewno jest o tym filmik na YouTube. Mogę poszukać! Może Lucy Worsley tylko udaje rozważną przewodniczącą klasy, żeby w wolnych chwilach włamywać się do skarbców i wykradać diamenty...

- Ellen! Zamknij się wreszcie! Jeśli jeszcze raz wspomnisz o pieprzonych wsuwkach do włosów albo o tej przeklętej Lucy Worsley, przestanę odpowiadać za swoje czyny! Musimy porozmawiać!

- Przecież rozmawiamy! Rozmawiamy o...

- Wcale nie rozmawiamy! Na razie ja próbuję coś powiedzieć, a ty zbywasz mnie jakimiś pierdołami. Ale zaraz zaczniemy rozmawiać. Powiedz mi, dlaczego poszłaś na drinka ze mną, skoro mogłaś iść z kimkolwiek innym?

Do jasnej cholery! On się nie poddaje!

- Ha, ha, ha! Bo jesteśmy przyjaciółmi! To przecież oczywiste!

- Czy mogłabyś przestać tak chichotać? To mnie zaczyna niepokoić.

- Ha, ha, ha, przepraszam!

Ha! Postanowiłam, że załatwię go swoim nerwowym rechotem. Przeszywający śmiech może być równie niebezpieczny co oblanie się winem czy szczegółowe sprawozdanie dotyczące historii wsuwek do włosów.

- Ellen, proszę cię. Mam nadzieję, że jesteśmy przyjaciółmi, ale zastanawiałem się, czy nie zaczynasz mnie unikać, bo boisz się, że chcę czegoś więcej.

- Och nie! Oczywiście, że nie! Skąd ten pomysł? Ha, ha, ha!

A może wbiję sobie wsuwkę w oko? Wtedy na pewno nie moglibyśmy dalej rozmawiać.

- Czy możesz wreszcie przestać? Działasz mi już na nerwy, a jeśli mamy być przyjaciółmi, to chyba powinniśmy wyjaśnić sobie to i owo.

- Tak sądzisz?

- Po pierwsze to tak, podobasz mi się. Byłaś moją pierwszą miłością. Moim pierwszym...

- Bzykankiem?

- Cóż, tak, chociaż chciałem to ubrać w bardziej dojrzałe słowa, na przykład...

- Bara-bara? Numerek? Szekspirowska bestia z dwoma plecami...

- Kochanką. Byłaś moją pierwszą kochanką.

Faktycznie, tak brzmi trochę lepiej.

- Kiedy spotkaliśmy się po latach, pomyślałem, że może do czegoś między nami dojść. Szczerze mówiąc, liczyłem na to. I może tak by się stało, gdybyś była wolna. Ale nie jesteś, prawda?

- Oczywiście, że nie. Ani przez moment nie udawałam, że tak jest. Przecież powiedziałam ci, że mam męża.

- Do jasnej cholery, czy możesz przestać mi przerywać?

- Zadałeś mi pytanie!

- To było pytanie retoryczne! Chodzi o to, że nie jesteś singielką i raczej nie jesteś jedną z tych dziewczyn, które...

Już miałam zapytać: „Które co?”, ale Charlie rzucił mi wymowne spojrzenie, więc zrezygnowałam. Spodobało mi się za to, że nazwał mnie „dziewczyną”.

- Jedną z tych dziewczyn, które miewają romanse. Bo wiesz, chociaż dawno się nie widzieliśmy, znam cię całkiem dobrze. Wciąż bywasz rozpuszczoną, płytką i samolubną dziewczyną, wciąż potrafisz doprowadzać ludzi do szału.

Jeśli to jest jego taktyka na zaciągnięcie mnie do łóżka, to musi zacząć pracować nad komplementami.

- Poza tym nie widzisz świata poza Simonem. Wiedziałem o tym, kiedy zobaczyłem was razem po raz pierwszy. Myślę też, że nie byłabyś w stanie rozbić rodziny, czyli zrobić tego

samego, co kiedyś zrobili twoi rodzice. Skazać swoje dzieci na tułanie się pomiędzy domami, na ojczymów, macochy i przyrodnie rodzeństwo, do których trzeba by się przyzwyczajać. Dlatego szybko do mnie dotarło, że nie ma sensu myśleć o „nas”.

- Oczywiście, że mogłabym mieć romans! - oburzyłam się. Nie powiem, żeby wizja, w której jestem nudną, spacyfikowaną przez męża i rozpuszczoną mamą z przedmieść szczególnie przypadła mi do gustu. Przecież jestem tą kobietą z zadymionych klubów jazzowych, która słucha czułych słówek z ust nieprzyzwoitych mężczyzn. I mogłabym mieć romans!

- Wiesz, dlaczego się rozwiódłem? - spytał Charlie.

- Nie - mruknęłam pod nosem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie zapomniałam go o to spytać. To byłby kolejny dowód na to, że jestem rozpuszczona, płytka i samolubna. Ale nie... na pewno spytałam. Gdybym tego nie zrobiła, zżarłaby mnie ciekawość. Jestem pewna, że mówił coś o oddalaniu się od siebie i różnicach w oczekiwaniach.

- Miałem romans - powiedział zupełnie spokojnie.

- TY? TY miałeś romans? - wykrztusiłam.

- Czy to takie dziwne? Dziwi cię, że znalazła się na świecie jakaś inna kobieta, której wydałem się wystarczająco atrakcyjny, żeby iść ze mną do łóżka?

- Nie! Po prostu... ty zawsze byłeś taki miły. Dobry. Nie należysz do tych mężczyzn, których posądziłabym o romans. Jesteś kochanym Charliem. Wszyscy tak na ciebie mówili: kochany Charlie. Zawsze byłeś taki grzeczny i porządny.

- Kochany Charlie? Ale tobie to nie wystarczało, prawda? A to, że byłem porządnym facetem, doprowadziło mnie donikąd. Poza tym wcale nie jestem taki porządny. Jestem równie płytki i samolubny co ty. Byłem znudzony i nieszczęśliwy w małżeństwie i schlebiało mi, że ktoś chciał mi dać to, czego Rachel nie mogła. Miałem romans, Rachel się dowiedziała i na tym skończyło się nasze małżeństwo. Sam romans też nie był aż tak ekscytujący czy usłany różami. Z perspektywy czasu myślę, że to było obrzydliwe. Tanie hotele z beżowymi dywanami i ciągle poczucie winy, kiedy początkowa namiętność się wypaliła. Ale i tak to zrobiłem. W każdym razie nie jestem tym dzielnym szlachetnym rycerzem, za którego mnie masz. Jestem zwyczajnym dupkiem. A potem spotkałem ciebie. Wtedy czułaś się tak, jak ja czułem się w czasach, kiedy poznałem Sarah. Byłaś zmęczona małżeństwem, Simon działał ci na nerwy, chciałaś czegoś więcej. Tyle że nigdy nie zdecydowałabyś się na romans, bo za bardzo go kochasz, podczas gdy ja nigdy nie kochałem Rachel. To akurat ma związek z tobą, myślę, że nie powinienem się z nią spotykać tylko po to, żeby zapomnieć o tobie, ale tak się stało. I nagle znalazłem się w oku cyklonu, czyli gorączce planowania wesela. Nie byłem w stanie się z tego wyrwać i nie mogę powiedzieć, żebym był z tego dumny. Natomiast ty zaczęłaś czuć się niezręcznie, spotykając się ze mną, bo pomyślałaś sobie, że znowu mnie zwodzisz. Bałaś się o tym porozmawiać, więc zaczęłaś mnie unikać. Tak to właśnie było, prawda?

Może powinnam zmienić temat...?

- Ellen, powiedz coś, proszę. Tylko nie zmieniaj tematu. Zaczęłaś mnie unikać, bo bałaś się, że chcę czegoś więcej, prawda? Odpowiedz mi.

- Tak... tak było. Ale dlaczego chciałeś o tym porozmawiać? Skoro nie chcesz mnie bzyknąć, nie mogłeś po prostu pozwolić mi się unikać? Po co naciskałeś na wyjaśnienia?

- Nigdy nie powiedziałem, że nie chcę cię bzyknąć. To po prostu nie jest dobry pomysł, mimo że jesteś na tyle pijana, że wcale nie byłoby to takie trudne. Wiesz, chodzi o to, że przeprowadziłem się tu niedawno i mam niewiele znajomych poza ludźmi z pracy. Praca w szpitalu Świętej Katarzyny wydawała mi się dobrym pomysłem na nowy początek, ale nie pomyślałem o tym, że będę aż tak samotny, szczególnie że straciłem większość przyjaciół w wyniku rozwodu. Oczywiście wielu z nich wzięło stronę Rachel, chociaż moim zdaniem zgrywanie umęczonej ofiary nie przyszło jej wcale tak trudno... Mniejsza z tym, zdradziłem ją, więc mi się należało. Tak czy inaczej, chciałbym, żebyśmy byli przyjaciółmi, bo w tym momencie potrzebuję przyjaciół bardziej niż kolejnej skomplikowanej i chaotycznej relacji, a romans z mężatką z pewnością by się do takich zaliczał. Potrzebuję prawdziwych przyjaciół, przy których nie będę musiał martwić się o podteksty, o to, że ktoś z nas zrozumie coś opacznie. Tylko jak mamy być przyjaciółmi, skoro wciąż traktujesz mnie jak zakochanego w tobie nastolatka?

- powiedział Charlie, po czym uśmiechnął się złośliwie i dodał: - Poza tym miałem niezły ubaw, kiedy próbowałaś za

wszelką cenę wymigać się od rozmawiania o emocjach zamiast tradycyjnego zamiatania ich pod dywan. Wyglądałaś, jakbyś chciała uciec.

- Ty wstręciuchu!

Charlie spoważniał i kontynuował:

- Poza tym wciąż mi na tobie zależy. Czasami dochodziły do mnie jakieś informacje na twój temat i zawsze cieszyłem się, że ty i Simon wciąż jesteście razem. Może i miałem złamane serce, ale przynajmniej to nie był przelotny romansik. Widocznie byliście sobie pisani. I chciałem ci o tym teraz przypomnieć. Wyglądasz na o wiele szczęśliwszą niż wtedy, gdy spotkaliśmy się w galerii, i być może z tego powodu między nami do niczego nie doszło, ale kiedy następnym razem będziesz przechodzić trudne chwile i zaczniesz myśleć o kimś innym, przynajmniej niech to będzie ktoś, kto chce dla ciebie jak najlepiej, bo to wszystko może się bardzo źle skończyć.

- Czyli mam być grzeczną dziewczynką? - odparłam zadziornie.

- Nie. Pamiętaj tylko, że niewiele osób na świecie ma coś tak cennego, jak ty i Simon. Nie przekreślaj waszej relacji dla chwili uniesienia tylko dlatego, że czasami jest nudno czy trudno. Po prostu życie bywa trudne i nudne. To tyle. W tym miejscu zakończę swój wykład. Bierzymy kolejną butelkę?

- Może, tylko najpierw coś ustalmy. Powiedziałaś, że chciałbyś się bzyknąć. Jak w takiej sytuacji mamy się przyjaźnić?

- Ach, to! Masz fajny tyłeczek, a ja jestem samotnym

mężczyzną, który już dawno nie uprawiał seksu. Dlatego przeszło mi to przez myśl, ale jeśli mam być szczery, w tym lokalu jest jeszcze kilka innych kobiet, które chciałbym bzyknąć. Nie jesteś jedyna - rzucił bez troski.

- Znowu gadasz jak wstręciuch! Ale skoro już skończyłeś, możemy zamówić kolejną butelkę. Ty stawiasz... za karę, że kazałeś mi rozmawiać o uczuciach.

Reszta wieczoru już nie była taka stresująca. Właściwie było całkiem przyjemnie. Rozmawialiśmy o Hannah. Dałam mu jej numer telefonu i zaproponowałam, żeby do niej zadzwonił.

- Po kumpelsku - zaznaczyłam.

Oczywiście liczę na to, że zostaną kimś więcej niż przyjaciółmi, ale: „Proszę, zadzwoń do Hannah, bo ona zaczyna panikować, że zostanie starą wariatką, od której uciekną nawet jej własne koty i będzie musiała samotnie spędzić ostatnie dni życia w obskurnej piwnicy, płacząc za utraconą młodością, a poza tym dobrze by jej zrobiło jakieś bzykanko” nie brzmiałoby zbyt kusząco.

W drodze do domu wyszukałam w Google’u Lucy Worsley. Niestety nie dowiedziałam się, czy była przewodniczącą, czy kapitanem drużyny. Za to umiem już otwierać zamki wsuwką do włosów.

LIPIEC

Środa, 6 lipca

Louisa jeszcze nie wyjechała. Dzieci też nie. Przynajmniej przestała płakać, ale nadal nie podjęła żadnych działań, żeby znaleźć pracę, ułożyć sobie życie czy znaleźć dom dla swojego potomstwa. Zaczęła za to wychodzić na wieczorne spacer, zrzucając opiekę nad ósemką dzieci (zgadza się, ósemką. Czy ja już wspominałam, że w moim domu mieszka teraz OŚMIORO DZIECI?!) na mnie i Simona.

Louisa chyba czuje się urażona tym, że nie zapewniliśmy jej odpowiednio dramatycznego otoczenia (na przykład wietrznych wrzosowisk), po którym mogłaby się przechadzać, opowiadając o swojej niedoli wrzosom i skałom, i skazaliśmy ją na wycieczki po parku i mamrotanie pod nosem. (Sam ją widział, jak wyszedł z psem na spacer). Trzeba przyznać, że bardziej przypomina pierwszą żonę pana Rochester'a niż szukającą Heathcliffa Cathy Earnshaw.

Miałam dzień wolny, więc zdecydowanym tonem zasugerowałam Louisie (właściwie to jej rozkazałam. Zamieniam się przy niej w dziwną kombinację Mary Poppins i siostry Ratched. Nie podaję żadnych argumentów, tylko wydaję rozkaz pogodnym, zdecydowanym tonem, jakiego używa się w stosunku do niegrzecznych dzieci w miejscach publicznych, bo przecież nie można powiedzieć im: „Rób, co

ci każe, ty mała zarazo!”), żeby zabrała dzieci do sklepu i kupiła chleb i mleko, bo się kończą. Chleba i mleka nigdy za dużo, od kiedy mamy siedem dodatkowych osób do wykarmienia.

Nie byłam w stanie stawić czoła bałaganowi, który panował w domu (OŚMIORO DZIECI, DO JASNEJ CHOLERY!), więc postanowiłam chociaż wypielić ogródek. Na podjeździe wciąż stał kamper Louisy (o imieniu Gunnar, pozwolę sobie przypomnieć). Z kół powoli uciekało powietrze, więc przechylał się na bok, w dodatku codziennie powiększała się pod nim kałuża oleju. Nasz ogród zaczął przypominać opuszczone złomowisko.

Wielokrotnie sugerowałam Louisie, że powinna coś zrobić z tym starym gratem, na przykład sprzedać go na części albo chociaż zawieźć do mechanika i dowiedzieć się, ile by kosztowało uzdatnienie go do jazdy, ale spotkałam się jedynie z zarzutami, że chcę „zabić” jej ukochanego Gunnara, który „uratował” ją przed Bardem/Kevinem i Sgathaich/Carol (Louisa twierdzi, że Carol to zła czarownica, która rzuciła urok na Barda i chciała uwięzić ich Bogu ducha winne dzieci, ale na szczęście mężny Gunnar przywrócił im wolność. Louisa chyba naoglądała się za dużo bajek Disneya) albo z ciarkami przerażenia, że jak śmiem prosić ją o załatwienie czegoś tak przyziemnego jak sprawy finansowe, kiedy ona jest ewidentnie rozchwiana emocjonalnie.

Niedługo któryś z sąsiadów złoży skargę w radzie, że stojąca na mojej działce kupa złomu niszczy wizerunek

dzielnicy i obniża ceny nieruchomości.

Kiedy przekopywałam ziemię łopatką, zastanawiając się nad tym, czy więdnący okaz, na który się natknęłam, to chwast czy może sama go tam posadziłam, zza pleców usłyszałam nerwowy śmiech. Nudziara Katie z domu Jenkinsów. Muszę przestać tak o nim myśleć, bo teraz przecież należy do Katie i tego jej... Jak mu tam na imię? Przysięgam, że tysiące razy próbowałam zapamiętać, jak nazywa się jej mąż, ale to jest po prostu niemożliwe.

- Przepraszam, że pytam, Ellen, ale czy to kamper twojej szwagierki?

- Tak - westchnęłam. To nie pierwsza taka rozmowa z sąsiadami. - Przepraszam, wiem, że trudno zaparkować na naszej ulicy, a on zajmuje dużo miejsca, ale niestety nie wiem, jak długo Louisa jeszcze planuje tu zostać ani co chce z nim zrobić.

Katie splonęła rumieńcem (jest nudna jak flaki z olejem, ale rumieni się w uroczo niewinny sposób. Ja zawsze robię się purpurowa) i powiedziała:

- Chciałam tylko zapytać, czy Louisa jest w domu, skoro stoi tu jej samochód...

Czy ona nie widzi, że kamper Louisy nie ruszył się z miejsca od miesiąca?!

- Nie, wyszła na zakupy.

- Jaka szkoda! Chciałam zaprosić ją na herbatę. Specjalnie kupiłam taką, jak lubi, w sklepie ze zdrową żywnością - powiedziała smutno Katie.

Katie chciała zaprosić Louise na herbatę?! Louise?! Od

kiedy jesteśmy sąsiadami, Katie i jej Jak-mu-tam mąż nie zaprosili mnie nawet na szklankę wody, pomimo (a może z powodu?) naszej gościnności w Wielkanoc. A teraz nie dość, że zaprasza Louise, to jeszcze specjalnie na tę okazję kupiła herbatę!

Tak nie powinno być. To wręcz niegrzeczne! Nie tak się traktuje sąsiadów! Jesteśmy szanowanym małżeństwem, które zawsze spełnia ściśle wytyczne dotyczące zapraszania sąsiadów na przyjęcia bożonarodzeniowe, pokazy fajerwerków (nawet jeśli są odrobinę niebezpieczne) i herbatki!

Nie można przyjąć czyjegoś zaproszenia, a potem się nie odwdzięczyć i jeszcze zaprosić tę wywłokę szwagierkę na specjalnie kupioną herbatkę. TO TAK NIE DZIAŁA!

Moja mimika twarzy - przymrużone oczy i grymas niezadowolenia - musiały mnie zdradzić, bo Katie pośpiesznie dodała:

- Ciebie też, oczywiście! Miałabyś ochotę wpaść na herbatkę?

Nie, Katie, nie miałabym! Za późno, moja droga, bo kiedy ty kupowałaś specjalne herbatki, żeby popijać je z Louisą, ja harowałam jak wół, żeby nakarmić OŚMIORO DZIECI, KTÓRE OBECNIE MIESZKAJĄ W MOIM DOMU, ale tak łatwo mi się nie wywiniesz, bo zżera mnie ciekawość, jak ty i twój Jak-mu-tam mąż przerobiliście dom Jenkinsów. Odłożyłam łyżeczkę i powiedziałam:

- Z przyjemnością!

Dom Katie był bardzo... szablonowy. Wyglądał, jakby ktoś

wcielił w życie wizję z katalogu sklepu z eleganckimi meblami ze średniej półki. Był kompletnie pozbawiony duszy, co właściwie mnie ucieszyło, bo wkurzyłabym się, gdyby nudna, przeciętna i zdradziecka mała Katie mogła pochwalić się ukrytym talentem wnętrzarskim.

Szybko się zorientowałam, że Katie najzwyczajniej w świecie podkochuje się w Louisie. Trochę mnie to zaskoczyło, bo Katie jest taka czysta! Wygląda, jakby codziennie rano szorowała się dettolem i drucianą szczotką. Louisie z kolei dobrze by zrobiło, gdyby ktoś ją wyszorował dettolem i drucianą szczotką, a potem opłukał środkiem bakteriobójczym. I może jeszcze, na wszelki wypadek, potraktował odkurzaczem parowym.

Katie to nie przeszkadza. Nazywa Louisę „wolnym duchem”. Wygląda na to, że Louisa zaufała jej też na tyle, żeby podzielić się z nią najnowszym planem na życie, którym jest podróżowanie Gunnarem po Europie, co będzie dla dzieci doskonałą lekcją życia. A później? Któż to wie! Może pojedą do Afryki albo Azji? Wszystko zależy od tego, dokąd poniesie ją karma, najrozmaitsze zbiegi okoliczności i wiatr przeznaczenia.

Z jakiegoś powodu Louisa nie zauważyła, że już pierwsza faza tego genialnego planu, czyli opuszczeniu Folkestone, jest niemożliwa do zrealizowania ze względu na brak sprawnego pojazdu oraz pieniędzy na paliwo i promy, a zanim zacznie swoją „lekcję życia”, jakoś będzie musiała wykarmić szóstkę dzieci. Obawiam się też, że Coventina, jako rozważne dziecko o niesłychanej etyce pracy, mogłaby

stanowczo sprzeciwić się takiemu planowi. Kiedyś powiedziała mi, że jak dorosnie, będzie robić zakupy tylko w domach towarowych John Lewis. Niezła z niej buntowniczką jak na córkę Louisy.

Katie i tak wpatrywała się w Louise jak w obrazek i rozpływała nad siłą i odwagą, które musiała w sobie zebrać, żeby zdecydować się na takie przedsięwzięcie. Zastanawiam się, czy nie sprowadzić jej na ziemię i nie powiedzieć, że dopóki Bardo nie zacznie płacić Louise alimentów na utrzymanie watahy, z planu nici. Nie mogłam już słuchać o tym, że Louisa jest taka niesamowita i nic jej nie powstrzyma.

- To musi być wspaniałe! Być wolnym od monotonii dnia codziennego! - westchnęła Katie.

Miałam dość. Nie wiem, jakie kity wciskała jej moja szwagierka, ale miałam już dosyć słuchania o cudach świętej Louisy z Brudasowa Wielkiego.

- Tak, to musi być naprawdę wspaniałe, Katie! Kto by nie chciał żyć jak wolny ptak, który nie musi przejmować się ładowaniem naczyń do zmywarki, chodzeniem na zakupy, sprawdzaniem, czy mleko jest w lodówce, czy samochód ma ważne badanie techniczne, przepychaniem rur, szorowaniem wanny i robieniem tych wszystkich kurewsko nudnych rzeczy, na których upływa nam życie? Smutna prawda jest taka, że robi to za nią ktoś inny - warknęłam.

Katie spojrzała na mnie, jakbym ją spoliczkowała. Drżąc z przejęcia, wyjąknęła:

- Ale to nieprawda! Louisa nie musi się martwić takimi

rzeczami. Ona jest wolna! Może chodzić własnymi ścieżkami i robić tylko to, na co ma ochotę!

Zrobiło mi się szkoda Katie, bo miała już łzy w oczach, ale byłam na fali.

- Louisa nie musi robić tych wszystkich rzeczy tylko dlatego, że jest nieodpowiedzialną dzidzią, która zrzuca odpowiedzialność za swoje życie na wszystkich wokół, podczas gdy sama opowiada jakieś banialuki à la New Age o życiu w zgodzie ze sobą i wszechświatem, z którego można czerpać wszystko, czego się potrzebuje. Do tej pory uchodziło jej to na sucho, bo jej cholerny ojciec i Simon spłacali jej długi i wspierali ją finansowo, ale fakt jest taki, że jest trzydziestoosmioletnią matką szóstki dzieci i powinna wreszcie dorosnąć i wziąć odpowiedzialność za siebie i za nie. Nie pojedzie z dziećmi w podróż po Europie, Azji ani Afryce, bo jej stary rdzewiejący kamper nie nadaje się już do użytku, a na nowego jej nie stać. Nie stać jej nawet na to, żeby nakarmić własne dzieci, bo jest leniwym darmozjadem i mogłaby przestać wreszcie bujać w obłokach, stawić czoła rzeczywistości i poszukać sobie pracy i mieszkania, bo nie zamierzamy z Simonem finansować jej kolejnych nedorzecznych pomysłów! Bo niby dlaczego miałyby realizować swoje marzenia na nasz koszt? Dlaczego, Katie? Dlaczego?

Trochę mnie poniosło. Zaczęłam walić pięścią w stół tak mocno, że jedna z drewnianych literek na ścianie w słowie J-E-D-Z spadła na ziemię. Katie płakała. Cholera. Już wcześniej podejrzewali, że jesteśmy szurnięci, ale wpadając w szal

w ślicznej, kolorowej kuchni Katie, tylko to potwierdziłam.

- Rety, Katie, przepraszam. Naprawdę nie chciałam. Chciałam tylko powiedzieć, że mieszkanie z Louisą i wszelkie próby namówienia jej, żeby przestała być taką... - Już miałam powiedzieć: „skończoną cipą”, ale dałam już wystarczający popis swojej niewyparzonej gęby. Katie wygląda mi na osobę, dla której największym przekleństwem, jakiego używa nawet w myślach, jest „Do jasnej choinki!”. Dlatego dodałam tylko:
- ...Takim strusiem, który chowa głowę w piasek i ignoruje wszystko, co nie pasuje do jego wizji. Nie powinnam była krzyczeć, przepraszam. Proszę, przestań już płakać.

Katie pokiwała przecząco głową i ryknęła:

- Niszczysz takie piękne marzenie! Takie piękne plany, żeby się spakować i pojechać tam, gdzie cię wiatr poniesie. Każdego dnia być w nowym miejscu. Zostawić to wszystko... Tutaj jest zawsze tak samo, Ellen! Każdego pieprzonego dnia!

No patrzcie! Jednak umie przeklinać!

- Wstaję rano. Karmię dziewczynki, idziemy na jakieś żałosne zajęcia dla dzieci, na których są same idealne i promieniejące szczęściem matki, które zanudzają mnie opowieściami o tym, jak bardzo kochają swoje życie, i że taka ze mnie szczęściara. I mają rację, jestem, uwielbiam swoje dziewczynki i Tima...

TIM! Tak się nazywa jej Jak-mu-tam mąż!

- ...Ale to wszystko jest takie monotonne i nużące! Kiedyś byłam kimś, Ellen! Byłam dyrektorką do spraw marketingu w dużej firmie, ludzie szanowali moje opinie i na przyjęciach

słuchali tego, co miałam do powiedzenia, i wiem, że jestem w komfortowej sytuacji, bo mogę zostać w domu z dziewczynkami, ale mam już dosyć tego, że jestem tylko mamą Ruby i Lily, a nie indywidualną jednostką. A kiedy Tim wraca do domu, mówi, że jest taki zmęczony, bo jest taki ważny i ma tyle na głowie, a ja całe dni bawię się lalkami. Czasami krzyczę na niego, że w przeciwieństwie do mnie przynajmniej może się wysikać w spokoju. Czuję się taka samotna, Ellen! I czuję się jak najgorszy człowiek na świecie, bo inne mamy świetnie sobie radzą, a ja jestem do niczego! Dlatego tak mi się spodobał pomysł Louisy, żeby rzucić to wszystko i wyjechać. Mieć przygody! Ja chcę przygód!

Byłam w szoku. Zrobiło mi się głupio, że w duchu śmiałam się z nudnego i nijakiego domu Katie – dziewczyny, która ewidentnie ma problem z zaadaptowaniem się w nowej roli niepracującej mamy. Charlie miał rację. Jestem płytka. W dodatku mimo że zrobiło mi się jej trochę szkoda, pewna część mnie dalej myślała: „Dlaczego w moim życiu jest tyle płaczących kobiet?”. Simon pewnie ciągle zadaje sobie to pytanie.

Lekko poklepałam Katie po ramieniu. (Chryste, zamieniam się w Simona! Ale tylko dlatego, że miałam na sobie nową bluzkę i nie chciałam, żeby Katie upaćkała mi ją tuszem do rzęs. Poza tym mam problemy z bliskością).

- Katie! Nie przejmuj się. Wszystkie matki tak się czują.

- Nieprawda! – zawyła. Widocznie, skoro już się rozkleiła, postanowiła iść na całość. – Tylko ja taka jestem, wiem o tym! Wszystkie inne matki są po prostu idealne! Ja też się

cały czas staram, ale mi nie wychodzi! Co robię nie tak?

Po tych słowach skupiła się na łapaniu powietrza i pociąganiu nosem.

- Mówię serio - powiedziałam, czując się jak plemienna matrona, chociaż Katie wyglądała, jakby była w moim wieku.
- Wszystkie się tak czujemy. Wszystkie siedziałyśmy na tych samych zajęciach, bawiłyśmy się grzechotkami i piłyśmy paskudną kawę w klubie Mamy i Bobasa. Spoglądałyśmy po sobie i zastanawiałyśmy się, dlaczego inne matki wyglądają na zadowolone i dlaczego tylko my tam nie pasujemy. Po prostu mało kto o tym rozmawia. Po jakimś czasie spotkasz się z koleżanką na winie i w najmniej oczekiwanym momencie usłyszysz, że jeśli jeszcze raz będzie musiała zaśpiewać „My jesteśmy krasnoludki”, zacznie walić głową w ścianę. Wtedy uświadamiasz sobie, że nie jesteś sama, bo wszystkim nam jest ciężko i dużo łatwiej by nam było, gdybyśmy się przed sobą do tego przyznały. Mogę się założyć, że jeśli jutro na zajęciach z muzyki powiesz, że się pogubiłaś, dziewięćdziesiąt dziewięć procent kobiet odpowie ci, że one też.

- I nie będą mnie oceniać? - wyjąknęła Katie.

- Prędzej pomyślą, że jesteś cholernie dzielna, bo miałaś odwagę się przyznać. Ja się czułam jak najgorsza matka na świecie, kiedy nie zrobiłam z dziećmi dekoracji świątecznych z masy solnej. Albo kiedy postanowiłam, że wrócę do pracy. Wydawało mi się, że wszystkie matki, które zostały w domu, krytykowały mnie za to. Później zrobiłam aplikację, żeby odreagować, i niespodziewanie kupiły ją tysiące osób,

i okazało się, że prawie wszystkie mamy w mojej szkole czują się dokładnie tak samo. Potrzebujemy rozmowy, a nie udawania, że świetnie sobie radzimy, wszystko nam się układa i nie trapią nas żadne zmartwienia. Louisa próbuje przed tym uciekać, ale to nie jest rozwiązanie. Musimy ROZMAWIAĆ!

Znowu waliłam pięścią w stół. Ze ściany spadła kolejna literka.

- Nie wiedziałam - powiedziała Katie. - Nigdy bym nie pomyślała, że tak się czułaś. Ty i Simon wydajecie się idealni, macie takie ciekawe i ekscytujące życie. Na waszym przyjęciu wielkanocnym byłam przerażona, bo wydałaś mi się taka mądra i zdystansowana wobec życia. Nawet twój kredens jest super!

- Ha, ha, ha! Od kiedy go przemałowałam, jest kością niezgody w naszym domu. Poza tym wcale nie jesteście ciekawi i nie mamy ekscytującego życia. Wczoraj pies wymiotował mi do butów, a Simon jest protekcyjnym dupkiem, za co wciąż od nowa mam ochotę dźgnąć go szpikulcem do lodu. Nikt nie ma idealnego życia. Nikt!

Ostatnie dwie literki spadły ze ściany.

- Nienawidzę tych pieprzonych literek! Spalmy je! I otwieram wino, do jasnej cholery!

Czwartek, 21 lipca

Kolejny akt naszej greckiej tragedii. Po pierwsze przyjechali do nas Michael i Sylvia. Po drugie, po dniu spędzonym z Katie oczywiście opowiedziałam Simonowi

o podróżniczych planach Louisy. Simon oczywiście się wściekł i wyłożył jej wszystkie wady tego pomysłu. Louisa nawrzeszczała na niego, że nie jest jej ojcem i nie może jej mówić, co ma robić (i że nigdy nie zgodzi się, aby razem z nią rządził wszechświatem).

Poza tym obraziła się na mnie i Katie za to, że ją „zdradziłyśmy”, bo wygadałyśmy się Simonowi. Podobno obraziłyśmy kobiecą solidarność i Boginię. Louisa nie omieszkała powiedzieć mi o tym kilka razy. Jak na kogoś, kto co najmniej trzy razy dziennie oświadcza, że przestaje się do mnie odzywać, gada zadziwiająco dużo. Szkoda, że nie potrafi dotrzymać obietnicy.

Kolejną sprzecznością, z którą muszę się zmagać, jest to, że Louisa rzekomo nie jest w stanie wytrzymać ze mną w jednym pomieszczeniu, a mimo to wciąż nie tylko mieszka w moim domu, ale żyje tu na mój koszt. Tymczasem Simon, który NIE jest jej ojcem, o czym często mu przypomina, poddaje ją typowej patriarchalnej opresji i ciągle biedaczkę krytykuje. Pewnie dla zabawy.

W końcu Louisa przestała słuchać jakichkolwiek rad i uparła się, że pojedzie w podróż po świecie Gunnarem, który oczywiście jest sprawny (jak na kogoś tak zapalonego do podróży strasznie się ociąga z tym, żeby wreszcie wsiąść do tego przeklętego grata i wyjechać. O ile w ogóle uda się jej go uruchomić). Dlatego nie zamierza szukać pracy ani mieszkania. Ponieważ zbliżały się wakacje, w trakcie których dom staje się jeszcze bardziej zatłoczony i zagracony, Simon zadzwonił do rodziców i poprosił o interwencję w sprawie

krnąbrnej córki.

Michael i Sylvia przyjechali dzisiaj. Miałam pewne obawy, czy uda im się sprawić, że Louisa pójdzie po rozum do głowy, ale muszę przyznać, że kiedy przyszło co do czego, byli nieocenieni.

Jak można się było domyślić, na widok rodziców Louisa wszczęła awanturę. Zaczęła wrzeszczeć na Simona, że całe życie biegał do mamusi i tatusia, żeby na nią naskarżyć. Wtedy Michael – wspaniała, choć nieco sowizdrzalska postać, która na poważnie bierze tylko swoje osiągnięcia w golfie – ryknął na nią gromko:

- Louiso Catherine'o Russell, zacznij się wreszcie zachowywać! Pozwalając ci zostać tu z dziećmi przez miesiąc, Ellen i twój brat byli dla ciebie więcej niż gościnni. Mało kto byłby zdolny do takiego poświęcenia. Natychmiast ich przeprosz za swoje zachowanie.

- Mogę przeprosić Simona, ale z Ellen nie rozmawiam – rzuciła obrażona Louisa.

- Przeprosz ich oboje! W tej chwili! I podziękuj za wszystko, co dla ciebie zrobili – grzmiał Michael.

- Przepraszam, Simon, przepraszam Ellen. Dziękuję, że byliście dla mnie tacy uprzejmi – powiedziała ku mojemu zaskoczeniu.

- Dobrze. A czy zdajesz sobie sprawę, młoda panno, że Ellen i Simon nie dlatego podważali sens twoich planów, bo chcą zrujnować ci życie, ale po to, żeby uchronić cię przed więzieniem? Jeśli spróbowałabyś przejechać przez granicę tym zagrażającym życiu ręką...

- Gunnar! On ma na imię Gunnar! - protestowała Louisa.

- Co takiego? Kto to jest Gunnar? Myślałem, że ten tuman, którego poślubiłaś, nazywa się Bardebil czy jakoś tak. Tylko mi nie mów, że przygruchałaś już sobie kolejnego zidiociałego hipisa! Chyba nie jesteś znowu w ciąży? Simon, dlaczego nic mi nie powiedziałeś o tym Gunnarze?

- Gunnar to mój kamper! Tak się nazywa!

- Louiso! Masz trzydzieści osiem lat, do kurwy nędzy! A ja mam sześćdziesiąt osiem i nie zamierzam rozmawiać o samochodzie jak o czymś, co może mieć imię. Może wreszcie łaskawie dorosniesz? Jak już mówiłem, jeśli zobaczy cię w tym jakiś policjant, szczególnie z szóstką brykających z tyłu dzieci, trafisz za kratki. A dzieci do domu opieki społecznej. Naprawdę tego chcesz?

Louisa wymamrotała coś pod nosem.

- Pytałem, czy naprawdę tego chcesz?! - ryknął Michael.

- Nie, tato - ledwo wydusiła Louisa.

- Świetnie! Nareszcie zmierzamy w jakimś kierunku. To teraz powiedz mi, jak się w to wszystko wpakowałaś, i spróbujemy opracować dla ciebie jakiś plan na przyszłość.

Kiedy Louisa zaczęła wyjaśniać, że jest bez grosza przy duszy, bo ustronie jest spółką zapisaną na Barda, w której ona nie ma żadnych udziałów i nie ma na papierze żadnych dowodów, że wniosła do niej kapitał, nawet takich, że sprzedała własne mieszkanie, żeby ją uruchomić, czy dowodów na to, że Michael wielokrotnie wyciągał ją z długów, Sylvia kiwnęła głową, żebyśmy wyszły do drugiego pokoju.

Kiedy byłyśmy w kuchni, Sylvia usiadła przy kuchennym stole i westchnęła. Nagle wydała mi się stara i zmęczona.

- Mogłabym się czegoś napić? Oczywiście założywszy, że mój mały darmozjad ma mnie czym poczęstować. Co za głupia dziewczucha! Wkopała się po same uszy. To moja wina, za bardzo ją rozpuściłam. Tylko Michael potrafił ją doprowadzić do porządku. Ja zawsze jej ulegałam, wybierałam drogę na skróty, żeby uniknąć jej ataków hysterii. Kiedy była mała, Michael był wiecznie zapracowany, dlatego często udawało się jej postawić na swoim, i pewnie dlatego teraz jest taką zmorą. Powinam częściej się jej stawiać, a pozwoliłam jej dorosnąć w przekonaniu, że wystarczy tupnąć nóżką, żeby dostać to, czego się pragnie. Dziękuję, że się nią zaopiekowałaś, Ellen, nie masz pojęcia, jak bardzo jestem ci wdzięczna. Doskonale wiem, przez co musiałaś przechodzić.

Zatkało mnie. Sylvia miała uczucia! Przyznawała się do błędu! I przyznała, że jedno z jej dzieci nie jest idealne! A to wszystko działo się tego samego dnia, którego komuś innemu udało się uciszyć Louise i ustawić ją do pionu. Zaczynałam się obawiać, co jeszcze może się wydarzyć.

Zza drzwi dobiegły nas krzyki, które skutecznie wypłoszyły Simona do kuchni.

- Lepiej zostawić ich samym sobie - skomentował z westchnieniem.

W tle płaczliwe protesty Louisy przerywały gromkie ryki Michaela.

- Okazało się, że siedziała tutaj przez tyle czasu, bo mimo

wszelkich zapewnień o tym, jak bardzo nienawidzi Barda, liczyła na to, że on wróci i powie, że jednak ją kocha, wyrzeknie się tej, jak jej tam... i będą żyć razem długo i szczęśliwie. Tata właśnie wyprowadza ją z błędu. Kochanie... nie mamy przypadkiem czegoś mocniejszego? – powiedział, odstawiając na stół butelkę wina.

Oczywiście, że mamy. Ponieważ jestem teraz bogatą ap-ki-talistką (Simon w ogóle się nie śmiał, kiedy wyjawiałam mu tę słowną gierkę), zamieniłam dżin z Waitrose'a na różne gatunki markowych. Wyjęłam kilka butelek i zaproponowałam, żebyśmy urządzili sobie małą degustację, dzięki czemu choć na chwilę zapomnimy o tym, co działo się w salonie.

W tych okolicznościach dżin nie był chyba jednak najlepszym pomysłem. Michael z powrotem zawołał Simona, a ja i Sylvia zostałyśmy sam na sam z butelkami. Godzinę później wypruwałyśmy z siebie emocjonalne flaki.

– Dla zięci zrezygnowałam ze wszystkiego! Wszystkiego! Harowałam przy nich tak bardzo, że momentami nie miałam pojęcia, jak siezywam. Nawet teraz czasami tak się czuję. I na so to wszystko? Żeby Louisa mogła marnować życie z jakimś pieprzonym, niemytym hipisem?! To wszystko moja wina. Nie byłam dla niej dobrym szykładem, ode mnie nauczyła się, że do szczęścia potrzebny ci jest mężczyzna. Ale to nieprawda! Faceci są guupi. Tylko ryby i rowery im w głowie! Szoda, że nie byłam taka jak ty, Ellen. Robisz w tych nudziarskich komputrach, ale przynajmniej jeźdes niezależna. Mogłabyś odejść od Simona nawet juutro

i wszystko byłoby dobrze. Tylko nie odchoż od niego, doobra? Obiecay mi, że nie oodejziesz od Simona. Jesteś takim dobrym przykładem dla Jane. Niezależność! Własne pieniądze. Chciałabym mieć własne piniąze. I karierę zawodową - bełkotała Sylvia.

- Nie myżliszże jeztem złą matką? Bo siągle mnie niema? Że inni ludzie je wychowują? To niejest dobre. Żle mi stym. Barzo źle. Wiecznie zajęta - odparłam, próbując opanować czkawkę.

- Nie... Ja cały czas byłam przy dzieciach i popasz, jak to się skończyło! Też szuję się winna. Za dużo myślę o tymco inni pomyżlą. Ciągle się martwię, czy poduszki i firanki i kwiatki do siebie pasują. Wygląd tonieszystko! Powinnam być bardziej... jatosięmówi... wyluzowana! Nigdy ich nie wpuszczalam do pracowni, żeby nie nabałaganili... Powinnam ich wpuszać. Może te wszystkie hipisowskie brednie to bunt przeciwko mnie i moim drogim firanom? Chociaż... Simon nieest taki zły. Dba o ciebie. Jezteś w porząsiu. Może z wyjątkiem tych kmputrów. Nie lubię tych kmputrów. Internet. Niedobry! Przerażający. Masz więcej dżinu?

- Mam pomysł! - zaświergotałam, dolewając Sylvii dżinu. Nie wiem, jak to się stało, ale na tonik prawie nie zostało miejsca. - Nauszę cię Internetu! Będiesz mogła kupować rzeczy! I licytować na eBayu i wygrywać rzeczy i uczyć się szystkiego z YouTube'a. No, możepoza kreskami z eyelinera. Toest bardzo rudne! Ale moszesz robić dużo innych rzeczy! Uwielbiam wygrywać na eBayu. W zeszłym tygodniu

wygrałam trzy żyrandolki i kryształowego ananaska. Żyrandole są takie same, nie zwróciłam na to uwagi, i zlicytowałam wszystkie, ale będę je trzymać w moim domku leniskowym w Wells-next-the-Sea razem z butami. A może chcesz jeden? – dodałam wielkodusznie.

Kiedy Michael, Simon i Louisa skończyli, ja i Sylvia śpiewaliśmy piosenki Kate Bush i uczyliśmy się układu tanecznego do *Wuthering Heights* z YouTube'a.

- Michael, patrz! Umiem w kmputry! Ellen mi pokazała i będę teraz wygrywać rzeczy na eBayu! Kmputry są super! Ellen, mogę wygrać sobie komputra na eBayu?

- Słodki Jezu! Co tu się, do cholery, dzieje? – zawołał przerażony Michael, a Sylvia, próbując zrobić wymach, straciła równowagę i padła prosto w jego ramiona.

Piątek, 29 lipca

Zaczęły się wakacje. Kryzysowe rozmowy o tym, jak rozwiązać problemy Louisy, trwają nadal. Muszę jednak przyznać, że Louisa wreszcie się na coś przydała, bo kiedy byłam w pracy, zajęła się dziećmi. Michael musiał porządnie przemówić jej do rozsądku, bo zauważyłam, że próbowała nawet ogarnąć dom i poodkurzać pod moją nieobecność. Radzi sobie z tym beznadziejnie, więc i tak będę musiała po niej poprawiać, ale przynajmniej się stara.

Ja z kolei staram się być miła i zamiast się zastanawiać, ile na nią wydaję, skupiam się na tym, że dzięki niej zaoszczędzę na niańce. Staram się puścić w niepamięć fakt, że przez jej spermokoktajle musiałam kupić nowy blender. Znając

hojność Barda do rozdawania swojego tajnego składnika, musiałabym zużyć wszystkie płyny do dezynfekcji świata, żeby go wyczyścić.

Dzisiaj spotykam się z Hannah i Samem na plotki przy pierwszym wakacyjnym drinku. Zaprosiłam też Katie, bo pomyślałam, że dobrze jej zrobi, jeśli spędzi trochę czasu z dorosłymi, zamiast płakać na *Psim patrolu*, próbując nie wylupać sobie oczu z nudów.

Katie okazała się całkiem w porządku. Szkoda, że nie wiedziałam o tym wcześniej. Zmęczona kłótniami między Louisa, Simonem i ich rodzicami, często się do niej wymykałam na pogaduszki przy winie.

Smutny i sfrustrowany Simon snuł się po sypialni, kiedy szykowałam się do wyjścia. Wyraźnie nie cieszyła go wizja kolejnego przygnębiającego wieczoru z siostrą i rodzicami. Louisa ostatnio wyła i wściekała się na Michaela i Sylwię, bo nie chcieli sfinansować naprawy Gunnara, żeby mogła pojechać w podróż życia. Michael wynajął jednak prawników, żeby dopaść Barda i wydoić z niego trochę gotówki. Wstrętny hipis. Założę się, że się tego nie spodziewał.

Kiedy się malowałam, Hannah wysłała mi tajemniczego SMS-a, że zabierze „osobę towarzyszącą” na spotkanie, więc postanowiłam zlitować się nad Simonem.

- Może pójdziesz z nami? Louisa mogłaby wreszcie na coś się przydać i posiedzieć z dziećmi - zaproponowałam.

Simon natychmiast się ożywił.

- Naprawdę? Nie masz nic przeciwko? Byłoby ekstra!

Biedaczek. Nadeszły ciężkie czasy, skoro Simon woli wyjść

do ludzi, zamiast siedzieć na swojej ukochanej kanapie.

Nie byłam zaskoczona, kiedy okazało się, że „osobą towarzyszącą” Hannah jest Charlie. Kilka tygodni po ostatnim wspólnym drinku spotkałam się z nim na kawę, a potem nagle przestał się odzywać. Hannah też prawie nie miała dla mnie czasu. Przypuszczałam, że poszedł za moją radą i do niej zadzwonił. Zachowywali się jak para zakochanych nastolatków, więc wszystko wskazywało na to, że mam rację.

Simon na początku trzymał Charliego na dystans, ale Charlie to dobry i bystry chłopak, i gdy wyczuł jego wrogość, nie wspomniał słowem o naszych spotkaniach. Powiedział tylko, że wpadliśmy na siebie przypadkiem kilka miesięcy temu, a kiedy dowiedziałam się, że jest singlem i mieszka w okolicy, dałam mu numer Hannah.

Słyszając to, Simon trochę się rozpogodził i zażartował, że uwielbiam bawić się w swatkę, ale szczęśliwym trafem nie dowiedziałam się wcześniej, że Charlie jest wolny, bo próbowałabym go wyswatać z Louisą, żeby się jej pozbyć.

- Chociaż nie wiem, jaką krzywdę musiałbyś wyrządzić Ellen, żeby sobie na to zasłużyć - dodał.

Byłam trochę zazdrosna o papużki nierozłączki nawet nie ze względu na Charliego, ale przez to, jak bardzo byli w siebie zapatrzeni i nie mogli się od siebie odkleić.

- Jakie to słodkie! Nasza mała Hannah znalazła miłość! W dodatku obeszło się bez zdjęć penisów! Bo zakładam, że nie wysłałeś jej zdjęcia swojego penisa? - spytał Sam.

Charlie pobladł ze strachu, więc musieliśmy udać się na

krótką wycieczkę w świat randek internetowych i wytłumaczyć, o co chodzi.

- A ty, Sam? - spytała Hannah. - Będiesz sobie kogoś szukał, skoro rozstałeś się z Markiem?

- Raczej nie. Mark był w porządku, ale to tyle wysiłku. Seks był świetny, ale musiałem ciągle wysłuchiwać sprawozdań z *Ekipy z Newcastle* i *Made in Chelsea*. Mówiąc szczerze, po prostu mi się nie chce. Mam dzieci, psa i przyjaciół, to powinno mi wystarczyć. Przykro mi, że nie zrealizuję stereotypu geja, który ugania się za nowymi zdobyczami, ale szczerze mówiąc, tak jest mi dobrze. Oczywiście nigdy nie mów nigdy. Jeśli spotkam tego jedyne, to świetnie, ale jeśli nie, to świat się nie zawali. Poleżę sobie na kanapie w moich kaszmirowych skarpetach do spania i pooglądam w spokoju *Poldarka*.

- Poldark! Kapitan Ross! - Katie, Hannah i ja westchnęliśmy jednocześnie, a Charlie i Sam wymienili zrezygnowane spojrzenia.

SIERPIEŃ

Czwartek, 4 sierpnia

Dzisiaj wieczorem zwołano naradę - podobno powstało rozwiązanie, które zadowoli Louise i nas wszystkich.

Michael i Sylvia chcą kupić wystawioną na sprzedaż posesję przy swojej rezydencji we Francji. Nie jest duża i wymaga renowacji, ale pomieści Louise i dzieci. Michael i Sylvia będą tuż obok i pomogą córce. Louisa jest z zawodu projektantką graficzną, więc Simon z ojcem poproszą starych znajomych, którzy są im winni przysługi, żeby pomogli znaleźć dla Louisy kilka zleceń. Dzięki temu będzie w domu z dziećmi, a przy okazji coś zarobi. Jeśli dobrze pójdzie, może wieść się rozniesie i kolejne zlecenia zaczną spływać same. Dom Michaela i Sylvii jest za mały, żeby Louisa zamieszkała u nich na stałe (jak mawia Sylvia - to tylko „malutkie château”), ale zostanie u nich na czas finalizowania kupna i renowacji domu.

Plan brzmiał świetnie... Tylko dlaczego nagle wszyscy spojrzeli na mnie z wyczekiwaniem?

Michael odkaszlnął i wyłożył kawę na ławę:

- Sprawa jest delikatna. Chodzi o pieniądze...
- Pieniądze?
- Tak. Chodzi o to, że potrzebujemy około stu tysięcy funtów. Ja i Sylvia nie mamy już takiego kapitału.

Zastanawialiśmy się, czy ty i Simon dacie radę się dorzucić?

- Ja i Simon?

Byłam w szoku, głównie dlatego, że do tej pory w podobnej sytuacji powiedzieliby: „Simon i ty”, a nie na odwrót.

- Stać nas na to, Ellen - powiedział cicho Simon. - Spłaciliśmy kredyt, ale zostało nam wystarczająco dużo pieniędzy, żeby to zrobić.

- Ale przecież przestaliśmy już zarabiać na aplikacji! - powiedziałam, dyskretnie chowając z pola widzenia najnowszą torebkę.

- Prawdę mówiąc, jeszcze nie. To nie są już takie kwoty jak kiedyś, ale wciąż jeszcze dostajemy kilka tysięcy miesięcznie.

- Chcecie oddać Louisie wszystkie pieniądze, które zarobiłam na aplikacji? Żeby mogła wyprowadzić się do Francji i rysować jakieś pieprzone obrazki?

Teraz wiedziałam już, jak to jest wyjść z siebie i stanąć obok. Słyszałam, jak krzyczę. Widziałam, że walę pięścią w stół jak wariatka, ale nie mogłam z tym nic zrobić.

Simon i Michael próbowali mi tłumaczyć, że nie oddam swoich pieniędzy Louisie, bo to będzie mój dom i moja ziemia, a Louisa jedynie tam zamieszka, ale ja słyszałam tylko pulsowanie w uszach. Miałam ochotę rzucić się na podłogę, płakać i kopać nogami jak małe dziecko. I krzyczeć. Krzyczeć, aż robi mi się niedobrze. Wiedziałam, że poczułabym się o wiele lepiej, ale powstrzymała mnie świadomość, że miałam na sobie krótką spódniczkę i gdybym to zrobiła, na pewno wszyscy zobaczyliby moje majtki, a były szare i sparciałe. Linia bikini też pozostawiała wiele do

życzenia.

Próbowałam złapać w oddech. Nie mogłam przestać myśleć o tym, że to moje pieniądze. Moje! Byłam wściekła na Simona, że zadziałał z zaskoczenia. Przecież wiedział, że tak to się potoczy. Dlaczego najpierw porozmawiał o tym z rodzicami i Louisą? Dlaczego w pierwszej kolejności nie przyszedł do mnie? Czego oni się po mnie spodziewali? Co miałam im powiedzieć?

- Doprawdy, wspaniały plan, uważam, że jest idealny. Dajmy Louisie, która nie przepracowała ani jednego dnia przez ostatnie dziesięć lat, wszystkie pieniądze, które JA zarobiłam dla MOJEJ rodziny. Niech sobie jedzie za granicę i zamieszka w MOJEJ wymarzonej starej willi, przy będzie rósł gaj oliwny i w której będzie też pomocnik Pascal, który stracił swoją jedyną prawdziwą miłość Marie-Claire w trakcie wojny. I ona będzie sobie rysować te swoje rysunki i swoje wymyślne akwarele, a ja w tym czasie będę harować w pieprzonym biurze, próbując połączyć opiekę nad dziećmi z pracą i całą resztą, i nie kupię swojego domku w Wells-next-the-Sea, w którym będę mogła trzymać buty. Nie będę mogła sobie nawet pomarzyć o takim domku, bo Louisa zabierze mi NAWET MOJE MARZENIE! Czy mam jej kupić gustowny kapelusz, żeby nie poparzyło jej słońce, kiedy będzie kraść moje marzenia tylko po to, żeby zrealizować swoje? Będziecie wtedy zadowoleni?

Nie zdawałam sobie sprawy, jak głośno krzyczałam, dopóki nie zauważyłam, że wszyscy patrzą na mnie pełni konsternacji. Pewnie się pogubili, kiedy mówiłam o Pascalu

i Marie-Claire. Zebrałam resztki godności i wstałam z krzesła, po czym oświadczyłam, że wychodzę i wrócę nieprędko, po czym jak burza wyparowałam z domu. Kiedy doszłam na koniec podjazdu, uświadomiłam sobie, że nie mam pieniędzy, telefonu ani kluczy, więc musiałam wparować do środka, zabrać torebkę i wyparować jeszcze raz, czym niestety odjęłam sytuacji dramatyzmu, bo drugie wyjście nigdy nie jest tak efektowne jak pierwsze - niezależnie od tego, jak mocno trzaśniemy drzwiami.

Niedziela, 7 sierpnia

Afera z Louisą spełniającą swoje marzenia trwa nadal. Simon próbował obudzić drzemiącego we mnie dobrego samarytanina, tłumacząc, że Louisa nie ma szans na przetrwanie w prawdziwym świecie i ucierpią na tym jej dzieci. Powinna zamieszkać gdzieś, gdzie będzie mogła liczyć na wsparcie i pomoc rodziny, a ponieważ wynajem domu z pieniędzy za aplikację (MOICH pieniędzy!) w tych okolicach zupełnie by się nie opłacał, lepiej, żeby zamieszkała blisko Michaela i Sylvii, bo we Francji jest o wiele taniej. Rozumiem jego argumenty, ale obawiam się, że dobry samarytanin nie tylko we mnie nie drzemie, ale w ogóle nie istnieje. Na takie gesty mogą sobie pozwalać ludzie, którzy już mają domki letniskowe i których marzenia nie zostały skradzione!

Miałam serdecznie dość przekłętej rodziny Russellów, której przedstawiciele cały czas zawracali mi głowę, a ponieważ Sam i Hannah byli na wakacjach, zadzwoniłam

do Jessiki i umówiłam się z nią na lunch, licząc na odrobinę rodzinnej solidarności.

Opowiedziałam jej historię, jedząc pioruńsko drogą sałatkę i pijąc jeden kieliszek wina za drugim, podczas gdy Jessica z gracją cały czas sączyła ten pierwszy i jedyny. W końcu powiedziałam:

- Sama widzisz, że postradali zmysły. To takie niesprawiedliwe! Skąd mają czelność, żeby w ogóle mnie o to prosić? - Oparłam się na krzesło, czekając, aż Jessica przyzna mi rację i ukoji moją poturbowaną duszę.

Ale powiedziała tylko:

- Wiem, że ci się to nie spodoba, ale uważam, że powinnaś dać im te pieniądze, Ellen.

- Co?! Niby dlaczego?! - Niemal zerwałam się z krzesła, na którym przed chwilą rozsiadłam się wygodnie, licząc na to, że przyzna mi rację.

- Po pierwsze, nie oddajesz im tych pieniędzy na zawsze. Inwestujesz w dom, w którym Louisa będzie tymczasowo mieszkać.

- To tylko szczegół. Tu chodzi o moje marzenie! Ona kradnie moje marzenie! To jej Pascal będzie opowiadał o Marie-Claire!

- Co takiego? Jaki Pascal? Jaka Marie-Claire? Pleciesz jakieś bzdury, Ellen. - Subtelny gestem odsunęła ode mnie butelkę. - Chodziło mi o to, że te pieniądze dalej będą twoje, tylko w innej formie. Poza tym to jest właściwa decyzja.

- Nieprawda - burknęłam smutno.

- Właśnie że jest. To siostra Simona! Gdybyś była

w potrzebie, na pewno dałabym ci pieniądze - powiedziała stanowczo Jessica.

- Wcale byś mi nie dała!

- Oczywiście, że tak! Jesteś moją siostrą.

- Ty mnie nawet nie lubisz!

- Chodzi o coś zupełnie innego. Poza tym nie rozmawiamy o nas.

- Mogłabyś chociaż udawać, że mnie lubisz! Mogłaś powiedzieć: „Oczywiście, że cię lubię, Ellen. Kocham cię”. Nawet jeśli mnie nie lubisz, a wiem, że tak jest.

- Spędziłaś ostatnie czterdzieści pięć minut na narzekaniach, że Louisa jest rozpieszczonym bachorem, a sama zachowujesz się identycznie. Jeśli jej nie pomożesz, co się z nią stanie? I co się stanie z jej dziećmi?

- Guzik mnie to obchodzi.

- Wkurzasz mnie, Ellen! Dorośnij wreszcie!

- Figa z makiem!

- Louisa skończy w mieszkaniu komunalnym, daleko od znajomych i rodziny. Pozbawiona pomocy nie będzie w stanie wrócić do zawodu, więc kiedy najmłodsze dziecko pójdzie do przedszkola, będzie musiała podjąć pracę pozbawioną jakichkolwiek perspektyw i ledwo będzie ją stać na związanie końca z końcem. Wszyscy na tym ucierpią. Zgadzam się, że Louisa jest nieodpowiedzialna i kompletnie niezaradna. Nie powinna rodzić tylu dzieci bez żadnego planu, jak je utrzymać, ale skoro już je ma, trzeba jej jakoś pomóc. Poza tym jak Simon będzie się czuł, kiedy skażesz jego siostrę, siostrzeńców i siostrzenice na takie życie?

Miałam ochotę zatkać uszy palcami i zacząć śpiewać: „Lalalalalala! Nic nie słyszę!”. Cholerna Jessica! Dlaczego zawsze musi być taka porządna? Miała stanąć po mojej stronie! To niesprawiedliwe! W dodatku nie chciała mi oddać wina.

Przez całą drogę do domu kipiałam ze złości i mamrotałam pod nosem. Kilka osób krzywo na mnie spojrzało, ale przynajmniej nikt mnie nie nagabywał. Przeważnie jest na odwrót. Jakbym miała wypisane na twarzy: „Proszę, usiądź koło mnie i opowiedz mi historię swojego życia, zadawaj impertynenckie pytania i naruszaj moją przestrzeń osobistą”.

Piątek, 12 sierpnia

Jutro Michael i Sylvia wracają do Francji z Louisą i dziećmi. Gunnar pojechał na złomowisko, a oni zamówili u przewoźnika samochód, który przetransportuje ich na miejsce. Wciąż nie wyraziłam zgody, żeby dać Louisie swoje pieniądze, w związku z czym wszyscy mnie znienawidzili.

Po kolejnej nieprzyjemnej kłótni z Simonem wyszłam z domu. Nie mogłam już wytrzymać pełnych nienawiści spojrzeń i wymownej ciszy. To takie niesprawiedliwe, że wszyscy winili mnie za złe życiowe decyzje Louisy. Ja tylko chciałam mieć domek rodem z Pinteresta z gajem oliwnym i starym pomocnikiem. Czy to naprawdę tak wiele?

Nie wiedząc, co ze sobą począć, wsiadłam w autobus i pojechałam do Hannah. Charlie otworzył drzwi. Kiedy zobaczył moją zapłakaną twarz, zapytał:

- Chryste, co się stało?

Po kilku olbrzymich kieliszkach wina, pośród płaczu i pociągnięć nosem, opowiedziałam swoją historię. Hannah głaskała mnie po rękę, mówiąc wiele kojących słów, których bardzo potrzebowałam. To właśnie dlatego Hannah jest moją najlepszą przyjaciółką. Dawno temu zawarłyśmy pakt, że niezależnie co ta druga nawywija, zawsze będziemy się wspierać. „Ja i ty kontra świat” – tak brzmi nasz bojowy okrzyk. Skończyłam opowieść i czekałam na słuszne oburzenie, którego nie usłyszałam od swojej siostry.

Charlie i Hannah spojrzeli po sobie. Co z tym słusznym oburzeniem? Czemu nic nie mówią?

W końcu Charlie westchnął, po czym powiedział cicho:

- Ellen, ty taka nie jesteś.
- Oczywiście, że taka jestem! To moje pieniądze!
- Tak, są twoje. Ale ty nigdy nie byłaś taka bezduszna.
- Gdyby chodziło o ciebie, Hannah, nie wahałabym się ani sekundy. Po prostu nie lubię Louisy.

- Tu chodzi chyba o coś innego. To siostra Simona. I jedyne słuszne wyjście z tej sytuacji.

- To prawda, Ellen. Wiesz, że to prawda.

- Miałaś być po mojej stronie! Co się stało z „ja i ty kontra świat”?

- Jestem po twojej stronie! Właśnie próbuję powstrzymać cię przed popełnieniem wielkiego błędu i zrujnowaniem swojego małżeństwa!

- Spójrz na to z innej strony. Jak będziesz się czuła, siedząc w swoim domku w Wells-next-the-Sea (swoją drogą, kiedy zaczęłaś mieć obsesję na punkcie tego miejsca?), wiedząc, że

Louisa i twoi kuzyni kiszą się w jakiejś paskudnej kawalerce z obłazącą tapetą? – zasugerował Charlie.

– Jak będę się czuła? Doskonale! Będę bardzo zadowolona. Oglądałam zdjęcia w Internecie. To bardzo ładne miejsce z pięknymi plażami i mnóstwem herbaciarni. Poza tym jest o wiele bliżej i taniej niż w Kornwalii.

– Nie, wcale byś się tak nie czuła. Czułabyś się podle i w głębi duszy dobrze o tym wiesz. Dlatego zrób to, co powinnaś.

Na litość boską!

Wróciłam do domu. Wtargnęłam jak burza, porządnie trzaskając drzwiami. Jeśli naprawdę zamierzają mnie do tego zmusić, wykorzystam każdy najdrobniejszy potencjał do zrobienia cyrku.

Simon oglądał *Fanów czterech pieprzonych kótek*. Louisa i dzieci przeprowadzili się do hotelu Michaela i Sylvii kilka dni temu.

– Niech ci będzie! Dam im swoje pieniądze.

– Mówisz serio? – Simon zerwał się z kanapy.

– Tak – mruknęłam wściekle pod nosem, nie mogąc uwierzyć, że naprawdę to mówię.

Simon zaczął mnie przytulać, całować i mówić, że jestem wspaniała, cudowna i bardzo mnie kocha, co byłoby bardzo miłe, gdyby nie to, że nie będę mieć domku letniskowego. Potem zadzwonił do Michaela i oboje rozmawiali o tym, że jestem cudowna. Chyba właśnie podjęłam najgłupszą decyzję w swoim życiu.

Później otworzyliśmy wino i Simon pokazał mi nowy dom

Louisy na komputerze. Wcześniej nie chciałam go oglądać, bo „nie dam sobie wymachiwać przed nosem fizycznym dowodem na zniszczenie mojego marzenia”. Okazało się, że to niezbyt wyglądny współczesny bungalow. W środku było ciemno i dosyć obskurnie. Mój dom jest dwa razy ładniejszy. Jestem naprawdę złym człowiekiem, bo od razu poczułam się lepiej.

- A gdzie gaj oliwny? Gdzie Pascal będzie opłakiwał swoją utraconą miłość, Marie-Claire?

- Chyba za dużo wypijaś, kochanie - powiedział Simon i zaprowadził mnie do łóżka.

Czwartek, 25 sierpnia

Pojechaliśmy do Kornwalii, jak przystało na prawdziwych przedstawicieli klasy średniej. Dzieci bawiły się na plaży (czytaj: rzucały sobie nawzajem piaskiem w twarz i wrzeszczały rozpaczliwie, bo ktoś rozdeptał ich zamek z piasku) i pluskały w basenach pływowych (czytaj: próbowały się nawzajem potopić).

Urządzaliśmy piknik. Jeśli jeszcze raz zobaczę jajko na twardo albo kanapkę z kurczakiem, umrę na miejscu. Peter i Jane zaczęli rzucać się jedzeniem, więc pies oczywiście zaraz do nich dołączył. Nie mogę powiedzieć, żeby psie wymiociny z kawałkami jajek były szczytem marzeń przedstawicieli klasy średniej.

Ciągle jeszcze spoglądam tęsknie w okna agencji nieruchomości, które mijam na swojej drodze, opłakując utracone marzenie, i chociaż bardzo tego żałuję, wiem, że

postąpiłam słusznie. Coventina wysłała mi list niedługo po tym, jak przyjechali do Francji. Podziękowała mi w nim za nowy dom i życie. Trochę mnie to udobruchało. Przypominam sobie o tym za każdym razem, kiedy znajduję kolejny, idealny „Domek pod wiciokrzewami” i moje rozgoryczenie odrobinę maleje.

Kiedy położyłam spać Petera i Jane i bezskutecznie próbowałam wytrzepać ich mokre stroje kąpielowe z piachu, szukając wzrokiem resztek psich wymiocin i sążnięcie klnąc pod nosem, podszedł do mnie Simon.

- Kocham cię. - Objął mnie ramionami. - Za rzadko ci o tym mówię.

- Zdecydowanie za rzadko.

- Obiecuję, że będę częściej okazywać ci swoją miłość.

- To dobrze. Podoba mi się ten pomysł. Możesz okazywać swoją miłość, dając mi dużo błyskotek. Lubię błyskotki.

- Dobrze, będę kupował błyskotki swojej małej sroczce. Pomyślałem też o małej niespodziance z okazji twoich urodzin w przyszłym miesiącu.

- Staram się o tym nie myśleć. Nie chcę kończyć czterdziestki. W tym roku będę udawać, że nie mam urodzin!

- Ach tak? Czyli nie chcesz jechać do Paryża?

- Oczywiście, że chcę! A co z dziećmi? Nie są zbyt... paryskie.

- Załatwione! - powiedział zadowolony z siebie Simon. - Sam i Hannah wezmą do siebie po jednym. A my uciekniemy do miasta miłości i romansów. I wina.

- I pójdziemy do zadymionych klubów jazzowych?

- Nienawidzisz jazzu. Oczywiście możemy, ale zawsze, kiedy chodzimy do klubów jazzowych, zaczynasz marudzić, że muzyka ci się nie podoba.

- To usiądziemy w barze na Montmartrze i będziemy oglądać świat za oknem, a ty będziesz mi szeptał do ucha czułe słówka.

- A czy na Montmartrze nie jest zawsze strasznie tłoczno? Pewnie będzie tam dużo ludzi i...

- SIMON!

- No dobrze, pójdziemy do baru na Montmartrze i będę szeptał ci do ucha czułe słówka, nawet jeśli nie będziesz ich słyszeć, bo będzie za dużo gwaru i ludzi.

- Dobrze. Ja ciebie też kocham.

Wygląda na to, że czterdzieste urodziny nie będą takie straszne, jak się obawiałam.

Po pierwsze, nie jesteśmy już kompletnie spłukani. To wspaniałe uczucie.

Moja teściowa nie może już rzucać pod moim kątem kąśliwych uwag (choć jestem przekonana, że i tak będzie próbować), bo ocaliłam jej rodzinę. Poza tym dżin nas do siebie zbliżył.

Nie mogę już na przemian nienawidzić i bać się innych matek ze szkoły, bo odkryłam, że są tylko ludźmi, chociaż wciąż opieram się przed dołączeniem do klubu książki Fiony Montague, która każe innym czytać snobistyczne powieści, a potem wyszukuje w Internecie analizy i udaje, że sama je wymyśliła, żeby wyjść na mądrzejszą od wszystkich wokół.

Zyskałam trójkę wspaniałych przyjaciół: Charliego, Katie

i Sama. Rozpiera mnie też duma, bo to, że Hannah i Charlie są razem, to tylko i wyłącznie moja zasługa. Jeśli kiedykolwiek wezmą ślub, na pewno będę honorowym gościem. A Katie jest kochana i mieszka po drugiej stronie ulicy, więc mam blisko na wino.

A teraz najlepsze! Uświadomiłam sobie, że wcale nie chcę już przesiadywać w zadymionych klubach jazzowych, słuchając niegrzecznych mężczyzn szepczących mi do ucha czułe słówka. Wystarczy mi jeden bardzo grzeczny mężczyzna, który marudzi, że „tam będą ludzie i na pewno będzie gorąco i duszno”.

Czterdziestka chyba nie będzie taka zła. Zaczęłam nawet mieć nadzieję, że uda mi się zrobić ludzi z Petera i Jane. Może nawet kiedyś porzucą misję pozabijania się nawzajem? Cóż, każdy ma prawo marzyć!

PODZIĘKOWANIA

Zawsze kiedy czytałam podziękowania na końcu książek, zastanawiałam się, jak to możliwe, że potrzeba aż tylu osób, żeby napisać książkę. Przecież wystarczyłby autor, redaktor i korektor, ewentualnie ktoś, kto potrafi pisać na klawiaturze, jeśli autor nie potrafi. A potem sama zaczęłam pisać i zdziwiłam się, bo rzeczywistość wygląda zupełnie inaczej. Dlatego w tym miejscu chciałabym wymienić kilka osób, które zasługują na gorące podziękowania za pomoc w powstawaniu niniejszej książki.

Przede wszystkim dziękuję wszystkim wspaniałym ludziom z HarperCollins, którzy dali mi taką szansę. W szczególności dziękuję Grace Cheetham, Polly Osborn i Katie Moss za ich cierpliwość do moich pełnych głupich pytań mejli.

Dziękuję mojemu fantastycznemu agentowi Paulowi Bakerowi z Headway Talent - kolejnej niesamowicie cierplivej osobie na mojej liście.

Dziękuję mojej ukochanej przyjaciółce Donnie Pilcher za pomoc, dobre rady i wsparcie. Wyrazy wdzięczności należą się też wszystkim Dahlingom (wiecie, że o was chodzi), którzy mnie wspierali, dodawali otuchy i sprawili, że uwierzyłam we własne siły.

Ekipie FIAF - Tanyi, Mairi i Eileen - dzięki wam nie zwariowałam!

Olbrzymie dzięki dla Jima Petersa - za cierpliwość,

zdolności fotograficzne i anegdoty.

Dla Helen i Martina - za to, że powierzyliście mi psa, który wiecznie mnie ocenia. Psie, który wiecznie mnie oceniasz - dziękuję, że ogrzewałeś moje stopy, kiedy pisałam.

Mojej niesamowitej rodzinie - nie tylko za to, że przygarnialiście i karmiliście moje dzieci, kiedy powstawała ta książka, ale też za to, że latami wspieraliście mnie i pomagaliście w kryzysowych momentach.

Przede wszystkim dziękuję jednak mojemu gadżetowemu nerdowi i kochanym latoroślom - za wszystkie herbatki, lampki wina i za to, że ze mną wytrzymujecie.

A ostatnie, chociaż nie mniej ważne podziękowania kieruję do Claire Scott za to, że rzuciła niewinną uwagę, od której wszystko się zaczęło.

[1] Petsitter: osoba zatrudniona do wyprowadzania i opieki nad zwierzęciem domowym (przyp. tłum.).

[2] Po angielsku księżyc to „moon”, a koza - „goat”. Moongoat.com to z kolei adres popularnego sklepu on-line z kawą (przyp. tłum.).

[3] Au pair - program międzynarodowej wymiany kulturowej młodzieży. Przyjezdny młody człowiek zamieszkuje z zapraszającą go rodziną i uczestniczy w jej życiu, m.in. opiekując się dziećmi, a także poznając kulturę i codzienne życie kraju, w którym przebywa (przyp. red.).

[4] Miss Hoolie to jedna z bohaterek *Balamory* (przyp. tłum.).

[5] *What Katy Did* (1872), aut. Susan Coolidge, wyd. polskie: *Po prostu Katy*, Novus Orbis 1995 (przyp. tłum.).

[6] Największy w Wielkiej Brytanii portal poświęcony sprzedaży i najmowi nieruchomości (przyp. tłum.).

[7] Radiowy i telewizyjny prezenter, znany głównie z talk show *The Jeremy Kyle Show* (przyp. tłum.).

[8] W Wielkiej Brytanii od 2007 roku istnieje tradycja wypuszczania świątecznej reklamy przez tę sieć. Dla Brytyjczyków oznacza to początek świątecznego szaleństwa, jak w Polsce pojawienie się w radiu hitu *Last Christmas* (przyp. tłum.).

[9] Heston Blumenthal - jeden z najbardziej znanych brytyjskich szefów kuchni, ceniony z innowacyjne podejście do sztuki kulinarnej. Jego restauracja The Fat Duck otrzymała trzy gwiazdki Michelina. On sam został wyróżniony przez królową Elżbietę za wkład w rozwój krajowej gastronomii Orderem Imperium Brytyjskiego (przyp. tłum.).

[10] Popularna w UK kanapka z kotлетem de volaille, warzywami i majonezem (przyp. tłum.).

[11] *Radość seksu*, aut. Alex Comfort - powieść z lat 70. XX wieku, bestseller poświęcony tematyce wychowania seksualnego (przyp. tłum.).

[12] Artykuł o pozycji na jeźdźca, jak i cały cykl artykułów o życiu seksualnym w magazynie „More!”, zyskały miano kultowych. Były to teksty o randze i poziomie zbliżonym do rubryki z trudnymi pytaniami w magazynie „Bravo” (przyp. tłum.).

[13] Chodzi o nietłumaczony na język polski, popularny w Wielkiej Brytanii zbiór opowiadań autorstwa Elinor M. Brent-Dyer *The Chalet School* (przyp. tłum.).

[14] Program telewizyjny zbliżony charakterem do programu *Jackass*, którego uczestnicy poddawani są ciężkim próbom (przyp. tłum.).

Tytuł oryginału: *Why Mummy Drinks. The Diary of an Exhausted Mum*

Pierwsze wydanie: HarperCollins Publishers Limited, UK 2017

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Redaktor prowadzący: Grażyna Ordęga

Opracowanie redakcyjne: Janina Pietrzak

Korekta: Urszula Gołębiowska

© 2017 by Gill Sims

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2019

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji HarperCollins Publishers Limited, UK

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: Vectorstock Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

www.harpercollins.pl

ISBN 9788327640093

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi S.A.